

Zacharyasiewicz jan

NOWELE

POJEDYNEK.

Szybko toczą się wartkie fale Dunajca. Jak stado kaczek kołyszą się na falach liczne łodzie. Na brzegu, niecierpliwie czeka tłum różnobarwny. Wesoło mu, bo śmiech rozlega się dokoła, a dowcipne słówka biegają tam i napowrót jak pierzaste strzały. Jasne słońce patrzy z nieba, a tam na górach krzątają się pastuszki, aby jak najwięcej nagromadzić suchego jałowcu i kosodrzewiny, która zapalona wieczorem, ma dla jadących w łodziach przedstawiać widoki Etny i Wezuwiusza!...

To goście Szczawnicy gotują się do wodnej jazdy w uroczu Pieniny...

Sędziwy Salomon, ów znany retman Dunajca, który na pamięć może wskazać każdy niebezpieczny podwodny kamień, nadzoruje wiązania łódek.

Łódki wiążą się po dwie razem, bo krótkie, połamane Dunajca fale, niebezpieczne są dla jednej.

Przygotowania do odjazdu idą piorunem, słychać komendę retmana i posłuszne oryli odpowiedzi... a na brzegu miesza się niecierpliwie tłum różnobarwny, bo zdążyła już „Sokolnica”, błyszczą „Trzy korony”, i szmaragdowy Dunajec gościnnie na swoje łono zaprasza!...

Wiele marzeń wybiega z brzegu tam daleko do błękitnawych baszt Pienin — wiele płynie z modrą Dunajca falą gdzie Czorsztyń, i czerwony klasztor i Niedzica, zielona, Węgier rusalka..., ale najwięcej zostaje na brzegu i przepada w różnobarwnej tęczy... różnych strojów kobiecych!

Prześliczność i niepoślednie stroje! Tam z fantazją kepi, lekki jak piana kapelusik słomkowy, a uczepiona u niego błękitna woalka, podobna jest do niebios podwoi, które niejednemu okazują w dalszej perspektywie — niebo szczęścia!... Tu znowu jak piętra Tatr osiadły gęste sploty włosów, a każde piętro najeżone baterią dział, które nigdy nie chybają!...

I to i owo, i wszystko razem, sprawia jakiś prześliczny chaos... a w tym chaosie ruch i gwar, jakby się na wojnę gotowano!...

Jeżeli ma już być wojna z falami Dunajca, to przecież nie jest rzecz obojętna, kto z kim i przy którym boku walczyć będzie? Dobry towarzysz w boju, to połowa zwycięstwa, — ale tu chodziło o to, aby towarzysz był piękny... a piękny towarzysz to nie zawsze zwycięstwo! Dowodem tego są dwaj dorodni kandydaci piękna: J. P. Idzi klejnotu Korczak i J. P. Juljan klejnotu Trzaska. Obaj są słusznego wzrostu, jak na bohaterów dramatycznych przystało, i obaj założyli sobie jeden i ten sam cel, czuli jedno i to samo pragnienie, aby na falach Dunajca — a w dalszym znaczeniu na falach życia — walczyć czy raczej usiąść razem na jednej łódce z J. Panną

Euzebią, jedną z najpiękniejszych blondynek sezonu kąpielowego.

J. Panna Euzebia była piękna co się zowie. Miała profil grecki, oczy gazelli, usta jak róża z Jerycha, a warkocz jak kora cedru z Libanu. Miała suknię blado różową w wązkiej krateczki, obszytą w koronki prawdziwe — figlarny z ciemnej słomki kapelusik a la Era Diavolo na głowie, a w głowie bardzo wiele poezji, dosyć nauki, a nawet nieco astronomii nabytej w jednym z zakładów wychowawczych kobiecych, oprócz trzystu sześćdziesięciu pięciu obiadów kupionych za

pięć złotych. — Był to zaiste bardzo piękny idealik, który poezję i astronomię umiał jakoś z przepisami kuchennymi połączyć,

o co u nas podobno jest najtrudniej. Z tego już samego względu, mógł i powinien ten idealik podczas całego sezonu kąpielowego, mieć stałe i niezachwiane powódzenie. Tak też było w istocie. Panna Euzebia otoczona była na wszystkich wspólnych i osobistych wycieczkach, całym orszakiem doborowej młodzieży. Tego faktu nikt nie mógł zaprzeczyć, ale nie wszyscy widzieli w nim jedne

te same pobudki. Osobliwie rówieśnice kąpielowego idealiku okazały się w poglądach swoich społecznych pessimistkami. Panna Euzebia była u nich trochę... kokietką. Zarzucano jej, że w uśmiechu ma coś wyzywającego, że w spojrzeniach jest więcej ognia i blasku niż potrzeba, że ruchy są zanadto gibkie i elastyczne. Zarzucano jej także, że nadto popisuje się tem co czytała, że o strojach jak widać za wiele myśli, ale zato za mało o nich mówi. A co najwięcej od innych ją wyróżnia, to jakaś uporczywa a niesprawdzona dotąd fama

półmilionowego posagu, który dla niej chowa J. Pani Scholastyka, zacna matka i nader poważna matrona w sukni jedwabnej koloru Pompadour. —

Zazdrosne i więcej od natury i bożka złota upośledzone rówieśniczki Euzebii, utrzymywały uporczywie, że tylko aureola posagowa tak zawracała głowę kandydatom kąpielowym, i że bez tej aureoli nie byłaby Euzebia nawet tak piękną, rozumną i dowcipną, jak o tem głosi J. Pan Kajetan, emerytowany sędzia przysięgły w takich sprawach. Utrzymywały dalej owe Eumenidy szczęśliwej współzawodniczki, że ów półmilionowy posag nie dobiegał w początku sezonu tej cyfry poważnej, ale rósł powoli jak każde stworzenie boże, rósł od stu tysięcy do dwóch — potem z dwóch skoczył do trzech i t. d. póki się z tego nie zrobił okrągły półmilionik. A ponieważ każdy blask, chociażby nawet był fałszywy, wszystkich oczy ku sobie zwraca, zwracała się ku temu blaskowi cała prawie młodzież sezonu kąpielowego. Panna Euzebia była istnie szczęśliwą dziewczicą. — Uśmiechał się do niej J. Pan Karol znany z zaszczytnych swoich kolligacyj młodzieniec, który uznał za stosowne uważać te kolligacje jako kapitał realny i na nim budował najświetniejsze zamki matrymonialne. Przyjaciel jego, zacny pan Albert z angielskimi faworytami, a z prawdziwie polską biedą w zanadrzu, stał się gorliwym jego współzawodnikiem, i tylko nad tem przemyślał, jakbyto przyjacielowi swemu nogę podstawić... — Słowem, nawet wypróbowane i w boju życiowym zahartowane uczucia waśniły się z sobą na widok tak pięknych oczu i tak świetnej aureoli!

Najpraktyczniejszym z pomiędzy wszystkich gorąco kąpanych kandydatów, był J. Pan Idzi klejnotu Korczak. Jako doświadczony i niejednymi szewronami ozdobiony już kawaler, nakreślił sobie z góry plan bardzo rozsądny. Gra bowiem była dosyć znaczna, a stawki odpowiedniej nie było pod ręką. J. Pan Idzi miał bardzo ładne wąsy, miał i wzrost piękny i oblicze wcale nieszeptne, które ozdobione lornetką wcale dobrze wyglądało, — ale nie miał, jak to mówią, pewnego realnego gruntu pod nogami. Szkół zadnych nie ukończył, bo już od dzieciństwa sposobił się do tak zwanego obywatelskiego zawodu. Umiał się bardzo przyzwoicie ubierać, mówił o wszystkim, był zapalonym amatorem koni i ładnych faetonów, a gdy potrzeba było, umiał także grać w różne gry hazardowe. Do specjalności jego należało urządzenie zabaw i prowadzenie tańców.

A ponieważ w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, bożek miłości najczęściej zjawia się na balach i świetnych rautach, pan Idzi miał więc słuszną nadzieję, że przy jego tak cennych przymiotach nie omieszka złotodajny bożek i do niego przemówić!...

Tak zazwyczaj bywa, ale tak się nie stało. J. Pan Idzi klejnotu Korczak, nie należał do szczęśliwych. — Różne złe demony życia podstawiały mu nogę, a przeciw takim mocom trudna była walka! Pan Idzi był zawsze kawalerem, chociaż już trzydziestka dawno minęła. Ocknął się jednak w samą porę. Widząc, że idealne jego przymioty żadnego dotąd nie wydały rezultatu, uczynił kompromis z pozytywizmem wieku.

Pan Idzi przywiózł z sobą do wód szczawo wy ch jakiegoś zwiędłego staruszka, którego w stosunkach osobistych nazywał stryjaskiem, a na zgromadzeniach publicznych J. Panem marszałkiem. I zaraz rozeszła się wieść od Pienin aż po Czerwony Klasztor, że J. Pan Jaksa Korczak jest gubernialnym marszałkiem z Litwy czy Ukrainy a bezdzietnym stryjaskiem J. Pana Idziego, przyzwoitego kandydata do stanu matrymonialnego.

I w dziwnej sprzeczności stanęły teraz najszlachetniejsze zazwyczaj uczucia ludzkie. Im więcej J. Pan Jaksa kaszłał, tem wyższy był kurs J. Pana Idziego. Im więcej pan Jaksa o śmierci mówił, tem jaśniej błyszczały oczki szafirowe J, Pani Agaty, panny mężatki, która po otrzymanym rozwodzie, pragnęła wejść w powtórne śluby małżeńskie. Pan Idzi podobał się jej widocznie.

Pan Idzi był skromny i wcale na zdobywcę serc niewieścich nie wyglądał. Pielęgnował z całą starannością kaszlącego stryjaska i marszałka gubernialnego, i często dawał się z tem słyszeć, jak mu to przykro będzie złożyć brata ojca swego w ziemi, od której tak daleko jest familijny Korczaków grobowiec! A gdy raz żartobliwie pan Agapit powiedział, że śmierć stryjaskamarszałka nie sprawi mu zbyt wielkiej boleści, bo prawdopodobnie należeć będzie do tak zwanych śmiejących się sukcesorów—pan Idzi z pogardą odparł ten żart, utrzymując, że kilkakroć sto tysięcy niejest jeszcze tak znaczną cyfrą, któraby mogła przytłumić w sercu jego uczucia prawdziwie synowskie!

Tak zacne słowa nie mogły przepaść jak głos wołającego na puszczy. Usłyszały ją piękne panny i zacne ich matki i ciotki. Zwrócono uwagę na szlachetnego człowieka, który z takim uczuciem kocha swego chylącego się do grobu bezdzietnego stryjaska.

I stało się pewnego dnia, że J. Pan Jaksa, czując się bezsilnym, usiadł na ławce, na której przypadkiem siedziała J. Pani Scholastyka, matka Euzebiei.

J. Pani Scholastyka była kobieta rozmowna; zaczęła więc rozmowę z kaszłącym staruszkiem, radząc mu w dolegliwościach jego różne środki domowe. J. Pan Jaksa przyjął rady z wielką submisją, przyrzekł wszystkiego próbować a przytem przyrzekł także przedstawić swego kuzyna, przyszłego swego spadkobiercę, który jest człowiekiem wyjątkowym, gdyż o jego śmierci nawet słyszeć nie chce!

Zacna matrona zachwycała się tak rzadkim okazem, i zwróciła zaraz na to uwagę swojej jedynaczki. Jedynaczka była jakaś zamyślona i jakby tego nie słyszała. Końcem parasolki rysowała na piasku jakieś nieczytelne hieroglify. Hieroglify te jednak dadzą się jakoś odczytać. Są one znakami, które wyrażają niezwykłą boleść serduszka. A boleść ta ztąd pochodzi: W podróży z Krakowa przyłączył się do nich jakiś podróznny, który nazwał się Juljanem klejnotu

Trzaska. Nazwisko było ładne, podróżny nie był także brzydki, a że nie miał mniej niż lat trzydzieści i niepospolite zdradzał wykształcenie, uznały matka i córka za rzecz słuszną, przyjąć jego towarzystwo.

I jak to zwykle w podróży górskiej bywa, osobliwie w budzie górala, w której podróżni bardzo prędko do siebie się zbliżają—uprzejmy towarzysz zbliżył się w kilku pierwszych godzinach świeżej znajomości do swoich towarzyszek daleko więcej aniżeli inni w kilku tygodniach lub miesiącach to uczynić mogą. Rozmawiano bardzo wiele, opowiadano sobie różne przygody życia, a gdy pod wieczór do gościnnej zajechano karczmy, gdzie trzeba było nocleg odbyć, zdawało się pannie Euzebie, że J. Pan Trzaska jest dawnym jej przyjacielem, którego nagle w górach sądeckich odszukała! Pani zaś Scholastyce zdawało się, że J. Pan Juljan klejnotu Trzaska jest bardzo przyzwoity człowiek, a byłby jeszcze przyzwoitszym, gdyby wiedziała jakie ma dobra lub kapitały.

Kordyalny jednak podróżnych stosunek nie ucierpiał nic na tej niewiadomości. Osobliwie Euzebia na to wcale nie zważała. Rozmawiała z panem Juljanem z wielkiem zamięowaniem, podziwiała jego rozległą naukę i dziwną delikatność, z jaką dotykał w rozmowie różnych rzeczy, które jej jeszcze mogły być nieznanne.

I tak chyżo i szybko rozwinęła się w dwóch sercach na raz żywa sympatya, czyli raczej zbudziła się, jak się budzi różowa jutrzienka, gdy słońce ma wejść na niebie. O słońcu wprawdzie jeszcze nie było mowy, ale była mowa o herbacie, którą trzeba było na wieczór przygotować. Herbata w karczmie polskiej i do tego herbata dla Warszawianek, jak mniemał uprzejmy towarzysz podróży, była istotnie zadaniem niepowszedniem.

Uprzejmy towarzysz wszystko jednak zwyciężył. — Wynalazł samowar, zdobył węgle, sam przyniósł wody

z krynicy, a nawet tak prędko ogień rozdmuchał, że ciemnooka Euzebia szczerze mu tego nieocenionego talentu zazdrościła!

A gdy już woda kipieć zaczęła, i różowa rączka Euzebiei złożoną filiżankę pod kurek podstawiła, aby ją należycie wypłókać, puścił pan Juljan Trzaska gorącą strugę i tak się przytem w ciemne oczka swojej towarzyszki zapatrzył, że wcale nie spostrzegł, iż woda zamiast do filiżanki, pędzi całym impetem na jego rękę. Czarne oczka Euzebiei zasłyły łzami gdy to spostrzegła, a gdy po chwili ujrzała rękę towarzysza całą ugotowaną, miała wielką ochotę zemdleć, i niezawodnie takby uczyniła, gdyby potrzeba ratunku nie zatrzymała jej na nogach. Rozdarła na prędce batystową chustkę ze swoją cyfrą i obwinęła rękę rannemu, który zamiast krzyczeć z bólu, patrzył z zachwyceniem na nią podczas tej bolesnej operacji.

Rozumie się, że taka scena nie mogła przejść bez wpływu na młodociane serduszko, a gdy po tem wszystkiem trzeba było do snu oczy zamknąć, dziwne jakieś obrazy stawały przed oczami, i nie pozwalały powiekom zbrojnym w jedwabne rzęsy dobrze się przymknąć.

To samo działo się i w sąsiednim pokoiku, w którym leżał ranny towarzysz, a któremu nad ranem się przyśniło, że ręka go nie boli ale serce...

Wśród takich i podobnych przygód przyjechano wreszcie do Szczawnicy.

Tam czekało wszystkich straszne, okropne rozczarowanie! Po kilku dniach dowiedział się towarzysz J. Pan

Julian klejnotu Trzaska, że panna Euzebia ma posag półmilionowy, a J. Pani Scholastyka dowiedziała się, że pan Juljan Trzaska jest aspirantem na profesora gimnazjalnego! Po jednej i po drugiej stronie srogie rozczarowanie—a po trzeciej, z powodu tych dwóch rozczarowań, wielkie zmartwienie! Towarzyszowi Juljanowi stanęły łzy w oczach, gdy się o tem dowiedział. Jakże gorąco pragnął w tej chwili, żeby tych milionów wcale na świecie nie było! Na coż mu bowiem owe miliony, jeżeli przez nie traci wszystkie w budzie góralskiej tak rozkosznie pieszczone marzenia? Po co ten milion wlaź do budy góralskiej? Dla czego nie jechał czterokonną przynajmniej kareta? Dla czego matka tego miliona iak zawzięcie targowała się z Żydem w karczmie o kilkanaście groszy, które tenże był sobie za cukier policzył?...

Dla czegoż złudzone go tak ekscentryczną oszczędnością, że wcale milionów nie przypuszczał i dla tego sercu swemu swobodnie wodze popuścił?... A przedewszystkiem wyrzucał temu milionowi, dla czego miał tak czułe serce? dla czego piękne oczy jego tak prędko łzami zaszyły, gdy sobie rękę żywcem chciał ugotować, jak drugi Mucyusz Scevola?...

Gdyby tego miliona nie było, jakże szczęśliwym byłby człowiekiem! Byłby mógł marzenia swoje zrodzone w budzie góralskiej i na noclegu wprowadzić w rzeczywistość; byłby najprzód powiedział Euzebie, że ją kocha, a potem za jej przyzwoleniem, matce się z tem zwierzył!

Rzecz byłaby tak prosta! a teraz stanął w drodze ten przeklęty milion i odciął go na zawsze od marzeń jego!

Jakże bowiem może biedny aspirant do katedry nauczycielskiej myśleć o sercu i rączce tak bogatej panny!

Takie były strapienia biednego Juljana Trzaski, gdy zdala stał pomiędzy drzewami nie mając odwagi ani potrzeby zbliżania się do panny Euzebie. Byłoby to bowiem szaleństwem, a na szaleństwo miał za wiele rozsądku i nauki.

Ponieważ jednak trudno jest, aby na małej stosunkowo przestrzeni, goście kąpielowi zawsze z dala od siebie być mogli, wydarzało się więc czasem, że J. Pan Juljan Trzaska, zagadnięty przez pannę Euzebię, jako dawny towarzysz noclegu, kilka słów do niej przemówił z czego panna Euzebia widocznie była zadowolona, a on skrycie niemałą radość uczuwał. Rozsądek jednak kazał mu się z tem taić i jak najprędzej od niebezpiecznego ideału swego się oddalać.

Tak stały rzeczy, gdy kaszlący staruszek po długiej rozmowie z panią Scholastyką, oświadczył gotowość przedstawienia jej swego kuzyna J. Pana Idziego klejnotu Korczak.

I stało się, że gdy Euzebia właśnie o Trzasce myślała, usłyszała nagle coś o Korczaku. Trzaska i Korczak, oba równe sobie klejnoty szlacheckie, była jednak niemała między nimi różnica. Wprawdzie jeden i drugi klejnot nie miał złotej oprawy, ale jeden miał na widoku katedrę, a drugi bogaty ożenek! Jeden z nich miał w kieszeni atestata uniwersyteckiego i nadzieję przyszłej profesorskiej pensyjki, a drugi nie miał nic w kieszeni, tylko przy sobie miał kaszlącego, bezdzietnego stryjaczka, którego bardzo kochał!

Różnica klejnotów była zbyt jasna, aby J. Pani Scholastyka preferencyi drugiemu klejnotowi nie była dała. J. Pan Idzi Korczak został oficjalnie zaprezentowany. Odtąd obaj Korczakowie uważali za święty obowiązek towarzyszyć wszędzie i zawsze jeden córce, drugi matce.

I wkrótce zaczęło całe towarzystwo kąpielowe głośno mówić o różnych rzeczach, które jeden klejnot do tem większego blasku pobudzały a drugiemu niewymownie sprawiały zmartwienie.

Ponieważ jednak Boże słońce nie tylko na róże i tulipany, ale i na skromne fiołki świeci, wydarzało się często, że panna Euzebia, mając koło siebie J. Pana Korczaka, chciała, aby po drugiej stronie był także J. Pan Trzaska, towarzysz z budki góralskiej i noclegu w karczynie żydowskiej.

A gdy to nastąpiło, zdarzało się znowu, że do pana Trzaski więcej mówiła, niżeli do pana Korczaka i widoczną dla pierwszego miała sympatyę.

Sprawa to małe nieporozumienia między nią a zącną matką, ale sama matka winna była tym nieporozumieniom.

Pani Scholastyka często nabijała młodą główkę swojej córki J. Panem Idzim., szczęśliwym spadkobiercą bezdzietnego stryjaska. Ponieważ jednak w rozmowie używała często języka francuzkiego, a mówiąc o panu Idzim nazywała go: monsieur Gil, powstało ztąd smutne nieporozumienie w młodocianem serduszku, które w tem wyrażeniu słyszało wyraźnie: monsieur Jules.

Dziwna pomyłka! Wyrazy jednobrzmiące, a jaka między nimi różnica!...

A pomyłka ta powtarzała się bardzo często ku wielkiemu zmartwieniu J. Pani Scholastyki, a niemalej radości panny Euzebii, która przy tej pomyłce przypominała sobie żywo ową podróż w budzie góralskiej, i ów nocleg pamiętny z kipiącym samowarem!...

J. Pan Trzaska kontent był z tego skąpego faworu losu, i z wdzięcznością przyjmował uśmiech zachodzącego dla niego słońca, ale w poczuciu swojej nieproporcji do miliona, nigdy się sam o ten fawor nie dobijał. Gdy jednak był do tego wezwany, błyszczało oko jego blaskiem najdroższego klejnotu, a zwitek papierów uniwersyteckich na sercu wydawał mu się grubym pugilaresem, w którym jest także milion! Tak stały niedoszłe marzenia z jednej strony, a z drugiej nieporozumienia z powodu pronuncyacji francuzkiej — gdy projektowana od dawna żegluga do Pienin po Dunajcu, miała przyjść do skutku.

Głos starego retmana, któremu dzisiaj stu ludzi powierzało życie swoje, razem z jego marzeniami i kłopotami, rozlegał się od brzegu do brzegu. Już dano hasło do wsiadania na łodzie, gdy nagle zjawił się wśród tłumu gości jakiś zacny jegomość w szaraczkowej kapocie, i głosem woźnego najwyższego trybunału zaczął wołać:

— Panowie i panie! Proszę mnie posłuchać! "Wybieracie się państwo w Pieniny! Pieniny to najbliższe kuzynki naszych Tatr sędziwych — odwiedzając pierwsze, wypada przedstawić się tym drugim! Któż bowiem byłby tak źle wychowany, aby zbliżając się do córek i kuzynek, nie zapoznał się równocześnie z matkami i ciociami! Wszak to pierwszy obowiązek towarzyski!... Otoż

panowie i panie! wybierając się w Pieniny, przyrzeknijcie mi, że pojedziecie w odwiedziny do Tatr naszych, bo to przecież dom rodzicielski tych dziewic naddunajskich! Przyrzeknijcie i w dowód tego, wpiszcie się w poczet zacnego Towarzystwa Tatrzańskiego, którego wielce niegodnym jestem delegatem! Mam oto karty wpisowe, mam dyplomy i rocznik Towarzystwa, z którego wiele ciekawych dowiedzie się rzeczy!...

Panowie i panie! proszę, proszę!... wkładka niewielka... kto chce?...

Różny był skutek tej oratorskiej przemowy J. Pana delegata Towarzystwa Tatrzańskiego. Jedni cisnęli się do niego i płacili wkładki; drudzy oburzali się, że na każdym kroku są wyzyskiwani na jakieś tam cele, z których tylko kozice i świstaki realną korzyść odnoszą!...

— Co mi tam góry galicyjskie! — wołała z oburzeniem pani Eufrozyna, — ja byłam w Szwajcaryi, widziałam Montblanc i dolinę Chamouny! Jakież tam porównanie może mieć dolina Kościeliska!

— Jak można rzeczy swojskie podziwiać! Przecież zazwyczaj podziwiamy to, czego u siebie nie mamy! Tak było u nas zawsze! — przytakiwał pan Izydor ze szpakowatą czupryną.

— Do tego przyjdzie, że zamiast ryżu, będą z patryotyzmu sprzedawali na luty pszenicę polską i każą nam wierzyć, że lepsza od ryżu! — dodała pani Kalasantowa, wielka amatorka wyścigów konnych.

W smutnem położeniu był zacny delegat Towarzystwa Tatrzańskiego. Jedną połową twarzy musiał wdzięcznie uśmiechać się do tych, którzy wkładki płacili,

a drugą połową musiał wyrażać boleść i zadziwienie, na taką poniewierkę ukochanych gór swoich, które tak rzetelnie pokochał!...

W końcu stało się z szanownym delegatem to, co zazwyczaj dzieje się z każdym wielkim człowiekiem, gdy mu sprzymierzeńców i adwersarzy zabraknie — zapomniano o nim. Głos retmana wołał do wsiadania na łódzie. Goście zaczęli się grupować i pchać do łodzi — zacnego delegata popychano coraz mniej łagodnie, aż w końcu ulokowano go w błocie i tam zostawiono z całym zapasem pozostałych dyplomów, roczników i całą jego szlachetną miłością gór tatrzańskich.

Panna Euzebia wyglądała dzisiaj bardzo pięknie. Nadzieja przyjemnych w tej wycieczce wrażeń podrażniła jej nerwy, a lekki, piękny rumieniec okraślił jej twarz bladą. Oczy ciemne paliły się łagodnym płomieniem i z pewnym niepokojem oglądały się na wszystkie strony.

Przy niej stał szczęśliwy kandydat J. Pan Idzi, a z matką rozmawiał kaszlący jego stryjasek.

Oczy Euzebii szukały jednak jeszcze kogoś. Prócz dwóch J. Panów Korczaków, trzeba jej było jeszcze jednego klejnotu. A ten klejnot stał opodal, smutnymi oczami patrzył na nią, jak ongi patrzył lis na tak zwane winogrona zielone, ale nie miał odwagi zbliżyć się. — W rękę trzymał dyplom na członka Towarzystwa Tatrzańskiego i rocznik ilustrowany z góralek na czele. Góral ten przypominał mu budę góralską z owego czasu, kiedy to na świecie jeszcze milionów nie było, i smutno zamarzył sobie biedny aspirant katedry nauczycielskiej, od której miliony tak daleko uciekają!...

— Jakże będziemy siadali? zapytała Euzebia matki, przeciągając chwilę odjazdu.
— Tak jak wszyscy siadają! — odpowiedziała pani Scholastyka, podając rękę stryjaszkowi.
— A ja z kim będę? — ozwała się znowu Euzebia, patrząc ciągle w koło siebie.,
J. Pan Juljan Trzaska stał opodal, ale się wcale nie zbliżał.
— Monsieur Gil — zawołała pani Scholastyka — podaj pan rękę Zebci!
Słowa te były wymówione wyraźnie, ale nieszczęsna dwuznaczna francuzczyzna, stała się powodem wielkiego kłopotu. Euzebia patrzyła właśnie w tej chwili na towarzysza budki góralskiej, a gdy słowa matki usłyszała, była pewna, że to o panu Juljanie jest mowa. Czempředzej więc skinęła na niego chustką batystową.
Skromny i lękliwy towarzysz błyskawicą stanął przed nią.
— Tak pan ludzi i znajomych unikasz — rzekła do niego Euzebia z rozkosznym uśmiechem — że dopiero trzeba wołać na pana! Podaj mi pan rękę!
J. Pan Idzi spojrzał zdziwiony.
— Jeżeli się nie mylę — ozwał się — to ja otrzymałem rozkaz od mamy dobrodziejki podania pani ręki!
Pan Juljan stał już przy Euzebie i silnie trzymał ją za rękę. W oczach jego błyszczała energia niezwykła.
— Mnie się zdawało, że to o panu Juljanie mówiła mama — odpowiedziała Euzebia spuszczać ku ziemi oczy nakryte jedwabną rzęsą.

— Przecież wyraźnie słyszałem — remonstrował pan Idzi — mama powiedziała: Monsieur Gil!
— A ja słyszałam: Monsieur Jules! — jak winowajczynie odszepnęła Euzebia.
— Najlepiej tę sprawę rozstrzygnie mama! — mówił dalej poszkodowany.
— Mama? — powtórzyła Euzebia, i z pewną urazą wyrzuciła główką do góry; — mama ma tutaj rozstrzygać? Czyż moje zdanie i moja wola niczem jest dla pana? Panie Juljanie chodźmy na łódkę!
— Panie łaskawy — zaprotestował pan Idzi — pan przecież tego nie zechcesz zrobić, bo inaczej...
Pan Juljan poczerwieniał cały na twarzy.
— Panie nielaskawy! — odparł, wstrzymując się od wybuchu, — pan nie zechcesz zapewne ubliżać damie; a dokończenie rozmowy ze mną, zachowasz na potem, gdy będziemy sami lub nasi pośrednicy!
Rzekłszy to wsunął mu swoją kartę wizytową do ręki, a sam zwrócił się ku łodziom, gdzie już pani Scholastyka z chorym stryjaszkiem okazale siedziała.
Euzebia nie widziała wcale matki. Była drżąca cała, a twarz jej zbladła jak ściana. Brakowało jej tchu w piersiach i nie mogła ani słowa wymówić.
Szli oboje przez łódzie, szli wśród tłumu, który cisnął się zewsząd, aby najlepsze miejsca zająć. I stało się, że nie doszli do matki tylko musieli ulokować się w oddaleniu o kilka łodzi.
Pani Scholastyka dawała różne znaki, dopomagał jej także zacny stryjaszek, ale wszystko to utonęło wśród gwaru i zamieszania — i flota odpłynęła od brzegów.

Powszechny entuzjazm objawił się teraz prawdziwym wagnerowskim hałasem. Jedni krzyczeli, drudzy wołali, inni próbowali śpiewać, a niektórzy dla większego efektu strzelali z rewolwerów. Prócz tego jeszcze na pobliskich wzgórzach, podnieśli okrzyk pastuszkowie, rzucając na łodzie całe snopy górskiego ziela. Wśród tak silnych akordów powszechnego uniesienia, trudno było pani Scholastyce objawić córce swój gniew, a należyte niezadowolenie panu Juljanowi. Usiłowania jej przepadły wśród chaosu, a niebezpieczne dla wątłych łódek fale Dunajca, nie pozwalały dłużej oddawać się bezcelowym gniewom i dąsom. Pani Scholastyka ograniczyła się tylko na trzykrotnym machnięciu białą chustką, co znowu u córki zwykle spowodowało nieporozumienie. Biorąc to za oznakę macierzyńskiej radości, odpowiedziała matce białą swoją batystową chusteczką, do czego J. Pan Juljan dołączył ukłon i uśmiech jak najweselszy.

Tak zakończyła się na teraz gorąca między matką a córką katastrofa.

J. Pan Idzi, któremu dostała się ostatnia łódka i towarzystwo jakiejś niemłodej wdowy, zbyt daleko oddalony był od sceny dramatu naszego i w tej chwili nie mógł wpłynąć na rozwój gotującego się epizodu.

Majestatycznie płynęła ku góróm flota góralska, przedstawiając obraz prawdziwie malowniczy. Z małego oddalenia wyglądała jak pomost rzucony na wodę, na

którym w różnych pozach malowniczych siedzieli i klęczeli podróżni. Fantastyczne ubiory mężczyzn, siedmiobarwne stroje kobiece i malowniczy strój górali — wszystko to sprawiało widok uroczy. A ktoby zbliżka tym grupom malowniczym chciał się przypatrzeć, mógłby bardzo wiele z nich wysnuć powieści, choćby nawet nio miał patentu na pisarza.

Towarzystwo kąpielowe składa się z ludzi, którzy najczęściej w zwyczajnych stosunkach życia zbyt daleko są od siebie oddalenia, albo wcale sobie nieznani. Na krótki czas następuje między nimi zbliżenie, ale w tym krótkim czasie, zadzierżgają się tak szybko różne węzły towarzyskie, że w zwykłych stosunkach życia potrzebaby na to może lat całych, co tutaj w kilku tygodniach się urabia. Robią się wzajemne koncesje, na jakie w zwykłym stanie nigdyby się nie zgodzono, daruje się towarzyszom lub towarzyszkom to i owo, mało znanych ludzi przystają się wróżne akcesorya, według potrzeby i upodobania, jak się to zwykle w teatrach amatorskich dzieje i za powszechną zgodą rozbierają się, przyjmują i rozdają role... na cały czas sezonu kąpielowego.

Są tacy, którzy z ochotą te role biorą i odgrywają, chociaż dobrze o tem wiedzą, że one tylko clo wyjazdu z wód mają swoje znaczenie. Są jednak i tacy, którzyby te role chcieli jo za sezon kąpielowy przeciągnąć i nawet je na całe życie utrwalić.

A ci znowu rozpadają się na dwie kategorye. Jedni są zacni, poczcwi, czasem zbyt naiwni. Towarzyskie zabawy biorą na seryo, do rzuconego im w zabawie kwiatka przywięzują wielką wagę, chowając go przy sercu

i z odniesionych znacznych wrażeń snują w głębi duszy rojenia najrozkoszniej sze.

"W idealniejszych warunkach życia kąpielowego nie widzą ukrytych cierni rzeczywistości i śmiało puszczają łódkę swoich marzeń na fale wrzburzone!...

Inni znowu mają wszelkie pozory tych pierwszych, w gruncie jednak tem się różnią, że co u pierwszych jest wrodzoną szczerością, u tych jest — przebiegłą spekulacją.

Spekulują na ugrupowanie się u wód stosunków życiowych na idealniejszych warunkach, aby z tego ugrupowania dla siebie co skorzystać. Pod płaszczem idealniejszych zachwyków poluje się na posażne panny, lub zasobniejszych cpu żerów.*

Ileż tematów do najróżnorodniejszych sytuacji daje naprzykład taka ruchoma tratwa, płynąca z wolna po falach Dunajca!

Już samo ugrupowanie turystów i turystek kąpielowych jakże wiele mówi! Jak wymowne są te pozy na łódkach, te gesta, te fantastyczne draperyę pleców, szalów, chustek i gazy błękitnej! A ten chóralny dźwięk mowy, wśród plusku fal, szumu wiatru i nawoływań retmana, czyż nie przypomina gwaru giełdy wielkomiejskiej, na której robią się dobre i złe interesy.

Szmaragdowe fale Dunajca piętrzą się coraz wyżej, łamią się w ostrych, groźnych liniach na skałach podwodnych. Od czasu do czasu stuknie łódka wywrotna o grzbiet takiej skały... tu znowu biała piana szalonego wiru obrzuci ją dokoła prześliczną, prawdziwie brabancką koronką... a do tego miesza się głos retmana i ory

łów, ostrzegający o niebezpieczeństwie niewidzialnem. Wszystko to przypomina nieustannie podróżnym, że są w niebezpieczeństwie, że lada chwila mogą spienione fale zalać łodzie, podwodna skała rozerwać ich kruche więzy! O, jakże blisko siebie są w takiej chwili serca ludzkie! Jak łatwa jest do nich droga, gdy co chwila trzeba towarzysza z przestrachu za rękę uchwycić i mocno ją ścisnąć!

A ileż znowu nieporozumień przynosi potem każda taka żywsza scena! Ileż złudnego wątku dostarcza potem do próżnych marzeń taka jedna chwila!...

Jedynę szczęście, że te wszystkie urojone niebezpieczeństwa i rozkosze, przerwane tchnieniem zimnej rzeczywistości, rozrywają się łatwo jak przedza pajęczka i ulatują tam, gdzie zazwyczaj każda ulatuje... pajęczyna!... Znajduje ją dopiero pastuszek mały, zawieszoną na krzakach cierni i bodiaka poszarpaną i podartą na gałęziach głogu...

Na takim tle powyżej odmalowanem, wybitnie rysują się dwie postaci. Siedzą na łódce uprzywilejowanej, bo umajonej w zielone sosnowe gałęzie i rozmawiają z sobą z wielkim zajęciem. W oświetleniu słońca, wyglądają niemniej malowniczo od innych.

Ona ma różową sukienkę, która z bladobłękitną woalką jest podobna do różowego obłoczka na niebie, gdy go wieczorne słońce jasnym rumieńcem okraja. Swawolny wietrzyk, jak psotny kotek babuni, bawi się lotną woalką i różową sukienką, układając jedną i drugą w zalotne draperyę... I prozaiczny słomkowy kapeluszyk towa

rzysza, przybiera przy tem oświetleniu jakieś kształty niezwykłe, a rzucony niedbale na ramię pled angielski, nadyma się na podobieństwo żagla angielskiego okrętu, którym prawdopodobnie do stałego lądu Europy przyjechał. Mimo tych lekkich, zalotnych draperyj szat zewnętrznych, bardzo poważna prowadziła się na tej łódce rozmowa. Dziewica w różowej sukni miała twarz zmartwioną, chociaż oczy błyszczały jaśniej — a towarzysz jej objawiał w ruchach swoich taką energię, jakby był Jazonem i właśnie w kraje nieznane puszczał się po złote runo... — Mój Boże — mówiła Euzebia — gdyby co złego z tego wynikło, jabym... umarła! Powiadam panu szczerze, że nie przeżyłabym niebezpieczeństwa, któreby panu zagrażało! Towarzysz ścisnął serdecznie małą rączkę, którą właśnie z powodu zapowiedzianego przez retmana niebezpieczeństwa w swojej dłoni trzymał! — Niech się pani niczego nie lęka — odpowiedział J. Pan Juljan — i wierzaj pani, byłbym nawet szczęśliwy, gdybym dla pani mógł... — Nie mów pan tak! Gdzie chodzi o życie... — Dla czego ma... chodzie o życie? — Przecież pan Idzi może pana wyzwać na pojedynek. Zaświeciły się oczy pana Juljana. — Byłoby to dla mnie największem szczęściem... — Pojedynek... szczęściem? któż kiedy słyszał o tem!

— Dałbym dowód, że dla pewnych zdań i uczuć mego serca, mogę i życie na kartę postawić!
— Niech pan tak nie mówi, bo te słowa bolą mnie!
— "Wierzę... bo pani masz szlachetną duszę, musisz cierpieć nad zawodem człowieka, którego nieogłędne serce popadło w wielką sprzeczność z naturalnym rozsądkiem!...
— Niepotrzeba było tak stanowczo do niego przemawiać!
— Czy do serca, czy do rozsądku ?
— Nie, do pana Idziego!
Pan Juljan uśmiechnął się zlekka ironią.
— Nie wiem — odpowiedział z kwaśną miną — czy pani więcej chodzi...
— O serce, czy rozsądek... chciałeś pan powiedzieć?
— Nie... o mnie, czy o pana Idziego! Błyszczące oczy Euzebii spoczęły na twarzy pana Juljana z pewnym wyrazem wyrzutu.
— Jak pan możesz oto pytać?—ozwała się po chwili z lekkim kaprysykiem.
Aspirantpedagog odetchnął ciężko.
— Przyznam się pani — odpowiedział smutno — że przed trzema tygodniami dałbym inną na to odpowiedź. Być nawet może, że wtedy nie miałabyś pani powodu takiego zapytania. Wtedy dla mnie było wszystko tak jasne, tak czytelne! Dzisiaj... z żalem muszę wyznać, że wszystko jest mi ciemne, jak ciemna jest cała przyszłość moja, której tylko jedna gwiazda przyświecać mogła! Dzisiaj ta gwiazda stała się wspniałem

słońcem, które ma dwór swój własny, ma planety tak okazałe jak Mars, Saturn...

— Myślałam, że zamiast astronomii, mówić pan będziesz o panu Idzim...

— Jeżeli pani tak chodzi o to, to pomieszczę go między Marsem, Saturnem i Jowiszem!...

— Nie rozumiem pana!

— Przyznam się, że ja to samo o pani powiedzieć moge, chociaż mi to wielką boleść sprawia!

— Przecież powinieneś pan tak łatwo zrozumieć...

— Moge zrozumieć zabawę, jeżeli ta zabawa niewiele kosztuje nas...

— A gdyby kosztowała całe życie?

— Wtedy nie jest zabawą!

— Któż się znowu chce bawić ?

— Jeżeli wchodzimy na drogę, z której po pewnym czasie zawrócić zamyślamy, nazywa się to przechadzką, zabawą, nie zaś podróżą do pewnego wytkniętego celu!

Nauczycielskie słowa pana Juljana wywołały na twarzy Euzebiei kwaśny uśmiech.

— AV ten sposób rozmawiać nie moge — odparła — bo sama nie wiem, gdzie właściwie jesteśmy!

— Ja jestem tym samym towarzyszem podróży, który w budzie góralskiej różne rzeczy pani opowiadał, a na noclegu samowar rozdmuchywał...

— Iz powodu mojej nieuwagi, żywcem sobie rękę ugotował!...

— Niech i tak będzie... jestem zawsze tym samym i takim pozostanę do końca życia... nawet wtedy, gdy pani o mnie zupełnie zapomnisz!

— Dla czegoż zaraz zapominać? Któż mówi o zapomnieniu? Któż byłby tak niewdzięczny?...

Tu ustał nagle głos Euzebiei, bo dźwięk tego głosu miękł i drżał coraz więcej, jak drży struna, gdy się ją zanadto naciągnie....

— Ja jestem tym samym — mówił dalej nieubłagany aspirant — ale pani... pani odmieniłaś się...

Umajona w gałęzie sosnowe łódź drgnęła nagle, jakby się wywrócić chciała...

— Jak pan możesz tak mówić? — zawołała Euzebia z gwałtownym ruchem, który udzielił się łodzi—jak pan możesz tak zimno te słowa wymawiać, żem się zmieniła!...

— Nie wymówiłem tego zimno — odparł przytłumionym głosem pan Juljan, bo przy tych słowach zapiekło mi w sercu jak rozpalonem żelazem.

— Któż panu podyktował te słowa, jeżeli sercu sprawiają taką boleść?

— Rozsądek!

Roześmiała się Euzebia, a śmiech jej był podobny do dźwięku struny, gdy się urywa...

— Cha, cha, cha! Rozsądek!—zawołała—biedny ten rozsądek, który w sprawach serdecznych musi zawsze stawać jako świadek odwodowy!... Lepiej żeby już tego rozsądku na świecie nie było!

W ostatnich słowach Euzebiei było już wyraźnie czuć łzy. Usta jej zadrżały ruchem spazmatycznym.

— Masz pani słuszność — mówił dalej nieubłagany kandydat katedry — rozsądek jest często ważną przeszkodą w naszym szczęściu. Dla tego też powiada wielki

niemiecki poeta: „Tylko ułuda jest życiem, a prawda śmiercią!”

Euzebia odwróciła twarz od towarzysza, jakby nie chciała okazać mu teraz swoich oczu. Patrzyły one na szmaragdowe fale Dunajca, które groźnie łamały się o brzeg kruchej łódki, wyobrażającej tak obrazowo ułudne marzenie ludzkie, pod którym jest śmierć i zimny grób...

— Czy nic mi pani nie odpowiesz? — zapytał po chwili smutny towarzysz.

— Cóż panu na to odpowiedzieć? — odparła Euzebia ze smutnym uśmiechem — raz powiedziałeś pan, że się zmieniła, drugi raz, że wszystko jest ułudą, że marzenia nasze są marne, a to co jest prawdą, jest śmiercią wszystkiego!... I jakąż jeszcze odpowiedź chcesz pan na to wszystko?

— Prawda! — rzekł po chwili nieszczęśliwy aspirant — na to niema już żadnej odpowiedzi!

I długie zapanowało milczenie.

Pan Juljan patrzył smutno na prawo, Euzebia patrzyła na lewo. Piękne, fantastycznie rysujące się Pieniny daremnie wysilały się w swoich wdziękach. Daremnie zarzuciła Sokolnica ślubny przezroczysty welon na swoją głowę, który powoli w blasku słońca przybierał kolor różowy... daremnie błysnęły ogniem prawdziwego złota „Trzy korony”, zezwalając z dumą na złożenie wiernopoddańczego afektu przez podróżnych... daremnie wyprawiał Dunajec znakomite figle swoje, niby znikając z przed oczu żeglarzy zdumionych, gdy figlar tymczasem tylko się chował po za kamienne Pienin ściany...

wszystko to było daremne dla dwojga ludzi na umajonej sośniną łódce, którzy patrząc smutno przed siebie, nic nie widzieli i nic nie słyszeli!...

— Mój Boże! — ozwała się Euzebia po jakimś czasie — ktoby mi był powiedział, że tak piękną podróż w tak smutnym odbędzie sposobieniu!

— Wszak pani ten smutek mogła była przewidzieć jeszcze na owym popasie w karczmie! — odparł pan Juljan.

— Wtedy byliśmy jakoś bliżej siebie!

— Prawda, zato dziś jesteśmy bardzo oddaleni.

— Dla czegoż pan się oddalasz?

— Bo pani już od początku byłaś oddalona ode mnie!

— Może się panu tylko tak zdaje!

— Nic tak daleko ludzi od siebie nie oddala jak rzeczywista społeczna pozycja.

— Jaka pozycja?

— Pozycja pani jest świetna... jesteś słońcem, które może mieć znakomite planety... ajaczłowiek nieznacznym, jedno małe kółko w niezmierzonej maszynie świata!...

Euzebia zwiesiła smutno główkę.

— Niech pan nie budzi we mnie próżności — odpowiedziała po chwili — bo to nie jest droga do serca!

— O, gdybym znał tę drogę! — z entuzjazmem zawołał aspirant — choćby prowadziła przez same ciernie i głogi... gdyby trzeba było krwią znaczyć ślady swoje na tej drodze...

— Panie Juljanie! łódka mocno się kołysze!...

— Wtedy nie zawahałbym się ani chwili!...

- Zlituj się pan... wywrócimy się!
- I dowiodłbym pani...
- Trzymaj mnie pan!
- Dowiodłbym, że cię Kocham...
- Ach!... woda w łódce...

Na łódce stało się wielkie zamieszanie. Grupa siedząca na przodzie łódki, protestowała głośno przeciw niespokojnym ruchom towarzystwa, które równowagę psuło. Kilka szmaragdowych fal Dunajca wsunęło się rzeczywiście do łódki, i jak zdradliwe żmije, rozciągnęły się wzdłuż dna. Powstał ztąd wielki krzyk i hałas, a słabszych nerwów kobiety widziały już niechybną śmierć w szmaragdowych falach Dunajca!...

Sród takich zmian dekoracyi, musiała i scena odmienić się na umajonej łódce. Po zamieszaniu, krzyku i hałasie, nastąpiła cisza chwilowa, ale była to chwila przed nową sytuacją.

Łódki dobiły właśnie do brzegu a pierwszym widokiem, jaki tam spotkały połączone oczy Euzebii i Juljana, była gniewna twarz pani Scholastyki, zgarbiona postać chorego stryjaska i dumnie wyzywająca postawa J. Pana Idziego! Trzy te gromy uderzyły naraz w dwa biedne, przestraszone serca!

Nazajutrz, gdy słońce już ku zachodowi się miało, siedział pan Idzi w dużym pokoju pod opieką Bogarodzicy. Po pokoju przechadzał się zgarbiony stryj aszek.

— Djabelnie źle idą nasze sprawy!—mówił pan Idzi, dmuchając dymem na sam środek pokoju.

— Przeciwnie — odparł stryj aszek, zatrzymując się przy oknie i bębniąc palcami w szyby: — sprawy idą bardzo dobrze, tylko trzeba zręcznie z nich korzystać!

— Ciekawy jestem na co ten pojedynek jest potrzebny?

— I owszem, — niema nic złego, coby na dobre nie wyszło. Serce kobiece jest wrażliwe na takie rzeczy. Jeżeli kobieta wie, że ktoś dla niej życie swe narazał...

— Ta sama korzyść jest także i dla drugiej strony. A jeżeli dla drugiej strony była już jakaś skłonność...

— Et, co mówisz! Przecież pan Trzaska nie może stanąć obok Korczaka. On jest aspirantem na nędznego nauczyciela, a ty przecież jeszcze niczem nie powalałeś swego obywatelskiego sztandaru. Ty możesz być wszystkim; jeżeli będą pieniądze, możesz być magnatem, możesz być hrabią, możesz mieć świetne stosunki... a pan Trzaska może, co najwięcej, liczyć na quinquena w służbie szkolnej, które mogą pensyjkę jego podwyższyć o kilkaset złotych!

— Pan Trzaska, gdy dostanie pieniądze może być także panem!

— Już tam z trzaski nic nie wystrużesz!

— Klejnot równy nam!

— Pokaż!

Pan Idzi wziął ze stołu kartę wizytową pana Juljana i podał stryjaskowi.

Stryj aszek z wielką uwagą patrzył na kartę. Był na niej skromny napis: Juljan Trzaska; ale nad tym napi

sem było wyobrażenie klejnotu szlacheckiego, które wyglądało imponująco. Były tam miecze i włócznie, był i ząb jakiegoś zwierza i różne podobne ornamentacje szlacheckiego herbu. Stryjaszek zadumał się.

— I co? — zapytał pan Idzi.

— Co się tycze naszych zamiarów — odpowiedział stryjaszek, to jeszcze niczego nie dowodzi. Jedna tylko rzecz jest fatalna...

— Jaka?

— Ze pan Juljan Trzaska, stosownie do swego starego herbu, będzie się rzeczywiście bił i strzelał!...

Słowa te sprawiły chwilowe milczenie.

— Dlaczegożby się nie bił? — zapytał po chwili pan Idzi.

— Widzisz mój drogi... ja tam w odwagę zwyczajnych ludzi, chociażby byli doktorami filozofii, nie wierzę, osobiwie tam, gdzie trzeba życie na kartę postawie. To musi być już we krwi. Gdzie krwi do tego stosownej niema, tam daremny trud wszelki!

— To prawda! — przeciągle odpowiedział pan Idzi.

— Jedna tylko rzecz mię pociesza. Rzeczony pan Trzaska nie poszedł drogą, jaką zwykle chodzą ludzie jemu nazwiskiem podobni. Zamiast skakać jak lew, król pustyni, chce czołgać się jak ślimak. Jakaż to nędzna egzystencja

— bakalarstwo! To już nie jest cała krew — to już mieszana!

— Cóż ztąd?

— Ztąd wypływa, że tam nie siła będzie odwagi. Trzeba się tylko ostro postawie, a kto wie, czy w końcu adwersarz nie stchórzy! Rozumiesz?

— Rozumiem. Gdyby tylko była jakakolwiek pewność zwycięstwa. Nie wiem jeszcze, czy za to otrzymam rękę panny, lub co ważniejsza, czy rzeczywiście co do majątku rzecz się ma tak, jak opowiada pani Eliza i szanowny radca emeryt.

— Jest pewna zgodność w tem co mówią, — a zresztą, gdyby nawet z tego półmilionu odtrącić większą połowę na figury stylistyczne, to zawsze' choć parę kroć zostanie.

— A że zawsze w takich razach coś trzeba odtrącić, wiesz o tem bardzo dobrze, bo i z moich tytułów i dóbr doczesnych, sporo da się okroić...

— Nie trzeba się z tem wydawać! — Mówimy między sobą!

AV tej chwili obaczył stryjaszek przez okno dwóch jegomości, idących poważnym krokiem ku domkowi Bogarodzicy.

— AVracają! — rzekł do pana Idziego z pewnem niemiłym uczuciem — trzeba przedewszystkiem ostro się postawić!

Pan Idzi odchrząknął głośno i na znak nieposzlakowanej odwagi, usiadł niedbale na fotelu.

Otworzyły się drzwi, dwaj jegomościowie weszli do pokoju. Jeden z nich był wysoki i chudy, drugi nizki i lepszej tuszy.

AVeszli krokiem tragicznym na sam środek pokoju. Byli sztywni i milczący, jak przystało na ludzi pełniących obowiązki dyplomatów przed wojną.

— Coż tam? — zapytał pan Idzi, zapalając od niechcenia cygaretto.

Q

Zacharjasiewicz.—Nowelle. u

— Pan Trzaska przyjął wyzwanie! — odpowiedział niższy i wymowniejszy Aron, gdy tymczasem wysoki i chudy odgrywał rolę małomównego Mojżesza.

— Przyjął! — powtórzył pan Idzi i odchrząknął głośno, aby okazać siłę i energię.

Kilka chwil panowało milczenie. Aron i Mojżesz usiedli tymczasem na sofie.

— Jakże rzecz ułożona? — zapytał stryj aszek.

— Ułożyliśmy rzecz z jak najmniejszym niebezpieczeństwem; — odpowiedział Aron — będziecie się bić na pałasze do pierwszej krwi.

Wysoki i chudy potakiwał głową z powagą Mojżesza. Rzucił się na fotelu pan Idzi.

— Cóż to? — zawołał z energią — czy ja bursz niemiecki, żebym się siekał na szerpentyny? Coż to za pojedynek? Do pierwszej krwi, do zadraśnięcia skóry... cha, cha, cha!... To prawdziwy koncept bakalarski! Ja tego nie przyjmuję!... Ja lubię pojedynek, ale tak (tu machnął pan Idzi kilka razy rozpalonym papierosem w powietrzu) tak... na śmierć lub życie!...

— Jeżeli pan uważasz... możnaby zaostrzyć.

— Nam chodziło przede wszystkim o złagodzenie...

— Przecież o to nikogo nie prosiłem! Ja tylko mogę strzelać się... i to do baryery na dziesięć kroków!

— Możemy to zaproponować!

— I owszem... bardzo proszę. Dziwna pretensja! Ja mam się bić na szable... ja, który w locie jaskółki z pistoletu strzelam!...

Dwaj mężowie powstali z należytą powagą, aby adwersarzowi zanieść zaostrome warunki.

Po ich wyjściu wstał pan Idzi z fotelu i ciekawie wyjrzał oknem.

— Zaimponowałem im — rzekł do stryjaska — idą zamysleni z pospuszczanymi głowami. Zdaje mi się, że to powinno i panu Trzasce dać do myślenia!

Uśmiechnął się stryjasek.

— Obaczmy! — odrzekł i zaczął chodzić po pokoju.

— Długi czas trwało milczenie.

— A co? — zapytał po chwili pan Idzi — wyglądałem dobrze, gdy do nich mówiłem!

— Dostyc! — mruknął stryjasek.

— Przecież opowiedzą jakie wrażenie to na nich sprawiło.

— Tak sądzić należy!

— Ja przynajmniej na ich miejscu powiedziałbym do pana Trzaski: Człowieku, daj pokój — on cię zastrzeli, jak wróbla!

— Jeżeli zrozumieją nasz interes!

— Przecież przeciw mnie działać nie mogą!

— Czasem są ludzie niedomyślni!

— Przecież wybrałem ludzi rozsądnych!

— Nie każdy rozsądek jest jednaki.

— Stryjasek nasuwa mi różne nieprzyjemne myśli!

— Bo przede wszystkim trzeba być na wszystko przygotowanym!

Pan Idzi spojrział na stryjaska z zadziwieniem. Stryjasek tymczasem patrzył w okno i palcami po szybach * bębnił. Trwało to czas niejaki. Wreszcie otworzyły się drzwi, a dwaj mężowie weszli znowu do pokoju.

Wejście ich sprawiło głębokie milczenie. Krok ich był krokiem tragicznego bohatera, ale już w trzecim akcie. Powaga, osobliwie na twarzy chudego, dochodziła do stopnia, który już blizki jest sfery katastrof.

— Coż? — zapytał odchrząknąwszy pan Idzi.

— Zrobiło się podług życzenia — odpowiedział Aron.

AVysoki przyznał to tragicznym ruszeniem głowy.

I znów zapanowało milczenie. Pan Idzi nieznacznie strzelił okiem na stryjaszka, ale stryj aszek tego nie widział, bo bębnił palcami po stole i na palce z wielkim skupieniem ducha patrzył.

Odetchnął pan Idzi jak człowiek, który nowej energii w niewyczerpanym źródle swojej duszy szuka.

— Ubolewam bardzo — ozwał się j.p.o chwili — że jeszcze panów będę trudził. Namysliłem się właśnie, że nie byłoby szlachetnie z mojej strony, abym nad moim adwersarzem miał jakkolwiek przewagę. Strzelam jak Kuszel, cóż mi znowu tak bardzo biedny bakałarz zawadza, abym go koniecznie ze świata miał zgładzić?... Nie; toby było brzydko i okrutnie z mojej strony. Chcę się z nim zrównać, niech będą równe szanse!... Odbędziemy pojedynek amerykański. Jeden pistolet nabity ostrym, drugi ślepym nabojem. Na komendę oba strzelimy sobie w czoła. Kto wybrał z kulą ten padnie; kto bez kuli, zostanie przy życiu!

— Czy to nie będzie?...

— Trochę po barbarzyńsku? Tak... być może... wygląda to na morderstwo... ale dalibóg więcej jest w takim pojedynku sprawiedliwości! Sprawiedliwość jest śle

pa — ma oczy zawiązane... wówczas gdy tam bierze górę zręczność i wprawa, jakiej nabyć może człowiek najlichszy!... Czy nie mam racji?

— Jeżeli tak pan sądzi, obowiązkiem naszym jest... być pośrednikami wymiany zdań i uczuć.

Tak wyrzekł wymowny Aron, a mniej wymowny towarzysz jego potwierdził poruszeniem wspaniałej głowy swojej.

Pan Idzi i stryjaszek zostali znowu sami.

Sytuacja zaczynała być naprawdę tragiczną. AV takich chwilach życia, więcej człowiek zagląda wewnątrz siebie, niżeli na zewnątrz swoje myśli i uczucia objawia.

Pan Idzi milczał i stryjaszek milczał.

Trwało to dosyć długo.

Po niejakiem czasie stawili się znowu pośrednicy.

Zajęty różnym rozmyśleniem pan Idzi, zapomniał jak zwykle zapytać się o bieg sprawy. Stał na środku pokoju i butnie jedną nogę naprzód wysunął.

— AVszystko będzie podług życzenia — odrzekli tym razem obaj mężowie.

Zdawało się panu Idziem, że usłyszał nagle chór starożytnej tragedyi.

— Jakto? — zapytał — pan Trzaska przyjął?

— Przyjął! — odpowiedział chór tragiczny.

Pan Idzi wtedy rzucił gniewnym okiem na stryjaszka. Stryjaszek ruszył ramionami. Sytuacja stawała się coraz tragiczniejszą a o słowa było coraz trudniej.

Uznali to obaj pośrednicy, a umówiwszy się o czas i miejsce, uważali za stosowne dodać ze swojej strony uwagę, że w takim razie trzeba jakiś porządek z sobą

zrobić na wypadek śmierci... w czym nie chcą bynajmniej przeszkadzać!

Pożegnali się i wyszli.

Pan Idzi stał ciągle na środku pokoju z wysuniętą naprzód nogą i nie mógł jakoś swojej pozy zamienić na inną...

Tymczasem wziął stryjaszek za kapelusz.

Ocknął się pan Idzi.

— I gdzież stryjaszek odchodzi w takiej chwili? — zapytał niecierpliwie.

— Ide... do pani Scholastyki i Euzebii! — odpowiedział z dyplomatycznym uśmiechem stryjaszek.

Ożywiła się twarz pana Idziego.

— To będzie niezłe — zaczął i urwał nagle.

— Już ja wiem co robię!... niebezpieczeństwo życia., możliwa śmierć... testament... to sprawia wrażenie na drażliwe serca...

— Słyszałem, że Richelieu i Metternich najzawilsze sprawy załatwiali przez kobiety — dodał z uśmiechem weselszym pan Idzi.

— To prawda... może mi się uda być jednym i drugim!

— Szczęśliwej drogi!

Stryjaszek był już za drzwiami, a pan Idzi padł całym ciężarem swoim na fotel.

Pan Idzi był o dziesięć lat starszy od pana Juljana, miał więc wszelkie prawo trochę chłodniej zastanowić się nad swoim położeniem.

Położenie to, mimo dramatycznego kolorytu, nie było bardzo przyjemne. Wprawdzie ostatnia myśl, jaka na chwilę przed odejściem stryjaszka twarz jego ożywiła,

była dosyć pocieszająca. Stryjaszek szedł do kobiet, a tam niezawodnie wspomniałby coś choćby nawiasem tylko o jego położeniu. W takim razie serce Euzebii zabiłoby żywiej i tym sposobem mogłoby zacząć się pewne uczucie, które do planów matrymonialnych, zwłaszcza ze strony kobiety, koniecznie jest potrzebne.

On byłby bowiem bohaterem, a kobieta lubi bohaterów.

Wszystko to dotąd było bardzo dobre i przyjemne; ale do bohaterstwa była jeszcze daleka droga. Zresztą na dwoje babka wróżyła. Cóż mu z całej aureoli bohaterstwa, jeżeli kulą w samo czoło dostanie? Przypadek jest ślepy; wszystko być może.

W takim razie przyszła mu myśl, czyby nie lepiej było obejść się bez tego bohaterstwa?

Czyż sama Euzebii, a osobliwie pani Scholastyka, nie powinny postarać się o to, aby z ich powodu nie popełniano

morderstwa? Czyż nie powinny obie stanąć między dwoma adwersarzami i wymóżyć na nich zaniechanie tak

morderczego pojedynku? Przecież to istne morderstwo! Nigdy się nie spodziewał, że J. Pan Trzaska przyjmie tak

zaostrzone warunki! Zkąd mu się wzięła taka odwaga, która wszelkie prawdopodobne obliczenia zniweczyła? Ależ to

szaleniec, człowiek wyraźnie upadły, który z rozpaczy czepił się bakalarstwa! Taki człowiek wszystko zrobić gotów... nawet nie przyjąć pośrednictwa, któreby ten pojedynek udaremnić chciało!... Tak rozmyślał pan Idzi, a myśli jego z każdym ubytkiem słonecznych promieni, stawały się coraz czarniejsze.

Słońce bowiem już skryło się na piękne poza wysokie drzewa i tylko skromny krzyż kaplicy kąpielowej błyszczał jeszcze, jak błyszczą dla tonącego żeglarza ostatni promień nadziei, który ma wkrótce zagasnąć!... Smutno i markotno zaczęło się robić panu Idziemiu. Nie ubliżało to bynajmniej jego stanowisku społecznemu. W takiej chwili wolno każdemu bohaterowi być człowiekiem. Pan Idzi wyobrażał sobie, że stanął nad brzegiem jakiejś bezdennej przepaści i ztamtąd patrzy na różne smutki i rozkosze dotychczasowego swego żywota. I jasno w wybitnych barwach widział dzieje swoje. Najprzód widział chrzest swój, który w całym powiecie był wypadkiem nadzwyczajnym. Szczęśliwy ojciec zaprosił na ten chrzest cały powiat, wypito kilkaset butelek drogiego wina, grano w karty, tańczono i śpiewano, jakby dla kraju urodził się jaki królewiczbohater!... Potem widział jak sprowadzono ze Szwałcaryi bone, aby gdy dorośnie, miał czystą pronuncjację francuską. Po bonie nastąpił jakiś guwerner, którego obowiązkiem było codzień do obiadu we fraku przychodzić, a na kaprysy młodego panicza być nader cierpliwym... Wkrótce sprzykrzył się guwerner paniczowi, a kochający ojciec po krótkiej naradzie z niemniej kochającą matką, postanowili poświęcić syna zawodowi obywatelskiemu, to jest: miał się po zabawach i towarzystwach trochę ogłodzić, nauczyć się strzelać na polowaniu i wtajemniczyć się w różne gry komercyjne, a potem przy pomocy Pana Boga i cioci Krystyny z posażną panną się ożenić! Taki program życia nakreśliła dla ukochanego syna słabnąca już ręka rodzicielska, a na taki program był już

czas ostateczny, bo nie tylko mógł on zostać lada chwila sierotą, ale mógł zostać sierotą bez chleba i dachu nad głową swoją! Rodzice bowiem pana Idziego żyli sobie wesoło i rozkosznie. Ojciec lubił szampana i wystawę pańską, a matka namiętnie kochała się w jedwabiach i koronkach, a że była słabych nerwów, musiała co rok jeździć do wód zagranicznych.

I stało się pewnego roku, że pan Idzi został sam jeden na świecie, bez wioski rodzinnej, tylko z nakreślonym przez nieboszczyka ojca programem. Wioskę zabrali jacyś obrzydliwi lichwiarze, przeciw którym nie umiał sejm galicyjski skutecznej powziąć uchwały!...

Nowe zaczynają się rozczarowania dla nieszczęśliwego człowieka. Z tradycyjnym programem w kieszeni, trudno mu jakoś było przebić się przez życie. Posażne panny zmądrzały, albo szukały jeszcze większych pieniędzy. Odbierało się kosze i koszyki, a lata płynęły jak woda. Potrzeba było wśród drogi niejedną cierń wyjąć z nogi, niejedną łzę z oka osuszyć, a przedewszystkiem potrzeba było znieść wiele, bardzo wiele upokorzenia! Wprawdzie majątniejsi krewni zasilali od czasu do czasu skąpą jałmużną, ale zato potrzeba było połknąć niejedną gorzką pigułkę!...

Takie dzieje ludzkiego żywota mogły słusznie rozżalić serce pana Idziego, gdy pomyślał, że ten żywot bez żadnej lepszej nadziei, trzeba będzie może wkrótce zakończyć!... Umrzeć bez żadnych lepszych wspomnień, bez żadnego lepszego uśmiechu do minionych dziejów swoich... jakże to smutno! jakże to gorzko! Czyż w takim razie nie może nawet bohater na chwilę osłabnąć?

I osłabł rzeczywiście pan Idzi i wyobraził sobie, że już wybiła ostatnia jego godzina! Wyobraził sobie, że ma głowę kulą na wskroś przedziurawioną, że leży na łóżu śmiertelnym, że słyszy płacz pozostałych przyjaciół, z którymi w lepszych czasach wychylił niejedną butelkę szampana!...

I bardzo tkliwo i smutno zrobiło się panu Idziemu, a zmrok wieczorny roztaczał mu do tych smutnych myśli jakieś tło fantastyczne...

Nagle z tego tła wychyliła się do niego jakaś postać nieznana.

Nie był to jednak żaden duch, ani wytwór gorączkowej halucynacji, bo pan Idzi słyszał wyraźnie skrzyp drzwi, któremi ta postać weszła do pokoju.

— Do usług pana dobrodzieja! — zawołała postać zupełnie ziemskim głosem, dodając do tego dosyć głośne chrząknięcie.

Pan Idzi patrzył na widmo okiem osłupiałem... Postać chrząknęła po raz drugi w mniemaniu, że szanowny gospodarz śpi z utrudzenia.

— Któż tam i czego? — zapytał wreszcie ponurym głosem pan Idzi.

— Jestem Kasper Melchior — odpowiedziała postać sympatycznym głosem, który wcale nie był głosem zagrobowym.

— Czegóż pan żądasz, panie Melchior? — zapytał apatycznym głosem pan Idzi.

— Jestem delegatem Towarzystwa Tatrzańskiego — odparł z uśmiechem pan Melchior, wysuwając na przód dyplomy i roczniki Towarzystwa, które trzymał pod pachą.

— I czegóż pan chcesz?

— Chciej pan łaskawie tylko świeczkę zaświecić, a ja panu wyjaśnię rzecz całą...

Pan Idzi wstał i w dziwnym jakimś przeczuciu zapalił świecę. Rozjaśniła się sympatyczna twarz zacnego delegata.

— Przedwczoraj — zaczął uprzejmie — nie miałem tego szczęścia zbliżyć się do pana dobrodzieja, bo natłok gości przy wsiadaniu do łodzi był wielki. Z twarzy pana dobrodzieja wyczytałem, że pan chciałeś się zapisać w poczet Towarzystwa Tatrzańskiego, a do mnie nie mogłeś się docisnąć. Przeto przychodzę teraz osobiście do pana dobrodzieja, aby mu sprawić przyjemność wypełnienia obowiązku obywatelskiego i zaprosić go w odwiedzinę naszych Tatr ukochanych!

Pan Idzi słuchał delegata z niemałym zadziwieniem. Zdawało mu się, że przyszedł jakiś człowiek z innego zupełnie świata i mówi do niego językiem niezrozumiałym!

On był właśnie w tej chwili w innej zupełnie sferze. Stał na wyznach życia i z tamtąd żegnał się z tem życiem, które zamiast róż, przyniosło mu tyle cierni... stał jedną nogą w grobie i myślał już o smutnej wieczności, gdy nagle zagadał ktoś do niego jakimś językiem ziemskim, który mu żywcem przypomniał Galicyę!

Pan Idzi patrzył czas niejaki na człowieka ziemskiego i rzekł po chwili:

— Daruj pan, ale ja nic nie rozumiem!

I machinalnie posunął nogą stółek. Zaczynając delegat Towarzystwa wziął to za znak zaproszenia i usiadł.

— Zaraz panu wytłumaczę — rzekł z uprzejmym uśmiechem, kładąc na stół dyplomy i roczniki — tylko chwilkę cierpliwości proszę. Jak panu wiadomo, mamy tradycyjną słabość do rzeczy zagranicznych. Oprócz wyrobów paryzkich i delikatesów różnych innych narodów, podziwiamy góry szwajcarskie, Apeniny i Pireneje, co nas bardzo wiele kosztuje polskich pieniędzy. Otoż co do gór i wspaniałych z nich widoków, zwrócili cudzoziemcy naszą uwagę, że takowe posiadamy we własnym kraju! Czy widziałeś pan Tatry?

Pan Idzi machinalnie zaprzeczył ruchem głowy.

— Tatry — mówił dalej z rosnącym entuzjazmem zacny delegat — Tatry, łaskawy panie, są to góry, jakich Szwajcarya i Hiszpania pozazdrościć nam może! Mają one tę przed innymi oryginalność, najprzód, że są nasze, a powtóre, że są jeszcze tak dziewicze, jak wyszły z rąk Stwórcy. Żaden spekulant nie zagnieździł się jeszcze na ich szczytach, żadnych drogich niema tam hotelów, żadna ludzka ręka nie wyłobiła tam wygodnych schodów dla bogatych turystów... tam wszystko dziewicze, ziemia, skały, kosodrzewy... a nawet te wiszące u wierzchów mgły i chmury, także są oryginalne, jakich pan nawet w Norwegii nie zobaczysz! Mówię panu... jeżeli natura tak jak kobieta ma koniecznie mieć dla nas wdzięk

urok, to w Tatrach naszych koncentruje się ten wdzięk i ten urok, a kto chce ziemię swoją serdecznie ukochać, ten musi na nią ze szczytu Tatr spojrzeć!...

Zapał zacnego delegata rósł coraz więcej. Nie widział, że pan Idzi oczy przymknął i nieruchomie jak statua siedział.

— A jak ta ziemia nasza z tych wierzchów wygląda! — prawil dalej tatrzański entuzjasta — niczem są widoki Ruisdała albo Salvatora Rosy! Te mieniające się barwy, to stopniowanie światła i cieni, ten dziwny kontrast dolin i wzgórz... A co za powietrze! Człowiekowi za ciasno w piersiach... serce się rozszerza... mizantrop czuje miłość dla ludzi... nieprzyjaciół wstydy się swojej zemsty... a duch unosi się coraz wyżej, w sine, bezgraniczne przestworza, gdzieś niby w gościnę do Boga, z kąd wraca lepszy i weselszy!... Albo ten widok z Morskiego Oka, którym szanowny członek naszego Towarzystwa J. Pan EL.y napisał w roczniku naszym.

Tu zacny delegat zaczął szukać w roczniku... znalazł
czytał:

„...Dziki zamęt. — Gruzami zasłane koryta Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły Północne groźne bogi i krew ofiar piły Z czary, która w jezioro upadła — rozbita! "Wszystko tu do ostrego tonu się nagina, Poszarpane wód grzbiety, wody co czernieją, Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina... Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją Sny człowieka, co staje tutaj jak dziecina Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!..M

— Coś pan powiedział, panie Melchior? — zapytał pan Idzi, jakby ze snu przebudzony.

— Otoż widzisz pan — mówił dalej zacny delegat — Towarzystwo Tatrzańskie wzięło sobie za cel rozszerzanie zamiłowania do gór naszych, opiekę nad kozicą, bo

bakiem i limbą, ową zagrożoną specjalnością tatrzańską i wszelką pomoc dla przybywających w góry turystów polskich!

— Tak pan powiadasz! — westchnął pan Idzi.

— Zresztą trzeba się poczuć do obowiązku kochana ziemi własnej, a ręczę panu, że najprędzej można ją z wierchów Tatr naszych ukochać!...

Zniecierpliwiło to długie kazanie pana Idziego. Ruszy! się na fotelu i odparł:

— Dziwnie to wygląda, że pan Kasper Melchior nawołuje do obowiązków patryotycznych tych, których antenaci nieraz dawali dowody...

— Przepraszam—przerwał skromny delegat— antenaci pana dobrodzieja byli niezawodnie wielkimi ludźmi w Rzeczypospolitej; robili wyprawy na Tatarów, bronili kraju i jego swobód... ale dzisiaj, gdy zamiast żelaznego pancerza i obosiecznego miecza, pozostała nam tylko drobna mrówcza praca... dzisiaj, pozwól pan dobrodzieju, aby nawet Kasper Melchior część tej pracy wziął na siebie i cegielkę do gmachu dobra publicznego dorzucił... Czy masz pan co przeciw temu?

— Przedewszystkiem mam to przeciw panu, że nie w porę pan przyszedłeś.

— Przy świecy można tak samo wpisać się na członka Towarzystwa.

— Ależ ja teraz nie mam czasu!

— Kilka pociągów pióra! — nastawał dalej niestrudzony delegat.

— Ależ panie, ja mam... testament pisać! — zawołał z rozpaczą pan Idzi.

— Testament?—powtórzył z zadziwieniem delegat— czy masz pan jaką chroniczną chorobę?

— Jutro... moge już nie żyć!

— Jutro... Proszę? Jutro już!

Delegat wymówił te słowa z widocznym zakłopotaniem. Trudno odgadnąć, czy mu chodziło o śmierć jednego z potomków zacnych Korczaków, czy o stratę jednego członka Towarzystwa Tatrzańskiego.

— Więc jutro już chcesz pan umierać — mówił dalej entuzjasta tatrzański — tak prędko i tak nagle!... Nie widziałeś pan nawet Tatr naszych?... Umrzeć i Tatr nie widzieć, to smutno, bardzo smutno! Przynajmniej zapisz się pan na członka Towarzystwa!...

Delegat podsunął mu papier i pióro.

— Co mi po tem! — grobowym głosem odparł pan Idzi.

— Czy nie będzie ładnie, gdy na karcie pogrzebowej wydrukują: Członek Towarzystwa Tatrzańskiego!...

Skoczył na równe nogi pan Idzi. Pogrzebowa karta zelektryzowała go.

— Niech pana djabli wezmą i z kartą pogrzebową! zawołał nad uchem delegata.

Pan Melchior przyjął djabła z uśmiechem dobrotliwym, umoczył pióro w kałamarzu i odparł:

— Przed śmiercią popełniasz pan grzech śmiertelny, przywołując szpetnego djabła. Za to, na przebłaganie Pana Boga... podpisz się pan na członka!

— Po co mnie pan dręczysz! Ja jutro odbywam... pojedynek amerykański!

— Pojedynek amerykański! — powtórzył zacny delegat, a pióro i papier wypadły mu z ręki. — Pojedynek amerykański!... To co innego!

— Prawda? — w lepszym nieco humorze ozwał się pan Idzi, widząc przed sobą człowieka, który może wejść w jego smutne położenie.

— Prawda. To rzecz straszna! Czy trucizna czy kula?

— Kula!

— Kula! To jeszcze gorsza od trucizny. Na truciznę może pomódz aptekarz, na kulę i chirurg nie pomoże!...

— A co — piękne jutro?

— Niema co mówić — straszliwie piękne!...

Pan Idzi zaczął chodzić po pokoju, a zacny delegat mocno się zamyślił. Nie wiedział pan Idzi, że delegat nie myślał w tej chwili wcale o jego krwawem jutrze, ale o korzyści Towarzystwa i o swoich ukochanych górach. Myślał nad tem, jakimby tu sposobem można było z tej strasznej katastrofy odnieść jaką korzyść dla gór swoich!

— Jeżeli łaska — ozwał się po chwili — czy można zapytać jaki jest powód tego pojedynku?... Uważając już pana za członka Towarzystwa, przyrzekam jako towarzysz wszelką dyskrecję.

— Ot nic... przemówienie sic trochę obcesowe... wczoraj w towarzystwie dam — odparł pan Idzi.

— Z kim? jeżeli towarzysz może towarzysza zapytać?

— Z panem Trzaską!

— Proszę! Pan Trzaska! taki zacny człowiek... członek naszego Towarzystwa!

— Członek Towarzystwa?

— Moge zaraz stwierdzić listą... Patrz pan!... Pan Idzi spojrział i wyczytał groźne dla siebie nazwisko.

— Niech się tu pan wpisze... zaraz koło niego... a rękę panu, że to zbliżenie się nazwisk może i serca zbliżyć do siebie! Tu jest pióro!

Pan Idzi wziął pióro do ręki.

— Ja przeciw panu Trzasce nic nie mam! — mówił, pisząc swoje nazwisko — ale znowu nie chcę człowieka zabijać jak rzeźnik!...

— Prawda! W tych właśnie słowach, odbija się cała szlachetność zacnego rodu. Co za szkoda! takie dwa zacne nazwiska: Trzaska i Korczak.

I znowu zamyślił się delegat tatrzański. Podpis już był, obowiązki były dla towarzysza... czyby nie można co zrobić dla towarzysza i Towarzystwa?

Długo myślał delegat, a pan Idzi niecierpliwie śledził bieg tych myśli, bo zdawało mu się, że towarzysz dla towarzysza coś dobrego wymyśli.

"Wreszcie rozjaśniła się zacna twarz delegata.

— W położeniu naszym — ozwał się podniesionym głosem, powinniśmy wszystko naginać w kierunku dobra powszechnego. Jeżeli sprawy nasze osobiste na tę drogę weszły, że okazuje się nieodzowna potrzeba pojedynku, to trzeba z tej prostej rzezi zrobić jakiś pojedynek szlachetniejszy. Właśnie przychodzi mi coś na myśl... Na niektórych najwyższych szczytach Tatr, albo mało, albo nikt jeszcze z naszych nie był. Jest to droga dosyć niebezpieczna i prawie

równa się strzelaniu do bary ery. Można bardzo wygodnie kark skrócić i przedtem niemało mieć strachu!... Otoż ja wnoszę, aby jutrzejszy po Zacharjasiewicz.— Nowelle.

jedynek amerykański zamienić na pojedynek dostania się na jeden z najwyższych szczytów tatrzańskich, drogą zupełnie nową, którą jeszcze nikt nie szedł!... A co? Rozjaśniła się twarz pana Idziego.

— Myśl szczęśliwa! — zawołał — tylko coby ludzie na taki pojedynek powiedzieli!

— Powiedzieliby: oto jest pojedynek ludzi szlachetnych; oto są ludzie, którzy nawet spory swoje załatwiają w widokach dobra publicznego. Załagodźli spór swój i znaleźli nową drogę na Czerwony Wierch, Wysoką lub Gerlach!... A co? czy to nie zacnie? czy nie szlachetnie?

Pan Idzi zaczął chodzić po pokoju.

— Niebezpieczeństwo... powiadani panu nie jest mniejsze niż przy zwykłym pojedynku... — mówił dalej delegat — kto wie czy nie gorsze!

— Niebezpieczeństwa się nie lękam, dałem jrzecież dowód proponując pojedynek amerykański... tylko nie wiem, czy pan Trzaska...

— Niech pan dobrodziej mnie to zostawi.

— Jak najchętniej... będę panu nawet mocno obowiązany za tak szlachetną radę...

— Zaraz idę... należy się dwadzieścia złotych za wkładkę!

— Tu są.

— Dobrze... ja rzecz przygotuję, a resztę dokończą pośrednicy. Upadam do nóg.

Pan Idzi wyprowadził ze świecą zacnego delegata aż na schody i w lepszym humorze powrócił do swego pokoju.

Gdy pan Kasper Melchior z twarzą zarumienioną, w interesie gór swoich ukochanych, po całym zakładzie kąpielowym biegał, aby się o mieszkaniu J. Pana Juljana Trzaski dowiedzieć — ten siedział tymczasem jaknajspokojniej w domku poci opieką króla Jana IIIgo, nad jakimiś papierami, które starannie odczytywał i porządkował. Po chwili oparł się o poręcz krzesła i zamyślił. I jego myśli nie były przyjemne. Rzucił okiem wstecz swego życia, a smutny uśmiech zaigrał na jego twarzy. Widział swój domek rodzinny, który pożar zniszczył. Rodzice podupadli i odumarli, a zacny opiekun przytulił go do siebie. Za jego pomocą zaczął się uczyć, i uczył się lat kilkanaście, a gdy właśnie tyle się już nauczył, że mógł drugim nauki udzielać, staje mu nagle w drodze jasne widmo szczęścia, które poczciwej pracy ma być koroną!... I słodko zamarzył o ciepłymi swoim kąciku, zamarzył o kółku rodzinnem, wśród którego miał całe życie przeżyć i przepracować... przy boku zacnej towarzyszki, razem z nim czującej i pracującej... gdy jasne widmo jego zamieniło się nagle w słońce wspaniałe i marzenia jego do szczytu spaliło! Z cichej, kochającej współpracownicy życia, stała się bogata w szaty i perły królowa, przed którą zmalął i znikł jak maleje i znika atom w powodzi słonecznej!... Nie wiedział nieszczęśliwy, że ta piękna dziewczyna, z którą tak poufale w karczmie żydowskiej samowar rozclmuchał, jest bogatą dziedziczką różnych dóbr ziemskich i kapitałów, o których on nawet nigdy w duszy swojej nie zamarzył. Po cóż zabłąkał się w te progi pałacowe?

Dla czegoż wpuszczono go z taką uprzejmością w te bogate komnaty? Czy myślano, że on jest równy urodzeniem i majątkiem?

Dla czegoż jeszcze wtedy, gdy już ujrzano przepaść dzielącą go od owych chwil przy samowarze, starano się jeszcze okazać mu tak żywe uczucia, że serca swego nie mógł utrzymać na wodzy rozsądku? Coż mogły oznaczać owe piękne słówka i te spojrzenia wilgotnymi oczyma, jakie mu się wczoraj na łódce dostały? Coż znaczyła ta trwoga w obec mniemanego niebezpieczeństwa?

Pan Juljan uporządkował to wszystko, jak swoje papiery szkolne z wielką starannością i krytyką, ale nie znalazł w tem żadnej dla siebie nadziei. W najlepszym razie był to tylko mały temacik dramatyczny, chwilowa walka serca córki z wolą matki, któraby się jak wszystkie podobne walki zakończyła płaczem i uległością pierwszej!...

Czyż na takim gruncie można co budować? czy można stawać do walki z tem, co nawet w powieści zwycięstwa nie daje?

A jednak bolesną była rezygnacya, boleśnie było rozstać się z tem, co tak mile i ciepło w sercu się paliło! Czyżby nie było już lepiej, żeby ten ogień nigdy tam nie powstał?

W takim stanie rzeczy, obojętne mu były zaostrzane warunki pojedynku. Przyjął je bez namysłu, a nawet rad był, że mogą przeciąć pasmo smutnych myśli raz na zawsze.

Wśród tak smutnych medytacyj zjawił się przed nim zacny pan Kasper Melchior.

Zacny delegat miał wypieczone policzki i ocierał pot z czoła dużą kraciatą chustką.

— Darujesz pan — rzekł zaraz na progu — ale jesteśmy członkami jednego Towarzystwa, a to już wkłada na nas pewne wzajemne obowiązki.

J. Pan Juljan Trzaska podał rękę zacnemu towarzyszowi i posadził go na najlepszym swoim stołku.

— Gdybyś pan nie był członkiem naszego Towarzystwa—mówił dalej pan Melchior—nigdy nie byłbym tu przyszedł, ani się wdzierał w cudze sprawy i tajemnice. Ale Towarzystwo łączy nas pewnem ogniwnem i już w tem samym widzimy pewną korzyść stowarzyszeń. A co? "

Pan Juljan uśmiechnął się.

— Kie przeczysz pan i bardzo słusznie — mówił dalej pan Melchior — otoż to dodaje mi odwagi przystąpić zaraz do rzeczy. Pan odbywasz jutro pojedynek amerykański!

Z zadziwieniem spojrział na niego pan Juljan.

— Niech to pana nie zadziwia, wiem o wszystkim. Jako towarzysz będę dyskretny. Chodzi jednak o to, aby ten morderczy pojedynek zamienić.

— To być nie może — stanowczo odparł pan Juljan.

— Dla czego nie może być? Czy pan, jako członek społeczeństwa, masz prawo do swego życia? Czy przez dwadzieścia lat nie uczyłeś się na to, aby potem tę naukę z lichwą oddać młodemu pokoleniu? Któż panu nadał prawo zabierać ten powierzony kapitał z sobą tam, gdzie niema ani katedry ani studentów? Czy to tak pojmują się obowiązki względem społeczeństwa? Jakież przykład

dasz pan młodszemu pokoleniu, uciekając jak zbieg z powierzonego posterunku?

— Ależ panie — przerwał wymownemu delegatowi pan Juljan—wszystko dobre i piękne coś pan powiedział, ale kilkowiekowy przesąd, który się w społeczeństwie zagnieździł, nie pozwala pewnych rzeczy inaczej rozstrzygać!...

— Dla czego nie pozwala? Jeżeli strona przeciwna na to się zgadza...

— Aby warunki pojedynku zmienić?

— Aby wogóle ten pojedynek głupi zastąpić innym, szlachetniejszym pojedyńkiem...

Tu zaczął szeroko i długo zacny delegat mówić o wysokich szczytach Tatr i niebezpiecznych drogach; odgrażał się Węgrom, którzy Polakom zaprzeczają pierwszeństwa wdarcia się na szczyty tatrzańskie; opowiadał dwóch Amerykanach, którzy na górze Chimborasso takich dziwów nie widzieli, jak na Gerlachu i Wysokiej, chociaż zdaniem jego, na ich szczytach wcale nie byli... słowem, wypowiedział cały epos o Tatrach, z czego wypływało, że wdarcie się na jeden ze szczytów tatrzańskich, jest prawdziwą chlubą i bohaterstwem, a co do niebezpieczeństwa, nie mniejsze jest ono od pojedynku amerykańskiego!...

Wreszcie zaproponował taki sam pojedynek, o jakim wspomniał panu Idziemu.

— Jeżeli się już życie naraża—zakończył delegat— trzeba to zrobić z pewną korzyścią dla Towarzystwa ukochanych gór naszych. Gdy pan naprzykład z Kościelca do Czarnego Stawu spadniesz i głowę roztrza

skasz, Towarzystwo wzniesie tam panu krzyż wspaniały z napisem: „Członek Towarzystwa Tatrzańskiego!” Turyści z całego*świata będą zwiedzali grób pański i zazdrościć będą nieboszczykowi tak wspaniałego widoku! A kozice i świstaki z pochyloną głową, będą obgryzały z mogiły chudą trawę...

Roześmiał się pan Juljan na całe gardło.

— Obraz zaiste zachwycający! — zawołał — ależ to w żaden sposób być nie może!

— A jeżeli pan Korczak panu proponuje?...

— Nigdy nie przyjmę!...

— Co pan mówisz!

— Toby mię ośmieszyło!

— Za wspólną zgodą!

— Nigdy!

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Pan Juljan otworzył i obaczył za drzwiami służącą, która mu prędko jakiś zwitek papieru do ręki wcisnęła.

Otworzył papier i czytał:

„Za pozwoleniem mamy piszę do pana słów kilka. Niech się pan nie waży życia swego narażać na niebezpieczeństwo, o którym się dowiedziałam. Niech pan to dla mnie zrobi, a za to... będę panu wdzięczna do śmierci. Euzebia.”

Na dole był dopisek:

„P. S. Po przeczytaniu przez mamę powyższych słów, dodaję jeszcze kilka od siebie. Zkąd pan to wiesz, że ja zmieniałam się dla pana, o co posądzałeś mnie pan na łódce? Ja się nie zmieniałam i nigdy się nie zmienię. Niewdzięczny pan jesteś, że mnie o coś podobnego posą

dzasz. Dłużej nie piszę, bo z żalu czuję łzy w oczach. Do widzenia."

Pan Juljan z zarumienioną twarzą odczytał ten papier kilka razy. Delegat ciekawie wpatrywał się w niego.

— Cóż? — zapytał w końcu — jakąż będzie odpowiedź?

Pan Juljan milczał i ciągle wpatrywał się w papier różowy.

— Mamże z niczem odejść? — powtórzył zapytanie delegat.

— Zatrzymaj się pan chwilkę — odparł z głębokim westchnieniem pan Juljan. — Zresztą... to jest rzecz naszych pośredników!

— Jeżeli tak — wesoło zawołał zacny delegat — to już odchodzę z dobrą nadzieją!

I serdecznie uścisnął swego towarzysza, który nawet nie wiedział o tem, kiedy gość jego wyszedł z pokoiku. Stał z różowym papierem w ręku, stał długo i zdawało mu się, że w oddaleniu słyszy jakąś piękną czarodziejską, muzykę... Za kilka dni jasno świeciło słońce nad wspaniałymi szczytami gór tatrzańskich. W pierwszym szeregu od północy stanął potężny Giewont, ów wiekowy zegar górali, z historyczną swoją szczytą na grzbiecie, przez którą w samo południe zwykło słońce zaglądać..., za nim osiadły Kościelec, Wysoka, Magóra, Swinnica i różnobarwne wierchy... a jeszcze dalej Polski Grzebień, Gerlach, Bystra, po lewej zaś stronie, tam w mgłę błękitnej, rozsiadł się Maran Królewski! Wspaniała gromada olbrzymów... pobjawisko bogów północnych — jak się

wyraża poeta — z gruzami ich twierdz olbrzymich, w których spijali krew ofiar swoich!...

A pod ich stopami rozsiały się, jak Spadłe ze szczytów bryłki kamienia, chaty góralskie i ubrały malowniczo całą dolinę tatrzańską...

To Zakopane!

Na dachu jednego z okazalszych budynków, fruwa wesoło w powietrzu czerwono-biała chorągiew — to zbor Towarzystwa Tatrzańskiego. J. Pan Melchior, delegat Towarzystwa, krząta się rażno po małej salce, której jedyną ozdobą i komfortem są — pisma i dzienniki krajowe... Ma on bardzo ważną konferencję ze skarbnikiem Towarzystwa, któremu składa rachunek z rozprzedanych kart, dyplomów i roczników. Zaczyna twarz skarbnika promienieje coraz więcej, bo delegat sporo przywiózł z sobą monety troistego stempla trzech mocarstw ościennych...

Skarbnik porządkuje papiery, uśmiecha się do cyfr misternie wyciskanych, a widząc znacznie powiększony budżet... oświaty, proponuje pomnożenie latarni, co stojący przy drzwiach Moszko, główny liwerant nafty borysławskiej, z wrielką radością przyjmuje.

Otrzymawszy absolutoryum z rachunków swoich i przyobiecanie medalu z drzewa z napisem: „Dobrze zasłużonemu”, pobiegł pan Melchior do gościnnych Towarzystwa pokojów gdzie właśnie lokowali się goście przybyli z wód szczawnickich.

Było to kółko najbliższych znajomych, między którymi jasnymi kolorami odznaczała się J. Pani Scholastyka z dorodną swoją córą. Towarzyszył im nieuniknio

ny stryjasek z dostojnym swoim kuzynem J. Panem Idzim. Pana Juliana nie było przy nich. Przybył on także do Zakopanego, ale jakiś kolega zaprosił go na swoje poddasze.

Goście zakopańscy powitali z radością nowych turystów, ale wnet mała chmurka zasępiła tę radość, gdy się dowiedziano, że nowi przybysze tylko kilka dni tutaj zabawia. Osobliwie żałowano, że panna Euzebia dłużej nie zostanie w górach. Niepospolita jej uroda i wdzięki, mogłyby ożywić ciche, skromne zebranie towarzyskie... Ale piękna turystka nie chciała o żadnych zabawach towarzyskich nic słyszeć; chciała tylko zwiedzić góry, przesunąć się po dolinie tatrzańskiej, jak tęcza siedmiobarwna, i zniknąć!

Pan Melchior zatrzymał wszystko, o czym wiedział, w głębokiej tajemnicy. O szczególnym pojedynku pomiędzy J. Panem Idzim i J. Panem Julianem nikt nie wiedział.

W zamkniętym kółku odbyto naradę i wybrano jedną z mniej stromych i niedostępnych gór, na którą bez wszelkiej pomocy, mieli się wdrapać dwaj zapaśnicy, drogą dotąd niepraktykowaną.

Dla podtrzymania animuszu i okazania panu Idziem niezwykłych sympatyj swoich, postanowiła pani Scholastyka być obecną razem z córką swoją na tym pojedynku i w tym celu razem do Zakopanego przyjechały. Miały one walczącemu o nagrodę bohaterską panu Idziem dodawać odwagi, jak ongi z kruzganków średniowieczne królowy i księżniczki zachęcały walczących na arenie rycerzowi...

Euzebia przyjęła z zachwyceniem myśl matki, chociaż i tu zaszło owo nieszczęsne nieporozumienie, które wypływało z dwuznacznej francuzkiej wymowy dwojga imion: Idziego i Juliana...

Tak więc myśl zacnego delegata Towarzystwa była przyjęta, a dwaj zapaśnicy gotowali się właśnie do boju, który mieli rozpocząć jak ongi gladyatorowie słowami do Euzebii: Morituri salutant te!

Wreszcie nadeszła owa chwila stanowcza. Delegat przygotował wszystko jak należy. Kilku górali wzięło na plecy różne tobołki z wiktuałami, a kobiety siadły na fury, które je zawieść miały w pewną umówioną kotlinę. Z tej kotliny miano udać się wyżej już pieszo aż do stromego „wierchu”, na który wobec wszystkich mieli się z niebezpieczeństwem życia wdrapywać obaj zapaśnicy, i tam na wieczną zgodę podać sobie rękę, przy odgłosie patrzących z czołu spektatorów.

Taki regulamin ułożył zacny delegat, a osobliwie paragraf co do zgody wydał mu się bardzo zbawiennym i potrzebnym w interesie całego społeczeństwa.

Nim jednak całe społeczeństwo w pochód ruszyło, wziął pan Idzi stryjasek na stronę i rzekł do niego:

— Djabeł nie śpi, jak widzę! człowiek i tak może kark skręcić. Dla tego chciałbym wiedzieć, czy warto na sam wierch się drapać!

— Przecież teraz nie można nic mówić...—odpowiedział stryjasek.

— Ale jak już będę w połowie góry... gdy właśnie drapać się będę na jaką niebezpieczną skałę...

— Wtedy rzeczywiście będzie bardzo dobra pora poruszyć ten temat... wtedy serce Euzebii...
— Przedewszystkiem, trzeba wyrozumieć rzecz co do majątku, bo bez tego niema interesu!
— Naturalnie.
— Potem trzeba jakoś do serca panny przemówić...
— Spuść się na mnie.
— A teraz, o co mi głównie chodzi: Jeżeli jedno i drugie zawiedzie, jeżeli kwestya majątku lub serca okaże się nam nieprzyjazną... to po coż kark mam łamać po górach? "W takim razie dałbym za wygraną i z drogi się wrócić!"
— Dobrze — ale jakże o tem będziesz wiedział?
— Możemy się umówić. Jeżeli wszystko będzie w porządku, to machniesz mi stryjaszek trzy razy kapeluszem... a jeżeli przegrana, to trzy razy chustką!... Pierwszy sygnał doda mi sił; gdy ujrzę drugi, plunę na wszystko i wróćę w dolinę!

Stryjaszek uznał plan taki za dobry i towarzystwo całe ruszyło naprzód.

Droga pięła się coraz więcej do góry, wózki klekotały przeraźliwie po kamieniach, a idący przy wózkach górale przyśpiewywali wesoło i ochoczo.

Euzebia po raz pierwszy widziała wysokie góry. Siedziała obok matki i na wszystkie strony wykręcała piękną główkę, aż złote loczki w powietrzu fruwały. Pojedynek dzisiejszy nie wydawał się jej wcale groźnym. Sinum i różowem światłem oblane góry, uśmiechały się do niej jak sny dziewicze; były od nich niemniej piękne i rozkoszne! Te małe odcienia i arabeski na ścianach

tych gór, to przecież nie są tak straszne, chociaż górale nazywają je skałami i przepaściami... Któżby o tem nawet pomyślał, któżby uwierzył, że taka jedna szczelinka może pogrzebać człowieka na wieki!

Przecież tych kilka ciemnych płatków można obejść lub przeskoczyć!

Euzebia nie miała wyobrażenia o tem, jak to wszystko zblizka może wyglądać. Z daleka takie]iękne i niewinne, tak się jakoś mile do człowieka uśmiecha i mruga do niego, aby się nie bał, aby przyszedł i usiadł!... Ale swawolne chmureczki, które się tak pieszczotliwie tych szczytów kamiennych czepiają, czyż mogą one być straszne dla człowieka? czyż mogą w swoim przezroczystem łonie ukrywać grom zabójczy?... A te jak komary wyglądające orły i sępy, czyż mogą być tak drapieżne i krwi chciwe, jak o tem mówią górale?...

Czyż wszystko co zdala widzimy, wydaje się nam tak piękne i niewinne, a przestrasza nas, gdy się do niego zbliżymy? Czyż sny i marzenia także takiemu podlegają prawu?

Takie myśli i zapytania biegały po pięknej główce Euzebii, gdy przed siebie])atrzała i słuchała górali. .

Matka rozmawiała ze stryjaszkiem, który różne epizody o waleczności swego kuzynka oj)owiadał. Mówił, jak raz żywego dzika z lasu wyprowadził, a drugi raz żywcem złapał wilka i nawet potem obłaskawił go. Mówił też o innych rzeczach, które także miały na celu zwrócić uwagę kobiet na człowieka, co dla zdobycia serca kobiecego, nie wahał się przyjąć pojedynku ame

rykańskiego i dopiero po długich naleganiach na dzisiejszy go zamienił.

Starał się także dzisiejszemu pojedynkowi nadać jak najwięcej groźnego uroku. Opowiadał, jak przed miesiącem jakiś Węgier spadł ze skały w przepaść i tak zniknął cały razem z nazwiskiem swoim, że dotąd nic o nim nie słyhać!

Mówił także iż raz w Szwajcaryi widział na własne oczy, jak pewien turysta spadał z góry na dół w sposób okropny. Najprzód leciała jego głowa, potem jedna ręka, po ręce noga, a wkońcu sam tułów!... Przytem tryskała krew do góry jak z fontanny, a szmaty z podartej odzieży latały w powietrzu!

Opowiadania stryjaszka sprawiały na pani Scholastyce silne wrażenie. Nerwowa kobieta widziała to już wszystko żywcem przed sobą! Zakrywała oczy i od czasu do czasu wydawała okrzyk przytłumiony!

Drożynka pięła się coraz wyżej, konie szły bardzo wolno. Górale podtrzymywali i popychali wózek, który kołysał się to na jedną, to na drugą stronę. A po jednej stronie była stroma, niebotyczna skała, a po drugiej przepaść bezdenna!

Pani Scholastyka zamykała oczy, i słabo się jej robiło na widok jednej i drugiej strony!... Twarz jej bladła, usta ścisnęły się kurczowo.

Droga stawała się coraz węższą i coraz spadzistszą* Wreszcie zatrzymała się przed ścianą kamienną. Tu trzeba było wysiąść i dalej iść piechotą.

Stryjaszek podał rękę pani Scholastyce, ale góralprzewodnik zaprotestował przeciw takiej galanterii. Orzekł, że tutaj tylko przewodnik ma prawo podawać

rękę. bo inaczej zacne towarzystwo może się zmniejszyć

kilka głów, które na dwie jakiej przepaści dopiero się wzajem odszukają...

Pani Scholastyka uczuła dreszcz na te słowa, chwyciła z całą siłą za brudną rękę górala. Euzebię prowadził pan Melchior, któremu górale ten szczególny przywilej odstąpili. Dalej ze swymi pośrednikami szedł smutny

już naprzód znużony pan Idzi, a na samym tyle kroczył pan Juljan ze swoim kolegą i gospodarzem.

Ścieżka wiła się pod stromą górą. Pod nogami otwierała się przepaść bezdenna, a przewodnicy prosili i zaklinali turystów, aby w tę przepaść nie patrzali, bo inaczej ogarnie ich strach, opuszczą siły i odwaga, a co najgorsza, człowiek mający ciągle taki straszny widok przed sobą, staje się w końcu tak obojętnym na życia że go już wtedy nie cieszy.

Górale mówili to z doświadczenia, a pan Melchior potwierdzał ich słowa i do wytrwałości zachęcał.

Coraz wyżej trzeba się było drapać, a ścieżka wiła coraz stromiej. Do tego grunt był miękki, zasiany kamieniami.

Potrącony nogą taki kamień, staczał się z łoskotem na dół i mógł bardzo łatwo potrząsać głowy tym którzy szli w tyle. Dla tego co chwila nawoływali góralo do ostrożności, a każde takie nawoływanie ścinało kro. pani Scholastyki i twarz jej trupią oblekało błądzą

Ona nie tak wyobrażała sobie tę romantyczną wyprawę, a teraz nie mogła się już cofnąć.

"Wreszcie po kilkogodzinnym marszu, dobiło towarzystwo do ściany jednego z wyższych wierzchołów tatrzańskich i zatrzymało się na wystającej poziomo skale. Był

to olbrzymi gżems ściany kamiennej, na którym zazwyczaj po paszy obozują kozice. Po lewej stronie zieleniał się mały pas kosodrzewiny.

Tu miano założyć obóz i ztąd miała się odbyć wyprawa dwóch zapaśników.

Cudowny otwierał się ztąd widok na dolinę tatrzańską. Widok taki nie da się opisać, ani odmalować. Pióru brak słów, palecie tonów. Człowieka porywa dziwne, niewysłowione uczucie i unosi go gdzieś po nad skały, góry i doliny... po nad chmury! Jest to rozkosz najwyższa, zmieszana z trwogą śmiertelną — jest to słodycz z goryczą — śmiech ze łzami!...

Pani Scholastyka odwróciła oczy, bo nie mogła znieść widoku tych rozległych przestrzeni, tych olbrzymich, sinych grup, wśród błękitnego przestworza... Dziwnie działało to wszystko na jej nerwy!...

Górale rozwiązali tobołki i przygotowano mały posiłek. Pani Scholastyka siedziała z zamkniętymi oczyma i nic do ust nie wzięła.

Innem wcale uczuciem nappełniło się serce Euzebii. Zdawało się jej, że jest motylkiem, ptakiem szybkołotnym, że przelatuje te ogromne przestrzenie lotem błyskawicy, wiesza się tam u skał i garbów, na szczytach tych tarasów tatrzańskich, rzeźbionych to w stylu maurytańskim, to gotyckim...

Prócz tego, niedaleko niej stał pan Juljan, z którym o tem i owem rozmawiała. Wycieczki tej na wierch nie przedstawiała sobie w barwach tak groźnych. Widziała w tem jakby zakład jaki, jakby zabawę. Z pana Idziego

zartowała sobie co tego ostatniego wprawiło w humor niedobry.

Wreszcie dał pan Melchior hasło do pojedynku. Wskazał w oddaleniu dwa szlaki wydeptane przez kozice. Potem napisał dwie kartki i kazał zapaśnikom wybierać jak losy. Jeden miał iść szlakiem po prawej stronie, drugi po lewej. Na szczycie mieli znaki zatknąć.

Padły losy. Pani Scholastyka otworzyła oczy i rzekła do Euzebii, która górski kwiatek w rękę trzymała:

— Daj ten kwiatek panu Idziemiu na drogę!

Ponieważ tym razem nie było dwuznacznika francuzkiego, Euzebia musiała kwiatek oddać na rozkaz matki.

Smutno patrzył na to drugi zapaśnik.

— Dla mnie nic pani nie masz?—zapytał półgłosem. Euzebia w rozpaczy otworzyła ramiona, jak biedny człowiek, który powiada, że nic nie ma; ale nagle przypomniała coś sobie. Spojrzała na pierś... był tam bardzo ładny mały bukiecik. Odpięła go i oddała gladyatorowi, który wilgotnem okiem podziękował.

Zrównali się obaj zapaśnicy, uklonili się pozostałym, i rozdzielili się na dwie strony.

Zrazu zdawało się pozostałym, że to zwykła zabawa.

Zabawiano się wesoło i ochoczo. Zapaśnicy zniknęli za kosodrzewiną i nie było na kogo patrzeć. Stryjaszek opowiadał różne anegdotki, pan Melchior pomagał mu jak mógł i wszystko szło bardzo dobrze. Jedna tylko pani Scholastyka była milcząca. Nie mogła patrzeć na dół, ani do góry. Dostała zawrotu głowy. Musiała siedzieć z zamkniętymi oczami.

Po niejakiem czasie wyczerpały się anegdotki stryjaszka. J'. Pan Melchior umilkł także. Przyszło wszystkim na myśl, że taka wycieczka niejest zabawką. Jednemu lub drugiemu może się stać przypadek... bez drogi i bez przewodnika to trochę niebezpiecznie. Prócz tego dawniejsze opowiadania stryjaszka wywierały jeszcze teraz na pani Scholastyce wpływ niedobry. Wyobrażała sobie Węgra spadającego w przepaść, widziała latające po powietrzu szczątki amerykańskiego turysty!... Wyobraźnia jej zapalała się coraz bardziej, pulsa biły coraz prędzej, serce wzdymało się w piersiach, jakby pęknąć chciało!

I dziwne jakieś uczucie ogarnęło teraz panią Scholastykę. Zdawało się jej, że jest drobnym atomem przyczepionym do skały i że lada wietrzyk może ją w przepaść zdmuchnąć!... A przed nią roztaczała się przestrzeń bezdenna, wśród której strasznie malały wszystkie jej najlepsze wspomnienia i marzenia!... Czemże naprzykład na tle tych przestrzeni była jej żądza, która niedawno całą duszę wypełniała, aby się dostać na wieczorek do państwa Izidorów i tam Euzebię świetnie światu zaprezentować? Albo czem wobec tych bezkresnych przestworzy jest niedawne jej marzenie, by córkę wydać za pana Kajetana, który wtedy w jej oczach był tak wielką figurą? Gdzież się te wszystkie wielkości i świetności parafialne podziały?

W tej chwili nie widzi ich, ale zato jakoś wyraźniej widzi prawa i przykazania Boże, które w takiej sprzeczności stoją z myślami i pragnieniami światowemi! Pani Scholastyka czuła, że w jej duszy odbywa się jakaś

niewysłowiona przemiana. Barwy światowe coraz więcej nikną z przed oczu, gaśnie pamięć najświetniejszych chwil życia, za jakie dawniej miała różne świetne stosunki swoje... wszystko znika z przed oczu... a natomiast rozściela się przed nią jakaś szara płachta... podobna do grobowego prześcieradła!... Na widok tej płachty ogarnęła ją apatya na wszystko co ziemskie—czuła, że serce zastyga, że pulsa bić przestają... Powiodła ręką po twarzy... usta zimne, czoło zimne, oczy nie chcą się otworzyć!.. To śmierć!

— Słabo mi! — krzyknęła przeraźliwie,

— Stryjaszek poskoczył do niej.

— Co pani jest? — zapytał z przestachem.

— Umieram... — była grobowa odpowiedź...

I nie był to wcale żart, bo twarz pani Scholastyki była trupioblada, a nawet sinieć zaczęła.

Euzebia rzuciła się na pierś matki z płaczem.

W pierwszej chwili wszyscy obecni nie wiedzieli co zrobić.

Górale tylko pokiwali głową i poszli po wodę. Trudno dociekać w tej chwili, co właściwie wpłynęło na taki nagły rozstrój całego organizmu.

Czy powodem tego był odmienny skład powietrza, czy brak tlenu, lub nadmiar ozonu, czy wreszcie inne elektryczności warunki, wdawać się w to tutaj nie chcemy. Również nie będziemy się nad tem zastanawiali, o ile widok z takiej wysokości wpływa na nerwy czucia, albo o ile opowiedziane przez stryjaszka straszne turystów przygody na wyobraźnię podziałać mogły... Nie będziemy się także udawali do doświadczeń żeglarzy na

powietrznych, którzy podobnych skutków doznają—opieramy się tylko wprost na fakcie, który górale po prostu odurzeniem nazywają.

Odurzenie to przybierało straszne rozmiary. Pani Scholastyka czuła, że cały jej organizm rozpręga się w atomy, że te atomy odrywają się od rdzeni życia, że rozsypują się już w koło niej i z wiatrem nikną w niedojrzanej przestrzeni!...

Czuła, że jakaś lepsza siła ulatnia się z niej i lekkim obłokiem szybuje gdzieś wysoko do góry, do nieba, a może do Boga!... Owładnęła ją jeszcze większa apatya na wszystko co ziemskie i światowe; na pół zamarła żrenica nie widziała już nic przy sobie, tylko tam gdzieś w górze widziała jakieś olbrzymie błyszczące oko, które patrzyło na nią, na ostatnie chwile jej życia, aby ją po zgonie zaraz wezwać do obrachunku...

— Umieram! — westchnęła po raz drugi, gdy tymczasem nieszczęśliwa Euzebia całowała jej ręce...

Ręce te były już zimne i bezwładne — biedna zapadła w stan epileptyczny.

Z trwogą śledził te wszystkie objawy stryjaszek, a pan Melchior pobiegł za góralami po wodę i gdzieś między skałami zniknął.

Pocziwy stryjaszek chciał przynajmniej umierającej ostatnią wyświadczyć usługę.

Pani Scholastyka prawdopodobnie umierała bez testamentu... Natarł jej zimną ziemią skronie—umierająca odzyskała na chwilę przytomność.

— Może pani chcesz rozporządzić czem za życia? — zapytał nachylony do jej ucha.

Pani Scholastyka otworzyła oczy.

— Rozporządzić...— wyjąkała— córkę moją polecam opiece...

Tu zabrakło jej głosu.

— A co z majątkiem? — wołał dalej do ucha stryjaszek.

Umierająca dała jakiś znak głową, którego stryjaszek nie mógł zrozumieć.

— Jak rozporządzasz pani majątkiem? — zapytał powtórnie.

Ten sam znak głową. Euzebia zalewała się łzami i nie słyszała o co pytał stryjaszek.

Wreszcie zapytał po raz trzeci.

Pani Scholastyka otworzyła oczy i usiłowała coś wymówić, ale nie mogła. To, co wymówić chciała, sprawiało jej pewną boleść. Ale olbrzymie oko nad nią patrzyło nieubłagane, a przed tem okiem nie można było nic ukrywać...

— Ja... nie... mam... majątku!—wyszeptała wreszcie i zamknęła oczy.

Zadziwił się stryjaszek. Czy pamięć ją opuściła? Czy mówi w gorączce?...

— Panno Euzebio! — zawołał — tu chwile drogie... Pytałem matki o ostatnie rozporządzenie majątkiem... w takim razie trzeba porządku w interesach...

— My nie mamy majątku! — załkała Euzebia — mamy tylko pewne wsparcie od krewnych!...

Stryjaszek zamilkł i o nic więcej nie pytał.

Tymczasem nadbiegł pan Melchior z góralami. Wylano sporo wody na omdlałą, która po jakimś czasie rzeczywiście przysła do siebie.

A gdy się już coraz lepiej miała, gdy już Euzebia płakać przestała, pojawił się nagle na stromej skale w oddaleniu pan Idzi. Usiadł jakby do spoczynku i spojrzął na wszystkich. Stryjaszek wstał z ziemi, dobył czerwony fular i machnął nim trzy razy w powietrzu!

— Co pan robisz? — zapytała pani Scholastyka.

— Daję mu znak aby się wrócił!—odparł stryjaszek spokojnie.

— A to na co?

— Pani jesteś osłabiona, trzeba myśleć o powrocie!

— Daj że pan znak i panu Julianowi! — rzekła z rumieńcem na twarzy Euzebia.

— Nie widzę go! — odparł stryjaszek.

— To ja się ztąd nie ruszę! — z energią zawołała Euzebia.

Pan Melchior uśmiechnął się, a pani Scholastyce doradzał spokój jak największy i dłuższy wypoczynek, aby się atak nie powtórzył.

We dwa tygodnie potem, doliną nowotarską toczyła się olbrzymia bryka góralska. Pod szarym baldachimem drzemała poważna matrona, ruszając głową to w prawą to wlewa stronę. Przy niej siedziała kwitnąca jak róża dziewica z greckim profilem, oczami gazeli, a ustami jak jutrzienka. Naprzeciw niej pochylił się młody mężczyzna i szeptał jej coś do małego uszka, co rozkoszny uśmiech na twarz dziewicy wywoływało. Czy opowiadał jej co o widokach z Czerwonego wierchu, na który wdrapał się z niebezpieczeństwem życia przed dwoma tygodnia

mi? A o czymże śniła drzemiąca matrona? Czy marzyła o urojonych milionach, czy o niegodziwym człowieku, który razem ze stryjaszkiem swoim, po owej fatalnej spowiedzi w górach znikł gdzieś jak kamfora?

I jeszcze tego samego dnia powtórzyła się scena noclegowa w żydowskiej karczynie. Szanowna matrona spoczywała blada i zmęczona, jak żołnierz po odbytej kampanii; córka z kupy popiołu wydobywała najokazalsze węgle i na blaszanej pokrywie przynosiła młodemu towarzyszowi, który je wrzucał w olbrzymi komin samowara i z wielką rozkoszą rozdmuchywał! Oboje patrzali przytem tak czule na siebie, tak dziwnie rozmawiali z sobą oczami, a tak im przytem serce rosło, a w sercu było rozkosznie!

Zresztą wszystko tak było jak na pierwszym noclegu.

Było marzeń i złotych na przyszłość snów bez liku, a nie było udręczeń i żadnych milionów!...

A jeżeli po pięciu godzinach, sen znużone zamknie im oczy, to młody towarzysz śnić będzie o katedrze języków klasycznych, a dziewica z greckim profilem zamarzy o skromnych trzech pokoikach i o sukience czystej, bielutkiej, ale... perkalowrej!...

Niechże śnią sobie słodko i szczęśliwie! Niech Anioł Boży strzeże tego złotego snu, niech białem skrzydłem swoim odwraca od ich serc młodych wszelkie burze światowe, które zdala widziane, wabią oko złocistemi barwami, a z bliska — ogłuszają i zabijają!...

NIEDOKOŃCZONY TELEGRAM.

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku, żył na wsi „Przysiółek”, trzy ćwierci mili od małego miasteczka w Galicyi, niepokąźny człowieczek, którego przed dwudziestu kilku laty w kościele parafialnym na imię św. Kryspina z wszelką w takim razie praktykowaną uroczystością, ochrzczono.

Człowieczek ten, gdy już miał wąsy i bakenbardy, zapragnął coś znaczyć na świecie.

Słowo to jednak „świat”, miało u niego bardzo skromne znaczenie. Granice tego elastycznego słowa były u niego zarazem granicami powiatu. Nie pragnął on więc ani głośnego imienia w dziedzinie literatury, ani nie marzył o tytule posła na sejm—z którym to tytułem w jego wyobraźni nierozdzielnie łączyła się koncesyjka na kolej żelazną lub jaki bank zastawniczy; nie chciał on także być prezesem tego lub owego towarzystwa .bez członków, ani bohaterem tragicznego zakroju według pojęć starożytnych — ale poprostu utonąć w liczbie rówieśników swoich powiatowych i tylko tyle pragnął, aby od nich był choć o głowę wyższym.

Rozbierając to ogólne jego pragnienie na drobniejsze szczegóły, chciał on przedewszystkiem, aby książkę Jerzy choć w dzień targowy raczył mu na rynku powiatowego miasteczka rękę podać; aby Marszałek powiatowy choć raz na miesiąc zaprosił go na jeden z tych obiadów, na które zbierał u siebie ludzi dystygowanych; aby na tymże obiedzie mógł pani Marszałkowej], która ton dawała w całym powiecie, podać rękę w przechodzie do salonu i z nią kilka minut rozmawiać; aby w końcu przy takich faworach losu zbliżyć się do jakiejś bogatej, posażnej panny i za protekcją księcia, marszałka i pani marszałkowej, wziąć na wieczyste posiadanie jej serduszko łącznie z posagiem.

Takie były pragnienia pana Kryspina. Do założonego przez te pragnienia celu, chciał pan Kryspin dojść zwykłymi powiatowymi drogami. Zaczął więc bohaterów powiatu bliżej studjować.

Jednym z nich był hrabia X***, zapalony amator koni rasy angielskiej. We dworze jego nie było ani jednego pisma, ani jednej książki w kraju drukowanej; w gospodarstwie nie było ani ładu ani składu, ale była za to stajnia na czerwono pomalowana, był Anglik masztalerz, było kilka drogich koni. Dalsi sąsiedzi hrabiego dowiadywali się tylko o jego istnieniu z dzienników zagranicznych, w których czytano, że: jego „Władysław Warneńczyk” lub „Bolesław Wstydlivy” taki a taki zakład, na wyścigach wygrał! Więcej o nim nic a nic nie wiadano.

Dola ta atoli nie była dla pana Kryspina do naśladowania. Wioska pana Kryspina m Przysiółek była

tylko przysiółkiem a niczem więcej. Były także na niej długi i dłużki, które nie dozwalały na tak arystokratyczną rozrywkę, jaką bawił się hrabia.

Potrzeba było o innym bohaterstwie myśleć.

Drugim z kolei bohaterem galeryi powiatowej był pan Zygmunt, który zawsze podwójne miał karty wizytowe. Na jednych nazywał się hrabią, na drugich był prostym śmiertelnikiem. Zawrodem jego była— szulerka. Jako prosty śmiertelnik zgrywał cały powiat, za granicą robił to samo, jako hrabia. Ze zaś umiał to robić z pewnym szykiem, z pewną elegancją, kobiety lubiły go, a panny nawet kochały się w nim skrycie.

Otoż pan Kryspin zwrócił oczy na tego drugorzędnego bohatera. Kupił sobie kilka talij kart, zamknął się z nimi na kilka tygodni w Przysiółku i po całych dniach ćwiczył się w różnych potrzebnych w takim zawodzie sztuczkach. Za miesiąc chciał zdać egzamin z tej nauki. Pojechał na jarmark do Mościsk. Tam fatalnie mu poszło. Wróciwszy do domu sprzedał żydkowi sto korcy żyta na konto Jrzyszłego żniwa, aby dług honorowy zapłacić.

Namyśliwszy się bliżej nad takim bohaterstwem przyszedł do przekonania, że ono w każdym razie jest niebezpieczne i że do tego już — w czepku urodzić się trzeba. Niechcąc więc na niepewne narażać swojej przyszłości, spalił karty i zaczął się oglądać za* innymi drogami.

Drogi te leżały przed nim wydeptane i wyjeżdżone dostatecznie. Tysiące jadą nimi i zdążają do celu. I jakież były te drogi?

Pan Kryspin pojechał do miasteczka i podpisał weksel na parę tysięcy guldenów. Potem z temi guldenami udał się na jarmark do Rzeszowa, kupił czwórkę tarantów, dla których zaraz po jarmarku zapisał z Wiednia najmodniejszy faetonik, jaki u hrabiego X*** widział.

Zdawało się, że teraz zaświtało na serjo boże słońce nad panem Kryspinem. Czwórka tarantów i faetonik robiły w mieście powiatowem furorę. Panna Zebcia, która dotąd o księciu marzyła, raczyła spojrzeć teraz na pana Kryspina i zapytać się o jego nazwisko.

Dinčia i Fińcia, siostrybliźniaczki, rumieniły się na widok tego faetoniku, nawet wtedy, gdy pana Kryspina w nim nie było, a był tylko prosty chłopak „Grześ”, niewłaściwie przez właściciela „George” przewany...

Była chwila, gdzie się ważyły losy pana Kryspina... Kto wie, czy nie byłby posiadł panny Zebci, lub jednej z sióstrbliźniaczek, gdyby tylko jaki przypadek wykrył był wzajemne ich marzenia...

Ale przypadku tego nie było.

Pan Kryspin szedł dalej na tej drodze. Bakenbardy swoje rozczesał na szeroko jak hrabia X***, nosił lewe ramię do góry jak ułomny książę Jerzy, a nawet kulał na prawą nogę, jak baron R., który był prawie codziennym gościem u pana marszałka powiatowego.

Z tem wszystkim jednak był pan Kryspin nieszczęśliwym.

O afektach Zebci i sióstrbliźniaczek nic jakoś nic myślał, a inne afekta, o które się starał, były dla niego wprost niedostępne.

Żadna bogatsza panna nie dała się złapać, jak to mówią: na „muchę”; książe Jerzy uśmiechał się wprawdzie złośliwie na widok tarantów i Grzesia, ale ani razu nie podał panu Kryspinowi ręki na rynku miasta powiatowego, ani słowa do niego nie przemówił, a pan Marszałek ani myślał o tem, aby go kiedy na obiad do siebie zaprosić, a przytem dać mu sposobność prowadzić panią marszałkową od obiadu do salonu.

Wszystkie więc rachuby omyliły pana Kryspina.

Obrachowawszy się z wydatkami poznał, że nic nie zyskał, a wiele stracił. Zyskiem bowiem nie mógł nazwać, że w mieście powiatowem ściągaly jego taranty tałajstwo obdarte, albo, że żebracy prosząc o jałmużnę „hrabią” go nazywali. Również i to nie było zyskiem, że w hotelu „pod angielską królową” za wszystko drożej płacił i prócz tego także miał wydatki, na które właściwie stać go nie było.

Zrobiwszy taki rachunek, postanowił zmienić system.

Do słowa księcia Jerzego, do obiadu u Marszałka i do ramienia pani Marszałkowej) trudno się było dostać taką drogą, jaką dotąd postępował. Przyczynę tej niemożności widział w małym swoim majątku.

Gdybyż przynajmniej wioska jego inaczej się nazywała! Ale Przysiółek! Przysiółek! Cóż to może być za majątek? —ot przysiółek.

Potrzeba więc było pomyśleć nad pomnożeniem tego majątku, a to dałoby się tylko skutecznie — przez bogate ożenienie. Wtedy będzie i uścisk księcia Jerzego i obiad u Marszałka i pogadanka z panią Marszałkowa! Tak sobie przynajmniej wyobrażał pan Kryspin.

Do bogatych jednak panien dostać się trudno. "Wszystko tam jakoś wyrachowano. O sercu niema co wspominać! Kochać nie umięją! Nawet na ładne wasy i bakenbardy nie zważają!

Tak biadał pan Kryspin w chwilach marzenia. Gdyby miał jaki taki talencik do składania wierszy, byłby niezawodnie pozował na poetę a la Byron, lub Hejne! Byłby pluł jadem na cały świat, byłby męczeńską pierś swoje rozdzierał i gorejące tam odsłaniał ideały!...

Ale pan Kryspin nie miał talentu do wierszy. Nie miał także ochoty zostać po śmierci nieśmiertelnym.

Tę nieśmiertelność byłby dzisiaj sprzedał za lada soczewicę, aby tylko nie był głodnym i aby choć raz w życiu mógł zjeść obiadek u Marszałka!

Zostawiając więc treny życia innym, zdolniejszym od siebie młodzieńcom, poczuł się do zasad czysto realistycznych, które przedewszystkiem o wygodny i smaczny „chleb powszedni” starać się każą.

Taki „chleb powszedni”, łącznie z uściskiem Księcia i obiadem Marszałka, mogła mu dać tylko — bogata zona. O taki materyał zaś, jak rzekliśmy, trudno mu było. Bogate panny chciały tytułów i stanowiska, czego on nie miał, a czego mimo tarantów dobić się nie mógł. Skierował więc swoją myśl praktyczną w inną stronę. W stronie tej widział panny tak zwanego niepewnego posagu. Nie były one tak obłączone przez kandydatów jak te, które miały wyraźną hypotekę. Jakitaki lękał się „złapać” jak to w powiecie mówiono, bo o właściwym posagu nikt nie mówił.

Do tej kategorii należały córki kupców, fabrykantów i przemysłowców. Trudno bowiem wiedzieć jaki naprzykład może mieć posąg panna Teresa, której ojciec ma trzy magazyny w trzech powiatowych miastach. Albo któż zgadnie jaki majątek właściwie posiada pan Błażej, który dwie cukrownie wybudował? Któż może oszacować pana Pawła, który tak kolosalny młyn parowy wystawił? Mówią, że się bardzo zadłużył; inni powiadają nawet że bankrut, a niektórzy kiwają głowami, jakby tym wieściom nie wierzyli!

I któż tu może być mądrym? Jakże się tu orjentować z afektem swoim? A nuż bankrut!., brrr! A może ma miliony... ach!... Takimi praktycznymi myślami był teraz zajęty pan Kryspin.

Panna z jednej z tych kategorii byłaby dla niego przystępniejszą.

Zależy tylko wiele na tem, aby mieć spryt i węch. Trzeba bowiem z chaosu różnych konjunktur majątkowych wynaleźć potrzebną liczbę, śledzić ją we wszystkich przemianach i pochwycić w chwili, w której ona jeszcze w kole epuzerów nie objawiła się!...

Była to wprawdzie gra niebezpieczna, ale pan Kryspin uznał, że przecież coś wżyciu trzeba na kartę stawiać, inaczej nic się nigdy nie wygra! A stawka taka, według niego, była daleko mniejszą od stawki w djabełku, gdzie prosty traf rozstrzyga.

Tu można było przecież kombinować, wróżyć, porównywać; można było, czy to pracą myśli, czy prostym przypadkiem przyjść do jakiejtkiej wiadomości i stosownie do tego się zachować! Słowem pan Kryspin był

przekonany, że na tem polu może wygrać. Ułożywszy więc sobie plan taki, zaczął się w koło siebie rozpatrywać.

W mieście powiatowem, już na przedmieściu, mieszkała pewna poważna matrona wraz z swoją siostrzenicą. Matrona była dobrego rodu, a nawet czasem widziano ją rozmawiającą z panią Marszałkowa. Mimo tak cennej znajomości, matrona żyła samotnie w małym dworku i niewiele udzielała się ludziom.

Panna Marya dwudziestoletnia jej siostrzenica, była cłosye piękna. Miała wzrost słuszny, kibić zgrabną, oczy szafirowe, i lekko namarszczone czoło. Koło ust wił się jakiś smutek, a poza nim ulokował się uśmiech szczerzy i serdeczny. Jakim sposobem ci dwaj lokatorowie tutaj razem pogodzić się mogli, niełatwo było odgadnąć. Ale właśnie ten kontrast miał jakiś dziwny urok dla patrzących... a patrzących miała Marya wielu, bardzo wielu!

— Patrz jaka to twarz oryginalna!—mówili między sobą epuzerowie powiatowi, — szkoda że ją tak z bliska znamy!

Gdyby gdzie za granicę wyjechała, gdzieby nie wiedziano nic o majątkowych interesach, mógłby sięktobądź „złapać” na niej. A tak... to tylko patrzeć można i komplementa prawić!

— Zdaje mi się, że przecież coś tam się polepszyło w spekulacjach jej ojca! Stary wczoraj telegrafował.

— Zawsze jedno i to samo. Goś się niby pokaże niby zabyłynie... i nic więcej.

— Przyznam się że wolałbym przegrać w ruletę!

Przynajmniej mam emocje.

— Masz słuszność. Czemże dzisiaj panna bez wyraźnego posagu?

— Czasy te minęły gdzie brano pannę z jakąś tam sperandą!

— Dzisiaj—nie wyrzeczono jeszcze tylko tego słowa otwarcie — sprawa ożenienia się jest tak dobrze sprawą kupna i sprzedaży, jak każda inna sprawa.

Tak i podobnie mówiono o pannie Maryi w całym powiecie.

Sytuacja Maryi była w samej rzeczy oryginalną. Ojciec jej miał małą górską wioskę niedaleko Borysławia.

"W tak bezpośrednim sąsiedztwie tej Kalifornii galicyjskiej, uległ i on też tej zarażającej atmosferze, jakiej ulegli najdalsi całego kraju mieszkańcy. I nic dziwnego, bo zaraza to jest dziwna i prawie niewytłumaczona.

Ktokolwiek znał kiedyś Borysław i cały otaczający go pas podgórski, ktokolwiek przejeżdżając tamtędy widział tfkh poczciwych, twardo pracujących mieszkańców i w jaśniejszej chwili życia z nimi kawałek chleba rozłamał — ten nie poznałby dzisiaj ani tej ziemi z czasów różnych konfederacji klasycznej, ani nie ujrzałby tych dawnych, spokojnych mieszkańców, którzy odcięci górami od dolin rozleglejszych, wyglądali z upragnieniem przez okna małych dworców swoich biednego gościa, któryby nawiedzwszy ich urozmaicił ira jednostajny bieg życia...

Dzisiaj wszystko się tam zmieniło. Ziemia otwo

rzyła tam żyły — nafty, a cichy zakątek kraju stał się teatrem najazdu różnorakich spekulantów.

I liczni przybysze z najodleglejszych stron zbiegli się tutaj z trawiącą gorączką wzbogacenia się. Co tylko goniło po świecie za miłym groszem, co szukało szczęścia czy raczej pieniędzy w hazardownych grach i przedsiębiorstwach, wszystko zeszło się tutaj jakby na komendę.

I dziwną fizygnomię przybrał ten zakątek kraju. Dawni mieszkańcy ustąpili gorączkowej organizacji przybyszów.

Wydiedziczono ich różnemi sposobami z ziemi ojczystej, o której mniemano, że kryje w sobie jeziora nafty! Rozeszli się i... osłupieli, a ziemia opanowana przez innych ruchliwych ludzi, przybierała z każdym dniem, z każdą godziną inną fizygnomię.

Prędki sposób wzbogacenia się ma zawsze bardzo wielu wyznawców.

Czy to gra hazardowna, czy giełda, czy banki, czy koleje żelazne, wszystko neci tłumy tych, którzy powolnej a systematycznej pracy nie lubią, owej pracy, którą stoi cała przyroda, którą stoją społeczeństwa i narody.

Naj charakterystyczniej są jest początkowa eksploatacja tych łatwych korzyści. Zanim ona z czasem w pewien system pracy przejdzie, jest tylko rozbojem i rabunkiem.

A takim rozbojem i rabunkiem była i jest prawie jeszcze do dzisiaj eksploatacja nafty w Galicyi. Nie było tam ani mowy o nagromadzeniu jakich znacznych

kapitałów, któreby za pomocą zdobywcy naukowych, zorganizowały gospodarną eksploatację tego cennego produktu ziemi!

Pierwszy lepszy propinator, który długoletnią pracą zbierał sobie parę tysięcy, brał je do kieszeni, biegł do Borysławia, kupował od chłopów grunt i kopał... kopał..., póki albo źródła nafty się nie dokopał, albo pieniędzy swoich nie pogrzebał.

A z jakąż nauką brał się on do tego? Jakież talizman miał z sobą?

Oto... przed rozpoczęciem dzieła udawał się zazwyczaj do sędziwego rabin, który pięćdziesiąt mil od Borysławia mieszkał, a o nafcie tyle słyszał, co i propinator! Babin słuchał go w milczeniu, zamyślał się poważnie, a potem dawał mu radę, która byłaby śmieszną gdyby nie miała skutków tragicznych!

— Gdy wejdiesz na ziemię Borysławską — mówił do jednego z wiernych mądry rabin, idź prosto siebie tysiąc kroków, potem wróć się trzydzieści dwa, zwróć się ku wschodowi i idź przez dziesięć minut śpiewając „majufes” — nagle zatrzymaj się i szukaj ścieżki na prawo, tą ścieżką idź trzysta czterdzieści cztery kroków, skręć na lewo, rozmiar przed sobą pole na pięć równych części — między drugą a trzecią częścią kop studnię, a Jehowa zaleje ci ją naftą!

Wierny chasyd płacił rabinowi za radę, pospieszał wykonać ją i albo rzeczywiście natrafiał na jedno ze źródeł naftowych, albo pieniądze swoje — poświęcał nafcie!

Takiej drogi trzymali się najczęściej starozakonni, których nadzieja wzbogacenia się tutaj zagnała. Zalu

dnili oni całe podgórze swymi zastępami. Bez nauki, bez szczegółowej znajomości zawodu, rzucono się na ukryte skarby ziemi i rabowano bez żadnego systemu, co się małym kosztem rabować dało.

Ale gorączka ta rabunku miała smutne, nader smutne skutki!

Szpitala obłąkanych przyjęły w swoje mury wiele ofiar tej bezmyślnej gorączki. Wiele ich pomarło? marnie pod cudzym płotem, a najsilniejsi organizacją, wzięli kij żebraczy do ręki i poszli żebrać!...

Nieco z większym namysłem przystąpiła do tej gry podziemnej tak zwana inteligencja, do której właściciele okolicznych majątków przyłączyli się. I tutaj jednak nie było potrzebnej w takim razie organizacji. Kilku szczęśliwych mieszkańców natrafiło na dostatnie żyły nafty i wzbogaciło się. Fakta te były niejako żyjącą reklamą dla innych. Jakitaki kopał u siebie, pożyczzał pieniędzy, a gdy się kredyt urwał, urwało się wszystko! Potworzyły się nawet kompanie drobne z jednym górnikiem. Złożono z wysileniem mały kapitalik i najczęściej — utopiono go. Gorączka ta dosięgła nawet miasta stołecznego kraju, a biedni urzędnicy, ojcowie licznych rodzin, składali ostatni grosz, aby — kopać! Była to nowa gra w nową loteryę.

Otoż w takiej to atmosferze bezpośrednio żył ojciec Maryi.

Wioska jego graniczyła prawie z Borysławiem, ową galicyjską Mekką rycerzy naftowych.

Z razu zacny szlachcic patrzył obojętnie na to co się koło niego działo. Później zaczęło go coś niepo

Niech co chce potem! nastąpi, ale mieć choć jedną chwilę w życiu, w której ludzie, czy raczej ubodzy na duchu prostaczkowie, mogliby jej zazdrościć!...

Uległa tej pokusie Marya, ale drogo za to zapłaciła. Za dwa tygodnie bowiem, gdy wiadomość o nafcie okazała się fałszywą, zniknął mniemany hrabia z miasta, zostawiwszy w hotelu strzelca i długi.

Błąd Maryi był wielki, ale expiacya za to była bardzo bolesna. Złośliwy świat szydził z niej bez litości; na ulicach pokazywano na nią palcem, w kościele patrzano na nią z szyderstwem.

Marya zamknęła się w samotności, płakała po całych nocach, modliła się i czytała. Tak wielką, dobrowolnie nałożoną sobie pokutą, przyszła wreszcie do ukojenia i do pewnej równowagi duszy, która jej serce oczyściła z wszelkich mętów światowych. Wyszła z tej pokuty piękna i czysta, a przedewszystkiem umiała na świat patrzeć i prawdziwe złoto od szychu odróżniać.

W tym to czasie rzucił na nią okiem pan Kryspin.

Marya była piękną i mogła się podobać. Był nawet przy niej pewien urok majątku, bo ojciec posiadał wioskę ona była jedynaczką. Wprawdzie o tej wiosce krążyły nienajlepsze wiadomości, ale jedna chwila mogła wszystko zmienić, mogła stworzyć miliony.

Do tego jeszcze w ostatnich czasach przedsiębiorstwem pana Michała zajmowała się cała okolica. Opowiadano, że pan Michał sprowadził z Londynu jakiś olbrzymi świder i za pomocą machin parowych ma go zanurzyć aż w środek ziemi. Mówiono, że ta robota już

zaczyna skutek odnosić i że niewątpliwe są oznaki lych' lego tryśnięcia źródła, który miliony wyrzucić może.

I było w tych wieściach coś prawdziwego. Pan Michał przyprowadzony do rozpaczy daremną pracą swoją, postanowił wszystko postawić na kartę. Sprzedał więc potajemnie, z prawem wykupna, cały swój majątek, i uzyskany tym sposobem kapitał włożył cały w sprowadzenie maszyny i świdra, w którym skoncentrowały się wszystkie jego nadzieje. Zaczął na obszerny rozmiar kopać studnie — kopał sto kilkadziesiąt sążni, a potem na dnie tej studni miał użyć olbrzymiego świdra...

Wieści o tym świdrze i o maszynach doszły do pana Kryspina.

Można więc było coś na tę kartę zręcznie postawić...

Marya była piękną; zbliżenie do niej do niczego nie obowiązywało; tymczasem można było czekać chwili stosownej, dowiadywać się o sukcesach maszyn i świdra... i cała sztuka na tem zależała, aby być pierwszym, któryby po wytryśnięciu źródła naftowego po to złote jabłko sięgnął...

Taki planik ułożył sobie pan Kryspin i przyznać należy, że był praktyczny.

Marya nie miała teraz wcale konkurentów, bo maszynom i świdrowi nikt nie ufał, a o realnym posagu już głośno powątpiewać zaczęto. Pole więc było niezajęte. Od przegranej można się było uchronić, a wygrać można było wiele, bardzo wiele! Jedna dobra żyła nafty mógł a Maryę zrobić milionerką!...

Pan Kryspin rozpoczął kroki przedwstępne. Zaczął bywać w domku przedmiejskim i mile był tam widziany.

Marya rada była nowemu gościowi z tej przyczyny, że nie poprzedzały go żadne wieści o jeziorach nafty. Była to bowiem cisza chwilowa. Nowy gość nie mógł więc żadnej mieć podniety czysto rachunkowej, bo tej teraz nie było.

Przeciwnie, w ostatnich tygodniach nawet coś niepomyślnie o angielskim świdrze przebąkiwawano. Nietylko więc, że

dla nowego gościa nie było żadnej pokusy, ale był nawet powód, dla którego każdy inny konkurent uciekał bez pożegnania.

Zestawiwszy to wszystko razem widziała Marya w owym gościu zacnego człowieka, który daleki od wyrachowanego egoizmu, uczuł dla niej prawdziwą sympatję, któraby nawet z czasem zmienić się mogła w uczucie wyższe. Z tego powodu zbliżyła się do niego więcej niżeli do jego poprzedników, i rada przysłuchiwała się nieznacznemu biciu serca, które ją powoli do krainy uczucia zaprowadzić miało.

Pan Kryspin spostrzegł to i starannie utrzymywał ją w tym stanie duszy, czekając chwili, w której wypadnie mu, albo się oświadczyć, albo jak tamci — umknąć!

Marya o tym dwoistym planie nic nie wiedziała, a znając tylko pierwszą część jego, czekała jej końca.

I przy takiej taktyce byłby może rzeczywiście pan Kryspin cały swój plan stosownie do swoich, zamysłów wykonał, gdyby nie zaalarmował go niespodziewany nieprzyjaciel.

Nieprzyjacielem tym był pewien próżniak miejski, współwłaściciel małej kamieniczki, który w teatrach amatorskich zwykł był grywać role kochanków.

Bohater ten powziął był na nieszczęście pana Kryspina taki sani plan co do dworku przedmiejskiego. A miał on jeszcze w tem nad panem Kryspinem przewagę, że będąc na miejscu, mógł swobodnie śledzić postępy angielskiego świdra i w miarę tego moderować swoje zapędy, albo je przyspieszać.

Był to nieprzyjaciel niebardzo bezpieczny. Wprawdzie Marya nie okazywała mu zbyt wielkiej sympatii, ale za mało idealny pan Kryspin, cenił wyżej korzyści rzeczywiste nad urojone mrzonki serca kobiecego. A takie korzyści właśnie posiadał jego adwersarz. Potrzeba było te korzyści czem zrównoważyć. Pan Michał miał zwyczaj, że co drugi lub trzeci dzień zawiadamiał telegrafem familią swoje o postępie swoich robót. Miał on jeszcze w tem i ten cel ukryty, że przez podobne biuletyny utrzymywał wierzycieli swoich w ustawicznym naprężeniu i wyczekiwaniu.

Pan Kryspin wiedział o tych telegramach i postanowił z nich korzystać. W tym celu zaprzyjaźnił się z naczelnikiem stacyi i często go odwiedzał. Siedząc w kancelaryi po całych godzinach, przysłuchiwał się pukaninie telegrafu i jako amator niby, wypytywał telegrafistę to o tę, to o owę depeszę.

Tym sposobem wiedział pan Kryspin zawsze o postępach angielskiego świdra i według tego regulował zachowanie się względem Maryi. Zdawało mu się, że rywala swego teraz ocale niebo wyprzedził.

Tymczasem wydarzyła się rzecz, o którą niewiedzieć czy telegrafistę posądzać, czy też mniemanego rywala, który grywając w teatrach amatorskich mógł łatwo za

prawić się do używania intrygi, bez której, jak wiadomo, nie ma żadnej sztuki scenicznej. Było to jakoś na początku Września. Pan Kryspin od trzech dni bawił w mieście powiatowem. Przez te trzy dni widziano go chodzącego co wieczór do dworku przedmiejskiego. Być może, że nie tylko neutralnym mieszkańcom przedmieścia to w oczy wpadło, może i sama ciotunia wraz z Maryą te trzydniowe odwiedziny za coś stanowczego poczytały i w tym duchu panu Michałowi wiadomość przesłały.

Prócz tego były te trzy dni jakieś dziwne, niepewne. Telegramów na stacyi nie było, a wieści za to aż za wiele. Jedni opowiadali, że świder dotarł już do jeziora nafty, drudzy modyfikowali tę wiadomość mniejszą komparacją, a byli nawet i tacy, którzy prawdziwie Hiobowe wieści roznosili.

Pan Kryspin mocno się tem niepokoił i dla tego odbywał w mieście to trzydniowe nabożeństwo. Chodził trzy razy na dzień do naczelnika stacyi, ale tam zamiast spodziewanego telegramu zastawał zawsze swego mniemanego rywala, który niby o jakąś rolę w teatrze amatorskim umawiał się z telegrafistą.

Niepokój ogarnął pana Kryspina. W hotelu niemógł wysiedzieć, u Maryi nie wypadało dwadzieścia godzin dziennie przepędzać, na ulicy było mu nudno, gorączka wzmagła się w nim.

Największą nieprzyjaciółką każdego epuzera jest . rozgorączkowana jego wyobraźnia, czy mu daje rzeczy dobre, czy ujemne.

Doświadczył teraz tego na sobie pan Kryspin.

Naprzód wyobraził sobie, że jego rywal rzeczywiście może porwać mu MaryęL. Wtedy... o! jakże piękną była ta Marya! Jak on ją kochał, ubóstwiał! Ona była mu życiem, była wszystkim na świecie! Bez niej musiałby umrzeć lub żyć kaleką i po drodze życia czołgać się jak robak nadeptany!... Nie, to być nie może! on nie może jej postradać... on musi ją posiadać, choćby mu przyszło walczyć z całym piekłem!... Tak, on ją mieć musi, i mieć będzie!

Ba! szeptał mu znowu za chwilę realny jego rozsądek! cóżby to było, gdybym się rzeczywiście „złapał”? Być może, że ten londyński świder nic nie wyświdruje, a ja wziąłbym sobie ciężar do domu? Zona bez posagu brr!... Sąsiedzi wyśmialiby mnie, światby cały szydził ze mnie... a uścisk księcia Jerzego poszedłby wraz z obiadem u Marszałka tam gdzie pieprz rośnie!... Nie głupim! Nie trzeba się zapędzać, aby się przed światem ubogą żoną nie skompromitować!... Coż to, czy niejestem wart choć parę kroć sto tysięcy? Julko wziął pół miliona, Bolko trzy wsie, Fendzio chapnie może kilka milionów... Pie, jakieby to głupstwo było, gdybym się dał złapać!...

Pan Kryspin był istnym męczennikiem swojej wyobraźni, swego serca i swego rozsądku. Jedno ciągnęło go w prawo, drugie w lewo. Szamotał się biedny, pocił się, ale na to tylko, aby zwyciężywszy z jednym, rozpocząć walkę z drugim...

To tylko podwajało jego gorączko.

Być może, że w tej gorączce coś Maryi albo cioci powiedział, albo przynajmniej dał do poznania, bo twa

— vt

rze ich, mimo jakiegoś ukrytego smutku, były rozrzucone i do niego uśmiechnięte...

Trzeciego dnia pobiegł pan Kryspin znowu na stacyę i znowu zastał tam swego rywala.

Tego było już za wiele. Pan Kryspin uczył uderzenie do głowy.

Włosy zajęły mu się płomieniem. Wtem... rozpoczął telegraf pukać od Borysławia.

Pan Kryspin cały czerwony przyskoczył do telegrafisty. Z drugiej strony wyczekujące stanowisko zajął rywal.

Telegraf pukał i pukał...

Każde uderzenie uderzało w serce pana Kryspina... uderzało coraz boleśniej, coraz głębiej...

Wreszcie zaczął telegrafista odczytywać hieroglify i pisać niebieskim ołówkiem...
Pan Kryspin zaparł oddech i czytał przez plecy telegrafisty... wraz z rywalem.
„Michał do Weroniki... Stokrotne dzięki niebu! Bóg wysłuchał modłów moich!... Jestem spokojny, szczęśliwy! Nie każdy w nieszczęściu tak wygrywa. Wygrałem! Trysnął obfity zdrój...”
Pan Kryspin nie czekał dłużej. Słowa telegramu były jasne. Świder londyński dostał się do jeziora oleju...
Rozgorączkowana jego wyobraźnia trwożyła go rywalem...
Rywał mógł go ubiedz... mógł mu z przed nosa pochwycić pannę...
Zacharjasiewicz. — Ko ireHc.

Marya... coż Marya? była kobietą i niczem więcej! Mogła zapomnieć o nim i innemu oddać swoją rękę i... naftę. A on ją w tej chwili tak kochał, kochał szczerze i serdecznie! Byłby nawet w piekło za nią skoczył, w gorejące jezioro nafty! tak ją kochał!... serce mówiło mu to wyraźnie...
I nie czekał końca telegramu, tylko chwycił kapelusz i pobiegł do dworku przedmiejskiego, aby jaknajprędzej, jeszcze przed telegramem złożyć u nóg Maryi i ciotuni całą swoją przyszłość, która w dalszej perspektywie obiecywała mu uścisk księcia Jerzego, obiadek u Marszałka i fotel koło pani Marszałkowej!...
Słodkie, rozkoszne marzenia biegly za nim jak biały obłok pary za kominem lokomotywy!...
Tymczasem w przedmiejskim dworku było smutno, bardzo smutno. Marya siedziała z zapłakanymi oczyma, a ciotunia trzymała w ręku list złowrogi, który wszystkie Hiobowe wieści potwierdził. List był od pana Michała.
Pan Michał pisał ten list w przystępie rozpacz.
Kilka lat krwią serdeczną karmiona nadzieja zawiodła go.
Świder angielski natrafił w głębokości kilkudziesięciu sążni na dnie studni na nieprzebitą opokę i złamał się.
Wszystko było stracone! Pieniądze, majątek, wszystko!...
Nieszczęśliwy kopacz zadeklarował, że nadzieje jego skończyły się.

Lichwiarz propinator wszedł w posiadanie majątku, a panu Michałowi pozostał — kij żebraczy!
Takie wiadomości zawierał list ojca Maryi. Sytuacja była jasna, wyklarowana. Marya nie miała ani szeląga posagu, tylko biednego rozpaczającego ojca.
— Z tą nadzieją urywają się wszystkie inne nasze nadzieje! — westchnęła ciotka ocierając łzy,
— Czyż oprócz nadziei ojca mogłyśmy mieć jakie inne nadzieje?—zapytała przez łzy Marya.
— Myślałam o panu Kryspinie! — dodała cicho ciotka.
Marya westchnęła.
— Ucieknij, jak każdy inny uciekł, gdy się dowie, że nafty w studniach niema! — mówiła dalej ciotka. — Tacy to są mężczyźni dzisiaj! Kobieta u nich jest tylko dodatkiem! Pieniądze, posag, to grunt!
— Sameśmy temu winne, że oni są takimi — odszepnęła Marya i spuściła głowę.
— Winne? A to jakim sposobem?

— Niech ciotunia tylko sobie przypomni, czyśmy nie rade przyjmowały u siebie takich, którzy nam się wydawali majątniejszymi od tych, co już u nas bywali?
— Prawda, moje dziecko... ale któż nie życzy sobie lepszego losu?
Milczenie głębokie panowało czas długi. Ciotka wzdychała, Marya ocierała łzy z oczu.
— Przecież co się tyczy pana Kryspina, to jeszcze rzecz nie stracona!—ozwała się ciotka.
— Mam tym razem jakieś lepsze przeczucie—odpowiedziała Marya—ale przeczucia są zwodnicze!

— Oby tylko od razu nie dowiedział się o wszystkim !
— Przeciwnie, życzyłabym sobie tego bardzo. Mam nawet zamiar przy pierwszym widzeniu odsłonić mu całą naszą smutną sytuację! Lepsze jednorazowe rozczarowanie, niżeli dłuższe łudzenie się!
Ciotka zamilkła. Przy takim usposobieniu Maryi widziała wszystko stracone.
W tej chwili zapukał ktoś do drzwi.
"Wszedł pan Kryspin.
Twarz pana Kryspina była zarumieniona, oczy pałały ogniem gorączkowym.
Ucałował rękę ciotuni po raz pierwszy i zostawił na niej łzę gorącą!
Maryę powitał tylko ukłonem i długim, wymownym spojrzeniem...
Czemże w tej chwili była dla niego ta kobieta?
Czy ją rzeczywiście tak gorąco, tak tragicznie kochał?
Gdyby w telegramie nie było słów: „trysnął obfity zdrój", czy nerwy jego byłyby tak gorąco zagrały, że aż łza z oka wyciśnięta stała się jak kipiutek gorąca?
Pan Kryspin nie myślał w tej chwili o tych słowach telegramu, ale myślał o Maryi, aby mu kto jej nie wziął! Wierzył w tej chwili, że Maryę kocha i strzelałby się z każdym beczelnym kłamcą, któryby śmiał go obwiniać o jaki interes pieniężny!...
Tak dziecinne jest czasem serce!... Po tak niezwykłym przywitaniu ciotka i Marya oczekiwały czegoś niezwykłego.

Jakoż zaraz na wstępie zaczął pan Kryspin, oglądając się z trwogą na drzwi, czy fatalny lub raczej szczęśliwy telegram nie wyprzedzi słów jego oświadczenia!...
A o pośpiechu chodziło mu bardzo. Czuł to nawet w tej chwili instynktowo, że oświadczenie się powinno przed telegramem nastąpić. Po telegramie miałyby zupełnie inne znaczenie.
Możnaby go sumiennie posądzić o czysty materialny interes. Powiedzianoby, że dla tego oświadczył się pewnie, iż w postaci nafty wytrysnął posąg miljonowy! A teraz... teraz, gdy nawet złowrogie wieści o bankructwie ojca Maryi mówią—teraz oświadczenie jego nabierze nawet pewnego uroku poetycznego, jeżeli już koniecznie do takiego aktu poezji potrzeba!
Tak sobie myślał pan Kryspin, a patrząc trwożliwie na drzwi, zaczął:
— Wiem, że popełniam pewną niestosowność, mówiąc na raz przed panią dobrodziejką i przed panną Maryą o rzeczy, o której tylko naprzód z panią dobrodziejką pomówić miałem. Ale serce moje nie może dłużej zwlekać (tu pan Kryspin

naprawdę poczuł łzy w oczach), nie może dłużej taić tych słodkich marzeń, któremi przez kilka miesięcy karmiło się!... Pannie Maryi wiadomo zapewne było, że...

Marya uczuła szybkie uderzenie serca. Twarz zafarbowała się rumieńcem. Położyła rękę na piersi aby wzruszone serce uspokoić i ozwała się:"

— Przepraszam, że tutaj panu przerywam, ale prawdziwa życzliwość, jaką mam dla pana, nie pozwala mi przemilczeć...

Pan Kryspin myślał w tej chwili o rywalu. Myśl ta i obawa przed będącym już w drodze telegramem zamroziła mu krew w żyłach. Niebezpieczeństwo utraty Maryi żywo stanęło przed nim.

— Zostawiam pani wolny wyrok, chociaż ten wyrok stanowić może o całym życiu mojem... ale wprzód dozwól mi pani łaskawego ucha, abym wypowiedział to wszystko, co mi serce wypowiedzieć każe...

— Lecz sumienie moje nie pozwala mi słuchać pana nim...

— Wiem—mówił rozpaczliwie pan Kryspin—wiem, że nieba zawsze były dla mnie chmurne i nieubłagane, kiedy tylko żądałem choć jednego przymyka ciepłego słońca!... Wiem...

— Są jednak w życiu sytuacje tak dziwnie skomplikowane...—ozwała się ciotunia.

o

— Wszystko może się sprzyśnięć na mnie, wszystko może stanąć w poprzek drogi mojej, to jednak nie uwalnia mnie od wypowiedzenia...

— Przecież nie chciałbyś pan przez nierozważne może słowo popaść w położenie, z którego odwrót byłby trudny i bolesny?—mówiła drżącym głosem Marya.

— Dla mnie odwrotu niema! Nigdy nie myślałem o tem, aby za sobą zostawiać wygodny most do cofania się. Brzydzą się tymi ludźmi, którzy tak chłodno życiem rozporządzać umieją!

— Słowa pana—mówiła ciotka — zmuszają nas do wielkiego dla pana szacunku, ale oraz tem większe obowiązki nakładają na nas, abyśmy przed panem żadnej nie miały tajemnicy!

— Więc jest tajemnica, jakiej najbardziej obawiałem się!—wyjęknął pan Kryspin.

A w oczach jego zarysował się szczęśliwy rywal w jednej z najpiękniejszych ról swoich — bohaterakochanka!... Pan Kryspin gorzko żałował teraz, że ani razu nie występował publicznie w rolach takich! Byłby może lepiej wytrzymał krytykę od swego antagonisty!...

— Tajemnica—mówiła smutnie Marya—która może dziś, jutro przestanie być tajemnicą.

— I pani sama mi o tem mówisz? — krzyknął pan Kryspin i porwał się za głowę.

— Bo poczytuję to za najświętszy mój obowiązek.

— Serce... miłość... uczucia... obowiązki!...

— Niech pan tylko nieco chłodniej na tę rzecz patrzy, panie Kryspinie—przerwała ciotunia.

— Jak można z zimną krwią patrzeć — namiętnie zawołał pan Kryspingdy ktoś, który bynajmniej na to nie zasłużył, zgrabnem znalezieniem się wydziera mi to, co mi jest najdroższem.

Maryja zarumieniła się i znowu rękę przyłożyła do serca.

Ciotunia zrozumiała trochę pana Kryspina.

— Pod tym względem — ozwała się z uśmiechem — mogę pana w mojem i mojej siostrzenicy imieniu zapewnić, że z tej strony żadne panu niebezpieczeństwo nie grozi.

Pan Kryspin odetchnął i otarł pot z czoła. Odetchnąwszy głęboko zapytał:

— Zkądże więc może mi grozić to niebezpieczeństwo, które wyraźnie czuję przez skórę?

— Niebezpieczeństwo dla siebie przeczuwasz pan słusznie, dla tego zwracam pana uwagę na to niebezpieczeństwo. Marzenia a rzeczywistość, to są dwa kontrasty!, wyszepnęła Maryja.

— I tego niebezpieczeństwa nie chcemy przed panem ukrywać—dodała ciotunia.

Pan Kryspin przybrał pozory głębokiego spokoju i czekał na dalsze słowa ciotuni.

— Zapewne panu wiadomo — zaczęła ciotunia — że ojciec Maryi wdawszy się w poszukiwanie nafty...

Uśmiech nieznaczny przebiegł po twarzy szczęśliwego Kryspina. Wiadomości ciotuni były już przedawnione; on posiadał najświeższe... a te nie tylko, że nie kazały się niczego obawiać, ale owszem obiecywały przyszłość tak różową, jaką tylko sobie wymarzyć można!...

Potrzeba jednak było aby pan Kryspin z tem się nie zdradził.

— Słowa pani dobrodziejki — rzekł z nieznacznym uśmiechem — mogą mieć grunt bardzo szlachetny, ale dla mnie, przynajmniej wr tej chwili, są one zbyt cenne. Uczucia mego nigdy nie mieszam z rzeczami podrzędnymi. Gdybym był zupełnie ubogim, możebym dla samego obowiązku sumienia poruszył, przed ostatecznem słowem, majątkową sprawę jednej i drugiej strony, bo bez takiej trzeźwości w zapatrywaniu się na życie nie pojmuję miłości!... Ale ja dzięki Bogu mam przynajmniej tyle, ile na konieczne potrzeby życia wystarczyć może. Przeto wolno mi pominąć milczeniem materialne położenie drugiej strony, aby jakaś możliwa tam plamka nie

psuła mi blasku tego pogodnego słońca, przed którym w tej chwili uklękałam.

Mimo tej tak widocznej deklaracji, uczuła Maryja gwałtowne drżenie serca, bo nie miała powodu słowom pana Kryspina nie wierzyć. Jej sytuacja była jasna, pan Kryspin widocznie wiedział o niej, i jakież więc mógłby mieć powód mówienia tych słów na wiatr, jeżeli te słowa obowiązywać go musiały? Czyż tak piękne uczucie nie wymaga już samo przez się wzajemności?

Ciotunia rozczuliła się tak szlachetnem sercem pana Kryspina, zapłakała, a ucałowawszy go w głowę rzekła do niego:

— Zacny panie Kryspinie! Szlachetne twoje serce wyciska mi łzy z oczu. W nieszczęściu naszym jesteś dla nas ową gwiazdą, która wśród burzy zwiastuje nam niedaleką pogodę. Niech cię Bóg za to wynagrodzi takim szczęściem, na jakieś sobie zasłużył! Już wr tych dniach domyślałam się twego postanowienia. Pisałam w tym względzie do mego brata i spodziewam się dziś jutro od niego pełnomocnictwa co do Maryi. Mogę jednak z czystem sumieniem je uprzedzić i w tej chwili imieniem ojca pobłogosławić was!

Pan Kryspin rozczulił się na prawdę. Okrył gorącą rączkę Maryi pocałunkami i wstał—bohaterem, bo zdawało mu się, że odniósł wielkie, niespodziewane nawet zwycięstwo!...

Zwycięstwo pana Kryspina było wprawdzie wielkie, bo Marya warta była zwycięstwa, ale nie było ono tego rodzaju, o jakim marzył teraz pan Kryspin.

Podobny on był w tej chwili nieco do Donkiszota, któremu w gorącej walce z wiatrakiem zdało się, że pokonywa zaciętego nieprzyjaciela. I panu Kryspinowi zdawało się, że odniósł walne zwycięstwo nad swoim rywalem, który jego marzeniom tak uporczywie zagrażał. Wierzył, że śmiałym atakiem wydarł mu szczęście i sobie przywłaszczył. Podziwiał swoje zręczność w szybkim skorzystaniu z telegramu, i nadął się dumą, jak wódz po walnej, historycznej bitwie.

Teraz już nic nie groziło jego ostatecznym marzeniom. Z piękną rączką Maryi posiędzie miliony w płynnym stanie; z mil jonami będzie miał estymę najpierwszych powiatu bohaterów, będzie miał uścisk księcia Jerzego, obiadek u Marszałka i fotel obok fotelu pani Marszałkowej. Ileż to szczęścia, ileż słodczy w tych marzeniach!

Czyż przez to wszystko nie stanie się znacznym w całym powiecie?

Myśli te i marzenia oszołomiły go. Nic już nie widział przed sobą i nie słyszał. Ucha jego nie dolatywały żadne słowa, któreby go z tych marzeń wyrwać mogły!...

Cały wieczór tego szczęśliwego dnia przepędził w dworku przedmiejskim. Patrzył szczęśliwy w rozjaśnione oczy Maryi i po każdej sekundzie takiego patrzenia stawał się lepszym, szlachetniejszym. Uwierzył nawet, że jest rzeczywiście bardzo szlachetnym i mógłby nawet dać tego dowody, gdyby potrzeba było.

Telegram był już w takim razie dla niego rzeczą małoważną.

Wiedział ogólną treść jego, o więcej mu dzisiaj nie chodziło.

Nawet, gdy nadszedł, nie pytał o niego, ho wypogodzone twarze były dla niego dowodem, że telegram miał dla nich to samo szczęście, jakie on wprzód z niego wyczytał. Wypadało mu nawet nie wiedzieć wobec kobiet o jego treści.

Rozmarzony i aż do zbytku szczęśliwy odjechał pan Kryspin późną nocą do Przysiółka. W Przysiółku dwóch ludzi jeszcze nie spało. Jednym był arendarz, drugim ekonom.

Obaj otrzymali od niego uścisk, a potem jednemu i drugiemu szepnął na ucho, że się żeni i że bierze miliony w posagu!...

Po tym uścisku położył się do łóżka i śniło mu się, że księżę Jerzy za rękę go ściska, Marszałek pije jego zdrowie, a pani Marszałkowa nawet zalotnie uśmiecha się do niego!

— Mój Boże!—pomyślał sobie gdy się obudził—jak to człowieka zaraz inaczej traktują, jeżeli się bogato ożeni!

Pieniądze, pieniądze, majątek przedewszystkiem!

Bez tego niema estymy, ani znaczenia u swoich!...

Pan Kryspin wziął sen za rzeczywistość! Nazajutrz przed południem pojechał do miasta. I rzecz dziwna sen jego spełnił się.

Był to dzień targowy, a w tym dniu przyjeżdżała okoliczna szlachta do miasta, aby przy interesach gospodarskich także coś z sobą pogadać. W dniu tym raczył zazwyczaj marszałek powiatowy zgromadzonych

u siebie obiadem, do którego pan Kryspin już dawno wzdychał.

Dzisiaj marzenia jego miały się stać rzeczywistością.

Zaledwie bowiem na rynku miasta się ukazał, przystąpił do niego książę Jerzy, i wobec całego miasta podał mu rękę i serdecznie uściskał.

— Przyjmij Pan najserdeczniejsze moje życzenia!, rzekł do niego z dobrotliwym uśmiechem. W naszym powiecie, jak widzicie, nic się długo nie ukryje, a przynajmniej tak szlachetne i piękne zamiary, jakie pan powziąłeś i one już interesowanym osobom sformułowałeś. Zaczny pan Michał wart był tego szczęścia, które pan jemu, a przez niego nam wszystkim zgotowałeś!... Zaczni, szlachetni ludzie są dzisiaj coraz większą rzadkością!

— Czy byś pan nie raczył dzisiaj zjeść u mnie obiadku? — ozwał się z poza ramion księcia sędziwy marszałek — postaram się abyś pan nie był sani jeden, to jest, bez panny Maryi!

Pan Kryspin wydał pierś jak bohater Szekspira i pomyślał sobie w duchu:

— Co to znaczy mieć miljony! Widać już wiedzą o telegramie i czapkują przed miljonerem! Tak to, tak. Pieniądze, pieniądze wszystkim!

I obejrawszy się po rynku, czy wielu ludzi patrzy na niego, odpowiedział księciu i marszałkowi:

— Zaiste wielki splendor spada na mnie maluczkiego, jeżeli takie osoby powiatowe w ten sposób odzywają się do mnie. Nie przypisuję ja tego splendoru ani sobie, ani cichym uczynom moim, ale Panu Bogu, który czę

sto nawet niezasłużonym wielkie łaski wyświadcza!... Na obiad pośpieszę, a tymczasem, nim na inną odpowiedź stać mnie będzie, serdecznie za okazany rai afekt dziękuję. Dzień ten będzie pamiętny w życiu mojem.

Po księciu i marszałku cisnęli się do szczęśliwego

Kryspina ci wszyscy, u których te dwie wybitne postacie powiatowe wyroczną były. Jaki taki ścisnął i całował się z panem Kryspinem, chociaż dawniej i patrzeć nie chciał na chudeusza!

— To wszystko robi moje bogate ożenienie się — mówił do siebie w duchu pan Kryspin i głąskał swoje szczęśliwe bakenbardy — to wszystko robią miljony!]

Miło jest przecież z nimi!...

I któż był w tej chwili szczęśliwszym od pana Krys

Za kilka godzin dobrane towarzystwo siedziało j

u marszałka za stołem.

Pan Kryspin siedział między panią marszałkowską a swoją narzeczoną.

Marya wyglądała bardzo pięknie. Twarz jej była j

trochę blada, jak zwykle po każdym większymi wzruszeniu, oczy zato gorzały jakimś dziwnym ogniem ben I galskim. I

Pani marszałkowska rozmawiała z uśmiechem z panem I]

Kryspinem, a często powiedziała jakie słodkie słówko

Maryi, która się wtedy rumieniła. i j

Książę Jerzy siedział naprzeciw pana Kryspina i całą swoje uwagę poświęcał nadobnej parze. Rozmawiał, żartował i cały swój książęcy splendor na nich .j przelał.

Pan Kryspin był w siódnem niebie. Marzenia jego przewyższała rzeczywistość... i za szczęście takie dziękował zawsze swoim mniemanym milionom!

Ku końcowi obiadu wznosił marszałek za porozumieniem się z księciem toast następujący:

— „Mości panowie! Ludzie starsi oskarżają dzisiejsze czasy o niskie dążności realistyczne. Mianowicie na ławie oskarżonych zasiada młode nasze pokolenie! Powiadają, że ono wyrzekło się dawnych naszych idealniejszych dążności, że wierzy jedynie w mamonę i za nią różnemi, często nawet niemoralnemi drogami dąży. Ztąd upadek w społeczeństwie, zgnilizna, zastój! Mości panowie! Może w tem być coś prawdy, ale tem jaśniej przyświecać nam powinny wyjątki od tego powszechnego zepsucia cnot i obyczajów! Otoż taki wyjątek mamy właśnie przed sobą! Imci pan Kryspin, człowiek skromnej fortuny, zamiast lekkomyślnemi środkami gonić za jaką panną posażną, jak to jest u nas chorobą — łączy się ślubem dobrowolnym z córką zacnego, powszechnie szanowanego człowieka, w chwili, gdy tenże zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności całą swoją fortunę traci!

Mości panowie! Rzadki ten wzór godny jest rozgłosu i naszego szacunku! Niech żyje!”

Wszyscy podnieśli się i z entuzjazmem stuknęli kieliszek w kieliszek pana Kryspina.

Pan Kryspin nie wiedział co się z nim dzieje... nie mógł dobrze zrozumieć tego toastu; był więcej automatem w tej chwili, niżeli żyjącym człowiekiem.

Z kolei podniósł się książę i zawołał z kieliszkiem w rękę:

— „Panowie! Praca i oszczędność rodzą miliony — próżniactwo i lekkomyślność pożera je! Kto skromny plan życia sobie nakreśli, ten daje rękojmię, że go wkrótce rozszerzy. Kto zaś odrazu bez pracy za milionem goni — ten przetraci tysiące i zginie w nędzy!

Panowie! wznoszę zdrowie pana Kryspina, który skromną pracą ma odszukać to, co niefortunnym zbiegiem okoliczności utracił pan Michał. Cześć mu!”

Znowu stuknięto w kieliszki, pan Kryspin ciągle był automatem.

Po obiedzie pomieszało się całe grono biesiadników. Wszyscy przychodzili do pana Kryspina, ściskali mu ręce, całowali go. Pan Kryspin był jeszcze bez zmysłów.

Po jakimś czasie zaczęto z nim mówić o szczegółach nieszczęścia pana Michała. Ubolewano nad tem nieszczęściem i pocieszano go.

Pan Kryspin zaczął coś pojmować, ale zaczął także i blednąć... Za godzinę wiedział już o wszystkim i... był błąd jak trup.

Pod pozorem lekkiej niedyspozycyi z powodu tak wielkich wrażeń, wyszedł z sali, wsiadł na wózek i prosto pojechał — do Przysiółka.

W Przysiółku choć ujrzał arendarza i ekonoma, nic do nich nie powiedział, tylko czempredzey wpadł do pokoju i klucz za sobą dwa razy obrócił.

Teraz, gdy go już nikt nie widział, padł jak nieżywy na krzesło, zakrył twarz rękoma i zaczął... płakać, rzewnie płakać. Zona bez posagu, brr!... „Złapał się” brr!... szeptało mu coś ustawicznie do ucha. Potem zerwał się i zaczął szybko chodzić po pokoju.

Mózg palił się pod czaszką i wyrzucał mu przed duszę same piekielne, płomienne obrazy!

— Oszukać się — tak szkaradnie oszukać się — to zbrodnia!... to więcej jak zbrodnia — to samobójstwo! Nie, tej hańby niemożna przeżyć... Utopić się... zastrzelić... lub... w Homburgu zgrać się do koszuli... Przegrać Przysiółek! lub wygrać miljon, bimiljon.

Takie dziwne myśli biegały Kryspinowi po głowie.

Łamał ręce, aż wszystkie stawy trzeszczały i rwał włosy z głowy... Już dzień świtał na niebie, gdy rzucił się nieruchomy na łóżko. Spał długo i spokojnie.

Śnił o Maryi, o jej pięknych oczach, widział łzy w tych oczach! Śnił o obiadku u marszałka i o toaście księcia... śnił długo i rozkosznie...

Jasne słońce zbudziło go.

Przetarł oczy i usiadł na łóżku.

Siedział tak długo, bardzo długo... Potem wstał, rozśmiał się i rzekł do siebie:

— I czegoż ja tak rozpaczam? I czegoż właściwie pragnę? Pragnąłem milionów, bo zdawało mi się, że tylko miliony mogą mnie znacznie zrobić w powiecie. Mniemałem, że tylko one mogą mnie doprowadzić do uścisku Księcia i na obiadek Marszałka! Tymczasem okazało się, że i inne drogi mogą tam także zaprowadzić — i rzeczywiście zaprowadziły mnie! Ścisnąłem się z księciem Jerzym, jadłem obiad u Marszałka... za co? Oto za to poprostu, że wzięto mnie za poczciwego i szlachetnego człowieka!

Jeżeli więc zacność i szlachetność także tam zaprowadzić mogą, gdzie może nie zawsze prowadzą miliony...

pocóż więc porzucać te piękne przymioty, jeżeli one miliony nam zastąpią?

A jeżeli do tych przymiotów dodać pracę i oszczędność, to kto wie czy nie przyłączą się do nich, jeżeli nie miliony, to przynajmniej dostateczne tysiące?

Czemuż tak zbłądłem wczoraj? Oto ludzie narzucili mi taką sporą porcję szlachetności i zacności, żem się ugiął pod tym ciężarem!

Czyż miałbym naprawdę być tak słabym ?

Nie... co opinia publiczna dobrego daje, to trzeba umieć przyjąć i dźwigać z godnością. Lepszy zawsze ten ciężar od błota, którym nas niekiedy obryzga!

Cóż robić? Trzeba jej być posłusznym!"

Rzekłszy to, wstał pan Kryspin i kazał zaprzęgać.

— Grdzie pojedziemy? — zapytał niespokojnie służący.

— Coż to? Czyś pamięć stracił? Tam gdzie zawsze. Do dworku na przedmieściu!

Za godzinę stał pan Kryspin w dworku przedmiejskim i trzymał za rękę Maryę, która łzy wzruszenia z oczu ocierała...

Przed Marya na stoliku leżały listy i telegramy.

Pan Kryspin przypomniał sobie ów niedokończony telegram, który mu tyle wyrządził strachu i kłopotów, ale wraz z kłopotami przyniósł mu także złote runo szczęścia... Nadewszystko przyszło mu na myśli, co to był za obfity zdrój, który wytrysnął.

Sięgnął więc jakoby od niechcenia po leżący na stole telegram.

Zacharjasiewicz.—Nowelle.

Marya podała rnu go sama, oczy jej roziskrzyły się.

— Telegram ten — ozwała się ściskając narzeczonego za rękę — zachowam jako pamiątkę, bo on mi przypomina dzień, od którego poczyna się szczęście moje.

Pan Kryspin czytał: „...trysnął obfity zdrój łez z oczu moich, a łzy te były modlitwą dziękczynną do Boga, że do samej przepaści nieszczęścia mego przysłał mi szlachetnego człowieka, który jedyne dziecię moje chce uszczęśliwić... Naprzód daję moje błogosławieństwo!”

Marya razem z narzeczoną czytała... przy końcu napęłniły się łzami jej oczy — spojrzała przez łzy na niego.

A pan Kryspin w tej chwili podniósł pierś i napęłnił ją uczuciem „człowieka szlachetnego”, jak go w telegramie nazwano... I było mu z tem uczuciem bardzo dobrze... daleko lepiej i milej, niżeli w angielskim karyklu zaprzężonym tarantami!...

W kilka lat potem widziałem go, jak z poważną miną przechadzał się po rynku miasta powiatowego. Szlachta ścisła się z nim serdecznie, księżę Jerzy w pół go obejmował, a marszałek uprzejmie zapraszał na obiady.

— Widzę — rzekłem do znajomego — że ten człowiek wyrósł u was na bohatera.

— Zasłużył na to — odpowiedział mi do ucha znajomy — jest pracowity, oszczędny, a nawet... czyta książki!

— Czyta książki! i to w waszym powiecie! — krzyknąłem z radości.

— Już to zona — mówiąc między nami — najwięcej przyczyniła się do tego.

— Zona?

— Tak, zona. Przysłowie mówi: Rządna i dobra zona, to trzy węgly domu.

Znajomy mój odszedł, a ja myślałem długo, długo nad nowym bohaterem powiatu...

Sądzę, że* i piękne czytelniczki, a może i młodzi czytelnicy, pomyślą trochę o nim!... Jakżeżbym chciał, by i tacy Książęta i Marszałkowie, z imaginacyi autora weszli w życie rzeczywiste!

A wtedy może, da Bóg, więcej będzie takich Kryspinów, którzy nawet po całkowitem przeczytaniu podobnego telegramu nie postąpią inaczej.

PREFERANS PO ŚMIERCI.

W ciepłym gabineczku, oświetlonym świecami stearynowymi, stojącymi na dwóch foremnych rogach zielonego stolika, siedziało trzech mężczyzn zajętych grą w karty.

Już same twarze grających okazywały, że to nie byli gracze z profesyi, że nie rozpalali się bynajmniej żadną grą hazardową.

Był to poczciwy, czysto obywatelski preferans.

Jeden z grających był niski i łysy, miał twarz okrągłą i siwe dobroduszenie śmiejące się oczy. Grał z wielkim zadowoleniem, a czasem pociągał z długiej antypki, której koniec gubił się pod stołem, siny przezroczysty dymek i okrywał nim twarz swoją, gdy potrzeba było po kupnie kart zamaskować zbytnią radość lub przykre wrażenie. Był to sam gospodarz i nazywał się chrzestnym imieniem Jan Kapistran.

Drugi z rzędu wysoki, chudy — to sąsiad przez miedzę. Siwy szron pokrył mu głowę, a troski atmosferyczne, z jakimi rolnik najwięcej ma do walczenia,

pochyliły mu barki i pomarszczyły twarz wzdłuż i w poprzek. Nazywał się także Jan, ale Babtysta.

Trzeci gracz był to zacny proboszcz miejscowy z naturalną tonzurą i sztucznym, własną pracą przyswojonym sobie spokojnym temperamentem. Twarz miał przyjemną i więcej milczał aniżeli mówił, chociaż nazywał się Jan Złotousty. Takich trzech Janów zabawiało się dzisiaj preferansem, umotywowawszy sobie grę szlachetną przejmującym zimnem jesiennem i złemi cenami produktów rolniczych, wyczytanemi w dzisiejszej gazecie.

— Mówię Wpanom — ozwał się gospodarz, czyli Jan iszy, którego towarzysze dla krótkości panem Kap nem nazywali

— mówię panom, że przy takich zmartwieniach naszych, jedyne remedium jest preferansik! Siedm w pik!

— Wasziności tak dobrze mówić!—odparł pan Babtysta — karta idzie do ręki, że aż miło! I jabym lubił takie lekarstwo na dzisiejsze zimno, które rzepakowi zaszkodzi, i na te ceny przeklęte, które zamiast iść w górę, na dół spadają!... Tfu! Same siódemki i ósemki— żadnego łba! A nie wiem dlaczego karta sprzyja więcej dziedzicom niżeli posesorom. Preferans bowiem jest to gra posesorska!

— Dlaczego Wpan tę grę tak nazywasz? — zapytał zwolna proboszcz.

— Niezawodnie wymyślił preferansa jakiś dzierżawca, bo w systemie tej gry odbija się sytuacja dzierżawcy czyli posesora.

Dzierżawca płaci najprzód rate dzierżawną, a potem gospodaruje aby tę rate odebrać i jeszcze coś zyskać. W preferansie płacimy naprzód raty do puli — a potem zręczną i szczęśliwą grą, czyli dobrem gospodarstwem kart staramy się włożoną rate odebrać i także coś przytem zarobić... Jak na dłoni Mościodobrodzieju, że preferansa wynalazł dzierżawca!

— Ba — ale dlaczego ta szlachetna gra odwraca się tyłem do sławetnego dzierżawcy?

Dzierżawca Baptysta westchnął.

— Snadź dzień feralny!—rzekł po chwili. Proboszcz podniósł z uroczystością asa żołędneho do góry, którego właśnie miał dać na pastwę panu Kapistranowi i rzekł:

— AV świecie odbywa się porządek niezłomny. A dzieje świata uczą nas, że wynalazcy wielkich idei padli pierwsi ofiarą swego wynalazku. Wynalazca gilotyny był gilotyną ścięty—wynalazca prochu, jak utrzymują, był jbrochem wysadzony w niebiosy... nic więc dziwnego, jeżeli szlachetna gra preferansa, wynalazku— jak utrzymuje pan Baptysta — czystej krwi dzierżawcy, zwraca się przeciw rodowi dzierżawców, aby ich jeżeli nie zabić, to przynajmniej do bankructwa przyprowadzić! Zapisz to sobie w pamięci panie Baptysto!

Dzierżawca spojrział z ukosa na proboszcza. Tymczasem pan Kapistran skończył grę i zamiast siedmiu zrobił dziewięć! Pan Baptysta poczerwieniał na twarzy.

— Znowu wpadłem! — zawrołai — ależbo z waszmością niepodobna grać preferansa. Kutwa jakich rzad

ko! Ma dziewięć a gra siedm! Czyż to się zgadza z miłością bliźniego!

Pan Kapistran śmiał się z zadowoleniem.

— Już to zbytnej miłości bliźniego niema — ozwał się proboszcz — ale jest zawsze pewna rozumna praktyczność, aby bogini fortuny zbyt nie tentować!

— Dziękuję za taki rozum!

— Ależ kochany sąsiedzie — podjął z uśmiechem pan Kapistran, pykając dymkiem—zważ tylko, coby się stało z moją dziewiątką, gdybyśmy obaj czarnego koloru mieli po cztery?...

— Tak! Któż znowu układa plany według najgorszej konstrukcyi? — replikował pan Baptysta — czemuż byłaby sama gra? Jakież miałyby interes, gdyby była tylko czystym rachunkiem?...

Proboszcz uśmiechnął się i patrzył w milczeniu na dwóch zapaśników.

— Jegomość nazywasz się Złotousty—rzekł do niego pan Kapistran pykając dymkiem — a złoto swoje trzymasz za zębami, jakbyśmy byli obaj złodzieje!

— I owszem—odparł z uśmiechem proboszcz Złotousty— gdybym wiedział, że moje złoto schowacie w kieszeń duszy waszej, to wcale nie żałowałbym go!

— Dajże dobrodzieju czempredzej!

— Otoż mojem zdaniem jest, aby we wszystkich przedsiębiorstwach swoich obliczać szanse jak najgorsze bo wtedy rezultat jest pewny. Pan Kapistran grał w pik siedm a zrobił dziewięć. Cóżby się jednak stało, gdyby we dwóch rękach było po cztery piki i cztery żo

łędzie? Człowiek nie powinien nigdy wszystkiego stawiać na kartę—lepiej grać mniej niżeli więcej!

AV tej chwili otworzył służący drzwi od pokoju bawialnego. Z tego j)okoju dobiegł gwar w postaci śpiewu i gry fortepianowej.

— Czy to panna Antonina śpiewa? — zapytał pan Baptysta, zapomniawszy o sprzeczce z sąsiadem — a któż gra?

— Tak... to Antosia— odparł pan Kapistran okrywając się chmurą dymu—a na fortepianie przygrywa jej... pan... pan Alfons, jeżeli się nie mylę!

Pan Baptysta spojrział na proboszcza. Proboszcz mieszał karty w milczeniu.

Zaczął po chwili pan Baptysta.

— Coś kochany sąsiad bardzo się jąkał, gdy mu przyszło wymówić imię pana Alfonsa... nie jest to bez kozery!

— Jak was kocham, niema żadnej kozery!— odparł gospodarz — ot zazwyczaj jak młodzi ludzie bawią się i kwita!

Tyle ich co się zabawią!

— Dobrze — mówił dalej nieubłagany adwersarz — bawić się można zacie i pocziwie... ale czasami z tej zabawy coś wyskoczy niespodzianie, że ludzie potem napróżno gębę rozdziawiają!

— Cóżby tam mogło stać się? Nic, jak was kocham nic!

— Mówią, że się o Antosię stara!

— Kto? Pan Alfons? A gdzieś tam mnie do panów, którzy chowają konie na wyścigi! Gdzież Antosi do kuzynostwa z Radziwiłłami...

— Złote słowa powiedziałeś kochany kollatorze—wtrącił proboszcz — chociaż nie nazywasz się Złotousty.

— Czy myślisz jegomość, że to prawda? — rzekł z widocznym gniewem pan Baptysta—kochany nasz sąsiad zawsze tak postępuje, jak teraz z pikiem. Myślał o dziewięciu, a powiedział siedm! I wierz mu teraz!... Nie dałbym ani tynfa za to, że układa sobie w głowie, jak to pan Alfons w angielskiej karcie jego piękną córę do ślubu powiezie... a nam tutaj puszcza finfy pod nos. Gdzie tam! Ani o tem myśli! Kubek w kubek jak siedm pik!

Pan Kapistran okrył się gęstą chmurą dymu.

— Jak widzę — odparł z poza chmury — waszmość nie możesz mi jeszcze darować siedmiu pik i zaczepiasz mnie na innym polu! Niechże proboszcz poświadczy, czy mogłem grać więcej.

— Prawda—zaświadczył proboszcz—pan Kapistran nie mógł grać wyżej... a co do panny Antoniny, to wierzę, że także wyżej nad swoje atu grać nie będzie!

Pan Kapistran jeszcze grubszą otoczył się chmurą. I właśnie za tym szańcem ruchomym gotował się do jakiejś odpowiedzi, gdy się drzwi otworzyły i do pokoju weszła niska, dosyć zażywna jejmość.

Pan Kapistran zapomniał o odpowiedzi. — Grasz tutaj w karty kochany Kapciu — rzekła jejmość opierając niezbyt lekko swoją rękę na ramieniu męża — grasz w jak najlepsze, a tam jest pan Alfons, któregoś nawet nie przywitał!...

Pan Kapistran uwolnił się od słodkiego, ale niezbyt wygodnego ciężaru i odparł:

— Przecież ja mu nie jestem potrzebny! Śpiewać nie umiem!

Ręka jejmości spoczęła drugi raz na ramieniu pana Kapistrana.

— Zaraz — zaraz idę duszko — rzekł spiesznie pan Kapistran, uchylając ramię—tylko się rozrachujemy!

— Na cóż ty tu?... Przyszłe tutaj pana Macieja, za ciebie grać będzie! Chodź Kapciu!

Nic innego nie pozostawało panu Kapistranowi jak uleść słodkiemu naciskowi energicznej małżonki i wyjść do salonu na przywitanie pana Alfonsa.

— Nim jeszcze przyobiecany pan Maciej do gry się zjawił, rzekł pan Baptysta do proboszcza:

— Poczciwy człowiek, ale zanadto jest żonie uległy!

— Coż robić — odparł proboszcz — jarzmo małżeńskie!

— Tak, słodkie jarzmo małżeńskie, ale czasem piekielnie bolą od niego ramiona!... Czy jegomość sądzisz, że pan Alfons byłby stosowny na zięcia dla pana Kapistrana?

— Są różne zdania i upodobania. Byłaby to zawsze gra o dziewięć... kiedy pewnych jest w ręku tylko siedm! Czasami i to się udaje!

— Ba, ale nie zawsze!...

— A waszmość, panie Baptysto, zawsze ryzykujesz i grasz wyżej niż masz karty! Czy nie wpadłeś dopiero na ośm w karo, zrobiwszy zaledwie sześć sztyciów? Widzisz źdźbło w oku przeciwnika, a belki w swoim nie widzisz!

Pan Baptysta spuścił oczy, a tymczasem wszedł przyobiecany pan Maciej i gra szlachetna weszła znowu na tor dawny. W bawialnym pokoju, w którym się właśnie pan Kapistran dla przywitania pana Alfonsa pojawił, było dość liczne zgromadzenie, jak to zawsze w niedzielę u państwa Kapistranów bywało. Sąsiedzi i sąsiadki zjeżdżały się w tym dniu częścią z afektu, częścią z nudów, a w znacznej części dla ciekawości.

W domu bowiem była córka na wydaniu, a jako jedynaczka miała powab dosyć znacznego posagu. Ciekawą więc rzeczą było dla spektatorów, komu się ten smaczny kąsek dostanie — a wielu było nawet, ze względu na pokrewieństwo i koligacje, z tym przyszłym wypadkiem związanych własnym interesem.

To też zebrania niedzielne były ważnym widowiskiem dla ciekawych. Z różnych ugrupowań, z dyalogów i trylogów można było wiele rzeczy wnosić, można się było czegoś domyślać; to wszystko potem płynęło wr świąt pod postacią prawdy niezaprzeczanej, stwierdzonej nawet świadkami naoczными.

Dzisiejszej niedzieli wyjątkowo zjechało się więcej gości niż zwykle. Ktoby to zaś był? o tem nikt nie mógł sobie zdać sprawy. Nie brakło kandydatów, a opinia publiczna była wt rozpacz, że nie wiedziała dotąd, który z kandydatów najprzód do szturmu wystąpi.

Tak wyjątkowa stan opinii publicznej, gruntował się na równej dla wszystkich gościnności szanownego gospodarza— był skutkiem jednych i ty eh samych potraw podawanych kawalerom powiatowym przez gościnną

gospodynię — a może także przyczynił się do obłędu opinii ten zawsze jednostajny uśmiech panny Antoniny, jakim każdego konkurenta raczyła, i ten mazurek Chopina, jakiego dla wszystkich z równą precyzją grywała. Rzeczy tak stały, że właściwie żaden z kawalerów nie wiedział, gdzie stoi — czy na przodzie, czy w tyle, w szeregach rezerwy.

Ciekawą może było dla spektatorów rzeczą, kto właściwie z wszystkich będzie owym szczęśliwym Jazonem, który po to złote runo dzisiejszego wieczora sięgnie — i co się z nim po tem odważnym przedsięwzięciu stanie?

A złote runo było dosyć ponętne. Panna Antonina nie była klasycznym posągiem, nie była owrą drobiazgowo wykończoną statuetką—ale miała urok świeżego, choćby nawet polnego kwiatka, który z pomiędzy pszenicznych łanów wstydliwie do przechodnia wdziękami się śmieje.

Jedynaczka pana Kapistrana miała wzrost słuszny, figurkę zgrabną, oczy piwne i włosy kasztanowate. Twarz była więcej okrągłą niż podłużną; świeżą jak różyczka polna, z noskiem trochę ciekawie do góry zadartym. Znała się dobrze na gospodarstwie, umiała w potrzebie coś uszyć, a dla gości, gdy do dworu łaskawie zawitali, miała w zapasie trzy sztuki Chopina, parę walców i mazurków, a dla wzniosłej szych słuchaczy chował: „Coś bardzo melancholicznego.” W główce także się coś znalazło. Było tam kilka tomików poezyj różnych autorów, bardzo niewiele geografii i historii, a sporo zato powieści i zomansów, pomieszanych z lichą francuzczyzną.

Sama więc postać panny Antoniny nie miała nic szczególnego, ale zato odbijała uroczo dla amatorów szkoły bizantyjskiej—od tła złoczonego.

To złote tło było rzeczywiście bardzo ponętne. "Wyobrażało ono piękną wioskę z lasem wysokopiennym i dwoma młynami w perspektywie! Prócz tego podejrzowano pana Kapistrana o różne zakopane talarowe talenta. Koło tego uroczego kwiatka uganiało się kilku różnoskrzydłych motyli. Na przodzie z podniesionymi skrzydłami stał pyszny, złotem nakrapiany motyl amerykański. Miał na sobie zwykły, czarny frak, białą chustkę pod szyją i szapoklak pod pachą. Na rękach jaśniały lapisowe rękawiczki. Był wzrostu wysokiego i miał zarost trochę rudawy, przypominający mieszkańców Albionu. Starał się widocznie, aby ten włos swój w taki sposób ułożyć, jak to czynili pokrewni jemu... z Albionu. Miał faworyty rozstrzępione, a brodę wygoloną.

Na pierwszy rzut oka poznać w nim można rasę szlachetniejszą. Ma lornetkę na orlim nosie, prawą rękę włożył za otwór kamizelki pod pachą, a lewą nogę z fantazją naprzód wysunął. Mówi po francuzku a jeżeli czasem do kogoś po polsku odezwać się musi, to nie idzie mu to jakoś dobrze. Stara się widocznie o to, aby tu być jak można odosobnionym i ściga tylko swoją lornetką pannę Antoninę, która w tej chwili z panem Władysławem rozmawia. Pan Władysław jest na pozór w zupełnej sprzeczności z panem Alfonsem. Zamiast fraka ma jakąś kurtkę szamerowaną, zamiast lapisowych rękawiczek, ma swoją własną skórę, która nie należy do najlepszych. Jest przytem niski i dosyć zwinny, jak na roboczego człowieka przystało.

Opinia publiczna stawia'go co do zamysłów skrytych, w jednym szeregu z panem Alfonsem, a nawet więcej wtajemniczeni utrzymują, że dawniej jakiś ściślejszy ; afekt między panem Władysławem a panną Antoniną istniał, tylko afekt został później gwałtownie umorzony przez macierzyńską miłość mamy dobrodziejki, która po długiej dla domu tak zaszczytnej wizycie pana Alfonsa, wręcz córce powiedziała, aby sobie bałwana Władzia z głowy wybiła. Czy panna Antonina zaraz to uczyniła, trudno powiedzieć— nie można jednak zaprzeczyć, że odwiedziny pana Alfonsa i jego opowiadania o cioci Radziwiłłowej sprawiały jej wiele przyjemności. Również i tego przemilczeć nie można, że od czasu poznania pana Alfonsa nie raczyła więcej Władysława wyższą, jak mówiła, kompozycya melancholiczną, ale zbywała go walczykiem Strausa, podczas gdy kompozycyi wyższej przysłuchiwał się pan Alfons z melancholijnem pochyleniem głowy. Domowi słudzy zauważyli nawet, że ulubiony piesek panny Antoniny „Buryś” nie obgryzał teraz futerka z czapki pana Władysława, ale jadł z apetytem jasne rękawiczki pana Alfonsa, jeżeli je raczył na usilną prośbę gospodarza zdjąć z rąk swoich.

Z tego wszystkiego można wnosić, że „bałwan” Władysław ustąpił rzeczywiście złotemu paniczowi, który tak zżęcznie się kręcił i o swojej cioci Radziwiłłowej ustawicznie mówił.

Zdaje się jednak, że poczciwy „bałwan” nie dał za i wygrane, i kiedy tylko mógł zbliżał się do panny, czy to

na fundamencie dawnych obiecanek, czy też czynił to z godnej uznania odwagi i męstwa kawalerskiego.

Pomiędzy temi ostatecznościami były jeszcze inne pośrednie figury. Jeden z nich miał pięciu braci na jednej wioszczynie, którzy wszyscy poświęcili się zawodowi obywatelskiemu w nadziei ożenienia się bogato — drugi miał cztery siostry w stanie dziewictwa, z których każda oczekiwała męża z ładną wioską w nadziei, że kochany braciszek, który ma tak ładne faworyty i głowę na pół rozdzieloną, za żoną weźmie piękne dobra.

Był jeszcze trzeci i czwarty, ale że w naturze wszelkie pośrednie twory i istoty są słabszej organizacyi i żadnej ważnej nie odgrywają roli, to też i o tych wszystkich, między powyższemi ostatecznościami, konkurentach panny Antoniny „nawet mówić nie warto”, jak się wyrażała mama dobrodziejka.

Z dwóch więc tylko stron groziło panu Kapistranowi porwanie ukochanej jego Sabinki — ze strony złotego panicza, jak sobie tego widocznie życzyła mama — i ag strony „bałwana” Władysława, jak tego widocznie o wiał się sam ojciec.

To też w niemałym kłopotcie był pan Kapistran, g kochana małżonka odwołała go od jeszcze więcej ul chanego preferansa. W salonie koło fortepianu już c; kał na niego pan Alfons. Był dzisiaj również staram jak zawsze ubrany, tylko dla różnaitości trzymał w ręku elegancki szpicrucik z fiszbinu, który uważał za stosowne wziąć z sobą pod strzechę szlachecką. Bawił się tym szpicrucikiem wyginając go na wszystkie strony.

— A! kochany pan Alfons! — zawołał gospodarz otwierając jak na chudego szlachetkę zbyt szeroko swoje ramiona — a! kochany, drogi gość mój!....

— "Więcej, więcej niżeli gość panie Kapistranie — odparł pan Alfons, całując w powietrzu wąsy pana Kapistrana — prawdziwy przyjaciel i...

Pan Kapistran zamknął paniczowi usta głośnym pocałunkiem.

— Siadajże! Siadaj! A jadłeś co? Hej, Szymek! Ty łotrze jakrś i cymbale... zaraz tu!

Pan Alfons podziękował gościnnemu gospodarzowi, mówiąc, że przed chwilą jadł dopiero obiad, gdyż u cioci księżnej jadają obiad aż nad wieczorem.

— To może kieliszeczek wina? — zagadnął gospodarz pod naciskiem chmurnego wejrzenia jejmości — a może co z bakalji... rodzyneków, migdałków, sera lub wędzonki!

Przy ostatnim przysmaku chmurne wejrzenie jejmości przybrało groźbę gromu.

— Nie wędzonki — poprawił się biedny pan Kapistran—ale chciałem powiedzieć konfitur i śliwek z kminkiem, na rożenek wtykanych. Sama Antosia je nadziewała.

Pospieszyła w pomoc niezdarzemu' gospodarzowi małżonka. Wsunęła pulchne ramię między pana Alfonsa i meza i rzekła:

— Memu Kapciowi jeszcze preferans w głowie, od którego wrłaśnie go oderwałam. Już tak lubi tego preferansa, że nawet po śmierci grałby jeszcze, gdyby przy sobie znalazł jaką partyę dogodną.

— Nie mów nic o preferansie—odparł z dowcipnym uśmiechem pan Kapistran — bo preferans jest to gra bardzo mądra, jak o tem prawil przed chwilą ksiądz proboszcz!

— Wczemże ta mądrość spoczywa? — zapytał od niechcienia pan Alfons z pobłażliwym uśmiechem.

— Aby nigdy nie grać wyżej nad siły! — odparł dobrodusznie pan Kapistran i uśmiechnął się do żony.

— Dlaczego tatko nie gra preferansa? — zapytała w tej chwili Antosia, która zbliżyła się do rodziców.

— W samej rzeczy—odparł pan Kapistran—ja sam sobie to pytanie zadaję, ale widzisz moje dziecko, matka zawołała mnie do pana Alfonsa...

— Ja pana Alfonsa sama zabawię, niech tatko wraca do kart.

— Dobrze dziecko, dobrze... a gdzie jest pan Władysław?

— Jak zwykle... siedzi pod piecem.

Pan Kapistran smutnym okiem rzucił pod piec i rzeczywiście ujrzał tam Władysława, który z miną smutną patrzył jak mu jakiś tam obieżyświat wydziera to, o czem marzył od tak dawna.

Pan Kapistran podbiegł ku niemu.

— Jak się masz panie Władysławie — rzekł do niego ściskając go za rękę — nie wiedziałem nawet, że tu jesteś. Tak dużo światła, aż mi się ćmi w oczach!

— Nic dziwnego, że jestem przyćmiony tutaj, gdzie tyle światła się pali. Dawniej, za moich lat dziecinnych, kiedy tu z ojcem przychodziłem, paliła się na stole zazwyczaj tylko jedna świeczka łojowa. Wtedy widział

dobrze jeden drugiego... Dzisiaj, gdy w kandelabrach po dziesięć świec...

— Złote słowa powiedziałeś! — zawołał wzruszony pan Kapistran i serdecznie syna swego dawnego przyjaciela ucałował! — Zmieniają się czasy panie Władysławie!

— Byle się ludzie i serca nie zmieniali.

— Co to—to nie, panie Władysławie—zawołał pan Kapistran i serdecznie pana Władysława do piersi przycisnął. Gdy przy fortepianie i pod piecem te sceny się odbywały, rozmawiały damy kanapowe, między sobą właśnie o głównych aktorach.

— Co też pani sądzi—pytała pani Marcinowa swojej sąsiadki—który z nich zwycięży, czy główny bohater z pod fortepianu, czy tamten z pod pieca.

— Przy fortepianie jest zawsze przedniejsze stanowisko; pod piec idą odrzuceni—odpowiedziała sąsiadka.

— Zapewne... ale pan Kapistran coś serdecznie całuje pana Władysława.

— Słodzi mu jak może gorzką pigułkę.

— Pani Maciej owa, która zna wszystkie tajemnice, powiada, że jeszcze na dwoje babka wróżyła!

— Być może... a nawet tak być powinno!

— Co też pani mówi! Przecież taki pan Władysław nie może się mierzyć z panem Alfonssem.

— Przyznam się, gdybym miała córkę na wydaniu, możebym sama tak sądziła. Nie mając atoli żadnej osobistej pokusy do świetnych, błyszczących stosunków pana Alfonsa — wolałabym pana Władysława, który jest

człowiekiem pracowitym, niżeli tego pędziwiatra, którego na to Pan Bóg stworzył, aby jaką szlachecką fortunę do szczętu rozniósł.

— Przecież do chleba potrzeba człowiekowi stosunków towarzyskich.

— Prawda.

— Coż może być ponętniejszego dla kobiety, jak wejście w ten świat wyższy, bogatszy, gdzie dla życia przybywa tyle nieznanych jej dotąd rozkoszy!

— Wszystko jest prawdą, dla tego powiadam, że gdybym była panną, lub matką takiej panny na wydaniu, kto wie, czy nie mówiłabym tak jak pani mówi. Zbyt wiele jest wtem ponęty dla każdej młodej panny i dla jej rodziców—i dla tego to tyle ich popełnia zawsze jedne i te same błędy, mimo tak smutnych przykładów.

Sąsiadka pokiwała na to głową i na tem skończyła się rozmowa.

Było już dobrze po północy, gdy pan Kapistran nazwawszy poraz ostatni Szymka „gapą i cymbałem” wszedł ze świecą do swego sypialnego pokoju, zostawiając za progiem wszystkie troski dnia dzisiejszego. Jednej atoli troski nie mógł przeboleć. Pan Maciej, który za niego grał w preferansa, przegrał haniebnie, a to z powodu, że zawsze grał wyżej niż był powinien.

Mniejsza o kilkadziesiąt groszy przegranej — myślał sobie pan Kapistran włączając pod kołdrę—ale jeżeli ten człowiek ze wszystkim tak postępuje, to wszystko w końcu przegrać musi.

Zaledwie to sobie pomyślał, otworzyły się drzwi sypialni, a pan Kapistran w pierwszym impecie chciał już

Szymka znowu gapą i cymbałem nazwać, kiedy spostrzegł, że ów natręt tak spóźniony, nie jest rodzaju niskiego. Była to jejmość dobrodziejka w białej kacabajce, ze stoczkiem w ręku. Widok jejmości o tej porze nabawił pana Kapistrana jakimś dziwnym przestraczem. Był pewny, że w domu stało się jakieś nieszczęście, że albo w kominie sic zapaliło, albo Szymek wypił resztę wina z nieschowanej butelki. Pokojowy jednak uśmiech jejmości, z jakim próg sypialni przekroczyła, uspokoił go.

— Przecież nic się nie stało?—zapytał dla zwyczaju tylko pan Kapistran.

— Nic się nie stało — odpowiedziała z uśmiechem jejmość siadając na nogach pazia Kapistrana—ale właśnie przychodzę porozumieć się z tobą o tem, co jutro stać się może,

— Coż takiego? — ciekawie zapytał pan Kapistran, uwalniając nogi swoje z pod słodkiego ciężaru.

— Jesteś ojcem, a nic nie widzisz — przecież pan Alfons widocznie myśli o Antosi.

Pan Kapistran poskrobał się w głowę.

— Może to ot tak się wam zdaje — odrzekł, bo mu jakoś żal się zrobiło w tej chwili Antosi i... poczciwego Władysława.

— Wcale się nie zdaje. O wróblu na dachu nikt nie mówi. Wczoraj powiedział Antosi, aby rodziców na dzisiaj przygotowała, gdyż przyjedzie i z całą formalnością oświadczy się.

Pan Kapistran siadł nagle na łóżku.

— Co mówisz! — zawołał— to z Antosią już mówił o tem?

— Mówił... wczoraj przy fortepianie, gdy grała wyższą kompozycyę.

— Niech kaci biorą tę wyższość... To widać już się z nim porozumiała.

— Powiedziała, aby z rodzicami o tem mówił.

— Ba, cóż to znaczy? To znaczy, że chce.

— Nie myśl aby Antosia była taka niemądra. Taka odpowiedź jestbardzo dyplomatyczną. Znaczy ona: jeżeli rodzice dobrze obliczą...

— Coż tu obliczać? Nic nie ma—żyje na łasce ciotki. Jakże łaskę ciotki obliczyć?

— Co też ty mówisz mój Kapciu! Przecież samo nazwisko jego warte jest więcej od naszej wioski! A coż dopiero kolligacye, pokrewieństwa, stosunki towarzyskie...

Pan Kapistran poskrobał się znowu w głowę.

— Zresztą — mówiła z pokojowym uśmiechem jejmość — tu niema o co się spierać, trzeba Bogu dziękować, że takie szczęście na nas zsyła. W całym powiecie zazdrościć nam będą. Taki zaszczytny związek! Staniemy od razu tak wysoko!

Pan Kapistran ciągle skrobał się w głowę. Pokojowy uśmiech jejmości zaczął zwolna przechodzić w groźbę wojenną.

— Czego się drapiesz po łysinie, jakbyś tam miał włosy!—zawołała podniesionym głosem—tu niema nad czem się zastanawiać — mówię ci tylko, z czem jutro przyjedzie do nas pan Alfons.

— Ależ serce...

— Daj wszystkim sercom pokój, bo tu chodzi
szczęście jedynaczki i nasze. Zazdrościć nam będą! Dobranoc ci.

Pan Kapistran nic na to nie odpowiedział, bo obawiał się, aby podniesiony głos nie wywołał podniesienia rączki, jak tego nieraz doświadczał.

Smutnym okiem odprowadził małżonkę aż do progu

położył się wygodnie w łóżku, aby tę sprawę tak ważną, dobrze w głowie swojej rozebrać i na jutrzejszą rozprawę z jejmością ostro się przygotować.

J w sam czas świeczka zagasła.

Sród ciemności rozmyślał pan Kapistran nad tem, co mu małżonka powiedziała. Nocna cisza sprzyjała tej pracy, a była to praca nielada.

Nie przeczył temu bynajmniej, że takie zamążpójście Antosi byłoby świetne w opinii parafialnej, a nawet wielce pochlebiała mu myśl, że zbrata się z ludźmi, którzy dzisiaj tak niezrównanie wyżej stoją od niego. Byłaby i mina lepsza, gdyby tego lub owego Radziwiłła kuzynem się nazwało; jejmość mogłaby do woli sąsiadkom paplać o zaszczytnych związkach swoich, a jemu spadłby z głowy ciężar starania się inną drogą o te związki zaszczytne, o które zawsze napastuje go dozgonna towarzyszka życia.

Wprawdzie, przyszły zięć nie miałby własnego majątku... przynajmniej na początek, bo później spadłaby niezawodnie jaka sukcesyjka, jakto zwykle u panów fa. miljantów bywa... cóż to jednak znaczy wobec tak wiel

kich korzyści?... A Antosia — to jakby na panią wielką stworzona. Przecież gra trzy sztuki Chopina—kilka walczyków i mazurków, i do tego „coś bardzo melancholicznego”. Czyż to nie dosyć? Po francuzku zapewne także dobrze umie, jeżeli tyle się za to zapłaciło...

Takie dodatnie strony widział pan Kapistran w tej chwili, pod naciskiem owego pokojowego uśmiechu jejmości, o który mu tak chodziło.

Mimo to wszystko jakiś ukryty robak wiercił mu w sercu. Pan Władysław wychodził z pod pieca i stawał mu smutny przed oczami.

— Poczciwy, pracowity człowiek — pomyślał sobie pan Kapistran—znałem dobrze jego ojca, dziećmi znali się z Antosią i nieraz była między nimi mowa o tem, aby te dzieci razem pobłogosławić... Ojciec nie przez własną winę stracił fortunę, ale nie opuścił uszów, wziął się do małej dzierzawki, dobił się potem do większej — a syn coraz więcej pracą swoją idzie w górę. Dzisiaj ma piękną i rozległą dzierzawę... widocznie idzie w górę! Dorobi się wioski...

Taki robak wiercił sumienie pana Kapistrana i nie pozwalał mu poić się rozkoszą, której tak pełną podała mu czarę jejmość. Tam były także rzeczy piękne i pońętne, tu znowu było coś... coś, czego nawet nazwać nie umiał... co mu ustawicznie w drodze stawało...

I cóż tu zrobić, jeżeli jutro jejmość o decyzję zapyta, a pan Alfons po odpowiedź przyjedzie?

Pan Kapistran myślał i myślał, a pot kroplisty występował mu na łysinę i palił go tam jak ukropem.

Był podobny do człowieka, który nagle stanął na chwiejącej się desce. Gdy chciał iść na jeden koniec, deska pochylała się i groziła czarną przepaścią—gdy uciekał na drugi, powtarzało się to samo.

Biegał więc biedny pan Kapistran z jednego końca na drugi, szukał jakiego ratunku, ale napróżno.

Wreszcie tak się tem balansowaniem zmęczył, że siły żywotne opuściły go i mózg nad miarę zturbowany wymówił mu służbę...

Pan Kapistran zasnął.

I stała się rzecz dziwna. Kłopoty jego, które miał na jawie, przeniosły się za nim do tajemniczej krainy snu.

Śniło mu się, że stoi na desce zawieszanej w połowie nad straszną przepaścią. Deska ważyła się zrazu ku przepaści na którąś stronę uciekał.

Straszna to była męka! Pan Kapistran wołał o pomoc, ale pomocy z nikąd nie było...

Deska ważyła się coraz więcej do przepaści bezdennej, czarnej jak czeluście piekła, dolatywały go jakieś dzikie głosy, jakieś jęki i westchnienia!...

Włosy stanęły mu na głowie, pot lał się po skroniach... Wołał Boga na ratunek... deska chyliła się coraz więcej...

chwycił się paznokciami... nic nie pomogło... usunął się i spadł w otchłań bezdenną...

Wreszcie stracił zmysły i—umarł.

Dusza ś. p. Kapistrana zatrzymała się w ciele aż do pogrzebu, aby być świadkiem tego, na co człowiek za życia sobie zarobił.

Ś. p. Kapistran słyszał więc jak jejmość głośno płakała, czuł na zimnych rękach swoich pocałunek Antosi, tylko gniewał się na Szymka, że korzystając z tej powszechnej boleści, pozostałe po proboszczu wino ukradkiem wypijał...

i Widział dalej, jak mu sprawiono sosnową trumnę, bardzo lichym manszestrem obitą, jak przy trumnie postawiono dwa rzędy świec, ale dla oszczędności zaledwie parę zaświecono...

Rozczulił go sam pogrzeb, bo sąsiedzi licznie zjechali się, aby pocziwemu człowiekowi rzucić garstkę ziemi na trumnę... co gdy już nastąpiło, wymknęła się dusza ś.p. Kapistrana przez szparę wieka i zostawiając ziemi co było ziemskiego—frunęła prosto na drugi świat.

Zaledwie ś. p. Kapistran za furtkę nowego świata się dostał, zawołał go zaraz ktoś po imieniu:

— Hej! Kapistranie! Spiesz się prędko, bo brak nam czwartego do preferansa!

— Do preferansa? — krzyknął z radości Kapistran, toż tu grywacie preferansa?

I z wielkiej radości zapomniał w tej chwili o tem wszystkim co zostawił na ziemi.

Nieboszczyk, który go do preferansa zapraszał, zbliżył się teraz do niego. Kapistran nie mógł go poznać.

— Jeżeli się nie mylę — rzekł do niego — waszmość jesteś z Lubelskiego... widzieliśmy się na jarmarku...

— Jestem Aleksander Macedoński — odpowiedział z uśmiechem nieboszczyk, zawinięty w jedwabne prześcieradło—nie mogłeś mnie widzieć w Lubelskiem, wtedy bowiem gdy umarłem, Lublina jeszcze nie było.

Kapistran skamieniał...

— Aleksander Macedoński! — zawołał.
— Tak jest—odparł spokojnie nieboszczyk—jestem Aleksander, którego nazywają Wielkim.
— Taki wielki człowiek i ze mną za pan brat rozmawia!
— Jesteśmy tu wszyscy równi.
— Otoż to mi szczęście! Wszyscy równi! Hrabiowie, książęta. Kapistran i Aleksander Macedoński, wszyscy równi! Niech będzie za to Bóg pochwalony!...
Zaledwie Kapistran te słowa wymówił, trącił go ktoś łokciem pod żebro, aż o mało nie upadł. Spojrzał na śmiałka i poznał Jędrka swego stajennego, który przed rokiem na cholerę umarł.
— Chamie! — krzyknął Kapistran ze złością — czy nie widzisz kto stoi! Nie poznałeś błaznie swego dziedzica i pana?
— My tu wszyscy równi! — odparł dumnie Jędrak, pykając dymkiem z krótkiej fajeczki w sam nos Kapistranowi.
Uśmiechnął się Aleksander Wielki i rzekł:
— Nie gniewaj się Kapistranie — kiedy równość to równość...
— Rozumiem równość... ale cham, psia dusza...
— Jesteś niepoprawny i dla tego ty i bracia twoi tak długo pokutować będziecie na ziemi, dopóki o równych prawach lepszego nie nabierzecie wyobrażenia; ale „nie traćmy czasu”. Ot, tam nas już czekają!

Kapistran spojrzął za palec Aleksandra i obaczył stolik zielony, przy którym niecierpliwie siedzieli . trzej mężowie, bawiąc się kartami.

Wszyscy trzej mieli laurowe wieńce na głowie.

Jeden miał twarz wyrazistą i czoło zmarszczone, a odziany był szerokim purpurowym sukniem. Drugi był we fraku wojskowym a na głowie miał kapelusz trój graniasty, trzeci był w ubiorze cywilnym.

— Któż są ci, z którymi mam grać w preferansa; zapytał ze strachem Kapistran bo trójka coś mu się nie podobała.

— Znasz ich dobrze — odparł Aleksander. — Jeden jest Cezar, drugi Napoleon I, a trzeci Napoleon III.

— Mater Dei — krzyknął Kapistran — toż ja mam grać w preferansa z takimi wielkimi ludźmi?

— Tu są wszyscy równi; zresztą oni ciągle czekali na ciebie.

— Czekali na mnie? Cóż za interes?

— Bo widzisz... ty grasz preferansa rozsądnie, zwykle niżej, nidy wyżej... a to wszyscy zapaleńcy, którzy miary nie znają i zawsze wyżej grają nad karty swoje, które się im udziałem losu dostały. Trzeba więc kogoś, coby ich hamował!

— Proszę, proszę — odparł Kapistran — jak to się dziwnie plecie.

Tymczasem Aleksander przedstawiał go gościom.

— Kapistran — rzekł do śmiałych graczy — który często grywał preferansa, ale zawsze niżej o jedno oczko.

Wycierpiał zato wiele od Babtysty i proboszcza, ale

w końcu dobrze mu z tem było, bo nigdy się nie zgrał, ani fortuny nie zaprzepaścił.

— Szczęśliwy mężu!—rzekł Cezar podając mu rękę, który umiałeś się zawsze zatrzymać na granicy tego, na co cię stać było. My wszyscy tutaj nie byliśmy tak szczęśliwi. Nie mówiąc o sobie — wspomnę ci tylko o swoim sąsiedzie, który tak marnie musiał umrzeć na wyspie św. Heleny za to, że grał o jedno oczko wyżej niż mu należało. Nieboszczyk w mundurze spuścił wstydliwie głowę.

— Nietrudno gadać morały—ozwał się—gdy karty moje teraz znacie.

— Ale obowiązkiem naszym było znać własne karty— odparł Cezar i mrugnął na Kapistrana poufale.

Kapistran zatrzymał się wzrokiem przy trzecim.

— A to wasz dobry znajomy—mówił dalej Cezar— to bohater drugiego grudnia i Sedanu. Człowiek sprytny, niegłupi —sam powiedział raz, że najwyższą mądrością jest „wiedza granicy”, a nawet pisał mój żywot, myśląc że pisze swój własny... ale cóż ztąd? Zachciało mu się gry—grał o jedno oczko wyżej niż był powinien i cóż się stało? Zdawało się, że to gracz nie lada—o którym ziomkowie jego zwykli mówić, że: „ciągle milczy a zawsze kłamie”, dlatego z twarzy jego nikt nie mógł odgadnąć, jakie w rękach ma karty... Spozrzegli w końcu inni gracze, że gra o jedno oczko wyżej... i pobili go!

Kapistran patrzył ze smutkiem na wielkiego człowieka, który był sprytny i wszystkich za nos wodził, dopóki się na nim nie poznali, że gra jak nieprzymierzając pan Baptysta, o jedno oczko wyżej...

— Ale powiedzcie mi moi kochani — ozwał się Kapistran po jakimś czasie — jakim sposobem to się dzieje, że tu na drugim świecie wszyscy mówią po polsku? Nie byłoby zresztą nic tak dziwnego, bo jeden z naszych uczonych dowodził mospanie, że Adam i Ewa po polsku w raju rozmawiali... ale mając na względzie uroszczenia różnych innych narodów...

Rozśmiał się Cezar i odparł:

— Nie tylko ty jeden w ten błąd popadasz, ale prawie wszyscy twoi ziomkowie tak sądzą, a jeden z nich, to nawet nie dał sobie tego wytłómaczyć... My tutaj po polsku nie rozmawiamy, ale mamy jeden język powszechny, język duchów, który w uchu każdego nieboszczyka urabia się tak, jakby był jego własnym językiem. Są to tylko zasadnicze dźwięki mowy ludzkiej i nic więcej—a każdy naród słyszy w nich dźwięki swojej własnej, ojczystej mowy. Nad takim jeneralnym językiem pracowali już na ziemi ludzie uczeni, a nawet Kan suszył sobie nad tem głowę — nie doprowadził jednak nikt do tego.

— Aha!—zawołał Kapistran i zamyślił się nad uczonemi słowami Cezara.

— A teraz rozdaj karty — ozwał się znowu Cezar, i zaczęliemy.

Cezar rozdał karty, a Napoleon I, III i Kapistran zaczęli grać.

— Siedm pik! — zawołał Kapistran.

— Pomagam! — odrzekł Napoleon I.

— Contra! — krzyknął Napoleon III. I rozpoczęła się gra ciekawa.

Cezar uśmiechał się na te słowa lubelskiego szlachcica, ale nic nie powiedział. Zmienił znowu obraz. Krew zastygła w żyłach Kapistrana.

"Widział znowu nowy pałacyk zięcia—ale jakże inaczej teraz wyglądał! Przed gankiem pod kolumnadą stała ćma żydów i innych obszarpańców, a z sieni wołał jakiś urzędnik w mundurze donośnym głosem: Kto da więcej? Pomiędzy żydowskie ręce przechodziły jakieś manatki, świecące drobiazgi... ze stajni wyprowadzali inni chude kulawe chabety... a na środku dziedzińca jak pająkrzyżak w pośród swojej sieci, stał jakiś pyzaty kolonista i dumnym okiem mierzył pałac i pola rozległe, które dzisiaj stały się jego własnością...

Pan Kapistran głośno zapłakał.

— Jam tak ciężko pracowałem! — zawołał wśród płaczu—jam zbierałem grosz do grosza, a ten niecnota Alfons wszystko rozniósł na cztery wiatry! Moje drzewa rodzinne, które sadiłem własnymi rękami... wszystko w pień wytnie kolonista—zawłoka!...

I rzewnie zaczął płakać.

— A teraz popatrz na utrapienie własne! — rzekł Cezar ukazując mu inny obraz.

Była to cicha szlachecka zagroda. Wśród lip starych bielił się dworek schludny. Za dworkiem widać było drzewa owocowe, a dalej na czarnych zagonach pyszniła się kapusta pośród czerwonych buraków. Z dworku wyszedł młody mężczyzna z twarzą uśmiechniętą i zmierzał prosto w pole do żniwa...

— Panie Władysławie! — krzyknął Kapistran, aż się obaj Napoleonowie wzdrygnęli — hej Władziu! Obejrzyj się! Cezar uśmiechnął się, zwinął napowrót swoje purpurę i rzekł:

— Daremnie teraz wołasz. Władysław jest miliony mil oddalony od ciebie. Czemuż "nie wołałeś go wtedy, gdy był przy tobie?... Czemuż wtedy, gdy stał pod piecem nie powiedziałeś do niego: Chodź i usiądź wyżej. A teraz żałuj.

Władysław dorobił się fortunki—to jego własna wioska, którą niedawno kupił...

— Ach mój Boże!

— Narzekanie nic nie pomoże. Miej to sobie za naukę, że lepsi są ludzie, którzy pocziwą pracą idą w górę niżli ci, którzy własną winą na dół upadają... Dziad pana Alfonsa miał wielką fortunę i marnotrawstwem wiele z niej utracił—w jego ślady poszedł ojciec — a za ojcem syn. Już trzy generację upadały na dół co raz więcej. I ty czepiłeś się takiego upadającego człowieka? Tymczasem ojciec Władysława nic nie miał—zaczął się dorabiać — rósł dobytek coraz więcej — syn dorobił się jeszcze więcej—słowem, ci ludzie szli w górę. Czyś tego nie widział?

— Rozdzierasz mi serce Cezarze! — płakał Kapistran.

— A czegoż wtedy nie płakałeś przed żoną, gdy ci kazała grać wyżej nad to, co miałeś w kartach? To w preferansie byłeś takim wytrawnym graczem, a w stosunkach swoich domowych nie umiałeś tej samej co w grze mądrości naśladować?

Nieboszczyk Kapistran zaczął jeszcze rzewniej płakać i wyrzekać, że tak prostej rzeczy nie wiedział dawniej... gdy nagle z poza najbliższej góry wytoczyło się wspaniałe słońce... Różowa zorza przy której w karty grali, zaczęła blednąć, a coraz więcej bledły z nią cienie graczów, jakby były mgłą poranną...

"Wreszcie zbladło wszystko w około i znikło...

Kapistran przetarł oczy, aby lepiej widzieć, i —

dziwo!... ujrzał ścianę swego pokoiku—łóżko orzechowe, na którym leżał — a przez okno świeciło słońce prosto na poduszkę...

Równemi nogami wyskoczył z łóżka na ziemię... Miał jeszcze zimny pot na czole z tamtego świata.

— Mój Boże! Toż to sen był tak dziwny?— zawołał

padł na kolana, aby Panu Bogu podziękować za przebudzenie się do życia. Potem wstał, ubrał się szybko i wyszedł do komnat kobiecych.

Pani Kapistranowa zajęta właśnie była narad;; z córką, w jaką suknię na dzisiejszą wizytę pana Alfonsa ubrać się mają...

— Nic z tego nie będzie!—krzyknął pan Kapistran z takim ferworem, jakiego nigdy u niego nie widziano.— Antosia nie pójdzie za Alfonsa tylko za Władysława!

— Cóż to jest? Któż ci tak doradził? — zapytała jejmość.

— Kto? Cezar, Napoleon jeden i drugi i Aleksander Macedoński!

Kobiety spojrzały po sobie, bo myślały, że pan Kapistran zwarjował.

Jeszcze tego samego wieczora przekonały się matka i córka, że to nie była żadna warjacja lecz silna, nieprzełamana wola ojca.

Po krótkim preferansie z takimi jak Cezar, Napoleon i Aleksander Macedoński znakomitościami przybyło panu Kapistranowi tyle energii, że w końcu mimo łez i spazmów, z pomocą pana Baptysty i proboszcza, przecież na swoim postawił.

Pan Alfons dostał czarną polewkę—wkrótce zdrowy instynkt serca wziął górę nad rozmarzoną główką panny Antoniny, która wracając do dawnych wspomnień, podała rękę panu Władysławowi.

Tego dokonałpośmiertny pana Kapistrana preferans, o którym nieraz swoim sąsiadom opowiadał.

FAŁSZYWY KRÓL.

Zdarzenie sekretne IMPana Marcina Wilgi.

"W jednym z owych zakątków ziemi poleskiej, błogosławionych w lasy i moczary, dokąd to, o czym w Warszawie mówią, dopiero za lat pięćdziesiąt dochodzi, żył za panowania Stanisława Augusta szlachcic na małym futorku, którego więcej znano z imienia niżeli z osoby. IMPan Marcin Wilga znany był ongi w całej okolicy; dzisiaj, pożałuj Boże, wieść tylko po nim została. Od lat czterdziestu nikt go na oko nie widział, bo pan Marcin coś zdziwaczał i z przed oczu żyjących znikł, jak kamfora.

A słuszne też miał powody pan Marcin do takiego dziwactwa. Przed czterdziestu bowiem laty, gdy jedni szli do lasa a drudzy do Sasa, poszedł on był za Adamem Ponińskim, a kilkakrotne „Vivat Augustus” wygłoszone potężnym, gromowym głosem i poparte szeroką szablą, kosztowało go pół prawej ręki, której resztki na temblaku zawiesić musiał. Przyszedszy do siebie po tak bolesnej przygodzie, rzekł do przytomnych.

— Mości panowie! Czemże jest szlachcic bez ręki i bez szabli?

A gdy mu na to nikt nie odpowiadał i tylko wyraz kompasji na twarzach się malował, pan Marcin wziął to milczenie za smutną dla siebie odpowiedź, że już Rzeczypospolitej na nic przydać się nie może. Ze łzami w oczach pokłonił się braci, siadł na wózek i nie obejrzał się aż na kopcach swego futorka, do którego jechało się z Warszawy prostym traktem ku Litwie dni siedmnaście.

Miał więc dość czasu pan Marcin do smutnych kontemplacji. Dziwaczne myśli latały mu po głowie. Chciał zostać mnichem, a gdy mu przyszło wybierać między Kamedulą i Kapucynem, pokłócił się sam z sobą i przestał myśleć o klasztorze. Bolało go, że tak wczesnie rzemiosło rycerskie musi na bok odłożyć, a wzywając od czasu do czasu natchnienia Ducha św. aby rozum jego oświecił, począł się nad tem zastanawiać, co by to w życiu ludzkim rycerskiemu rzemiosłu najbliższym było. I gdy tak sobie to i owo w głowie rozbierał, naszła go dnia szóstego, o szóstej godzinie już przy zachodzie słońca myśl wcale nowa. Pan Marcin w tym dniu otworzył sobie nowy świat dla przyszłych dni swoich. Postanowił osiąść na małym futorku, zgromadzić koło siebie kilkunastu swoich poddanych, żyć z nimi i pracować jako brat starszy bez splamienia herbowego klejnotu, opowiadać im czasem, jak to za jego dobrych czasów w Rzeczypospolitej bywało, co to tam prawe, nieposzlakowane szlachectwo znaczy, i jak dobry król dobrym poddanym

podobne rzeczy mogły się zrodzić w głowie ośmnastoletniej dziewczynki!

— Mój Boże — mawiał skrycie do siebie pan Marcin — musi to tam bardzo źle dziać się na świecie, jeżeli tak młodym dziewczętom takie myśli i sny do głowy przychodzą.

A otworzywszy księgę św. pisma, do której dołączone było na końcu zburzenie Jerozolimy opisane przez Józefa Żydowina, czytał głośno ku zbudowaniu zasmuconej duszy swojej:

„...I były znaki na niebie i na ziemi...”

Doczytawszy jednak do końca i przekonawszy się, że we wszystkim, co się tu dzieje, widny jest palec boży, uspokoił się pan Marcin i wszystkie swoje smutki ofiarował św. Antoniemu, opiekunowi dobrego sumienia i dobrej opinii u ludzi.

Tym sposobem odzyskał znowu dawny swój pokój, zdając wszystko na woię bożą.

Ale niedługo trwał ten pokój. Czterdzieści lat mijają właśnie, jak pan Marcin bez prawej ręki samotny żywot prowadził. Dorotka miała już lat dwadzieścia. Było to jakoś w Styczniu a pan Marcin uczył nagle dreszcz w prawym ramieniu. Natarł je wódką z kamforą, ale to nie pomogło. Pierwsza jaskółka zaświegotała pod strzechą futorka, ale zamiast wiosny, przyniosła mu nowy ból, który począwszy od wielkiego palca prawej nogi poszedł przez krzyże aż do głowy i tam się zagnieżdził. Pan Marcin począł się niepokoić i dąsać, wszystko to gniewało, gderał, łajał, a po kościach jak chodziło, tak chodziło.

Wreszcie zawitała wiosna. Pola okryły się trawą, drzewa zakwitły jak mleko. Zdawało się panu Marcinowi, że i w nim coś się odrodzić chciało. Rozpierało mu serce i głowę, żyły nabrzmiwały, a gdy w nocy oczy zmrużył, stawały przed nim jakieś dziwne straszdyła, które mu spać nie dawały. Śpiewał godzinki, ludziom w dwójnasób dobrze czynił, ale obiadek mu nie smakował jak dawniej. I pomyślał sobie stary szlachcic:

— Coż się ze mną dzieje, na co mój rozum głupi. Pojadę do Brześcia, gwardyan Ojców Kapucynów to mądry człowiek, służyliśmy niegdyś w jednej chorągwi. On przeczyta mi nad głową, a zły duch opuści mnie.

Ale w Brześciu dowiedział się p. Marcin w klasztorze Kapucynów o ważnych rzeczach. Mówiono mu o sejmie, który na początku tego roku się zebrał, i o dziwnej jego herezyi przebąkiwano.

— Otoż macie! — krzyknął pan Marcin — dziwiłem się, co mi po kościach chodziło! Wszak winienem być wiedzieć, że Rzeczpospolita u każdego szlachcica jest in succo et sanguine!

I zamarzył sobie szlachcic o młodych latach i spojrzął na rękę wiszącą na temblaku. Uśmiechnął się i rzekł:

— Wszystkie te wasze historyę nie wiele mnie obchodzi. Bo cóż to, że Stolnik litewski porwany przez Konfederatów miał jeden trzewik na nodze a drugi w błocie wraz z szubą zostawił. Ja przy Augustacie III prawą rękę zostawił i coż ztąd?... Panie! odpuść im... muszę do Warszawy, a choć nie mam swady jak książdz gwardyan, trzy słowa znajdą się jeszcze w głowie starego szlachcica!

cica, wynurzając największą dla niego estymę i ukłoniwszy się grzecznie czarnoookiej Litwince.

— Tfu mospanie! — krzyknął Michna, gdy się drzwi za Włochem zamknęły — do djabła się to Włoszyako tutaj przywałęsało.

— To jakaś intryga być musi — zakonkludował po jakimś czasie Wilga.

— Tak się mi przykro zrobiło, gdy wszedł—dodali Dorota — a takie świdrujące ma oczy!...

Tymczasem Korticzelli wybiegł na ulicę, a zastanowiwszy się chwilę, zawrócił boczną uliczką na odległe przedmieście Warszawy.

Tuż ponad samym brzegiem Wisły ciągnie się szereg ładnych domków, z poza których wyglądają wierzchołki drzew ogrodowych. Do jednego z tych domków wszedł Korticzelli, a zostawiwszy wchód do pokoi na boku, zbiegł po kamiennych schodkach do ogrodu, po którym rozlegała się woń kwiatów, jaśniejących barwą majowa. Ciemny lipowy szpaler prowadził do miłutkiego pawilonu, którego okna wychodziły na Wisłę.

Z lekka otworzył drzwi. Pokój do którego wszedł, wyglądał jak świątynia sztuki. Na ścianach wisały rozpoczęte i na pół wykonane obrazy, tu kilka śmiałych pociągów pędzla tworzyły coś niewyraźnego, tam patrzyła twarz przezroczystej Na jady z pośród nałożonego tła, jak cudne na pół przerwane marzenia młodej dziewczycy. Widać, że duch artysty przeleciał po nad jakiś cudny, rajski ogród, wykradł z niego kilka ócz, kilka ramion wypieszczonych i złożył tutaj na płótnie jako pamiątkę tego, co było najpiękniejsze.

Przed sztalugą z paletą w rękę siedział młody mężczyzna. Obok niego stał drugi w stroju francuzkim i patrzył w rozpoczęty portret Wojewodziny S***, którą artysta ubierał właśnie w jakieś fantastyczne szaty Rusałki. Czy znaliście Bacciarellego? Zapewne widzieliście go, gdy był dziekanem szkoły rysunkowej. Wtedy był on stary, zgarbiony, nosił siwą perukę, długi granatowy surdut o jasnych guzikach, białe pończochy i złote knafliki u trzewików. Gderał wiele, mrucał pod nosem i nie rad o dziełach swoich rozmawiał. Ale w owym czasie, gdy do niego wszedł Korticzelli, był on w sile wieku, z błyszczącym okiem, twarz miał pełną ruchu i ognia. Zapalał się, gdy mówił, a gdy siedział z paletą w ręką przed płótnem, mógłbyś i strzelać, to cię nie słyszał. Stojący obok niego mężczyzna był młodzieńcem prawie i zaledwie mógł liczyć lat dwadzieścia. Bładej, smagławej twarzy, zarywał coś na temperament gorący, i tylko wykwintną francuzką oglądał okrywał szalone namiętności, które w jego duszy wrzały.

Pawilon ten nad brzegiem Wisły była to jedna z ustronnych pracowni Bacciarellego, które tyle mieściły w sobie tajemnic dworskich. Wiadoma bowiem była skłonność Stanisława Augusta do uwielbiania wdzięków kobiecych. Artysta umiał tej skłonności zadosyć uczynić. Wszystkie najpiękniejsze twarze kobiet warszawskich przechodziły tutaj na płótno, z kądem później w odmiennych, fantastycznych szatach szły jako Najady i Rusałki na pułapy sal pałacowych. Sale Łazienek zostaną pod tym względem historyczną pamiątką owych

czasów, a niejedyn późniejszy powieściopisarz, wprowadzając do powieści żyjące za owych czasów kobiety, może je snadno odszukać na pułapach w fantastycznym przebraniu nimf i rusałek. Najznakomitsze damy dostarczały modelów, a rozmówany w pięknych sztukach Stanisław August, patrząc na ściany pałacu, słodził sobie przykre chwile nie jednym wspomnieniem upłynionego szczęścia. Złośliwi ludzie, na których i wtedy nie zbywało, widzieli nawet w tem przenoszeniu ideałów z serca na ścianę pewne znaczenie, a „przejsć na mur” znaczyło to samo, co popaść w niełaskę. Ale nie wszystko prawda, co ludzie mówią, a dowodem tego właśnie obraz pięknej Litwinki, która z pierwszej ręki na ścianę przejść miała.

— A coż cię tu sprowadza, czarny duchu Dantego?, zapytał dwudziestoletni młodzieniec z poufałości.;

— Będzie nas trzech — odparł Korticzelli — tres faciunt collegium. A właśnie idzie mi o naradę.

— Ciekaw jestem, jakiej to rady może potrzebować Korticzelli?

— Nie mamy sobie nic do zarzucenia. Artysta, poeta
ta Ita. ...

— I... i... — pochwycił Węgierski — i ten, co stojąc po za kulisami dworu może wraz z nami powiedzieć kiedyś: finita
comedia vitae.

— Jakto? — zapytał malarz.

i — Ach! rzecz prosta — odparł młody poeta bogaty już, jak się zdaje, w doświadczenie — rzecz prosta: malarz, poeta
i dworzanin królewski przypatrują się z bliz
Zacharjasiewicz.— Nowelle.

—y no —

ka temu, co dla gminu tyle ma uroku! Malarz wie, że te piękne, cudze kształty można do złudzenia oddać na płótnie
blejwąsem i różem — poeta zaglądając do serc, prawi o skarbach, których tam wcale nie widzi, a ty,, ty Korticzelli
patrzac na to, gdy królowi brodę gołą, nie pomyślisz sobie kiedy: cette comedie quand jiniratelle?...

Złośliwy uśmiech przebiegł po twarzy poety. Ale wnet rozweseliło się jego oko, rozśmiało się głośno, a uderzając
Włocha po ramieniu, rzekł do niego: — No mówże, z czym przychodzisz: Korticzelli odmalował im żywymi fagami
wdzięki prześlicznej Litwinki. Mówił wiele o czarnych oczach, jakichby każda Rzyniianka pozazdrościć mogła, o
giętkiej, kształtnej kibici, której ruchy najwyraźniej rysowały się przez miękką, fantastyczną odzież, i prześlicznych
ustach, stulonych jak dwa różowe obłoczki, ukrywające przed rankiem jasność wschodzącego słońca. Przysięgał per
Dio i per Baccho, że jeżeli kiedykolwiek ognista wyobraźnia artysty mogła schwycić czarujące rysy leśnej rusalki, to
rusalka z borów litewskich, mieszkająca w gospodzie Rozynka, prześcignie najśmielsze marzenia. Mówił, że król
jegomość sam czuł się ugodzony strzałą Kupidyna i zapewne gniewał się w duchu, że nie jest pasterzem w borach
litewskich, chociażby przyszło mu zginąć śmiercią Akteona. W końcu wspomniał o rozkosznej siurpryzie króla, jakaby
miał z powodu widoku pięknej Litwinki, oddanej z wszystkimi swemi wdziękami na płótnie.

Gdy się entuzjazm Włocha wyczerpał, odłożył Bacciarelli pędzle i paletę, a namyśliwszy się chwilę, rzekł:

Przypisując to bojaźliwości, szepnęła jej półgębkiem, gdy się Stanisław August obrócił:

— Śmiało Dorotko, nic się nie bój — trzymaj się prosto! Nie mrugaj oczyma!

IV.

Przez trzy dni chodził pan Wilga z Dorotą do pawilonu nad brzegiem Wisły, a każdą razą był król obecny, a zawsze
łaskaw na szlacheica, który niby potulnie stał przy progu a w duchu, mospanie, wąsa sobie pokręcał. Ale czwartego
dnia padło coś szlacheicowi w oko. Król był jakoś w niezwykłym humorze, śmiało się na całe rrdło, mówił ni w pięć ni
w dziewięć, a gdy wstał z krzesła, aby Dorotkę po twarzy pogładzić, takie niepewne stawiał kroki, jak gdyby podłoga
pod nim się chwiała.

— Podpił sobie miódka na rozweselenie serca — myślał w duchu pan Wilga — biedny człowieczysko, nie najlepiej
mu na tronie! Ot i on taki człowiek jak drugi, i jemu miło, gdy po starym lipcu świat w koło niego zatańcuje.

I w samej rzeczy zdawał się cały świat w koło mniemanego króla tańcować, bo taka radość patrzyła mu z oczu, jak gdyby nie na tronie, ale na stu koniach siedział. W końcu poczęła się jakoś i miarka przebierać, co widząc Bacciarelli odłożył pędzle i paletę, i króla za przerwanie pracy unizenie przeprosił.

— Dziwny to człowiek, ten Stolnik litewski—dumał w duchu pan Wilga prowadząc Dorotkę do gospody Rozynka, przecieżby więcej należało dbać o decorum persony królewskiej. A on jak widzę...

Tu pochwycił go ktoś za poję. Obejrzał się i poznał Michnę.

— Ot dobrze, że Wasze widzę. Pójdźmy do Rozynka, pomówimy coś z sobą.

Przyszedłszy do gospody kazał Dorotce odejść do izdebki, a sam wzięwszy Michnę pod ramię, wprowadził do szynkowni, zasadził za stołem i tak się do niego odezwał:

— Widzisz Waszmość, już trzy dni jestem jakby nie swój.

— Zapewnie wędzonka... kieliszek piołónówki nie zawadzi.

— Gdzie tam! Wcale co innego!

— Może kto Waszeć kaptuje.

— I to nie, widać że o nas już dzisiaj nikt nie stoi!

— A cóż takiego?

— Ot, tylko się nie śmiejcie ze mnie, a wszystko opowiem. Przed trzema dniami przyszło do nas to przekłete Włoszysko, a przyszło nie bez kozyry. Jak zaczął mi prawić coś o sztukach łamanych, których wielkim miłośnikiem ma być król Jegomość, jak sztuki potrzebne są dzisiaj, mospanie, dla narodu, jakby to dzisiaj wszystko sztukować chciano; — jak jął mi przekładać, że Dorota ma takie same oczy, jakich właśnie potrzeba malarzowi do jakiegoś świętego obrazu, że król Jegomość sam przy tej operacyi in propria persona jest obecny i wielce

za to wdzięczny mi będzie: coż było robić Mościpanie? A, pomyślałem sobie: król tam będzie, zgada się zapewne jakie słówko, a intra parenthesesim wtrąci się i jakaś recepta dla Rzeczypospolitej, której mimo uszu przecież nie puści. Ale cóż ztąd? Oto, obchodząc rzeczy z daleka, mówiłem mu o walecznej obronie Jasnej Góry, jak mi to mój rodzic zawsze opowiadał, a mówiłem z takim ferworem, że aż się mnie samemu gorąco robiło, i cóż myślisz, że wziął to do serca? Gdzie tam! Groch na ścianę! Do dziewczki się uśmiechał i patrzył w nią jak w tęczę!

Michna pokiwał głową, potarł łysinę i splunął.

— A! za katy! — ozwał się po chwili — coż waści do głowy przyszło, prowadzić tam dziewczę?

— No, pod mojem okiem, z oka nie spuściłem...

— Ta dobrze, dobrze, ale przecież...

— Jakto? Sam król...

— A gdyby i sam Lucyper z piekła—krzyknął Michna i uderzył o stół, aż rzeźnik z Hły na drugim końcu się zbudził

—gdyby sam Lucyper przyszedł do mnie po moje dziecko, tobym go skropił, żeby ruski miesiąc popamiętał.

— No, przecież w tem nie ma herezyi, panie Michale...

— Ale zawsze rzecz brzydka mospanie, kazać dziecku siedzieć, aby bohomas z niego oczy zdejmował. A wiecie do czego to wszystko zmierza? Oto Dorotę przyklepią gdzieś nad piecem w pokojach jego królewskiej Mości, a ludzie będą o niej mówić rzeczy niesłychane.

— Ho, lio, na to nie pozwolę! — krzyknął Wilga i tupnął nogą, aż szklanki zabrzęczały.

— Nie wiecie, co za zepsucie tu w Warszawie!

Wilga spuścił głowę i zadumał się. Porachowawszy się z sumieniem, przekonał się, że źle sobie postąpił, a gdy do tego wszystkie sprawy Rzeczypospolitej, które jego uszu doszły, należycie rozważył, uznał w duchu, że nadarmo do Warszawy przybył. Zateśnił za małym futorkiem, za ciszą puszczy litewskich i złorzeczył Ojcu Gwardyanowi z Brześcia, że mu do stolicy jechać poradził.

Tymczasem zaszło boże słońeczko za kamienicę kowala Jezierskiego, a Wilga przypomniał sobie, że Dorotka sama w izdebce.

— Czy będziesz co jadła? — zapytał siedzącą przy oknie.

— Nie, kochany wujaszku, nie jestem głodna, — odpowiedziała Dorota dziwnym głosem.

— Cóż ci to jest kochanie, żeś tak osowiała?

— Nic mi nie jest, jakoś mi smutno.

— Otoż masz! — pomyślał sobie pan Wilga — nie darmo tak w nią oczy wlepił. Musiał ją urzeknąć. O dzisiaj praktykują się różne sztuczki!

I przeszedł kilka razy po izdebce, spoglądając zawsze zpod oka na Dorotę, która przez okno na ulicę patrzyła.

— No, kogóż tam wyglądasz? Król pewnie do ciebie nie przyjdzie!

Dorota zakryła sobie oczy rękoma i poczęła płakać. Zląkł się wujaszek tej sceny i naklął sobie w duchu za

nieszczęsny koncept, że do Warszawy przyjechał. I począł sobie wyrzucać:

— Tfu, mospanie! Czterdzieści lat miałem rozum, a na starość zblaźniłem. Po co mi było do tej zepsutej Warszawy przyjeżdżać! Cóż biedny szlachcic bez ręki dzisiaj pomoże? Zapewne, gangrena to prawda, ale przecież nie w całym ciele choroba. A im dalej od raka, tem zdrowsze członki. Na futorku trzeba dziś siedzieć, a nie w sejmie. Bo tam zdrowie, a tu gangrena. Tam trzeba to zdrowie konserwować, mospanie, a z tamąd wejdzie i do głowy.

Tak dumał sobie stary szlachcic, a dumał bardzo rozumnie. Spojrzawszy na płaczącą Dorotę zbudził się jakby ze snu, przetarł oczy, a patrząc ostro na nią, tak się ozwał.

— Dorotko, kukuleczko moja, ciebie ktoś oczarował!

— Odmawiam trzy razy na dzień litanię do św. Antoniego.

— Widać, że mimo tego...

— A modłę się tak szczerze, prawie zawsze z płaczem!

— To wszystko ten król...

— Jegomość król nic nie winien...

— Oho, mrugał do ciebie — widziałem... Dorotka spiekła raka i jeszcze rzewniej płakać zaczęła. Po chwili rzekła:

— Wujaszku, ja pójdę do klasztoru.

— Masz babo reduty! — krzyknął pan Wilga— nie mówiłem, że ją ci Włoszyska oczarowali... Odmów Antyfonę i litanię do św. Antoniego, połóż się na prawym boku spać, uczyniwszy wprzód na poduszce krzyż święty,

a zły duchkusiciel odstąpi od ciebie. Jutro pójdziemy do fary.

Dorota przeżegnała się kilka razy, położyła się na prawym boku, zamrużyła oczy, ale wszystko to jakoś nie skutkowało. Przed jej oczyma stał król Jegomość i mrugał do niej. Przeżegnała się jeszcze raz, nic nie pomogło.

Wreszcie zaciągnęła kilimek na głowę, ale i tam widziała pełne, rumiane policzki mniemanego króla.

I panu Wildze nie lepiej się powodziło. Wlazł pod pierzynę, nakrył się z głową, ale sen uciekał od niego. Widział Włocba, jak zęby wyszczerzał i śmiał się z litewskiego szlachcica. Nie było rady z przeklętym Włoszyskiem, zakwaterował się do niego pod pierzynę i ani go wypędzić. Spocił się stary szlachcic, przewracał się z jednego boku na drugi, a z nim razem przewracał się i Włoszysko i ciągle mu w oczy zaglądał. Wielką miał ochotę dać mu odlewany policzek, ale gdy sobie przypomniał, że to mara tylko, zreflektował się i rzekł do siebie: Sen mara, a Bóg wiara.

Jeszcze nie był domówił ostatniego słowa, gdy tuż pod drzwiami zasłyszał jakiś szelest. Odkrył jedno ucho, otworzył gębę, i zdawało mu się, że ktoś po sieni chodzi. Wkrótce zasłyszał coś niby muzykę, niby szepty jakieś. Odkrył drugie ucho i podniósł się na łóżku, aby lepiej słyszeć.

I w samej rzeczy zasłyszał teraz wyraźnie tony bandurki. Przy bandurce począł ktoś śpiewać. Pan Wilga słuchał:

...Usłysz niebianko lutni mojej dźwięki, U drzwi twych stoję — w noc ciemną; Serce me drażnią, ach! rozkoszne męki. O wyznaj, żeś mi wzajemną!...

Pan Wilga uczył, że mu włosy na głowie stanęły. Zatrzymał oddech i słuchał, czy Dorotka się nie zbudzi. Ale Dorotka, jak widać, zasnęła. Nie wiedział biedny, co począć. Tymczasem śpiewał tamten dalej:

A że cię kocham masz dowód niezbity, Patrz, twojej wzywam litości — Sen mi odebrał chłopiec Afrodyty, A rozpacz w sercu mem gości...

Już dłużej nie mógł wytrzymać pan Wilga. Wskoczył z łóżka równemi nogami, wziął żupan i maczugę i cicho drzwi otworzył.

— A tus mi przekłety sedukturze? — zawołał przytłumionym głosem, pochwyciwszy trubadura za kołnierz.

Biedny kochanek nie wiedział co się z nim stało, tak szybko odbyła się ta niespodziana operacja.

— Kto jesteś, szlachcic czy plebejusz?

— Kto jestem?... Spójrzij na mnie! — odparł trubadur przyszedłszy nieco do siebie. — Tylko proszę cię, nie rób hałasu.

Pan Wilga poprowadził go do latarni, która na środku sieni słabo się świeciła, a spojrzawszy mu w twarz krzyknął przestraszony:

— Mater Dei! król Jegomość!

I w samej rzeczy nie był to kto inny, jak ten sam król, który Dorotkę po twarzy szczypał. Miał na sobie tę samą kapotkę jedwabną w liljowe pasy, tylko peruka przy niezrecznym obejściu się z nią pana Wilgi, trochę się skrzywiła.

— Mater Dei! — krzyczał szlachcic — toż taki przykład król Jegomość...

— Mówię waszmości, tylko nie krzycz... Wilga namyślił się chwilę.

— Nie, to na sucho nie ujdzie! — zawołał — Wasza Królewska Mość musisz się ze mną rozprawić. Szlachecki klejnot, mospanie, to więcej niż berło. Omissis omissendis równa krew w nas płynie. Sedukcyja młodej dziewczyny... Stawaj Waszmość — drugi raz tak mi się nie uda...

— Co waść pleciesz....

— Co plotę, to plotę, dosyć na tem — bić się musimy... oho, miałem już dawno na wątróbce... no, prędzej, bo narobię hałasu... a decorum mospanie?...

— Wszak nie masz Waść prawej ręki!

— Prawda, prawda — zawołał smutno Wilga — przekłety Tarłowczyk! jabył go teraz za wszystkich...

Tu naklął pan Wilga Tarłowczykowi, pomyślał chwilę, lecz zwracając się nagle do trubadura rzekł:

— Otoż i ręka zaraz będzie!

Postąpił kilka kroków naprzód i zapukał do drzwi izdebki.

— Michale! prędko, weź Waść szablę.

— A to na co? — zapytał przebudzony szlachcic.

— Bić się będziesz.

wszystko to na nim takie zrobiło wrażenie, że i trzech zliczyć nie umiał. Począł coś przebąkiwać, że był trochę przy fantazyi, przeproszać, ale stary Wilga o niczem słyszeć nie chciał, tylko sapiąc ze złości, wziął Dorotę za rękę i do izdebki wprowadził. Resztę odłożył do jutra.

Gdy już był trochę przyszedł do siebie, zapytał Michnę o tegoż Ruścinowskiego.

— Niema co mówić, walny chłopiec — rzekł do Michny — na mojej Turczyńce poznał się od razu. Aż mu się oczy zaiskrzyły... tego nią wywijają... ot głupstwo... pustota młodzieńcza... ale mnie starego tak w pole wywieźć... nie daruję, nie daruję...

— Wujaszku kochany... — płakała Dorota, a serce jej czegoś się radowało....

Była to może pierwsza kobieta, która się z tego cieszyła, że jej kochanek nie jest — królem.

Jakoż i słusznie się cieszyła. Za cztery bowiem tygodnie klęczała na stopniach ołtarza i.... jak stary obyczaj kazał, płakała serdecznie za swoim wiankiem.

Wilga przebaczył Ruścinowskiemu i oboje zabrał na swój futorek.

— Warszawa — zwykł mawiać — to już dzisiaj nie dla szlachcica. Jego posterunek, mospanie, na wsi, przy pługu.

Tam jeszcze zdrowie, tam nadzieja, tam rola przyszłych plonów. Tylko nie szumno, ale jak Bóg przykazał, z bliźnim po chrześcijański A każdy nasz bliźni, i wielki i maluczki. A na wszystko resztę trzeba powiedzieć: Bądź wola twoja, jako w niebie tak i na ziemi!

I dotrzymał słowa poczciwy szlachcic. Stał się znowu rozmownym, odwiedzał szlachtę, prawił jej o dawnych czasach i zdarzeniach, ale o pojedynku z królem nigdy nie wspomniał. Michna tylko razu jednego wygadał się, gdy go pan Ruścinowski w kumy zaprosił i po staremu ugościł.

KONFEDERAT.
Zacharjasiewicz.— Nowelle.

Jadae ze Lwowa ku zachodowi, za dzień drugi stajemy na popas w małym, ubogim miasteczku. Biedne, pochylone domki i pokrzywione dachy okazują, że miejscina strasznie się postarzała i podupadła. "Wprawdzie tu i ówdzie bieleje domek z cegły, płaskim nakryty dachem, ale to nie jest domek dawnego polskiego mieszczanina, to dom propinatora lub liweranta szutru, albo siedziba starego, pensyonowanego wojskowego. Pierwotni tego miasta mieszkańcy przenieśli się powoli na cmentarz za mały kościółek, reszta zbiedniała i wynędzniała.

Kilkaset kroków za cmentarzem widzisz kupę rozsypanych gruzów i przegniłych belek. Dzikie zielsko porosło te gruzy, a zapadły loch okazuje, że dawny mieszkaniec tego domku prócz głównych potrzeb życia myślał także i o wygodzie. Miejsce to podziśdzień nazywa się Konfederatówka, a kronika małego miasteczka opowiada o niem dziwne rzeczy.

Przed stu prawie laty mieszkał tu szanowany powszechnie mieszczanin, Szymon Radysz. Dawniej miał

dom w samym mieście, ale licho jakieś napadło go, sprzedał dom i za cmentarzem, daleko od miasta, wystawił sobie chałupę i płotem dokoła ogroził. Różnie sobie w mieście tłumaczono te fantazy Radysza. Jedni mówili, że Radysz, który był bednarzem z rzemiosła, wycinając razu jednego łoży na obręcze za cmentarzem, trafił na skarb zakopany i aby tem dogodniej dalsze pod ziemią robić poszukiwania, kupił grunt i na nim dokoła się ogroził. Inni znowu podejrzali wali bednarza o mniej szlachetne zamiary. Za cmentarzem ciągnął się szeroki parów zarosły odwiecznie krzakami leszczyny. Leszczyna należała do dziedzica wsi pobliskiej. Otoż, aby tem dogodniej zaopatrywać się bezpłatnie w dobry bednarski materiał, wybrał sobie Radysz to ustronie na mieszkanie, z którego miał do parowu czynić nocne wycieczki.

Czy tak czy owak ludzie mówili, zawsze jednak było coś w tem prawdy, bo chudy i bladej nigdy bednarz zaczął czerwienić na twarzy i tuszę przybierać, a nawet sprawił sobie siwe futro z krymskich baranów, jakiego nawet i cechmistrz żaden w mieście nie miał.

Podejrzenia sławetnej rady miejskiej musiały węższe dojść do uszu bednarza i mocno go zmartwić, bo od niejakiego czasu zerwał wszelkie stosunki z miastem a nawet cechem, i tylko na ręce młodszego brata cechowego składał dwa dukaty w złocie holenderskiem na ofiarę św. Szymona Judy, patrona cechu. I stało się, że co pierwiej tylko półsłówkiem do uszu sobie szeptano, powtarzano teraz głośno na radzie miejskiej, a mianowicie na każdej stypie, kiedyto człowiek mimowoli o sprawę z sumieniem trąci.

Mimoto miał Radysz powodzenie w całej okolicy.

Jego obręcze były łykowane a giętkie jak rozpalone żelazo, jego beczki i cebry słynęły na jarmarkach w okręgu pięciu mil. Ale w miarę tego, jak się towar jego między ludzi coraz więcej rozchodził, tem mniej miał bednarz znajomych i przyjaciół, a w końcu ujrzał się tak osamotnionym jak lipa przy drodze. Nikt do niego nie przychodził, w drodze nikt go nie pozdrawiał ani nawet „pochwalony” nie powiedział. Bednarz zaczął znowu blednąć na twarzy, brzuch mu spadł, a siwe futro jakoś poszarzało. I mówili znowu ludzie między sobą na stypie, że złe sumienie wysysa tłuszcz z człowieka i czyni go chudym jak deska.

Walenty Serdak, szewc z profesyi, który najbliżej bednarza mieszkał, opowiadał co Piątek zgromadzonym w szyneczku mieszczanom, że u jego sąsiada jakieś dziwne dzieją się rzeczy.

Razu jednego odmawiając wieczorem Anioł Pański jakoś mimowoli zaszedł aż do płotu, który odgradzał szerokie podwórze bednarza. I mimowoli rzucił okiem przez dziurę w płocie i obaczył ogromne stopy wystruganych drążków, które bednarzowi do niczego nie są potrzebne. A gdy w nocy przez okno wyglądnął, aby obarczyć, czy już węgiarka świta, ujrzał przed domem u bednarza kilka latarni, które tu i ówdzie się kręciły, a gdy ucho nadstawił słyszał wyraźnie, że kilka wozów z podwórza wyjeżdżało, a przy tem coś niby szabla brzęczało.

— Ze tam coś niechrześcijańskiego się święci, dałbym za to dwa zęby wybić — zawołał Mateusz Piróg,

nieprzyjaciel i współzawodnik Rady sza. — Bo i cóżto, święty Antoni, alboto moje obręcze gorsze czy co? Każdą z nich jak strunę opaszę w koło palca, a jak opaszę beczkę to i sam lucyper jej nie rozbije! święty Antoni...

— Mówicie kumie jak z kantyczek —odparł Serdak, ale gdybyście widzieli i słyszeli co ja widzę i słyszę...

Piróg pokręcił ucho z radości, kazał dać nową kolej i przysunął się do szewca, aby go z całą uwagą wysłuchać. Oblizal się od ucha do ucha na samą myśl, że wykrywszy jakąś niesłychaną zbrodnię przed radą miejską, będzie mógł pozbyć się swego współzawodnika w kunszcie bednarskim.

— Bo to widzicie, kumie—prawic dalej do szewca— nasze miasto to jakby zgraja łotrów i rozbójników. Węgrzynek, co to w wilią Matki Boskiej złamał mi dwa żebra, to szubienik. Mówią, że żyda jakiegoś zabił i pieniądze po nim chapnął. A ten Drawicz, co to taki ogromny brzuch niezasłużenie przed sobą nosi (na sam święty Jędrzej sprawę z nim przegrałem), to urwipoleć jakich mało. Mówią... ale co mi do tego! A Damian Szeląg, który dwa cale z mego gruntu mi ukradł, a miasto mimo to zasądziło mnie na kosza procesu, ten Szeląg... to włosy na głowie stają, kumie—włosy na głowie stają! Jakem Piróg!

Szewc pokiwał głową i uśmiechnął się, jakby chciał mówić: Wszystko to niczem jeszcze, wiem ja coś więcej o Radyszu! Piróg zrozumiał uśmiech Serdaka, oblizal się jeszcze raz, a chcąc szewcowi język rozwiązać, prawil dalej:

— Święty Antoni! albo familja Mruków, która mi posag pierwszej żony zabrała, to sami złodzieje. Ich wielki przyjaciel i opiekun, sławetny pan Łaskota, który cztery razy był wójtem, a w sam dzień św. Michała z izby sądowej za drzwi mnie wypchnął, to niech o nim nic nie mówię, bo nikt wierzyć nie będzie. Niktby nie pomyślał, że tak przyzwoity i tłusty obywatel miasta ma pod kapotą djablą duszę... ale później o tem...

I tak dalej prawil Piróg, a szewc pił jedną szklanicę po drugiej, mrugał siwemi oczyma do swego przyjaciela, a gdy już czupryna trochę mu się rozgrzała, potarł ręką po czole i rzekł:

— To wszystko nic, panie Mateuszu, ale Radysz... ohoho! Radysz...

— Domyślam się — wtrącił z radością Piróg — ten parów za cmentarzem...

— Ohoho!.. parów — dodał szewc i sięgnął po szklanę.

— Mówią, że niegdyś w tym parowie zabito kogoś.

— Ohoho! jeszcze gorzej.

— Święty Antoni!... a Radysz wygląda tak... tak.. Szewc wytrzeszczył na bednarza siwe oczy i zamilkł.

Piróg kręcił się na stołku z niecierpliwości, a szewc jak patrzył tak patrzył.

Po chwili daremnego oczekiwania trącił Piróg szewca łokciem i szepnął mu do ucha.

— Możebyśmy przeszli do alkierza, tu ludzie słuchają.

Szewc kiwnął głową a Piróg wzięwszy obie szklanice do ręki, poprowadził przyjaciela do wąskiej, ciasnej komórki na poufną pogadankę.

Obejrzawszy się w koło jak człowiek, który wielką tajemnicę ma na sercu, zaczął Serdak:

— Już to od roku dzieją się u mego sąsiada dziwne rzeczy, którychby nikt nie chciał wierzyć.

Piróg przysunął się do szewca.

— Zaraz jak tylko śnieg stajał — ciągnął dalej szewc — wybrał się Radysz w drogę i aż dwa tygodnie bawił. Potem powrócił i nic nikomu ani słówkiem o tej podróży nie wspomniał.

— Ale wy przecież wiecie — przerwał bednarz.

— Gdzie tam, j ak w rogu nic nie wiem! — odparł szewc popijając ze szklanicy.

Piróg skrzywił się na takie opowiadanie szewca, a widząc, że przyjaciel jego znowu wargami ruszać zaczyna, słuchał go dalej z wyrazem największej ciekawości.

— Razu jednego — ciągnął dalej szewc — w niedzielę po niesporach poszedłem sobie ponad wodę, aż wtem coś koło mnie mignęło i chyłkiem prosto do Radysza pobiegło.

— I cóż to było ? — zapytał w pocie czoła bednarz.

— Był to wieprz tłusty z czarnym płatkim na grzbiecie, tak... dwuroczniak—odparł szewc popijając ze szklanki.

Wprawdzie wieprz ten nie należy do rzeczy, ale zwróciwszy moją uwagę...

— I cóż dalej?—zagadnął niecierpliwiony bednarz.

— Bo to widzicie, kumie, przy tłustym wieprzku przypomniałem sobie, że mielnik Stefko obiecał mi zemleć ziarno do karmienia prosięcia, które na św. Judę kupiłem. Otoż przypomniawszy sobie to wszystko puści

łem się do mielnika, a że to już był późny wieczór, więc nie szedłem ścieżką przez cmentarz, ale wygonem po nad wodę. W młynie zastałem Stefka i dziesięcioro dzieci jego, a pogadawszy z nim to i owo zabierałem się właśnie do wychodu, gdy do młyna wszedł żyd z długą siwą brodą i siwymi pejsami.

Piróg zagryzł usta z niecierpliwości. Szewc tymczasem wycedził do dna szklanicę, a dając tym sposobem do poznania swemu przyjacielowi, że mu w opowiadaniu gardło wysycha, odchrząknął i mówił dalej:

— Zrazu myślałem, że to Abraham z Koniowa, ale gdy dobrze mu się przypatrzyłem, okazało się, że to żyd wcale obcy, który przyjechał mleć pszenicę na mace. A że to jest rzecz każdemu znana, że w takim razie łapią żydzi tłustego dzieciaka i krwi mu nieco upuszczają...

— Święty Antoni! — krzyknął bednarz —już się wszystkiego domyślam! Radysz temu żydowi dał dziecko na zabicie! Zbrodnia, święty Antoni, niesłychana zbrodnia! To gardłem pachnie!...

— Hola, hola kumie — zawołał szewc — tego ja nigdy nie mówiłem, bo nic o tem nie wiem. Tylko to właśnie przyszło mi na myśl, gdym owego żyda obaczył i nawet mielnikowi szepnąłem do ucha na pół z żartem, aby na swego Wojtka uważał, bo nie przymierzając chłopiec jak prosię! A on mi na to:

— Nie bójcie się, i sam Radysz nie złapie go, choć mówią, że z djablem ma spółkę.

— Wiesz, Radysz łapie dzieci i żydom sprzedaje... cedził niby od niechcenia Piróg.

— Czy łapie, czy nie łapie, już ja tam tego nie wiem — mruknął szewc nie kontent z próżnej szklanki— ale, że to mielik powiedział, na to moge dwa palce do góry podnieść i ukrzyżowanego Chrystusa pocałować.

— I coż właściwie wiecie o Radyszu — zapytał bednarz — który począł się obawiać, że jego przyjaciel nic a nic o Radyszu nie wie.

— Com wiedział, tom powiedział i kwita — odburknął Serdak, nienawykły rozmawiać na sucho. Alboż to nic, co mielnik mówił, hę? A żyd stary, z długą siwą brodą, to nic, hę?... a wieprz z czarnym płatkim na grzbiecie, to także nic, hę? Szkoda do was gęby Mateuszu, czas się straciło i w gardle sucho!

Rzekłszy to wysunął się szewc z alkierza, a Piróg nawet tego nie spostrzegł. Zawiedziona nadzieja usłyszenia czegoś nadzwyczajnego popsuła mu humor i wprawiła go w czarną melancholię. Już od kilku lat przemyślał nad tem, jakimby to sposobem pozbyć się straszego swego współzawodnika, który chleb mu odbierał.

Wszystkie jednak praktyki nic nie pomogły. Napróżno w cechu i przy każdej stypie prawił o złych ludziach, którzy biednemu człowiekowi na świecie żyć nie dają, napróżno nakładał na Rady sza największe składki, gdy był podcehmistrzem, nareszcie czernił go i ogadywał jako człowieka bezbożnego; wszystko to nic nie pomogło, Radysz z każdym targiem miał większy odbył, a konewki i beczki Piroga rozsychały się i ciekły.

Spostrzegł wreszcie bednarz, że szewc z alkierza się wysunął.

Jakkolwiek nic się od niego nie dowiedział, coby jego współzawodnikowi zaszkodzić mogło, tajemniczy jednak sposób mrugania szewca, gdy o Radyszu mówił, utwierdzał go w przekonaniu, że u Radysza dzieją się wprawdzie rzeczy niestworzone, o których jednak Serdak nic powiedzieć nie chciał. W okamgnieniu przyszła bednarzowi szczęśliwa myśl do głowy.

Postanowił sam zakraść się pod okna Radysza i na własne oczy obaczyć to, co w rozognionej miódkiem fantazyi już jasno widział. Napiwszy więc jeszcze na ochotę z pierwszym lepszym powróznikiem, który mu się pod rękę nawinął i wybiwszy żonkę, która już zmrokiem po niego do szynku przyszła, wyszedł tylnymi drzwiami z alkierza, aby jak najprostszą drogą udać się poci okna Radysza.

Z poza stodoły Mikołaja Stopy wychylił się księżyc, a że była pełnia na niebie, to świecił Pirogowi jasny i duży jak dno od beczki. Mrucząc sobie coś pod nosem i wymachując rękami szedł bednarz śmiało i odważnie wążką uliczką poza ogrodem Bartosza Szapki. Przyszędłszy do cmentarza zrobiło mu się jakoś ckliwo. Na cmentarzu okazują się zazwyczaj złym ludziom duchy i biorą ich z sobą do grobów. Jakby mrowie przebiegło przez pacierz bednarza zacząwszy od wielkiego palca aż do łysiny.

Zatrzymał się chwilę a nawet wytrzeźwił trochę ze strachu.

Do tego jeszcze samym środkiem cmentarza szło coś czarnego. Bednarz przycupnął do ziemi i już chciał

drapnąć do żonki, gdy mu nagle na myśl przyszło, że duchy zazwyczaj bialo chodzą, a tu coś niby w czarnej idzie kapocie. Ciekawość jego wzięła górę nad bojaźnią, gdy obaczył, że ta czarna postać prostą ścieżką zmierza do domu Radysza. Nabral więc ducha i kilkoma susami dopadł krótszej drogi przez zarośla.

Księżyc podniósł się tymczasem na niebie i zmalął jak krążek od faski. Bednarz przedzierał się przez krzaki jak mógł najciszej, a podwinąwszy poły kapoty przeskoczył wreszcie głęboki rów i stanął na wygonie, który prosto prowadził do zagrody Radysza. Zaledwie bednarz odsapnął i poły kapoty na dół spuścił, gdy nagle usłyszał za sobą jakby brzęk

szabli. Obrócił się więcej ze strachu jak z ciekawości — zdawało mu się, że włosy wyrosły mu z łysiny i kołkiem stanęły do góry.

Ta sama czarna postać, którą widział na cmentarzu stała tuż za nim.

Był to żyd chudy, wysoki, z długą białą brodą i długimi pejsami, kubek w kubek taki sam, jak go Serdak widział we młynie. Najokropniejsze myśli przebiegły przez łysą głowę bednarza. Nogi zachwiały się pod nim, zęby dzwonić poczęły. Do tego niby od niechcienia odwinął żyd poły kaftana, a długa, zakrzywiona szabla błysnęła do księżycy. — Kto jesteś i czego tu chcesz?—zawołał żyd wcale nieżydowskim akcentem.

Bednarz chciał w tył skoczyć przez rów i dostać się do leszczyny, ale nogi zdrętwiały pod nim. Nie ruszył się z miejsca.

— Kto jesteś, gadaj! — powtórzył żyd tak czystym polskim akcentem i tak jakoś po polsku przyłożył rękę do szabli, że bednarz mimo to, iż był prawym katolikiem, zgiął się we dwoje i żyda za kolana ułapił.

Sławetny i wielmożny panie — bełkotał w strachu — ja jestem Mateusz Piróg, bednarz z profesyi, obywatel tego miasteczka, który ot tak wyszedłszy z domu, bo mam złą żonkę, i aby jej pasyi nie dać powodu... wyszedłem ot tak dla świeżego powietrza...

Żyd zaśmiał się głośnym, szczeropolskim śmiechem, aż mu siwa broda z jednej szczęki oderwała się. Bednarz prosił w duchu Boga, aby się ziemia pod nim rozstała, ale ziemia była twardą jak opoka, musiał stać i oko w oko patrzeć na tajemniczego żyda.

— Nic po katolicku kłamiesz, Mateuszu Pirogu — zawołał wśród śmiechu nieznajomy, poprawiając fałszywej brody — ty o tym czasie tu w tym parowie... oho! ptaszku, nie wywiniesz się z łapki...

Bednarz poskrobał się w łysinę, aby jaki szczęśliwy koncept z niej wydobyć i rzekł po chwili:

— Znają mnie tu wszyscy ludzie, byłem przez dwa lata podcehmistrzem, ożeniłem się po raz drugi z Małgorzatą, rodzoną siostrą byłego naszego cechmistrza sławetnego Mikołaja Kryłosa, który ma dwa domy w samym mieście i jest najgrubszym obywatelem miasteczka...

— Oho! — zaśmiał się znowu nieznajomy i sięgnął ręką pod kaftan, gdzie była duża zakrzywiona szabla.

— Zna mnie nawet ojciec gospodyni z pod Opatrzności w Jarosławiu — mówił dalej bednarz — robiłem dla niego na wino trzy beczki z suchej dębiny i napuszcza

łeni nawet dęgi siarką, jak to żaden bednarz ani nawet Jakób z Krakowca nie potrafi, ani nawet Radysz, który niezasluzenie ma reputacya najlepszego bednarza...

Nieznajomy zaśmiał się, przez co wprawił bednarza w tak wielką konfuzyję, że gębę zamknął i stał jak niemy. Widząc to nieznajomy wziął go za miarę i rzekł łagodniejszym już głosem:

— Po twoich nocnych wycieczkach w tym dzikim parowie widzę, że jesteś duch niespokojny, a takich mi właśnie potrzeba...

— Święty Antoni! — krzyknął bednarz — jam najspokojniejszy obywatel w całym mieście! Mógłbym być wyprocesować majątek po pierwszej żonie mojej, ale dla miłego spokoju zrzekłem się. Sąsiad wlaź mi w grunt, dla

milego spokoju posunąłem się. Krewny mojej żony w uroczyste święto wypchnął mnie za drzwi, dla milego spokoju nie zaniósłem żadnej skargi. Jam człowiek najspokojniejszy!...

— Szczerze twoja podoba mi się, choć czuję pod ręką, że jesteś djabelnie tchórzem podszyty i drzysz jak osika.

Powiedzże mnie, mój ty Mateuszu Pirogu, costąłowi na ziemi całe szczęście twoje?

Bednarz poskrobał się w głowę. Nieznajomy przyszedł mu w pomoc.

— Nieprawdaż, że tłusta pieczeń wieprzowa i baranina duszona?

— Szpikowana czosnkiem i młodą słoninką, sławetny panie — wtrącił ośmielony bednarz.

— I kufel miodu na to, nieprawdaż?

— O święty Antoni! — krzyknął bednarz oblizując się od ucha do ucha, toby już były specjały...

— Nim tych specjałów dostąpisz — rzerwa mu nieznajomy śmiejąc się głośno, aż się po parowie rozlegało — muszę cię pierwej pasować na szlachcica, bo jak szlachcicowi tak i każdemu dzisiaj człowiekowi, najświętszą rzeczą w życiu powinna być — ojczyzna.

Rzekłszy to wyłamał dość sporą gałąź leszczyny z poblizkiego krzaku i przeciągnął nią bednarza od łysiny aż do bioder.

Bednarzowi zrazu dech w piersi zaparło, ale widząc, że nieznajomy drugi raz się zamierza, jednym susem przesadził fosę i zniknął w krzakach.

Wyszedłszy po jakimś czasie na brzeg parowu, widział na własne oczy, jak ów żyd wchodził do zagrody Radysza.

— Banda rozbójników! — pomyślał sobie Piróg — a Radysz hersztem!

I chyłkiem pobiegł do miasta, aby nazajutrz rano całą tę sprawę przed radą miejską wytoczyć, a w razie potrzeby nawet ów kij fatalny w jak najwierniejszeni odbiciu na grzbiecie okazać.

Podczas, gdy Mateusz Piróg pod ciepłą pierzyną różne sobie o tem zdarzeniu układał relacje, które dnia jutrzejszego szanownej radzie miasta miał przedłożyć, na dębowej ławie u Radysza siedział ów mniemany żyd, ale tak się jakoś odmienił, że niktby go nie poznał. Nie miał ani pejsów, ani brody siwej, był czerstwy i rumiany na twarzy, a czarne w górę podkręcone wąsy sięgały aż gdzieś do uszu. Ubiór jego składał się z ceglatego

zupana, z boku wisiąca ta sama krzywa szabla, która przed chwilą takim strachem nabawiła biednego bednarza.

Po drugiej stronie stołu, oparty na rękach siedział gospodarz. Był mężczyzna w sile wieku, postawy atle tycznej.

Czarny, kędzierzawy włos i błyszczące oko znamionowały człowieka przedsiębiorczego. Na stole między siedzącymi stał dzban polewany, z którego kolejną szklanką rozmowy popijali. Koło pieca na ławie siedziała staruszka. Stojące koło niej kule świadczyły, że biedaczka albo była kaleką, albo na starość na nogi zaniemogła. Twarz jej była żółta jak pergamin, oczy patrzyły w słupek bez blasku i życia a sine pomarszczone usta szeptały pacierze.

Gospodarz szklanką w ręku rzucał często smutne spojrzenie na ławę pod piecem, a po każdym takim spojrzeniu

zdawało się, że wpadłszy w zamyślenie nie słyszy mowy swego gościa. Ten zaś popijając z dzbaną prawil nieustannie.

— To wszystko drapichrusty, zaledwie rękę na nim położyłem, a już zadrżał jak przed cerulikiem! Kołtun jak wszyscy jemu równi i basta. Spać pod ciepłą pierzyną, rano kufel piwa ciepłego z serem, sztukę wieprzowiny i kołacz

pszeniczny—to u was wszystko! A jak się zowie Piróg! cha, cha, cha!—to prawdziwy piróg. Kapuściana dusza zawinięta w tym piroguL.

— Czy się zwie tak lub owak — zawołał gospodarz podnosząc głowę i wstrząsając czarnymi kędziorami — czy się zwie tak czy siak, to przecież może być tak dobry, poczciwy i butny, jak każdy inny!

— Hola mości Radyszu! — odparł gość — już to ani Piróg ani Kapusta nic wielkiego nie dokazą. Ja każdego dnia, gdy wstaję i pacierz mówię, dodaję w końcu te słowa: Marcinie, pamiętaj, że się zwiesz Popiel, a chociaż masz tylko pół włóki gruntu, to przecież musisz tak żyć czysto i uczciwie, jakbyś był królem polskim. Bo musicie wiedzieć, że Popielowie to familia królewska.

Bednarz machnął ręką i rzekł:

— Znałem ja i z waszych wiele nieuczciwych ludzi. Ot na przykład Jakób Zawilla z Dąbrowy...

— To być nie może — przerwał mu Popiel — Jakób Zawilla z Dąbrowy, (którego wcale nie znam) jeżeli jest urwipołciem, to pewnie nie szlachcic, ale jakiś wręt lub żydowin, a przynajmniej z matki Tatarki... albo...

— Panie Marcinie — rzekł bednarz, kładąc na ramieniu szlachcica szorstką, spracowaną rękę — wiem ja mości Popielu, że każdy z was, co to tam w skrzyni jakieś papiery po ojcu chowa, jest butny i pyszny i na człowieka z góry patrzy. Wiem ja, że Piróg i wielu innych mieszczan nie są jak byli święci, o których w niedzielę w tej dużej książce czytam. Ale wam przecież nie godzi się wygadywać...

— Wy Szymonie jesteście człowiekiem uczciwym — przerwał Popiel — ale nad swoją uczciwość nic nie rozumiecie.

— Czegóżbym nie rozumiał? — zapytał bednarz.

— Wasze całe szczęście jest tłuste podgardle wieprzowe i kiszki z kaszką — ciągnął dalej przybyły.

Zacharjasitwicz. — Nowelle.

Bednarz ścisnął pięść i roziskrzonym okiem rzucił na mówiącego. Popiel jakby tego nie widział. Sięgnął po dzbanek i spory haust z niego pociągnął.

— "Wasz brzuch jest waszym Bogiem — mówił dalej nie zmieniając tonu — toż chodujecie go, jak arbus na grzędzie, aby był duży i tłusty jako wieprz karmny. A my, mości Szymonie, my, co to w skrzyniach papiery mamy po ojcach, jesteśmy zawsze gotowi nadstawić karku za Rzeczpospolitą i króla, a nawet dać sobie brzuch na wskroś rozpruć.

— Gdyby tego potrzeba było — mruknął bednarz — to każdy człowiek poczciwy mógłby to samo zrobić.

— Ba! — przerwał mu Popiel — gdyby tego potrzeba było!... Wy naprzód w waszej radzie miejskiej musicie długo radzić, czy potrzeba, czy niepotrzeba, a w końcu okaże się zawsze z narady, że niepotrzeba!

Bednarz spuścił głowę i zadumał się. Popiel tymczasem wypróżnił dzbanek, a ukroiwszy spory kawał chleba, który na stole leżał, posypał go solą i najspokojniej sobie zajadał. Po niejakiem czasie odezwał się znowu:

— Ej co tam nad tem myślicie, tak jakbyście co dobrego wymyślić mogli!... Już to co ja wam powiem, do waszej głowy nie przypadnie! Wasze miejskie głowy wyłysiały pod baraniami czapkami, ale głupiuteńkie jak dynie!

— Marcinie, gdybyście nie byli w moim domu i z mego dzbanu... — przerwał mu groźnie gospodarz.

— Tylko jedną rzecz pozwólcie sobie powiedzieć: Czy miłujecie wy matkę waszą?

Bednarz spojrział na ławę pod piecem, a jego oczy napełniły się łzami. Jakieś dziwne wzruszenie owładnęło go wśród rozmowy z swoim gościem.

— A jakżeby nie miłował — odparł — toż ona jedna na świecie mi została.

— Otoż każdy z naszych — odparł potomek królewski — ma oprócz swojej matki jeszcze druga matkę, którą więcej miłuje od pierwszej. A wiecie kto jest ta matka nasza?

Bednarz podniósł głowę i z ciekawością patrzył na Popiela. Ten wstał i rzekł z emfazą:

— Ta druga matka nasza jest ojczyzna, Rzeczpospolita, którą każdy prawy szlachcic usque ad finem miłować w dobrej i złej doli, i bronie własną krwią a nawet życiem jest obowiązany, jak to mówi Rej z Nagłowic... Otoż tego wy nigdy nie zrozumiecie, wy którzy jecie co niedziela kiszki z kaszą i tłuste podgardle wieprzowe....

Bednarz wstał szybko i kilka razy przeszedł się po izbie. Potem zwracając się nagle do gościa, rzekł:

— A czy dobre były drzewca do lanc, które przed miesiącem do marszałka wyprawilem ?

— Drzewca były doskonałe i zawiędłe jak być powinny. Próbowaliśmy je teraz z Puławskim pod Lwowem na regałach, za dwa tygodnie spróbujemy na innych. Przechodząc znowu tędy zdam wam relację...

— Wy nie wiecie co ja myślałem sobie strugając te drzewca? — przerwał mu bednarz żalnym głosem.

— Cóż takiego?

— Ot tak, gdyby to ja, w takiej jak wy macie konfederatce, mogł siedzieć na koniu i kłuć wroga psia wiarę...

— Zachciewa wam się nie swoich rzeczy — odburknął Popiel.

— Co, nie swoich? — krzyknął bednarz i pięść podniósł do góry, ale wnet opamiętał się i z głową zwieszoną siadł na ławie.

Tymczasem zjadłszy spory kawałek chleba wstał Popiel i rzekł:

— Komu droga temu czas. Mam ważne rzeczy zawieść do Lublina, a tu gotowi jeszcze schwytać człowieka. U was to każdy mieszczanin za kwartę gorzałki sprzedałby mnie.

Biorąc na siebie kaftan żydowski i przywiązując brodę mówił dalej:

— Za gościnę niech wam Bóg zapłaci — a drzewca macie zapłacone.

I chciał już podać rękę bednarzowi na pożegnanie, gdy ten raptem skoczył z ławy i kontent jak człowiek, który nagle dobry koncept schwytał, ózwał się do gościa:

— Na to nigdy nie zezwolę, abyście chałupę moją opuścili nie wypiwszy ze mną miodku, który ma lat dziesięć! Proszę was, usiądźcie, a ja zakręcę się koło wieczerzy.

Królewski potomek obliżał się na wspomnienie piastowskiego napoju, zrzucił pejsy i brodę, i zasiadł znowu na dębowej ławie.

— Wprawdzie mam jeszcze kawał drogi przed sobą, mówił drożąc się.

— Wyprowadzę was na ścieżkę, która jest dwa razy krótsza od zwykłej drogi — uspakajał go bednarz a w oczach jego błyszczało coś szyderskiego.

— Pójdę nocą — rzekł Popiel — a z poczciwym człowiekiem, którego szkoda na mieszcucha, warto jeszcze pogawędzić i z gąsiorka łyknąć.

Bednarz zapalił łucztywo i poszedł do piwnicy po ten dziesięcioletni gąsiorek. Popiel obmacał gąsiorek, powąchał i przyznał, że w całej Popielówce niema podobnego gąsiorka. A gospodarz dogadywał szlachcicowi, nalewał kubki, a starej Maruszcze nakazał przyrządzić kielbasę z kwaśnym sosem.

Wkrótce buchały białe kłęby z dużej na stole postawionej misy, a woń czosnku i octu rozchodziła się po izbie. Popiel chwalił kielbasę i popijał miódka a bednarz opowiadał mu z dziwnym wyrazem w oczach różne przygody swego życia. Mówił mu, jak mając lat dwadzieścia polubił był Paraškę, córkę chodackowego szlachcica, a gdy o jej rękę prosił to mu odmówiono, bo nie miał żadnych papierów po ojcu. Dalej skarżył się, jak Paraška mimo, że go miłowała, poszła za maż i zamiast schudnąć i umrzeć, poczerwieniała i roztyła się i jest najgrubszą niewiastą w całym Zabłotowie. On zaś posmutniał i długo przemyślał nad tem, coby to te papiery, zostawione po ojcu tak wiele znaczyć miały, i dlaczego poczciwy człowiek, który jest zdolny wszystko dobrze zrobić, byłby nikczemniejszy od drugiego. I tak zeszło mu lat dziesięć w tym smutku po Paraške, odosobnił się od swoich, bo tam wiele jdugastwa między nimi, i dzisiaj sam jeden żyje na świecie jak lipa przy drodze.

Popiel uśmiechnął się słysząc gospodarza tak wyrzekającego, oświecał go nawiasem, co to jest szlachec

two i jak potrzeba być szlachcicem, aby coś dobrego zrobić dla matki powszechnej, ukochanej ojczyzny.

I tak mijala chwila po chwili, koguty zapiały raz i drugi, staruszka zasnęła wśród pacierzy. Juz dobrze było po północy, gdy Popiel chciał na nogi powstać. Ale miodek jakoś wlażł w kolana i nie dał ich wyprostować. Widząc to gospodarz, uśmiechnął się złośliwie i prosił gościa, aby jeszcze chwilkę zaczekał. Sam zaś wyszedł do alkierza, z za obrazu św. Szymona Judy wziął pęk ziela i pokruszył je na proch w dłoni. A gdy gościowi nową nalewał szklanicę nieznacznie wsypał proch ten do miodu.

Popiel zaklął się na św. Marcina, że to będzie ostatni kubek; przyłożył do wąsów i duszkiem w gardło wylał. Ale odsapnąwszy uczuł w wnętrzościach jakieś gorąco nadzwyczajne. Przed oczyma poczerwieniało mu. Machnął ręką, jakby chciał kogoś od siebie odpędzić, wybełkotał kilka słów niezrozumiałych, poczerwieniał aż po czuprynę i na zydel upadł beładnie. Co widząc bednarz uśmiechnął się pod wąsem, a wzięwszy gościa jak dziecko na ręce, położył go w alkierzu na tapczanie i szubą swoją nakrył. Popiel zaczął się pocić, krople wody jak śliwki zaczęły mu się sunąć po czole. Sapał jak miech kowalski, a gardło syczało mu jak rozpalone żelazo. Bednarz stał długi czas nad nim i zacierał ręce jak cerulik, który cieszy się, że napój jego skutkuje, nie myśląc wcale, czy choremu na dobre wyjdzie. Ale polskiego szlachcica nie tak prędko śmierć się czepi. Popiel sapał i część choroby jakoś wy sapał, reszta wyparowała przez łysinę. Jeszcze węgielka nie zaświtała, gdy się

przebudził i zdumionem okiem potoczył dokoła. Na stołku koło niego siedział bednarz. Miał łzę w oku i w jakimś dziwnym zamyśleniu patrzył na mały tłómaczek, który koło niego na podłodze leżał.

— Tam do kata — krzyknął Popiel otwierając szeroko oczy — jakoś zmrzyło mi się, a tu trza w drogę. Pojutrze muszę stanąć na miejscu — mam ważne z sobą papiery od Puławskiego. Tam do kata, a coż znaczy ten węzełek, Szymonie?

— Przygotowałem się do drogi — odparł sucho bednarz.

— Do jakiej drogi? — zapytał szlachcic usiłując z tapczanu się podnieść.

— Do drogi, w którą wy iść mieliście, a w którą ani dzisiaj ani jutro nie pójdziecie! — odparł obojętnie Radysz.

— Jakto, ja nie pójdę?... — krzyknął Popiel ai myszy poci podłogą zadrżały.

I chciał równemi nogami stanąć na ziemi, ale głowy ani o włos nie podniósł od poduszki. Zdawało mu się, że ktoś do jego tysej pałki nalał ołowiu, albo przynajmniej przybił go do tapczana trzema goździami. Wiercił się i kręcił zdumiony szlachcic, ale ani ręka ani noga nie słuchały go i leżały martwe jak drzewo. Krzyknął: Jezus, Marya, Józef! Krzyknął ku otrzewieniu: Polska Królowo; ale ani jedno ani drugie nic nie pomogło. Spocił się nie ze strachu, ale z indygnacyi nad samym sobą, przeklął miód bednarski i kufle bezdenne, lecz wszystkie te praktyki nie ruszyły go z miejsca.

— Mater Dei! — zawołał w rozpacz — mam ważne

papiery, a tu ani rusz! Trzeba może pić rumianek i tyzannę cały dzień!

Bednarz z nieznacznym uśmiechem patrzył na wierzącego się na tapczanie szlachcica, który w tej chwili wydawał mu się podobnym do św. Wawrzyńca na rozpalonej kracie, jak to na obrazie w kościele widział. I zdawało się, że nie mniejsze od św. Wawrzyńca cierpi męki pocziwy szlachcic, który obowiązku nań włożonego w tej chwili nie mógł wypełnić.

— Rumianek i tyzanna! — jęczał szlachcic krzywiąc się, jakby mu djabli rozpaloną smołę do gęby lali.

— I to nie jeden dzień ani dwa — ozwał się bednarz.

— Co mówisz!

— Walenty z Zabłotowic pił za wiele tego samego miodu i leżał cały miesiąc!

— Chryste na krzyżu!

— Jeżeli ważne macie papiery — mówił dalej bednarz — a macie mnie za pocziwego człowieka, to dajcie a ja z niemi pójdę w imię Boga. I tak droga niebezpieczna, a ja bednarz przesunę się wszędzie. Stara Marucha będzie przy was, nie braknie wam niczego. W chorobie będzie wam smażyła pirogi na młodej słonince, które same do gardła leżą.

— Nie, to być nie może — krzyczał Popiel — ja sam muszę oddać to pismo.

— Toni dacie wasz stary papier, co wam ojciec zostawił, a ja umiem przecież gadać i powiem, zem Popiel, szlachcic od Sambora.

— Popiel skrzywił się i szyderczo spojrział na mieszczanina. Po chwili zamyślił się.

— Wszak was tam daleko nikt nie zna—mówi dalej bednarz.

— To prawda, ale...

— Jeżeli idzie o sprawę ojczyzny, jak sami mówicie, ciągnął nieśmiało bednarz — to przecież...

— Me, to być nie może...

— Więc niech tam hetmana waszego czy marszałka na łeb pobiją, co mi tam! — ofuknął się bednarz.

Popiel chciał się ze złości w łysinę uderzyć, ale ręka jego była bezwładna jak kłoc drzewa. Gryzł wąsy i wargi i sapał za dwunastu. Długi czas milczeli obaj. Już na dworze zupełnie pobieleło.

Bednarz wstał z ławy.

— Gdzie idziecie? — zapytał Popiel.

— Zbierać się na targ do Jarosławia — odparł bednarz.

— Poczekajcie, trzeba coś zrobić, coś uradzić—przeklęty dereniak!

— Niema innej rady. Dla mnie droga do Lublina, dla was rumianek.

— Możebyście tak jako bednarz poszli i powiedzili, że: Marcin Popiel upił się na dereniaku i sam nie mógł... Nie, nie... lepiej powiedzcie, że umarł, że zwarjował, powiesił się i utopił — jęczał nieszczęśliwy potomek królewski.

Bednarz na to nic nie odpowiedział, tylko zaczął się na targ wybierać. Popiel był w rozpacz.

No, to czekajcie — zawołał — trzeba coś zrobić, niema ani chwili do stracenia. Dam wam wszystko co chcecie, pismo i papiery moje rodowe. Ale, Szymonie, na ra

ny Ukrzyżowanego, przysięgnij mi, że w drodze nie splamisz mego klejnotu, przysięgnij, że w karczmie nic nie ukradniesz, że przed każdą figurą zdejmiesz Czapkę, że zdybawszy wroga przed nim nie stchórzysz, tylko śmiało w łeb palniesz, że wzięty na tortury pisma nie zdradzisz, i że zapłaty za twoje niebezpieczeństwo od nikogo nie weźmiesz. Rano i w wieczór mów do siebie: Jestem Marcin Popiel, królewskiego rodu, prowadź go Panie Boże jak na niego przystoi. Przysięgasz?

— Przysięgam — zawołał bednarz i wznosił dwa palce do góry. AV jego oczach zamigotała dziwna radość.

— Ale i wy Marcinie Popielu przysięgnijcie mi — rzekł po chwili bednarz.

— Popiel nigdy nie przysięga — przerwał z indygacją szlachcic — tylko daje słowo szlacheckie.

— A więc o to słowo szlacheckie was proszę.

— Na co? .

— Abyście wyzdrowiawszy mieszkali tu w mojej chałupie i moją starą matkę pielęgowali, jeżeli mię jaki przypadek w drodze zatrzyma.

— To przecież nie potrwa długo?

— Dwa, trzy tygodnie najdalej — ale jeżeli coś nadzwyczajnego... bo któż może wiedzieć.

— Dobrze, daję wam słowo szlacheckie.

— Że zostaniecie dopóki nie wrócę, albo, czego Boże uchwyci, gdyby tymczasem matka moja stara zamknęła powieki, to ją uczciwie pochowacie i wtedy oddawszy dom Maruchnie możecie iść do swoich.

— Dobrze, dobrze, choć to się tak nie gada...

— Ale nie pędź V

— Wszystko dobrze, tylko teraz nogi za pas Szymonie, i drzyj, żeby aż paznokcie skrzypiały! — zakonkludował Popiel. — W kapocie pismo i papiery.

To rzekłszy zamknął oczy, bo go jakaś niemoc owładnęła, a bednarz wyjął papiery, pocałował rękę śpiącej staruszki, pokropił się święconą wodą i zanuciwszy godzinki do Matki Boskiej wysunął się z domu.

Minął miesiąc, szlachcic wyzdrowiał na rumianku i pirogach. Co dzień wychodził na brzeg parowu, ale bednarza jak nie było tak nie było. Zalatywały go różne wieści o konfederatach, szlachcic gryzł wargi i wąsy, a bednarz jak zginął tak zginął. Do tego wlaź mu na kark Mateusz Piróg, który całe miasteczko na szlachcica podburzył. Przysiężni napadali go i przetrząsali dom od progu aż do krokwi, a szlachcic odzerał się jak mógł, wydając się za czeladnika bednarzkiego, który u Radysza na służbę stanął. O Radyszu były wieści, że z beczkami gdzieś daleko pojechał. Ale to nie uspakajało Mateusza Piroga, który głośno wygadywał, że Radysz herszt rozbójników, a jego czeladnik przynajmniej jest urwipółciem.

Kilka miesięcy minęło wśród tych kłopotów. Szlachcic popatrzył pewnego razu do beczki wody i ujrzał ze strachem, że nawet posiwił z kłopotów. Ale dało się słowo bednarzowi, matka jego żyła, nie można było domu opuścić. Wreszcie potrzeba było i grosza na życie. Szlachcic naładował wóz beczkami i faskami, które był znalazł w komorze i wyjechał na targ do Jarosławia.

Na targu zamówiono kilka beczek na kapustę i kilka wiader do studni. Trzeba było wziąć z sobą czeladnika i zrobić zamówione beczki i wiadra.

I tak mijał jeden miesiąc po drugim. Szlachcic przypatrywał się czeladnikowi jak strugał dęgi i obręcze zaciął. A bednarza jak nie było tak nie było, a staruszka zwiędniała jak śliwka w październiku, ale żyła. Mocno frasował się szlachcic, ale słowa dotrzymywał.

Wreszcie w pół roku po odejściu bednarza, zaniemogła jeszcze więcej staruszka i położyła się na tapczanie. Szlachcic zmówił ojciec nasz za myśl grzeszną, która d(głowy mu przyszła i rzekł w duchu do siebie:

— Każdy człowiek umierać musi. Staruszka kłapnie lada dzień. Sprawię jej pogrzeb przyzwoity z wszystkiemi cechami i odejdę ztąd.

I codzień patrzył na tapczan szlachcic, codzień przepraszał Boga za myśl grzeszną, ale staruszka żyła jak by o niej śmierć zapomniała.

Znowu minęło kilka miesięcy. Szlachcic strasznie posmutniał. Razu jednego nad wieczorem wyszedł do sadu i usłyszał pułhacza przeraźliwie krzyczącego gdzieś w gruszy wypróchniałej. Szlachcic przeżegnał się krzyżem świętym, dreszcz zimny przeszedł mu przez plecy.

— No już teraz babulka kłapnie niezawodnie — pomyślał sobie — sowa nie nadarmo woła. Wszyscy ludzie umierać muszą.

Przyszedłszy do izby obaczył staruszkę dziwnie niespokojną.

— Sowa darmo nie woła—rzekł do siebie z cicha—i przed świtem jeszcze zadrze nogi biedna staruszka! Wszyscy ludzie umierać muszą...

Zapalił więc gromnicę, jak na prawego katolika przystoi i zaczął po cichu czytać psalmy konających, zerkając od czasu do czasu na tapczan. Ale staruszka

uspokoila się i zasnęła i tak jakoś zdrowo wyglądała we śnie, że nieszczęśliwy Popiel z westchnieniem książkę zamknął i gromnicę zgasił.

I tak biegły dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Szlachcic wypalił kilka gromnic, do wzgórza nad parowem wydeptał ścieżkę, wyglądając Radysza. Mateuszowi Pirogowi, który go zwał zawłoką i urwipołciem złamał już trzy żebra i jedno wybił oko, a staruszka jak sobie żyła tak żyła, a bednarza jak nie było tak nie było!

I tak minęło lat kilka.

Razu jednego, w wilią św. Szymona Judy, siedział szlachcic na progu i strugał dęgi. Wtem jakiś podróżny w błyszczącym mundurze pojawił się przed progiem. Szlachcic przetarł oczy i krzyknął:

— Mater Dei, Radysz!

— Czy żyje matka? zapytał przybyły. (— Żyje — wybełkotał szlachcic.

— Ale nasza wspólna, a moja druga matka umiera!

— Co gadasz!

— Wszystko zabierają!

Nastąpiło długie milczenie. Bednarz i potomek królewski płakali, leżąc jeden drugiemu na piersi.

— No, opowiadaj... coż?... ach! tyle lat... co to za mundur?,,, co, ty bez jednej ręki?—zapytał szlachcic, gdy do izby już byli weszli, a syn z matką się przywitał.

— Powoli, powoli, mości Marcinie—odparł bednarz, bo mi się w głowie kręci. Z czasem to wam wszystko opowiem.

A teraz macie ot wasze papiery. To wszystko wasze — a ja znowu bednarzem.

— Popiel rozwinął pęk papierów.

— Co, to nominacja na rotmistrza?... Chryste Boże! „Marcin Popiel, rotmistrz....”—czytał zdumiony szlachcic, a ręka drżała mu jak liść osiki.

— Tak jest, to wy jesteście Marcinie.....

— Mater Dei! — krzyknął szlachcic — toż ja mam żyć chlebem, co sobie drugi upiekł! Nie, pójdę do "Warszawy, opowiem to wszystko królowi — on wam nada szlachectwo, boście na to zasłużyli. I jam na coś zasłużył, bom dotrzymał słowa... djabelnie, pięć lat i sześć tygodni!

Na tem skończyła się dzisiaj ich rozmowa, bo staruszka chciała z synem się nacieszyć, obmacując jego mundur i lśniąca szablę.

Nazajutrz całe miasteczko było w nadzwyczajnym ruchu. Mieszczanie gadali to i owo, a Mateusz Piróg wytoczył Radyszowi jakiś proces. Rozniosło się, że Radysz był konfederatem, i odtąd nie nazywano go nigdy inaczej jak „konfederat”. Niektórzy nawet w tem widzieli coś szyderskiego — nie ich to wina, ale wina długich wieków... Popiel odwiedził swoich, a gdy mu wszyscy tak znakomitej rangi wieszowali, nie mógł znieść tego fałszu na sercu i wszystko co do joty opowiedział. A nawet, jak przyrzekł, poszedł piechotą do Warszawy, aby przed króla całą tę sprawę zanieść i bednarza unobilitować.

Ale jakoś nie gładko poszły mu jego zamiary. Czekał od roku do roku na rezultat podróży swojej. Tymczasem odwiedzał Radysza, a Mateusz Piróg widział z cmentarza, jak z nim strugał dęgi i nakładał obręcze.

W kilkanaście lat umarła wreszcie matka bednarza mając lat sto czternaście. Popiel i Radysz płakali idąc za trumną—a nazajutrz płakali obaj nad śmiercią drugiej wspólnej matki. Od kwestarza z Jarosławia dowiedzieli się o złożeniu przez króla korony.

— Ej, Szymonie — zawołał wśród łez Popiel — naszej ojczyzny niktby tak gładko nie był zagarnął, gdyby tacy ludzie jak ty, rozumieli sprawę naszą i byli w naszych szeregach!

Po tem widzeniu się, postarzeni się znacznie obaj przyjaciele. Bednarz wkrótce umarł, a Piróg pił na jego stypie.

Chałupa Radysza zapadła się, a pustkowie nazwali mieszczanie „konfederatówką”. Popiel żył jeszcze pięć lat. Na cztery lat przed śmiercią ożenił się i zostawił syna, któremu zamiast majątku zapisał w testamencie te słowa:

— „Pamiętaj, żeś Marcin Popiel, rodu królewskiego. Życie twoje i mienie należy do Rzeczypospolitej. Hasło Popielowe jest: Jezus, Marya, Józef— pal i wal! A gdy brat nieszlachcic chce koło ciebie stanąć, to mu się posuń i uściśnij jak brata. Tylko wszyscy razem, co jednym mówimy językiem, jesteśmy coś warci i czegoś możemy dokazać. A gdy się podzielimy, to nas zgniotą jak dziurawe orzechy. To miej na pamięci: Amen. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.” „Wnuk Popiela czytuje dzisiaj często te słowa swego dziadka. Jest on w ósmej klasie i siedzi z młodym Pirogiem na jednej ławie szkolnej.

SWATY EKSCLENCYI.
NOWELA.

I.

A... kochany, drogi panie Jędrzeju! Wielki splen
dor spada na mój domek ubogi!... Hej! Szymonie!
Antek! Grzesiu! kto tam jest, niech wyjdzie czempre
dzey

Tak wołał szpakowaty, przysadzisty i czerstwo
wyglądający mężczyzna, trzymając w objęciach wyso

kiego, chudego, z okazałą na głowie łysiną gościa. Scena tego powitania odbywa się na ganku domu staro-szlacheckiej architektury. Na prawo widać oficynkę z kuchnią i mieszkaniem dla ekonoma, na lewo szpiczlerz, a za szpiczlerzem kryjące się skromne stogi żyta i pszenicy. Dalszy krajobraz na pierwszy rzut oka zdradza okolicę czarnej ziemi.

— Czołem, czołem, panie Bonifacy — odpowiadał chudy gość gościnnemu gospodarzowi, który z niemałym upodobaniem nagiął mu zebra i naciskał łopatki. — A to rai gość — mówił w komnacie pan Bonifacy, ocierając pot z czoła po tuk energicznej manifestacji afektu — gość co się zowie, podobny do owego C drzewa zamorskiego, które na dziesięć lat tylko raz rozkwita.

Pan Jędrzej porządkował tymczasem zebra swoje nieco zwichnięte, i draperyę długiego surduta który teraz niezbyt poważnie odziewał figurę marszałka powiatowego. A gdy już wszystko było w porządku wysunął Imć p. Jędrzej dygnitarską prawicę swoje do gospodarza, ale tak ostrożnie, aby tenże za nią całego korpusu powtórnie nie porwał, i ozwał się do niego z uśmiechem ambasadora:

— Raz na kilka lat, to prawda, Imo panie Bonifacy, że to właśnie stanowi prawdziwą wagę afektu, który od zwykłych odwiedzin i pogadanek odróżnić trzeba.

Pan Bonifacy marzył nieraz o zaszczytnem krześle w sejmie lub karmazynowym fotelu w Badzie państwa, ale z tem marzeniem nigdy się nie zdradzał. Miał wprawdzie tysiąc morgów czarnej ziemi, kiikuruclza, pszenica i tytuń rodziły mu się wybornie, ale zacni sąsiedzi nie zwrócili dotąd jakoś uwagi na to, że podobnie i w głowie Imo pana Bonifacego mogły się tak sajno rodzić myśli zbawienne dla kraju. Nie wezwano go ani razu do żadnej tak zwanej ankiety, ani nawet do tej, która o bydłęcej zaradzie miała. Tym sposobem omijały go różne zaszczyty i splendory, a nawet i takie, przy których każdy poczciwy człowiek coś obliczać może. Malkontent czarnoziemski ucieszył się niemało, że przynajmniej zacny marszałek powiatowy jego dom nawiedzić raczył, a gdy jeszcze jakiś dobry duch do ucha mu szepnął, że czcigodny marszałek może mu kandydaturę na posła zaproponuje, albo do ankiety o targu zbożowym zawezwie, miał wielką ochotę pochwycić swe go gościa w powtórne uściski. Przeczuł to jednak Imć

pan Jędrze, wysunął jedną nogę naprzód i tym sposobem obronił się od grożącego niebezpieczeństwa. Skończyło się tylko na silnym pognieceniu palców podanej prawicy, która w dłoni gospodarza zachropotała iak cbrust suchy.

— Z wdzięcznością przyjmuję afekt—mówił Imo pan Jędrzej—z jakim mnie w domu swoim przyjmujesz panie Bonifacy, a jest to dla mnie dowodem, że cel moich odwiedzin będzie ci również przyjemny, jak moja niepoczesa figura. Czy może temu wierzyć?

Pan Bonifacy już się widział na krześle czerwonym.

— "Wierzę — odparł — że ten cel nie będzie mniej zaszczytny od tak zaszczytnych odwiedzin.

— Kto na miernem poprzestaje, ten chroni się od rozczarowań — rzekł sentencyjnie marszałek.

Pan Bonifacy zwątpił o krześle czerwonym.

— Zapewne, wzywa mnie tylko do ankiety targowej — pomyślał sobie w duchu, zdecydowany przyjąć i ten zaszczyt niemały.

— Przyznam ci się, szanowny panie Jędrzeju — odpowiedział głośno — że ja nigdy nie lubię tego, co świeci i błyszczy; nie lubię wysuwać się naprzód, ale ot tak pucować, w cichości jak mrówka, gromadząc ziarnko do ziarnka.

— Ambicya, panie Bonifacy, to niepokój i górzyczka. Człowiek nie doje się nigdy smaku w pocziwych zrazach, tylko połyka jak indyk. Szczerze wyznaję, że te dygnitarska są mi już kością w gardle, i nieraz wzdycham do tego spokoju, jakiego używasz ty, zacny panie Bonifacy.

— Dziękuję Bogu i za to, a innym splendorów nie zazdroszczę i tego, co się z temi splendorami wiąże.

Pan Bonifacy westchnął tutaj nieznacznie. Ja

kaś pocieszająca myśl przysłała mu do głowy.
— Alboż to jest miło, jak takiego dygnitarza
po pismach poniewierają — ozwał się po chwili — alboż
to dawno pisała gazeta, że nasz zacny i powszechnie
lubiany marszałek jest tylko malowaną figurą, bo do
laski marszałkowskiej nie ma ani głowy, ani rozumu!
Marszałek posunął się niecierpliwie na krzesło.
— Ktoby tam słuchał, co gawiedź uliczna pisze po
tych piśmiągach!... Przecież w kilka dni po tej inwe
ktywie sam eksceleńca namiestnik i hrabia rękę mi
podał!...
— Widziałem, widziałem... cóż tam nowego? Sły
chać o jakiejś nowej ankiecie.
— To bajka dziennikarska.
Pan Bonifacy westchnął.
Z czemże przyjechał—pomyślał sobie—przecież nie
zechce mi zaproponować przystąpienia do Towarzystwa
wzajemnej pomocy, z wkładką pięćset zlr.!
I przybrał minę nieco sztywniejszą.
Pan Jędrzej wyjął tymczasem czerwony fular
z kieszeni, i jak dyplomata, zakrył na chwilę całą twarz
swoje. Operacja z fularem trwała dosyć długo, a pan
Bonifacy gubił się w domysłach tego, czego domyśleć
się nie mogli.
— Zmierzając do rzeczy — ozwał się wreszcie
Pan Jędrzej—nie będę się długo rozwodził, bo obowiąz
ki publiczne każą mi liczyć się z każdą chwilą. Wszak

pan znasz imię Pana Idziego zacnego syna ś.p. pana Polikarpa
Gdzieżbym go nie znał — odparł ciekawie pan
Bonifacy—przecież raz na przewozie wyratowałem go
od chłopów, którzy go już byli dobrze poturbowali!
Człowiek trochę impetyczny, a każdego chłopca biłby
zaraz po pysku. Dawniej to uchodziło, ale dzisiaj...
dzięki miłościwie nam panującemu monarsze...
Pan Bonifacy westchnął tutaj zcicha, a potem
odchrząknął głośno, jak przystało na lojalnego szlachci
ca. Pan Jędrzej tymczasem manipulował czerwonym
fularem po twarzy.
— Nie oddalając się od rzeczy — mówił dalej dy
plomata — pan Idzi, bardzo zacny młody człowiek, już
dzisiaj właściciel Burakowic, chciałby... jakżeby to po
wiedzieć... gdy człowiek ma publiczne sprawy na głowie
to ta głowa jest tak zajęta... chciałby zbliżyć się do do
mu kochanego swego sąsiada.
Pan Bonifacy pomyślał chwilkę: Burakowice..
walny majątek w czarnej ziemi! Pan Idzi... hm... hm...
młody mężczyzna, jak każdy inny. Są gorsi od niego,

tylko kwestya, co jego rozpieszczona jedynaczka na to powie?

Po tym wewnętrznym dyalogu posunął rękę po twarzy i odparł:

— Mądrej głowie dość na słowie. Wiem, do czego, kochany panie Jędrzeju, zdążasz. Z mojej strony mam wielki afekt dla Imci pana Idziego, jak tego na przewozie dowiodłem, ale co do Julisi, to już nie moja sprawa. Pomówię z nią na każdy sposób.

Tylko tak... dyplomatycznie, bo te młode dzieczęta są płochliwe jak sarny. Gotowa czmychnąć

z przed nosa. Możeby lepiej było, gdyby sam pan Idzi...

— Już ja znam się na tem! Było się także młodym! . "

— O, znam przecież, znam się na ludziach, jak na łysych koniach!

Pan Bonifacy potarł ręką po łysinie:

— Wywiążę się jakoś z tego mandatu, a talentu mego dowiodłbym także i na czerwonym fotelu Bady państwa!

— To ci się dawno należało, kochany sąsiedzie, ale cierpliwości... cierpliwość wszystko zwycięża.

— Żartowałem sobie, na honor, żartowałem! Gdzie mi tam marzyć o takich rzeczach!

— Skromność nie na miejscu, panie Bonifacy; przyjdzie czas, że może jeszcze pochodniami okopciemy was, jak kominiarza, i wołać będziemy: „Niech żyje!”

Nie dokończył słów Imci pan Jędrzej, bo gościny gospodarz tak go pochwyił w swoje ramiona, że mu wszystkie żebra i kości, jak chrust suchy, zatrzeszczały.

Ponieważ Imć Jędrzej, jak mówił, do spraw publicznych się śpieszył, a wszelki traktament gościny na później odłożyć kazał, rozmawiano jeszcze czas niejaki o tem i owem, a wreszcie pożegnali się nie mniej serdecznie, jak się przywitali obaj zacni mężowie.

II.

Pan Bonifacy był w dobrym humorze. Marzenia jego dygnitarskie, zbudzone zręcznie przez dyplomaty cznego gościa, brzęczały mu jeszcze koło uszów, jak dobrana kapela lipcowych komarów. Przy takiej kapeli propozycyji p. Jędrzeja wyglądała świetniej niżeli się spodziewane. Pan Idzi był wcale dobrą partya dla jej jedynaczki, mimo tych i owych usterków znacznej swojej osobistości. Burakowice po bliższem obliczeniu okazały więcej morgów ziemi ornej, niż się na pozór zdawało. Słowem, można było wziąć Julisję na konfesatę.

Właśnie zdarzyła się dobra pora po temu. Po słaniec przyniósł torbę pocztową, a zacny pan Bonifacy widzi przez okno, jak Julisia przez trawnik do posłańca bieży i torbę mu odbiera. Zapalił fajkę na długim cybuchu i czeka.

Mijają kwadranse—ani Julisi, ani poczty. Wypaliła się fajka, nikt nie przychodzi. Co to jest?

P. Bonifacy przeszedł kilka pokojów i zatrzymał się w pokoiku, który należał do kobiety. Skromne, ale gustowne mebelki były czyste i świeże. Gotownia, biurko i szafka z książkami rznięte były z drzewa mahoniowego. Na ścianach wisiały dwa ładne obrazki rodzajowe. Jeden przedstawia grę w ciuciubabkę, w której jakiś stateczny jegomość w peruce wabi za sobą młodą dziewicę z zawiązanymi oczyma. Drugi obrazek przedstawia inną chwilę tej samej gry. Jegomość w peruce potknąwszy się, upadł na ziemię, a dziewica

chwytając tymczasem przystojnego młodzieńca. Śmiech zadowolenia wszystkich towarzyszy tej scenie nader komicznej.

W tym pokoiku także nikogo nie zastał.

— Co to jest?—myślał p. Bonifacy — może znowu Adolf jakiś sążnisty list wypalił, a ona czyta go z rumieńcami na twarzy, jak to raz na własne oczy widziałem...

Po chwili dały się słyszeć stapania młodej kobiecej nóżki. Do pokoju wpadła teraz młoda dziewczyna w błękitnej sukience, trzymając w ręku kwiaty świeżo urwane. Twarz miała białą, oczy modre, a włosy ciemnej barwy. Obaczywszy ojca, okazała niejakie zakłó

potanie. Obmacała szybko rąbek swej sukienki, jakby tam kryła jaką kontrabandę.

— Tatulko tutaj?—ozwała się do ojca — nie spodziewałam się tutaj spotkać się z tobą. Myślałam, że pan Jędrzej jeszcze nie odjechał.

Pan Bonifacy patrzył z upodobaniem na dorodną Julisję, której twarz zaczęła się coraz więcej czerwienić. Przyłożyła znowu z obawą rękę do rąbka.

— Pan Jędrzej odjechał — odparł p. Bonifacy— bo się śpieszył na sesję do Rady powiatowej, i kazał się kłaniać... Czy pocztę odebrałaś?

Julisia spuściła oczy na ziemię.

— Poczta odebrałam — odrzekła—ale oprócz gazet i dwóch listów nic więcej nie było.

Pan Bonifacy patrzył czas niejaki na swoje jedyne naczki, której twarz wyrażała teraz spokój i pogodę.

Potem wziął ją za rękę, pociągnął ku sobie i rzekł:

— Siadaj, Julisiu, chcę z tobą pomówić.

Julisia splonęła i mimowolnie rączkę podniosła znowu do rąbka sukienki. Coś tam zaszeleściło za tym rąbkim, jakby jaki cienki papier, ale p. Bonifacy nie słyszał. Przekonawszy się, że tak jest w istocie, ucałowała Julia rękę ojca i zapytała z odzyskaną swobodą:

— Czy jaka dobra nowina?

Pan Bonifacy pogłaskał najprzód ciemne loczki swojej jedynaczki, potem musnął kilka razy po swoich wąsach i ozwał się z miną ambasadora:

— Pan Jędrzej pytał się, czy nie wychodzisz za mąż...

Julia klasnęła w ręce.

— A to dobrze! — krzyknęła — że ludzie tak mówią, bo przecież w końcu wygadają.

— Więc miałabyś ochotę pójść za mąż?

— Dlaczegoż nie? Mam rok dziewiętnasty, mam jedną suknię jedwabną w błękitne pasy, drugą półjedwabną w kratki, a doliczywszy do tego wełnę, tarlatan i płócienkor to się nazbiera spory kuferek.

Pan Bonifacy kręcił wąsa i uśmiechał się.

— Przecież to niedość, moje dziecko. Do za mążpójścia trzeba... kawalera.

Julisia spuściła oczy i zamyśliła się na chwilę.

Nagle rozweseliła twarz i odrzekła:

— O kawalera nie trudno, tatulku! Gdy się po wie w sąsiedztwie, że jestem na wydaniu, gdy się poje dzie nowemi szorami do kościoła parafialnego... albo gdy to nie odniesie skutku, to wybierzemy się na karnawał do stolicy, a w najgorszym razie na jeden sezon do

wód krajowych. A co, czy nie tak?

Pan Bonifacy patrzył z rozkoszą na rozumną jedynaczkę.

— Tak się zazwyczaj robi — odparł — ale nie zawsze wychodzi to na dobre. Hazard ma zazwyczaj dwa końce: na jednym jest Wygrana, na drugim przegrana. Licho wie, kto w zastawione sidła się złapie: kanarek czy wróbel? Według mnie, lepiej jest rzecz najprzód' porządnie obmyśleć, niżeli na hazard się spuścić.

Niepokój malował się na twarzy Julii.

— Obmyśleć? — zapytała z badawczym wejrzeniem — czyż może tatulko już co obmyślał?

— Tak... coś mi do głowy przyszło... ot, mając czas po temu, myślałem o tem, i z panem Jędrzejem ja koś razem zmówiliśmy się.

Na twarzy Julii pojawiła się pewna obawa, ale wnet uspokoiła się i odparła:

— O, jakże wdzięczna jestem tatulkowi, żeś o mnie pamiętał, bo ja... tyle mam kwiatków, kur, indyków i cieląt na głowie, że czasu nie staje mi na myśli ma trymonialne!

Pan Bonifacy ucałował piękną, główkę jedynaczki.

— Ciesz się — rzekł z rozrzewnieniem — że słyszę od ciebie te słowa. Dowodzą, one, że nietylko rozumnie towarzysza życia sobie wybierzesz, ale nawet przyjmiesz tego, którego ci ojciec wybierze.

Czuła scena między ojcem a córką zakończyła tę rozmowę. Julia ucałowała potrzykroć rękę ojca, a pan Bonifacy tyleż razy dotknął się ustami" białego czoła swojej jedynaczki. Było nawet coś nakształt łez w ich oczach, które dowodziły jaknajwiększej zgody i wzajemnego przywiązania.

Po tej scenie Wzięła się Julia do układania bukietu, a pan Bonifacy wyciągnął z Voz& cholewy antypkę i już zabierał się do nakładania fajki, gdy nagle coś sobie przypomniał.

— Julisiu — zawołał — czyś nie ciekawa do wiedzieć się, kogo tobie za towarzysza życia obaj z panem Jędrzejem przeznaczyliśmy?

Julia nie przerwała swojej roboty.

— Aha — odparła, uśmiechając się do czerwonego goździka — to zawsze rzecz ciekawa, wiedzieć o kimże tatulko myślisz? Radabym go poznać!

— Zgadnij, serce!

— Nie mogę.

— Młody, bogaty i... wcale przyzwoity!

— Nie wiem kto!

— Pan... Idzi!

— Aha, pan Idzi! to wcale niezła partya... jak się tatulkowi ten bukiet podoba? Czy ten pstrokaty goździk dobrze się wydaje przy tej bladej róży?

Pan Bonifacy podniósł wąsy i obwąchał różę i goździk.

— Wolałbym zamiast goździka ten bratek — odparł — a wiesz, co pan Jędrzej na tę myśl moją powiedział?

— Więc tatulko mu już proponował?

— Nić. Ot, tak napomknęło się eos... a pan Jędrzej odrazu zrozumiał i odpowiedział: Bardzo dobrze.

Julia zagryzła blade usteczka.

— Może tatulkowi fajkę zapalić?

— Dziękuję ci, dziecko. Najsmaczniej od węgla, pójdę do kuchni.

A ja pójdę, do ogródka, bo mi brak jeszcze różnych kwiatów... i świeżego powietrza! dodała do myśli swoich, gdy już p. Bonifacy był za drzwiami.

III.

Julia wybiegła do ogródka. W ogródku było bardzo wiele kwiatów, a jeszcze więcej powietrza, ale Julia jakoś ani na jedno, ani na drugie nie zważała. Śpieszyła szybkim krokiem przez lipową aleję i nie zatrzymała się, aż na samym końcu, w ocienionej dzikim winogradem altanie.

Tam usiadłszy, obejrzała się dokoła i odetchnęła głęboko. Siedziała tak czas niejaki, patrząc zamyślnie okiem przed siebie. Na twarzy jej malowały się jakieś myśli poważne, które nawet nie bardzo odpowiadały tak młodym rysom.

— Więc pan Idzi...—rzekła do siebie — pan Idzi ma zostać moim mężem! Oto ostateczna meta moich snów i marzeń, owych złotych rojeń, którym nieraz po święcałam całe noce brzsenne. Nadszedł koniec... wszystko to, co się dotąd w głębi duszy zrodziło, trzeba zmazać, jak się maże gąbką zapisana tablica... Znowu się zamyśliła.

— Pan Idzi — mówiła dalej — będzie moim mężem! Na święto będę miała powóz i cztery konie, a w dnie powszednie będę siedziała w cichym dworze, słuchając różnorodnych głosów gęsi, kaczek i bydła. Przy obiedzie będę słuchała wymówek, że pieczeń twar

da, sos niesmaczny; a wieczorem przygrywać mi będzie kapela turbowanych parobków i płaczących dziewczek! Czysto ja będę zmuszoną przyłączyć się do tej kapeli zanim raczy się mój małżonek z gniewu wysapać. Pię kna perspektywa, niema co mówić.

Zaśmiała się owym śmiechem suchym i bezdźwięcznym, który powstaje w gardle zapomocą ściśnienia mięśni, bez udziału serca i duszy. Przykry był to śmiech, a nawet sama Julia przestraszyła się go. Się gnęła szybko za rąbek sukienki.

— Tak źle przecie nie jest — mówiła dalej — po patrzmy, co Adolf pisze. Przeczuwam, że w tym liście jest coś więcej niż w innych, dlatego nie dałam go, jak zwykle, ojcu pierwszej do czytania.

Wyjęła z za rąbka list podłużny i zaczęła czytać. Twarz jej rumieniła się, oczy się zapalały coraz więcej. Welinowy papier drżał od jej oddechu, a z nim razem drżały drobne, białe rączki, które go trzymały. Już była przy końcu, gdy jeszcze raz wróciła się i po raz wtóry czytać zaczęła. Wreszcie rączka z li stem opadła na kolana. Odetchnęła głęboko.

Nie. — ozwała się z goryczą — to dziwny czło wiek! Zapisuje bitem piśmem cztery stronice, w każdym wierszu jest o uczuciach... bratnich i siostrzanych, i nic więcej. Ani jednym słówkiem nie wspomni, że chce się starać o moją rękę, że pragnie zostać moim mężem... Tyle razy dałam mu do poznania, że jest mi więcej niż kuzynem, że go więcej niż kuzynka... ko cham! Wiem dobrze, że i on tak samo myśli, że patrzy na mnie nie tak, jak na kuzynkę, i czuję nawet, że przy powitaniu ręka jego inaczej dłoń moją ścisną, niż się to dzieje u zwykłych krewnych... A przecież dotąd ani

słówkiem nie przyznał się, że mię zrozumiał! Tego już zawiele.

Założyła rączki i zamyśliła się. Do altany wleciał teraz motyl o barwnych skrzydłach i zaczął jej główkę okręcać. Prawdopodobnie coś jej szepnął do uszka, bo podniosła szybko głowę, jakby w niej jakaś nowa myśl zawitała. Twarz jej posmutniała.

— A może on tylko — rzekła do siebie — tak sobie czas przepędza, prawiać swojej kuzynce to i owo. Kuzynkowie lubią to, a biedna kuzynka dowiaduje się w końcu, że to była tylko miłość na żarty, albo uczucie bratnie!

Na młode czoło nasunęła się ciemna chmura.

— Ha, cóż robić — szepnęła po chwili — może ja się łudzę... może on rzeczywiście ma dla mnie tylko przywiązanie braterskie... a ja inaczej to sobie tłumaczę. Postępowanie jego jest nienaganne, nigdy nie przekroczył granicy tego przywiązania, żadnego żalu nie mogę mieć do niego! Mogę mieć żal tylko do siebie, żem się łudziła...

I dwie łzy zaszklily się w oczach Julii. Oderwały się powoli i spadły po bladej twarzy, a za nimi nastąpiły inne i tak samo, jak pierwsze, spłynęły... Julia zaczęła teraz na seryo płakać, a płakała tak szczerze i serdecznie, że aż się motyl złotoskrzydlny ulitował i jej łzy gwałtem usiłował otrzeć. Fruwał koło jej twarzy i tak blisko oczu, że musiała powstać i płacz przerwać. "Weselsza myśl zabłyszczała na jej czole. Przystanąła na chwilę.

— Jakże ze mnie dziecko — rzekła do siebie z uśmiechem—płacę, a nie wiem jeszcze, czy to wszystko prawda!... Przecież mam teraz dobrą sposobność

dowiedzieć się o prawdzie. Napiszę mu, że pan Idzi stara się o mnie i że prawdopodobnie wyjdę za niego jak ojciec tego sobie życzy! To myśl wyborna. Zatarła z radości ręce.

— Jeżeli mię kocha, to inaczej niż dotąd na list

mój odpisze, inaczej odpisać musi!

I szczęśliwa z tej myśli włożyła list napowrót do koperty i szybkim krokiem wróciła do domu. Dowiedziawszy się, że ojciec w pole wyszedł, weszła do kancelarii i list kuzynka do innych dzisiejszych listów dołączyła. Potem pobiegła do swego pokoiku i siadła do biurka.

— Myśl szczęśliwa — mówiła do siebie, biorąc ćwiartkę papieru jaknajwiększą — myśl wyborna, chociaż tak łatwa i prosta; napiszę mu, że wychodzę za mąż... nie, że prawdopodobnie wyjdę... i to nie, że pan Idzi stara się o mnie! Zapytam go, co on mi radzi zrobić... Czy mi każe... nie, to zawiele; czy mi radzi przyjąć tę partyę! Napiszę mu dalej, że jakkolwiek pan Idzi jest człowiekiem bogatym, to ja przede wszystkim szukam szczęścia... i zapytam go, czy rzeczywiście mogę być szczęśliwą z panem Idzim?... Napiszę mu dalej, że on najlepiej to ocenić potrafi, bo mię zna od dziecka, i że przed nim nigdy żadnej nie miałam tajemnicy. Przed nim otwierałam serce i duszę... On mię zna lepiej, niżeli ja sama siebie... Powiem mu, że przy tem wszystkim mam jakieś niedobre przeczucie co do mego piątego związku, i niech on sam osądzi, czy to przeczucie może być słuszne, czy nie!

Po tym dyalogu ze swemi myślami namaczała pióro i zaczęła pisać.

W dole i na wyżynach.

Już kilkadziesiąt drobnych, trochę pokrzywionych literek leżało na welinowym papierze, gdy pan Bonifacy i krótka antypką wszedł do pokoju.

— Widziałem list Adolfa — ozwał się p. Bonifacy, patrząc z uwagą na córkę — czegoś mi zaraz tego listu nie dała? ,

— Zaplątał się w inne papiery — odpowiedziała Julia. — Czy go tatko czytał?

— Czytałem, ale nic szczególnego w nim nie znalazłem. Widać, że ma w urzędzie zawiele czasu, jeżeli tak często gryzmoli. Lepiejby zrobił, aby ten czas służbie poświęcił.

— Pisze, jak zazwyczaj do krewnych swoich, bo jeżeli człowiek jest między obcymi, to zawsze tęskni do swoich.

Pan Bonifacy machnął ręką i puścił kilka misternych kółek dymu.

— A cóżto piszesz, moje dziecię?

— List do Adolfa.

— Poczóż tak zaraz? Przeszkadzasz mi tylko

w jego zatrudnieniu! Młode dziewczęta myślą, że mąż czyzna w stolicy tak bardzo na ich listy czeka, choćby był nawet bliższym krewnym od Adolfa.

Julia poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Adolf tyle okazuje nam przywiązania, że tak o nim mówić nie można. Na każde większe święto, na imieniny i urodziny przyjeżdża do nas, i widać, że mu to sprawia niemałą przyjemność.

Pan Bonifacy machnął antypką, aż się popiołu nieco na biurko nasypało.

— Młodemu zawsze przyjemnie, gdy się od pracy wyrwie. To nawet niedobrze świadczy o nim, że służbę

swoją tak często przerywa. Coż na to powiedzą jego przełożeni, jakąż może być nadzieja rychłego awansu?

Julia na to nic nie odpowiedziała.

— Cóż piszesz do niego? — zapytał po chwili p. Bonifacy.

— Piszę — odpowiedziała Julia — że wkrótce za mąż wychodzę i że z tej przyczyny tak zaraz do niego pisać nie będę.

Bozjaśniła się marsowa twarz p. Bonifacego. Po głaskał piękną jedynaczkę.

— Dobrze, moje dziecię, napisz mu to. On przecież powinien wiedzieć o tem, jako krewny. A czy mu, dziecko, napiszesz także za kogo?

— Napiszę, że za pana Idziego!

— Dobrze, moje dziecię; oraz napisz mu, że za bardzo porządnego i bogatego człowieka, z którym nie potrzebuje żona dopiero dorabiać się lepszej doli, jak to zazwyczaj z żonami urzędników.

— Tego, tatulku, nie napiszę, bo toby znaczyło, że do niego piję!

P. Bonifacy poskrobał się w głowę—dyplomata przeholował.

— Coż tam znowu, przecież takich słów Adolf nie może brać do siebie. Nie był nigdy twoim konkurentem, bo toby nawet nie uchodziło. Zresztą on nawet nigdy o tobie nie myślał.

Julia zwiesiła główkę, a pan Bonifacy mówił dalej: Napisz, dziecko, że pan Idzi jest tak dobni partya, że już dzisiaj na sarnę myśl czujesz się prawie szczęśliwą!

Dobrze, tatulku, napiszę szepnęła zcicha
U — Cieszy mnie twój rozsądek, moje dziecko. Po
stępuj tak zawsze, a szczęście cię nie minie.
— I pan Idzi — dodała pocichu Julia.
Ale p. Bonifacy już tych słów nie słyszał. Pochy-
lił się nad swoją rozsądną jedynaczką i w głowę ją po-
całował.

IV.

Minęło kilka dni. Julia czekała codziennie na
pocztę, biegała aż za bramę do posłańca i z bijącym
sercem szukała w torbie podłużnego listu, ale listu jak
nie było, tak nie było!

Minął tydzień, minął drugi — a listu nie było.
— Cóż to jest — myślała biedna — czy mu to
tak obojętne, że ja za mąż wychodzę? Czy czeka wy-
godnej chwili, aby po napisanych rządowych referatach
napisać do mnie słów kilka? Czyż to być może, abym
się tak długi czas nadaremnie łudziła?...

Załamano rączki i zapłakała. Były to łzy młode
go serca, których nikt nie widzi, łzy tem boleśniejsze,
że się z niemi przed ludźmi ukrywać trzeba! Przecież
nawet przed przyjaciółką nie można się przyznać do te-
go, że ten, któremu poświęciło się tyle marzeń i rojeń,
odwrócił się i poszedł szukać innej, któraby mu się le-
piej podobała!... Przychodziła na różne domysły, a ko-
niec tych domysłów był taki, że Adolf o niej zapomniał
i że jej zamążpójście jest dla niego obojętne.

Przyjść do tego nie było trudno, ale trudno było
nakazać sercu, aby w to uwierzyło. Spodziewało się
ono zawsze czegoś, nie dawało jej we dnie i w nocy spo-
koju. Tworzyło ciągle jakieś widma przed jej oczyma
i nie dawało jej spokojnie patrzeć przed siebie, jak tego
sobie życzył pan Bonifacy.

W takim męczącym niepokoju rozpoczął się trzeci
tydzień. Julia była już znużona, a nawet słaba. Go-
rączkowy rumieniec przechodził często po jej twarzy
i znikał, zostawiając po sobie bladeść niezwykłą. Oczy
zamglily się i podsiniwały.

— Cóż ci jest, moje dziecko? — rzekł do niej pan

Bonifacy, głaszcząc ją po twarzy.—Ale może niepo-
trzebnie pytam, bo łatwo odgadnąć można. Przyznam
ci się, że mnie samemu bardzo przykro... pan Jędrzej
wrażnie przyobiegał.

Spazmatycznie chwyciła Julia ojca za rękę.

— Dla Boga!—krzyknęła—tylko nie ciągnąć nikogo!

— Broń Boże! moje dziecko; ani słówkiem nie
zdradziłem się, że go bardzo pragniemy, że się o niego
dobijamy! Przecież mam na tyle rozumu i dyploma-
tacya. .

Nie dokończył, bo w tej chwili trzasnął furman
z bata, a dobrana czwórka zaryła kopytami ziemię przed
gankiem. Pan Bonifacy wyjrzał oknem i zawołał:

— Otoż przyjechał w sam czas! Julisiu, ogarnij
się trochę.

I wypadł na powitanie upragnionego gościa.

Na ostatnie słowa ojca uśmiechnęła się gorzko
Julia, ale rozkazu nie wypełniła. Nie zmieniła ani su-
kienki, ani krawatki inaczej nic zawiązała, ani nawet
włosów nie poprawiła. Wzięła robótkę do ręki i usiadła

w najciemniejszym kącie swego pokoiku. Tymczasem
w głównej komnacie słyhać było suwanie nóg i krzesel
i głośny śmiech gościa, jakim zacnego gospodarza
witał.

Był to mężczyzna młody jeszcze, lecz na twarzy
widać było pewno zmęczenie, włos miał płowy i na ca-
łej głowie znacznie przerzedzony. Na czole nizkiem nie
było prawie żadnych brwi, tylko pewna czerwona wy-
pukłość, pod którą kryły się małe, siwe oczka. Nos
był mały, nozdrza mocno otwarte, a na brodzie, która,
była stosunkowo zadługa, bardzo mało zarostu. Dostyć
grubawy fałw z szerokimi barkami osadzony był na
krótkich nogach, wygiętych nieco od siebie.. Mocno
szklące lakierowane buty uzupełniały tę postać.

Pan Bonifacy już wydusił i wyściskał swego go-
ścia, a teraz wypoczywał z zadowoleniem po tej pracy
Herkiilesowej.

— Siadaj że, siadaj, panie Idzi — mówił do swojej
ofiary — siadaj że prędko, aby mojej Julisi zsiadały się
dobrze sagany z mlekiem! Zapewne jest właśnie
w mleczarni... o! bo to gospodyni nielada. Od rana
do nocy uwija się koło gospodarstwa, wszędzie zajrzy
i wszystko obaczy!

Pan Idzi zaśmiał się tubalnym głosem swoim na
znak wysokiego zadowolenia z takiej rekomendacji
przyszłej żony swojej. Pan Bonifacy zaś uśmiechnął
się skrycie pod wąsem, że tak dyplomatycznie sobie po

stąpił i odrazu chwycił za serce konkurenta.
— Już to prawda, co pan dobrodziej powiedział—
odparł p. Idzi, poprawiając zbyt wysokie kołnierzyki—
gdy sama pani nie zajrzy, gdy wszędzie nie wlezie, tego
i owego me palnie, jeśli potrzeba, to wszystka robota.

na dyabła się zadała. Ot, przed samym wyjazdem pa
trzę, aż tu parobek przełazi ostrożnie przez płot
A tuś, hultaju! krzyknąłem, a co tu robisz, a na co przez
płot przełazisz?... Parobek ni to, ni owo odpowiada,
a ja jak palnę go raz, jak drugi poprawię, aż koziołka
wywrócił. Powiadam panu, trudna sprawa z tymi lu
dźmi, roznieśliby człowieka na szmaty!

— A pocóż on laźł przez płot?

— Alboż ja wiem! On sam prawdopodobnie
nie wiedział!

— A gdzież jest panna Julia?

— Przyjdzie, przyjdzie, tylko się tam załatwi...

Czego pan nie kazałeś wyprzęgnąć?

— Chciałem, aby panna Julia moję świeżo dobra
ną czwórkę obaczyła... Kobiety lubią ładne koniki,
a czemże bawić dzieci, jeżeli nie zabawką.

Tymczasem przed gankiem niepokoiły się konie,
plątały uprząż i grzebały ziemię z niecierpliwości. Wo
źnica nie mógł sobie dać rady. Pan Idzi przypadł
zniecierpliwiony do okna, otworzył z trzaskiem lufcik
i krzyknął:

— Głupcze, czy nie wiesz, co robić? Objedź kil
ka razy gazon dokoła, a siodłowego więcej batem!
Korzystając z tego epizodu, p. Bonifacy wymknął
się cicho za drzwi, aby Julię do gościa przyprowadzić.
Zapewne to mu się nie udało, bo powrócił sam i z mi
ną dosyć niezadowoloną. Uśmiechnął się jednak do
gościa i rzekł:

— Zapalona gosposia, mówie panu, ani oderwać
od kur i kacząt!

— To największa pochwała, panie dobrodziejku;

ja moge zaczekać, a drób' w swoim czasie potrzebuje karmy... Może wyjdziemy do niej...

— Nie, nie, panie Idzi—przerwał zakłopotany widocznie pan Bonifacy—ona już idzie... ona już jest... zaraz przyjdzie!

Pan Idzi usiadł, ale przyrzeczenie p. Bomiacego jakoś nie spełniało się. Julii nie było. Trzeba było czemś innym rozerwać gościa.

— Może cygaro, panie Idzi—zapytał zaniepokojony gospodarz — albo może lulkę na długim cybuchu, po dawnemu...

— Dziękuję, paliłem całą drogę. Lubię cygara mocne i drogie, a te mają znowu tę niedogodność, że są wielkie.

— Czy słyszałeś', panie Idzi, o ankiecie targowej?

— Co mi tam ankieta, wszystko to i funta kłaków niewarte. U mnie, panie dobrodzieju, żyd faktorto grunt. Mam buraki, żyd stara się o kupca; mam chmiel, żyd bierze próbkę; mam woły, żyd płaci i wyprawia je do Wiednia. Te wszystkie targi zbożowe, te giełdy i domy komisowe, to furda.

Pan Bonifacy mruczał coś pod nosem, ale opozycy nie chciał stawić swemu przyszłemu zięciowi. Teraz zaszeleściła suknia kobieca, a na progu pojawiła się Julia. "W tualecie jej nie było żadnej zmiany, tylko nieznaczny rumieniec przybłąkał się na jej twarz bladą.

Cóż tam kury i kaczęta, panno Julio?— ozwał się pan Idzi, wstając z krzesła, aby jej rękę podać. Julia ubiegła go i powitała sztywnym ukłonem bez podania ręki.

— O jakich to kurach i kaczętach pan mówi? —

— Mówiłem... ten tego... przerwał p. Bonifacy mówiąc właśnie panu Idziemu, jak lubisz te małe pierzaste stworzeńka, które, gdy są młocie, to wygląają jak istne kanarki!... Usiądź z nami, moje dziecko!

— Juźto kobiety—mówił pan Idzi — nie przyznają się czasem do tego, że lubią kaczkę, gęsi lub bydelko... ale za to słabość do koników jest nawet w modzie. Wiem, że panna Melania boi się konia, jak dyabła; i drży na całym ciele, gdy jej konia zdaleka pokażą. A jednak słyszałem na własne uszy, jak w towarzystwie mówiła o swojej pasy do koni, jak przepadała za konną jazdą i, gdyby nie ciocia, mieszkałaby w końskiej stajni. Słowem, kubek w kubek mówiła tak, jak

panna Herminia, którą szambelan literalnie w końskiej stajni wychował. Otoż, zostawiając kury i kaczki na boku, pokażę pani niezłe koniki, które właśnie od hrabiego Juliusza sprowadziłem.

Rzekłszy to, przystąpił do okna w mniemaniu, że Julia idzie za nim. Obejrzał się... Julia siedziała na fotelu. Pochyliła lekko głowę i rzekła:

— Opowiadaniem o szambelanównie zamknąłeś mi pan drogę do jakiegobądź odpowiedzi. Jeżeli nad czwórką pana będę się zachwycała, Ściągnę podejrzenie, że afektuję modę i chcę kopiować znane ze sportu ko biety... To tylko mogę panu szczerze wyznać, że lubię konie dobre, spokojne, które nas przewożą z jednego miejsca na drugie. Lubię także, aby ludzie wprzódy patrzyli na mnie, a potem na konie ale nigdy tego nie znosiła, aby konie moje celem podziwu, a ja niejako dodatkiem do nich.

— Kubek w kubek tak samo ja myślę, panno Ju lio — odpowiedział p. Idzi, wyginając się naprzód — konie moje łagodne jak baranki, nie potrzebują bata, dosyć tylko językiem cmoknąć.

Tu cmoknął pan Idzi językiem, aż się pan Bonifa cy nieco przestraszył.

— Niechno pani się popatrzy — mówił dalej pan Idzi — nie będziesz pani żałowała.

Julia zbliżyła się do okna.

— Nie duże, nie małe—mówił dalej pan Idzi — ale zawsze rasa niepospolita. Z wielkim targiem wziął hrabia Juliusz dwa tysiące pięćset...

— Ładne konie — odpowiedziała z uśmiechem Julia — można nimi daleko zajechać... dalej niż do Chmielowiec!

— Już ja ich i siebie daleką jazdą trudzić nie myślę, a jeżeli poznam, że im dzisiaj obrok chmielowie cki smakował, to częściej nimi tutaj przyjadę!

— Ale o tem nie dowie się pan w salonie, chyba w stajni...

Pan Idzi przełknął.

— A jak się ta maść pani podoba? — zapytał po chwili.

— Maść jest dla mnie obojętną. Każda barwa jest ładna na swoim miejscu.

Pan Idzi zaczął się bawić brelokami, które wisia ły na ciężkim złotym łańcuchu.

— Już sam nie wiem, o co panią zapytać, aby się pani podobało? Niech mi pani dopomoże.

Niech mnie pan zapyta, jak mi się podobała

panna Klara.

— Ha, ha, ha! panna Klara! Wiem, do czego to

zmierza Zaręczam pani, że niema w tem ani okruszyny prawdy. Byłem tam dwa, czy trzy razy. Raz na kartach, drugi raz na polowaniu, a trzeci raz na obiedzie. Ha, ha, ha! panna Klara! A cóżto pani mnie myśli?... Słyszałem, że wychodzi za urzędnika od katastru!

— Bardzo miła panna i ładnie wykształcona.

— Nic jej nie ujmuję, urzędnik będzie miał dobrą żonę. Krewni złożą się na jakąś wyprawę, a potem pomagać im będą legumina i ogrodowizną.

— Mówisz pan z taką ironią o biednej sierocie, jakby panu żal było... jakbyś temu urzędnikowi zazdrościł. Gdyby tak było w istocie... to jeszcze czas... Mówią, że panny wolą wychodzić za bogatszych!...

— Żartujesz sobie pani. Ze do bogatych kawałków panny lepna, to prawda stara, ale za to bogaci kawalerowie jakoś nie mają afektu do owych białych lilijek, które jak kwiaty polne tylko z opatrności Bogakrewnych żyją!

— Tak jest i tak być powinno—wmieszał się pan Bonifacy do rozmowy — swój ze swoim, równy z równym. W książkach inaczej piszą, ale to wielka nieдорęczność. Biedny człowiek kocha się tam najczęściej w bogatej pannie... Czyż w biednej a równej sobie zakochać się nie może? Biedna panna kocha się w bogatym kawalerze... Czyż w biednym a równym sobie zakochać się nie może?

— Kapitalnie pan powiedziałeś — dodał pan Idzi — jeżeli na przykład ja mam majątek, to moja żona nie powinna przyjść do mnie w jednej sukience.

Ztąd tylko w rodach wielki nieporządek — powiedział dalej pan Bonifacy do domu na przykład weźmie ktoś

z litości krewną sierotę, a tanie ma nio pilniejszego, jak prędko zakochać się w synu swego dobroczyńcy!... A jeżeli przybłąka się do dworu jakiś biedny kuzynek, to zamiast myśleć o kawałku chleba, wytrzeszcza oczy na bogatą kuzynkę! Czyż jest w tem sens jaki? Czyż jest w tem jaka wyższa moralność? Czyż nie wziąć kija i nie odpędzić takich spekulantów, jak kota od śmietanki?

Julia przeszła przez cały pokój i zatrzymała się przy szafce, w której stały różne cacka z porcelany. Przypatrywała się dłuższy czas tym dobrze już znanym figurkom. Powszechnie nastąpiło milczenie.

Pan Bonifacy był w tej chwili bardzo zadowolony z siebie. Wypowiedział prawdę, której żaden rozsądny człowiek zaprzeczyć nie mógł, a swoją drogą, przy tej prawdzie upiekł własną pieczonkę. Zrobił nieznacznie aluzję do kuzynka Adolfa, który, jak mniemał, jedy' naczce jego po głowie się plątał. Zdawało mu się, że to, co powiedział, zrobiło pewne wrażenie na Julii. Za wstydziła się widocznie i odeszła do szafki, aby na jej twarzy tego wstydu nie wyczytano.

Pan Bonifacy wydmuchnął chmurę dymu aż na sam środek pokoju.

— Dzięki Bogu — mówił dalej — że dzisiejsze panny nie są już tak skłonne do romansów na wiatr, tylko zaraz oglądają się, kto i zacy? Powiadają, że świat się materyalne, a czyż dawniej żyli ludzie za pachem róż i konwalij? Czyż kontentowali się widokiem zorzy różowej, lub bładem światłem księżycy? Julia po raz dziesiąty przechodziła okiem figurki porcelanowe w hebanowej szafie.

— Ja myślę, że o tem niema już co mówić — ozwał się pan Idzi, siadając na fotelu — dzisiaj już nie

ma takich głupich panien, któreby sięgały po jakieś mgliste obrazki. Dzisiaj dobrze umiej, one rachować, a może lepiej od nas. Jeżeli zaś przy fortepianie zaś śpiewa się jakąś piosnkę o oczach, o sercu, o gwiazdach i księżycu, to tylko na to, aby mieć tekst jakiś do melody i głos swój muzyczny zaprodukować!

Obróciła się szybko Julia.

— Pan jesteś okropny, panie" Idzi — rzekła z uśmiechem — można się pana przestraszyć! Rozśmiała się pan Idzi tubalnym głosem.

— Nie bój się, pani — zawołał — nie taki dyabeł straszny, jak go malują. Jużto ja z zasady żebraków nie lubię i każę ich wypędzić ze dworu. A wiesz pani, co się wczoraj stało? Oto przyszła jakaś wynędzniała kobieta z dzieckiem. Ze ją psy trochę poturbowały, to

już rzecz nie moja, ale do tego przyznam się, że ją kazałem z dziedzica wypędzić. Stróż do mego polecenia dodał z własnej ochoty kilka kłaków, co tak mi się nie podobało, że kazałem kobietę zapocić i obdarzyłem ją jałmużną. A co, panno Julio, czy nie mam dobrego serca?

— Prawdziwie, to czyni panu zaszczyt niemały, żeś pan, na korzyść biednej, wbrew swojej zasadzie, po Stał. O samą fui zasadę mogłabym się długo sprze czać...

— Mówią, że sprzeczka między młodymi, to dobry Znak zawołał pan Bonifacy ale jabył radził tę sprzeczkę wasze na później odłożyć. Teraz gdy Pan Bóg dał pogodę, możebyśmy rozpatrzył: się trochę gospodarstwie, a Julia tymczasem przygotowuje nam po siłek.

Nikt nie miał nic przeciw temu i program p. Bo nifacego został przyjęty.

Julia pobiegła wprawdzie do kuchni i tam krotką naradę odbyła, ale niebawem wyszła ztamtąd i udała się do alei lipowej w ogrodzie. Długo chodziła tam i napowrót z głową spuszczoną ku ziemi. Nie patrzyła na ulubione kwiaty swoje, nie słuchała świątku ptaszek, które same wesołe piosenki nuciły.

Oglądanie gospodarstwa trwało dosyć długo. Pan Idzi patrzył z zamilowaniem we wszystkie kąty, aby się siada podpatrzeć, jak on gospodaruje, i napotkaną jaką tajemnicę gospodarską sobie przyswoić.

Kilka razy zwracał pan Bonifacy uwagę na to, że już czas do dworu powrócić, że Julia czeka tam z po siłkiem, ale pan Idzi tego nie słyszał. "Wreszcie okrążywszy całe obejście dokoła, wrócili do pokoju. W pokoju nie było Julii. Pan Bonifacy zachmurzył czoło.

— Gdzieżto panna? — zapytał służącego.

— W ogrodzie — odpowiedział służący.

— Ma słuszność — ozwał się pan Idzi — że nas tutaj nie czekała, bo myśmy sami temu winni. Oglądaliśmy konie i krowy, ale do gospodarstwa panny Julii nie zajrzeliśmy. Pójdźmy więc z kolei do kapusty, sałaty i szparagów, są to także specjały nienajgorsze. Pan Bonifacy przystał na tę propozycję i obaj wyszli do ogrodu.

Julia w samej rzeczy była w tej chwili w ogrodzie warzywnym. Przy niej stał kucharz i biegłym okiem oceniał jarzyny, czy można będzie dzisiaj co z nich przyrządzić.

— Widzisz ją pan — krzyknął pan Bonifacy z ra

dości, że córka dobrze się prezentuje kawalerowi —

przeczuwałem, że ja spotkamy między grochem a ka
larepą.

— To lubię — zawołał pan Idzi ale nie lubię
się na to patrzeć, gdy panna z pączkiem róży wałęsa
się beczynnio od kąta do kąta.

Zarumieniła się Julia.

— Niech pan tak nie mówi — ozwała się — bo
ja bardzo lubię kwiaty, chociaż przy kwiatach dbam
także o sałatę i kapustę. Zdaje mi się, jedno z drugim
da się pogodzić.

i— No... tak... ja przeciw kwiatom nic nie mam.

Przeciwnie, sprowadziłem z Czech ogrodnika i kazałem
mu założyć oranżeryę z kaktusami, figami, kameliami
i t. d. A oranżeryę samą stawiam w takim punkcie, że
na miłą z gościńca będą ją wszyscy widzieli!

Uśmiechnęła się Julia.

— Nie okazuje to jeszcze amatora kwiatów!

— A co okazuje?

— Okazuje, niech się pan nie gniewa, małą...
próżność. Pan chcesz tylko, aby inni zdaleka widzieli,
że masz oranżeryę.

— A cóż wart człowiek — odpowiedział p. Idzi—
jeżeli inni nie patrzą, na niego z pewną zazdrością?
Czy sądzisz pani, że mi przyjemnie jest podziwiać za
mek księcia Jerzego, a przytem pomyśleć sobie, że przy
nim mój dworek wygląda jak chałupa! Przecież każdy
pnie się o ile można wyżej! Czyż to nieprawda, panie
Bonifacy?

— Jest pewna lepsza wyższość—odparła Julia—
do której wszyscy dążymy, wyższość szlachetniejsza
od żądzy dorównania innym w komforcie i zbytkach.
Dostyc tego! — zawołał przestraszony pan Bo

nifacy bo poczciwa kapusta i roztrzępana sałata

przestraszą się tej wojny zacieklej. Rzucacie na siebie bomby i granaty, niechże będzie raz pokój!

— Pokój jak pokój, ale... rozejm chwilowy, nie prawdaż, panie Idzi? Podaj mi pan rękę, zaprowadzę teraz pana do moich kwiatków!

Pan Idzi miał dosyć rzadką minę, bo słówka Julii nie bardzo mu smakowały. Wezwanie do podania ręki poprawiło mu humor. Poskoczył szybko do Julii.

— Otoż tak, to was lubię — zawołał pan Bonifacy — ale wojnie dajcie już pokój na zawsze.

Weszli do ogródka z kwiatami.

— Widzisz pan te goździki... te bratki i te woniejące lewkonie? Czyż nie jest to istna poezya Flory, która po pracy i żmudnych obowiązkach naszych przynosi nas w jakąś lepszą krainę?... Czyż w życiu człowieka pracowitego nie powinien znaleźć się taki mały ogródek z lepszą wonią i żywszemi barwami od barw i woni powszednich?

Julia mówiła to ze śmiechem, patrząc w małe oczki swego towarzysza. Pod tem wejrzeniem topniał powoli zagorzały realista.

— Pani... — szepnął półgłosem — pani... jeżeli chcesz... jeżeli pragniesz... jeżeli rozkażesz, nie mały ogródek, ale sto morgów pszennej ziemi każę zasiać samym makiem i jaskierem!

— Makiem?... to rozumiem, bo mak drogi; ale jaskier... ten mnie już zadziwia.

— Chciałem powiedzieć: piwonie, słoneczniki... zresztą, jak tam ogrodnik sam wykonceptuje!

— A mojej rady nie chciałbyś pan zasięgnąć?

I owszem! mego ogrodnika poślę do pani po dyspozycję.

Na tem zakończyła się rozmowa, bo w tej chwili nadszedł służący i zaprosił do herbaty.

Przy herbacie rozmawiano o różnych rzeczach, ale rozmowa ta nie miała żadnej cechy wybitniejszej. Gdy po herbacie pan Idzi odjechał, a Julia była już w swoim pokoiku, podniosła załamane ręce do góry i rzekła do siebie:

— Jakież to straszny człowiek!

V.

Minęło znowu kilka dni, a w torbie pocztowej nie było podłużnego listu. Pan Bonifacy często rozmawiał z Julią o panu Idzim i Burakowicach, rachował dochody i sperandy, i tak był pewny szczęścia swojej jedynej naczki, że już niczego innego na ziemi nie pragnął. Julia słuchała ojca z roztargnieniem, próbowała opowiedzieć, ale wkrótce zapadała w jakąś apatyę niewytlę

maczoną.

Przed gankiem dworku pojawiła się znowu czwórka, a z nią i pan Idzi. Było to nad wieczorem. Pan Idzi miał na sobie garnitur kratkowany i z pewną żylą poufałością przywitał się z ojcem i córką. Opo wiadał, wiele i po czemu sprzedał pszenicę, a jaki za datek wziął za kukurudzę. Klął przytem porządnie na swego faktora, który go oszukał na kilka reńskich, i przyszedł ztąd wprost do przekonania, że juz poczci

wych ludzi niema na świecie. Pan Bonifacy wstawiał się za wyjątkami, ale pan Idzi był nieugięty.

— Co to wyjątki! — wołał rozgniewany — za dnych niema wyjątków! Jeden ukradnie grosz, dla drugiego potrzeba setki, a czwarty dopiero za tysiączek chapnie. Są i tacy, którzy dopiero od milionów zaczy nają, ale tych nie nazywa się złodziejami!... A cóż, panno Julio?... Czyż między kobietami niema podobnych zbrodniarek? Czyż nie kradną nam serc naszych, nie zatruwają, naszego spokoju? Czyż nie sięgają do naszych kieszeni, aby tytułem różnych podarków na imieniny i urodziny wydobyć ztamtąd kilka tysiączków?...

— Nie mam jeszcze w tem doświadczenia—odparła Julia z uśmiechem — bo to, co od ojca dostaję, biorę za dowód przywiązania rodzicielskiego.

— Tak... teraz, później inaczej będzie. Mężu kochany... to i owo mi się podobało, możebyś mi kupił?... Pani Alfonsowa ma taki sam gatunek, a pani Michałowa nawet do Paryża po to pisała... Taka jest moda... wszystkie to noszą... A co?

Julia bawiła się końcem szafirowej wstążki, a pan Bonifacy puszczał kółka dymu jedno za drugim, wiążąc je w łańcuch misterny.

— Ze kobiety dzisiaj są kapryśne i dużo kosztują — ozwał się po chwili — o tem niema co mówić, ale są znowu i takie, które zadawalają się mniejszem. Pan Bonifacy spojrział tu ze znaczeniem na Julię, ale pan Idzi, a nawet i Julia tego spojrzenia nie widzieli. Pan Idzi spojrział w okno, a potem na zegarek, jakby czegoś wyczekiwał. Rozmowa przerywana szła dalej. Często przeplatało ją głucho milczenie.

Wreszcie zaświecił służący kandelabry, bo w po
koju zrobiło się już ciemno. Pan Idzi zaczekał kilka
chwil, aż się świece dobrze rozpała.

— Aha — ozwał się potem — dobrze, żem sobie
przypomniał.

Mówiąc to, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej ja
kieś podłużne w aksamit oprawne puzderko. Pan Bo
nifacy i Julia spojrzeli z ciekawością nagością, który
czas niejaki milczał.

— Muszę państwu oznajmić — ozwał się po chwi
li — że jedna z moich kuzynek na Litwie wychodzi za
mąż. Chciałbym jej posłać podarek ślubny. Ale to za
wsze kłopot z kobietami. Trudno im dogodzić. Kie
weźmiesz mi pani za złe, jeżeli to, com przygotował na
ten podarek, oddam pod jej sąd. Kobieta najlepiej osą
dzić potrafi, czy taki upominek stosowny jest dla panny
młodej, i czy fasony są modne. Pozwolisz więc pani
obejrzeć.

Otworzył nagle puzderko, z którego jakby z pu
szki czarodziejskiej trysnęły tysiące promieni.

Był to garnitur brylantowy.

Pan Bonifacy zapomniał dym z tytoniu wydmu
chnąć. Powoli wydobywał mu się z ust pomiędzy wą
sy, szedł powoli po twarzy do góry, wstępując po dro
dze do nosa i oczu.

Julia instynktem kobiecym wlepiała oczy w słoneczne
brylanty i w żaden sposobnie mogła się od nich oderwać.

Pan Idzi jak magik na scenie patrzył z zadowole
niem na wytrzeszczone oczy pana Bonifacego i na
uśmiech słodki zachwyconej kobiety.

— Cudowny ogień! — zawołał pan Bonifacy.

— Prześliczny fason! — szepnęła Julia.

— Czy warto... dziesięć tysięcy? — dodał pan

— Dziesięć tysięcy! krzyknął pan Bonifacy.

— Dziesięć tysięcy! — zcicha powtórzyła Julia.

— A cóż tu sądzić? Tu tylko patrzeć i podzi
wiać!

— Prawdziwie—można się zachwycić!

— Czy to stosowny podarek ślubny?

— Ależ królewski, królewski, panie Idzi! Szkoda tylko tyle pieniędzy, które marnie w tych blaskach leżą. Żadnego niema z nich procentu! To istny zbytek!

— Niema z nich procentu? — z uśmiechem odparła Julia — a czyż zadowolenie kobiety, która je no się będzie, jej uśmiech, z jakim wspaniałomyślnemu dawcy dziękować będzie, nie jest niczem?

Rozśmiał się pan Idzi z widoczną radością.

— Masz pani słuszność — zawołał z uprzejmem wejrzeniem na Julię — takie cacka przynoszą nam nie tylko procent, ale lichwę. Na lichwę lokujemy nasze pieniądze, bo za nie torujemy sobie drogę do wdzięków kobiety, a cóż może być nad to cenniejszego, cóż pożądańszego?

Julia nie zważała na te słowa, bo różowe jej paluszki obracały w tej chwili mieniające się brylanty na wszystkie strony. Zachwycona była ich oprawą prawdziwie artystyczną. Sprytny jubiler wiedział, czym chwycić kobietę za serce, i połączył wysoką wartość z wyższą sztuką.

— Złotnik, który to zrobił — mówiła Julia jakby do myśli swoich — był prawdziwym artystą! Te arabeski, przeplatane kwiatami, wyglądają cudownie!

— Za to też dużo pieniędzy kosztują.

Pan Bonifacy już się nie odzywał, tylko wypuszczał chmurę dymu po chmurze i tak się cały skrył w obłoki, jak Jowisz na Olimpie. A tymczasem poza plecami patrzących przesuwała się służba, aby owe klejnoty choć w przelocie zobaczyć. Wiadomość o tych klejnotach rozeszła się po całym dworze, a nawet za oknami pokoju można było widzieć twarze ciekawych. Długo przypatrywano się brylantom. Przewracano je na różne strony, aby się napić cudowną zmianą promieni, jakie z nich tryskały. Wreszcie włożono je do puzderka, zamknięto i na honorowym miejscu na stole postawiono.

Nastąpiła herbata i wieczerza. Rozmawiano różnych powszednich rzeczach i tylko czasami wracano do brylantów, o których trudno było tak prędko zapomnieć.

Gdy już pan Idzi do odjazdu się zabierał, przypomniał mu pan Bonifacy brylanty.

— Aha, prawda — ozwał się pan Idzi — byłbym zapomniawszy o nich!... Ale — dodał po chwili — możeby dobrze to się stało. Oglądaliśmy je, nie kryjąc się z tem przed nikim. Służba cała widziała je i słyszała co kosztują. Zdaje mi się, że nawet przez okno ktoś

zaglądał. Najpocziwsi ludzie ulegają często pokusie. Pocóż wieść ich na pokuszenie. Jeden lub drugi z nich mógłby wyjść na drogę pod lasem, zamalować mnie pałką i zabrać brylanty. Nietylko miałbym strącić tę pieniądze, ale mógłbym także szwank ponieść na zdrowiu. Trzeba temu jakoś zaradzić.

Masz pan słuszność odrzekł pan Bonifacy
dam panu konwój na drogę.

— Na co konwoju? Można inaczej tę sprawę załatwić. I tak za parę dni przyjadę tutaj. Niech to pudełeczko tymczasem tutaj zostanie.

— A to na co! — zawołał pan Bonifacy — przecież droga nie jest tak daleka!

— Nie trzeba Pana Boga tentować, bo ludzie zawsze ludźmi, a zły duch przy każdym człowieku stoi.

— Jeżeli masz pan takie złe przeczucie, to nie napieram, schowamy je tutaj dobrze.

Julia nie brała udziału w tej rozmowie, nie przywiązując do niej wielkiej wagi. Jako gospodyni domu, zajęta była chowaniem różnych rzeczy, użytych, przy herbacie. Pan Idzi pożegnał się i odjechał.

— Schowaj, Julisiu, te brylanty — ozwał się pan Bonifacy — zabierając się do spoczynku.

— Niech je tatulko do siebie weźmie — odpowiedziała Julia.

— Już to takie rzeczy niech u kobiety będą.

Masz biurko z dobrym francuzkim zamkiem.

I na tem skończył się dzień dzisiejszy.

VI.

Julia na drugie imię nazywała się Małgorzata.

Wypełniając rozkaz ojca, wzięła brylanty do swego pokoju. Służąca, która przyszła, aby łóżko pościelić, zapytała o te brylanty i chciała je zobaczyć. Julia otworzyła pudzderko i pozwoliła służącej napić oczy swoje blaskiem niewidzianym.

— Jakież to cudowne promienie! wołała służąca w takiej ozdobie każda wygląda jak królowa! Niechno pannuńcia spróbuje.

JuliaMałgorzata stanęła przed gotownią, przed którą już szybko dwie świece zapaliła służąca, i ubrała się w garnitur brylantowy.

— Mój Boże! — krzyknęła służąca, załamując ręce — i nie mają to panowie szaleć za kobietami, jeżeli kobieta tak się ubierze! Gdyby królewicz teraz przy szedł, padłby na kolana przed pannuńcia.

JuliaMałgorzata spojrzała z zadowoleniem do zwierciadła. Wyglądała cudownie. Taką nigdy jeszcze siebie nie widziała! Za każdym poruszeniem głowy tryskały snopy promieni i łamały się odblaski złota.

— Nie żal mieć takiego kawalera... czy on to już pannuńci zostawi do ślubu?

— To nie dla mnie, to pan Idzi posyła na Li twę swojej krewnej, która za męża wychodzi.

— Widać, że on bardzo bogaty!

Julia nic na to nie odpowiedziała. Zdjęła brylanty i włożyła napowrót do pudierka. Gdy służąca odeszła, usiadła na łóżku i podparła ręką głowę. Sie działa tak długo zamyślona. Po chwili podniosła głowę.

— Przecież niepodobna wierzyć temu — rzekła do siebie aby pan Idzi te brylanty rzeczywiście na podarek dla kuzynki przeznaczył. Nie ma tak boga tych krewnych, bo ojciec jego sam dopiero dorobił się majątku. Gdyby pan Idzi chciał rzeczywiście jakiej krewnej swojej dopomódz, nie kupowałby brylantów za

taką sumę, ale posłałby pieniądze... Nie, to być nie może.

Po chwili milczenia mówiła znowu do siebie:

— Jest rzeczą widoczną, że pan Idzi chce tym sposobem starać się o moje serce, czy raczej rękę. Po dziela on z innymi to zdanie, że w miłości brylanty są monetą, za którą zazwyczaj kupuje się towar. Brzydki człowiek! Muszę zaraz jutro powiedzieć ojcu, aby mu sam odwiózł te klejnoty!

I rozwiązała węzeł włosów, aby się udać już na spoczynek. Ale włosy pomotały się jakoś i trzeba było pójść znowu do zwierciadła, aby je uporządkować. Świece paliły się jeszcze. Spojrzała do zwierciadła. Z rozpuszczonymi włosami wyglądała teraz inaczej.

— Ciekawa rzecz — pomyślała sobie — jakbym

teraz wyglądała w tych brylantach, czy byłoby mi do twarzy?

Otworzyła kasetkę i zaczęła wyjmować jedne sztuki po drugiej. Ustroiła się, rozrzuciła włosy w nieładzie i długo patrzyła na siebie do zwierciadła.

— Zdaje mi się — rzekła do siebie — że tak jeszcze lepiej wyglądam!

I znowu patrzyła do zwierciadła. Uśmiechała się do siebie i do błyszczących brylantów.

— Jak to rzeczywiście podnosi urok kobiety — mówiła do swego sobowtóra — nawet przy najmniejszych wdziękach można być piękną!

— Możesz je mieć — szepnął jej ktoś w tej chwili do ucha.

— Gdyby pan Idzi był innym — szeptał ktoś do drugiego ucha albo gdybyś wiedziała, że Adolf o tobie me myśli, że w tej chwili może jest przy innej...

Julia Małgorzata posunęła białą rączkę po skroniach, aby odpędzić od siebie brzęczące komary, które w tej chwili jej główkę okręwały.

— Więc na taką ponętę, chce złović moje serce— mówiła do siebie z ironicznym uśmiechem — przyznam się, że ponęta dobrze wybrana! Gdyby był innym czło wiekiem!... gdyby Adolf... nie, to być nie może. Jutro, pojutrze nadejdzie list od Adolfa...

I szybkim ruchem zdjęła brylanty i schowała je do biurka.

Długo zasnąć nie mogła. Z każdego kąta tryskały do niej brylanty, a przed sobą widziała naprzemian dwie twarze: jedna należała do Adolfa, druga do pana Idziego.

Wreszcie zasnęła.

Dziwna rzecz... dotychczas w snach swoich widziała Adolfa, patrzącego na nią, lub dającego jej kwiatki.

Dzisiaj śniła także o nim. Adolf stał dzisiaj odwrócony od niej i rozmawiał z jakąś bardzo ładną blondynką. Na nią nie patrzył, a blondynce podawał bukiet z mirtu i niezapominajek. Wkrótce ozwała się muzyka, Adolf ujął blondynkę za wiotką kibić i oboje zginęli jej z oczu w błękitnawej oddali!... Potem usłyszała znowu muzykę, ale była to muzyka weselna.

Przed nią szły korowodem liczne pary kobiet w bieli ubranych, a pośród nich ujrzała ową blondynkę w białej atlasowej sukni, z długim welonem u czoła!... Później szedł orszak czarno ubranych mężczyzn, a pośród nich Adolf z bukietem na piersi. Zapłakała gorzko, a gdy się zbudziła, miała jeszcze łzy na twarzy. W po

koju było jeszcze ciemno, tylko gdzieś z kąta błyszcząły do niej... brylanty.

— Mój Boże — pomyślała sobie — jaki to sen okropny!... A gdyby to wszystko było prawdą! Brylanty tryskały jaśniej!
Wreszcie zaświtał dzionek, wróble zaczęły świegotać pod oknem. Julia wstała, ubrała się szybko i wybiegła do ogrodu. Przebiegła aleję raz i drugi. Chłód poranny orzeźwił ją, nocne mary zaczęły pierzchać. W duszy tylko czuła jakąś dziwną próżnię, a nie wiedziała, czym ją zapełnić.
Nadeszło śniadanie. Przyszedł pan Bonifacy i był w dobrym humorze. Pocałował Julię w głowę i zapytał, jak spała.
— Trzeba, tatulku, te brylanty dzisiaj odwieźć panu Idziem — ozwała się Julia, całując ojca w rękę.
— A coż ci tak pilnego? Przecież pan Idzi mówił, że za kilka dni przyjedzie.
— Wygląda to, jakbym dla siebie zatrzymać je chciała!
— Coż znowu!
— A może on sam myślał, że je zatrzymam i tym sposobem przyjmę jego oświadczenie!
— Ani słówkiem nie wspomniał mi jeszcze o tem!
— Może chciał mówić... brylantami i złotem!
— Hm, może i to prawda. Bywa tak czasami.
— W takim razie trzeba mu prędko zwrócić depozyt.
— Przecież niema nic tak pilnego.
— Tatulku, koniecznie dzisiaj trzeba je odesłać!
— Dobrze, dobrze, moje dziecko, pomyślę o tem.
Śniadanie się skończyło, pan Bonifacy wyszedł w pole, a Julia została sama. Siedziała na fotelu, a przed nią majaczyły różne jakieś obrazki. Był koro

wód weselny, były brylanty i jakieś jeszcze inne nie wyraźne rzeczy. Wreszcie na drodze za bramą poja-
wił się posłaniec pocztowy. Julia wybiegła szybkim
krokiem na jego spotkanie. Chwyciła torbę, zagłębiła
w niej rękę, a twarz jej oblała się ciemnym rumieńcem.
Z torby wyjęła list podłużny, format, dobrze jej znany.
Przycisnęła go do piersi i szybko pobiegła do swego
pokoiku.

Rozłamała pieczętkę, zapała oddech i zaczęła
czytać.

List był krótki, pismo wprawne, ręka pewna.

„Droga kuzynko! — pisał Adolf — dwa tygodnie
byłem na komisji i w tych dniach dopiero wróciłem.
Zastałem list twój, w którym donosisz mi bardzo krótko
o swoim zamażpójściu. Mówią, że szczęśliwi nie lubią
dużo słów. Chociaż się sam do nich nie liczę, wiedząc
jednak do kogo piszę, będę się starał dać jaknajkrótszą
odповідź. W przekonaniu, że żadna siła nie może
zmusić kobiety do oddania ręki temu, którego nie ko-
cha, wierzę, żeś sama szczęście swoje wybrała. W ta-
kim razie nic mi nie pozostaje innego, jak życzyć ci te-
go szczęścia, aby ono na zawsze było takim, jakim je
w godzinie ślubu swego widzieć będziesz. Życzliwy ku-
zyn Adolf.”

Krótki ten list czytała Julia godzinę, czytała dru-
gą godzinę i jeszcze go nie mogła odczytać. Szukała
czegoś między wierszami, między słowami, między lite-
rami — ale nic znaleźć nie mogła.

— Cóż znaczy ten list? — pyta siebie — co zna-
czy ta krótkość i ten oschły styl? Czy nie miał czasu
rozpisać się szerzej? Czy żałował kilku chwil, które
przeznaczył na inne przyjemności?...

Zadumała się głęboko.

— Tak zimny, konwencjonalny list! Nigdy tak
nie pisywał... Zapewne był na wsi... poznał kogoś...
może była właśnie zabawa... i zapomniał o mnie!

Wstała i szybko przeszła się kilka razy po po-
koju.

— Dobrze mówi panna Amelia, że dzisiaj już
nikt nie kocha, nikt kochać nie powinien. Szkoda oczu,
szkoda biednego serca. Lepiej śmiać się przez całe ży-
cie, jeść smaczne potrawy i mieć ładny ekwipaż!
Zapłakała rzewnie. Rzuciła się na fotel, płakała
długo, dopóki łez nie zabrakło!

Wreszcie wstała, otarła oczy i wyszła do gospo-
darstwa.

Przed obiadem zatoczyła się przed ganek żółta
kareta. Z karety wyszła stara kobieta, wystrojona jak
młoda dziewczyna. Krótka jedwabna sukienka nie okry-
wała chudych nóg, z pewną kokieterią ubranych w cie-
liste pończoszki. Błękitnej barwy kokarda pod szyją
podobną była do olbrzymich skrzydeł wiatraka. Na

ostatniej warstwie kruczych włosów unosił się w powietrzu prawie mały kapelusik o barwach tęczy. Twarz pomarszczona, nalepiona bleiwasem. miała pod oczyma dwie oazy różowe. Wskoczyła jak sarneczka z karety i drobnym kroczeniem wybiegła na ganek.

— A, panna Amelia! — zawołał pan Bonifacy, całując duńską rękawiczkę **. moja Julia nie posiedzi się z radości.

Rzeczywiście wyszła Julia z twarzą rozgorączkowaną, oczami błyszczącymi.

— Wiem, wiem o wszystkim — mówiła pani Amelia — przyjeżdżam z powinszowaniem. W samej

rzeczy jest czego winszować! Pierwszy epuzer w trzech graniczących powiatach.

Julia zarumieniła się, pan Bonifacy nie wiedział jeszcze, co zrobić.

— Coż to znowu za nowinę przywozisz pani do brodziejka — ozwał się, podskubując wąsy — my tam może o niej jeszcze nic nie wiemy.

— Któs może zażartował sobie — dodała Julia i spuściła oczy.

— Duszko — rzekła pani Amelia, głaszcząc Julię pod brodę — już same twoje oczki zdradzają cię...

I drobnym kroczeniem wbiegła do pokoju. W pokój u wykręcił a się wkoło i zapytała:

— No, gdzież są one?... Gdzież są te brylanty?...

Ojciec i córka spojrzeli na siebie. Pan Bonifacy obgryzał cybuch, a Julia stała jak winowajczyni przed sędzią.

— Brylanty? — zapytał dyplomatycznie pan Bonifacy o jakich to brylantach mówisz pani?

— Zapewne o tym podarku ślubnym — ozwała się Julia — który pan Idzi kupił dla swojej kuzynki na Litwie.

— Ha, ha, ha! kuzynki na Litwie! — zawołała pani Amelia pan Idzi, jak żyje, nie miał żadnych kuzynek, któreby w brylantach chodziły. Ha, ha, ha! znałyby to: przypiąć kwiatek do kożucha! Duszko, nie wypieraj się!...

Prawdę mówię... nie mam się czego wypierać Słowo "honoru pani daję, że Julia me kłamie!...

Dziwny z pana człowiek! Chcesz pan, aby ko

chankowie kiedy prawdę mówili! Przecież to jest wła-
śnie największa rozkosz pokrywać prawdę!
Pani Amelia zdjęła duńską rękawiczkę i uderzyła
pana Bonifacego po ramieniu. Pan Bonifacy po-
chwycił rączkę uderzającą i kilka razy ją pocałował.
— Zaręczam pani! — zawołał z uśmiechem —
i klnę się na owego mazura, którego z panią na mojem
weselu tańczyłem, że moja Julia ma wprawdzie brylan-
ty pana Idziego, ale brylanty te...
— Dosyć! dosyć tego! pokażcie te brylanty.
— Julio, to pokaż je.
Julia odeszła do swego pokoiku.
— Jużto winszuję państwu takiego konkurenta —
mówiła pani Amelia — nie jest to wprawdzie Adonis,
ale w każdym razie bardzo szanowny Krezus!
— Nic jeszcze nie mówił!
— A brylanty? To nic?
— Mówie pani, że to nie dla Julii...
— Śmieję się pan z tego! Sztuką bara... owce
tłuką.
Julia weszła z kasetką.
— Cudowne! — krzyknęła pani Amelia, otworzy-
wszy kasetkę — podobnusięnie kupiła księżna dla
swojej córki na wyprawę. Weźno je, Julisiu!
Julia zawahała się.
— To nie moje — odpowiedziała po chwili — nie
lubię stroić się w cudze pióra.
— Nie bądź dziecinną, to wszystko twoje!
— Zaręczam pani, że nie!
— Więc dobrze, niech będą cudze... Weź je,
niech tylko zobaczę, jak ci będzie do twarzy!

— Sprawia mi to niemałą przykrość... jeżeli ie-
dnak życzysz sobie pani koniecznie...
Julia wydobyła brylanty i zaczęła się ubierać
— Cudownie! prześlizgnie! — wołała w zachwyce-
niu, pani Amelia — tak pięknych brylantów nie znajdzie
wszędzie! Co za ogień!... Jeżeli sienie myślę, brylanty

księżny są daleko mniejsze.

Pan Bonifacy przypatrywał się z rozkoszą córce swojej. Posuwał ręką po czole, jakby chciał tem więcej podrażnić rozkoszne myśli swoje.

— Przyznam się — odezwała się później pani

Amelia — że wybierając się tutaj, nie wiedziałam, że będą tak piękne; przechodzi to moje oczekiwanie! Je żeli się nie mylę, pan Idzi dał za nie dziesięć tysięcy! Nadzwyczaj tanio. Widziałam hrabiny Izy za piętnaście, ale nie warte stanąć przy tych! Jużto pan Idzi wszystko umie dobrze zrobić! Pszenicę sprzedaje najdrożej, a brylanty kupuje za bezcen! Człowiek nieocioniony!

Julia zaczęła zdejmować brylanty.

— Zostań tak — zawołała pani Amelia — nie uwierzysz, jak jesteś zachwycająca!... Wierzaj mi, najpiękniejsza twarz potrzebuje pięknych ramek! Najpiękniejsza kobieta wygląda jeszcze piękniej, gdy siedzi w karecie, a traci wiele, gdy idzie piechotą.

Julia nie słyszała tych słów, bo właśnie była zajęta zdejmowaniem brylantów. Zdjęła je mimo wszelkich nalegań pani Amelii.

Pani Amelia została czas dłuższy, opowiadała wiele o panu Idzim, wynosząc go pod niebiosa. Nazywała go człowiekiem comme il faut i była tego zdania, że jest pierwszym epuzerem w trzech graniczących po

wiatach. Mówiła o pannach Zarębińskich, które teraz pękną z zazdrości, gdy się dowiedzą, że pan Idzi o Julię konkuruje, i że już rzecz tak daleko postąpiła.

Pan Bonifacy, jako dyplomata, opierał się nieco różnym twierdzeniom pani Amelii, a Julia nieraz prawie z gniewem odpowiadała. Nic to nie pomogło. Pani Amelia zakrzyczyła wszystkich, uściskała pana Bonifacygo jako najszcześniejszego z ojców, a Julię pocałowała jako najszcześniejszą z dziewic trzech graniczących po wiatów.

Wyjechawszy z Chmielowic, spotkała na drodze panią Euzebię, która z miasta wracała. Oba powozy zatrzymały się, a kobiety rozpoczęły głośną rozmowę:

— Czy pani wracasz z Chmielowic?

— Byłam, widziałam, wszystko prawda! Już się oświadczył, dał brylanty. Julia zachwycona!

— Tak prędko?

— Co pani chcesz! Burakowice, brylanty za dziesięć tysięcy... Wprawdzie człowiek...

— Nie chciałam wierzyć.

— I ja nie wierzyłam... Nie myślałam, aby pan

na wcale niebrzydka tak prędko zdecydowała się iść za pana Idziego. Trudno przecież w nim się zakochać! Bałwan nieokrzesany, wygląda raczej na ekonoma!
— Widać, że panna niewybredna!
— Trafił na swoich. Ojca złapał na Burakowice, pannę na brylanty! Myślałam, że się panna choć trochę potarguje, ale przysiadła odrazu jak kurczę! — Nie do uwierzenia!
— A jednak prawdziwe! Adieu! Śpieszę się do państwa Janów, nowina nielada!

Gdy się na drodze ta rozmowa toczyła, chodziła Julia po lipowej alei zamyślona.
— Tak krótki list napisał — mówiła do siebie — tak krótki i tak sztywny!.. Pani Amelia tyle mi słodkich rzeczy nagadała! Czyż to być może, aby mi wszyscy ludzie tego szczęścia zazdrościli? Czyż to szczęście moje jest rzeczywiście do zazdrosczenia? Czyż tylko takie szczęście istnieje na ziemi?
Przyśpieszyła kroku. Nagle zatrzymała się.
— List taki krótki!—mówiła dalej—czyż nie mógł więcej napisać? Czy żałował on ręki i czasu? Taki monolog trwał dosyć długo. Wreszcie nad szedł wieczór, a po wieczery trzeba było znowu udać się na spoczynek. W nocy nagabywał ją znowu jakiś sen złowrogi; znów widziała Adolfa w licznej towarzystwie pięknych kobiet, a niektóre z nich miały takie same brylanty, jak te, które w kasetce na biurku leżały. Wstawszy rano, poszła do kasetki, aby się przekonać, które brylanty rzeczywiście były ładniejsze. Wyjęła je i prawie machinalnie ubrała się w nie. Spojrzała do zwierciadła. Zwierciadło powiedziało jej, że brylanty mogły być ładniejsze, ale kobiety nie lepiej od niej wyglądały. Podniosła głowę do góry, a obrażona duma zaczęła jej szeptać do ucha:
— Jesteś niemniej piękną, a w tych brylantach wyglądasz jak królowa! Wszyscy uwielbiać cię będą, a nawet... i Adolf, gdy kiedy cię spotka, zatrzyma się przed tobą i rzeknie do siebie z żalem: Szkoda, że tej kobiety naprawdę nie ukochał! Szkoda, że szczęście moje już stracone!
Rumieniec zadowolenia okrył twarz Julii. Przeszła się kilka razy po pokoju. Po jakimś czasie za W dole i na wyżynach.

trzymała się nagle, rozśmiał* się śmiechem suchym i za wołała:

— Mój Boże, co się ze mną dzieje! Czasami sama siebie nie poznaję!

Szybko zdjęła brylanty i napowrót do kasetki włożyła.

Po obiedzie przyjechali znowu goście. Były to trzy dobre przyjaciółki, dwie nieco starsze od niej, z ciocią Andzią.

Ciocia Andzia patrzyła na nią chwilę z uwagą, potem uściskała ją i ucałowała. Przyjaciółki już się niecierpliwiły, aby także zbliżyć się do szczęśliwej i z nią trochę poszeptać. Jakoż zaraz po przywitaniach i uściskach wyniosły się z nią do jej pokoiku.

— Więc to prawda?—ozwała się najmłodsza Bińcia, ładna blondynka o kilkunastu wiosnach.

— Nie wiem, o czym mówisz — odpowiedziała z ironicznym uśmiechem Julia.

— Mówiono nam, że pan Idzi...

— Oświadczył mi się i dał brylanty!

— Tak... coś podobnego!

— Otoż, powiadam wam, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą! Nie wiem, z kąd się też to wzięło.

I rozpoczęły się znowu zapytania i odpowiedzi.

Jedne puszczały sobie wodze jaknajdalej, drugie starały się wstrzymać zbyt rozbijała wyobraźnię przyjaciółek. Przyjaciółki chciały się od razu o wszystkim dowiedzieć, a Julia dawała im tak krótkie odpowiedzi, że z nich nic się dowiedzieć nie można było. Wreszcie za brała głos panna Wanda, blada dziewczica o trzydziestu wiosnach:

— Nie wiem, dlaczego się wypierasz, Julisiu, kiedy rzecz jasna jak słońce. Pan Idzi, chociaż się jeszcze nie oświadczył, stara się o ciebie.

— Przecież nie... brylantami?...odpowiedziała szyderczo Julia—do serca prowadzi inna droga!

— Nie bądź dzieckiem, Julisiu—mówiła Wanda—dzisiaj jest świat inny, a my musimy się do niego stoso

wać. Dawniej patrzyliśmy na księżyc i gwiazdy... śpie-
wałyśmy przy klawikordzie pasterskie piosenki... ale to
na wiele się nie zdało! Oszukiwałyśmy siebie, chcąc dru-
gich oszukać! Dzisiaj stanęła rzecz nam jasno: Co masz?
Co dasz? Wszystko inne jest komedia!

Julia rzuciła się niespokojnie na sofie.

— Jakto? — zawołała — czy już niema miłości?...

Czyż nasze serca nie mają już kochać?..

Trzydziestoletnia dziewica rozśmiała się z ironią.

— Kochać — odpowiedziała — kochać... To sło-

wo długo jeszcze pozostanie w sercach naszych, ale tyl-
ko jako okaz muzealny! Nie mówię tego, jakobyśmy to
słowo z życia naszego wyrzucić chciały, ale tego słowa
nigdzie już nie spotkamy! Jeżeli świat nam go nie da
je, pocóż narzucać się z niem...

— Już my na to skazane—ozwała się najmłodsza

Bińcia, wzdychając głęboko—i lepiej iść za mąż dobrze,
to jest za bogatego, niżeli spuszczać się na czyje kocha
nie! Kocha miesiąc, dwa, a potem odleci, jak motyl na
inny kwiatek... Jabym tego głupstwa nie robiła, abym
tam komuś wierzyła!..

Julia spojrzała na piętnastoletnią Galateę.

— Cudownie!ozwała się Alina—nie wahałabym

się pójść za garbatego, gdyby tylko miał dobre utrzy-

manie. Miłość ulotni się zczasem, a potrzeby życia po-
zostaną!

Smutek jakiś ogarnął Julię, gdy tych słów słucha-
ła. Zdawało się jej, że ktoś zimną ręką zabiera z jej
duszy skarb tam ukryty, że na jego miejscu czuje jakąś
próżnię grobową; westchnęła głęboko.

— Dla Boga!—ozwała się—co robicie! Myślałam,
że przyszyście mnie co dać, a wy mnie okradacie!

— Zazdrościć tylko tobie możemy!

— Życzyć ci twego szczęścia!

— I marzyć o podobnym!

Julia zgarnęła włosy z czoła.

— Czy wy to naseryo mówicie? — zapytała po
chwili.

— Seryo i szczerze.

— Nie wiecie, co Stanisława o tem mówi?

— Zrazu nie chciała nawet wierzyć, aby takie
szczęście ciebie spotkało! Mówiła nawet, że na twojem
miejscu będąc, wyszłaby za pana Idziego z pocałowa-
niem ręki!

Julia milczała czas niejaki.

— Być może, że świat taki—rzekła po chwili—ale
mi trudno jakoś z tem się oswoić!

Długo jeszcze rozmawiały w ten sposób przyjaciółki, a w końcu zmusiły ją nawet do ubrania się w brylanty. Julia mimo oporu ubrała się, a przyjaciółki zaczęły ją podziwiać, ścisnąć i całować. Zachwycenie ich było prawdziwe, twarze miały czerwone, oczy błyszczące. Przejęła się nawet tą prawdą Julia, a oczy jej zabłyszczały i twarz zarumieniła się. Patrzyła czas niejaki do zwierciadła na siebie i brylanty, a uśmiech zadowolenia rysował się coraz więcej na jej ustach. Weszła w tej

chwili pani Iza i odrazu wpadła w zachwycenie. Uno siła się nad brylantami, nad Julią i nad jej szczękiem. Tylko pan Bonifacy nie mieszał się do rozmowy, nie mogąc żadnej pauzy pochwycić. Stał w głębi pokoju i puszczał kółka dymu z niemałym zadowoleniem.

Po tej wizycie nastąpiły nazajutrz inne. Były one podobne do siebie. Całowano, ścisniano Julię i życzone jej tak wyjątkowego szczęścia.

Julia zrazu z ironicznym uśmiechem przyjmowała te życzenia, opierała się jak mogła, lecz w końcu tak jakoś osłabła, czy uwierzyła, że słuchała tej adoracji spokojnie.

Czasem tylko, gdy wszystko we dworze się uspiło, stawał jej obok brylantów Adolf przed oczyma. Wyrzucała mu, że tak krótki list napisał, że w każdym razie powinien był jej coś więcej powiedzieć, a nawet trochę pogniewać się!.. Wszystkiego tego ani śladu w tak krótkim liście, napisał go prawdopodobnie między jednym referatem a drugim! Wanda ma słuszość, że chociaż nie warto, że jedynym szczęściem jest dobry byt i dostatki!

Takie i podobne myśli przychodziły Julii do głowy i coraz mniej raziły ją słowa przyjaciółek. Powoli przyzwyczajała się do nich i uśmiechała się z coraz większą swobodą. Poczty, jak dawniej, nie wyglądała i z czynna jej z tem być dobrze.

Po jakimś czasie rozpatrzyła się w nowym swoim położeniu. Wynajdywała w niem różne dobre rzeczy, których pierwiej nie widziała. Dziwiła się nawet sobie, że mogła być tak dziecinna i bawić się jakimiś mamidlami. Zaczęła marzyć z rozkoszą o dostatnim życiu, o karetach, ładnych koniach, służbie w liberyi

i tym podobnych specyałach każdej młodej mężatki. Myślała także o restauracyi dworu, o meblach i dywanach, zakładała parki i ogrody. Wszedłszy raz na tę drogę, postępowała dalej, a ponieważ przytem bez pana Idziego obejść się nie mogło, zaczęła na ostatku i o nim myśleć. Wydawał się jej teraz lepszym, a nawet przy stojniejszym. Jak na obywatela, miał dosyć nauki, a często nawet i sporą porcyę dowcipu. Wszystko to widziała teraz jaśniej i wyraźniej. Kie sprawiał już jej wstrętnego widoku, przeciwnie, z uśmiechem myślała o nim. Raz nawet zapytała ojca, że pan Idzi tak długo ociąga się z przyjazdem.

Usłyszawszy te słowa swojej jedynaczki, uradował się pan Bonifacy, a wydmuchnąwszy chmurę dymu na środek pokoju, rzekł do niej z ojcowską miłością: — Czekałem z niecierpliwością takiego zapytania od ciebie. Sprawiasz mi wielką radość, bo widzę, że jesteś już na drodze swego szczęścia. Nie chciałem żadnego nacisku na ciebie wywierać, ale teraz, gdy sama o pana Idziego się pytasz, powiem ci, że pan Idzi już od tygodnia pisał do mnie, zapytując, kiedy ma po twoje odpowiedź przyjechać. Sądzę, że teraz można mu już powiedzieć: przyjeżdżaj!

Julia poczuła rumieniec na twarzy i przycisnęła ją do piersi ojca.

Ja się zupełnie spuszcza na woję ojca—odpowiedziała głosem wzruszonym.

Pan Bonifacy uściskał córkę.

— Szczęśliwy jestem—mówił nawpół z płaczem—że to od ciebie słyszę... bo przyznam się, że miałem czasem sromotne zmartwienie!

Zacny ojciec otarł tutaj kułakiem dwie łzy.

Zmartwienie?... Jakie tatulko miał zmartwienie?

— Zmartwienie nielada—mówił, szlochając, pan Bonifacy—z powodu tego gryzpiórka... kuzynka Adolfa!

Zimny dreszcz przebiegł po ciele Julii.

— Dlaczego, tatulku? — zapytała nieśmiało.

— Bo widzisz, moje dziecię... ja myślałem... żeś ty

nim sobie głowę zaproszyła.

— Ja? Głowę zaproszyła!

— Tak myślałem sobie. Widzisz, dziecie moje, ci kuzynkowie, jeżeli do tego są jeszcze biedni, niewiele warci! Zawracają głowy bogatszym kuzynkom, aby bez pracy przyjść do majątku. Miarkowałem, że Adolf koło ciebie się kręcił i oczy zawracał. Miałem wielką ochotę zawrócić go kijem do kałamarza i papieru, ale, dzięki Bogu, nie była potrzeba po temu. Rozsądek twój zwyciężył pokusę, dlatego cieszę się teraz.

Julia milczała czas niejaki.

— Przecież ja nigdy o tem nie myślałam — odpo wiedziała z bolesnym uśmiechem — a nawet bynajmniej nie widziałam...

Pan Bonifacy ucałował serdecznie córkę.

— Nie było co do widzenia, moje dziecko—odparł żywo bo córka obywatelska nie powinna nawet pa trzeć na takiego, jak Adolf, urzędniczka! Czy me prawda?

Julia bawiła się końcem wstążki.

— Więc kiedy tatulko napiszesz do pana Idziego

— Dziś, zaraz, kiedy tylko rozkażesz.

To niech tatulko... zaraz napisze!

— Natychmiast, biegnę, aby chwili nie stracić, moje dziecie ukochane.

I pobiegł pan Bonifacy do swojej kancelaryi, aby tamże jeden z licznych conceptów odpowiedzi, jaką miał dać panu Idziem, na czysto przepisać. Był on w tej chwili najszczęśliwszym człowiekiem w trzech pograni cznych powiatach.

Julia była o tyle szczęśliwą, o ile wiedziała, że już uczyniła krok stanowczy. Po takim kroku czuje za zwyczaj serce ulgę, a gdy ta ulga się przedłuża, wtedy zaczyna nawet marzyć o nowem szczęściu!

Julia rzeczywiście już o niem marzyła.

VII.

Gdy się to w ustronnym powiecie działo, mieszkań cy stolicy kraju żyli sobie zwyczajem swoim, jak ka żdy mógł najwygodniej. Jedni, których stać było, jeździli kareta po brukowanych ulicach, inni brnęli w bło cie, chroniąc się tylko od ścieków z dachu rozpiętym pa rasolem. Deszcz bowiem rzęsiście lał już od tygo dnia, a władza miejska nie mogła w żaden sposób temu zaradzić.

Do mniej szczęśliwych mieszkańców stolicy nale zał człowiek młody, krocący w tej chwili samym środ kiem zabloconej ulicy. Twarz miał bladą i sympatyczną,

ocienioną bujnym, czarnym zarostem. Ubiór staranny uwydatniał wysmukłą jego figurę. Tem mocniej uderzało, że na ten ubiór wcale nie zważał, brnąc po błotno

ulicznym. Nie szukał lepszego chodnika, ani suchszych kamieni, a nawet parasol uniósł tak niedbale nad sobą, że z kresów kapelusza tak samo się lało jak z parasola. Szedł prostą drogą, jakby sam nie wiedział dokąd idzie.

"Wreszcie zatrzymał się przed długim budynkiem, przed którym stał w bramie okazały odźwierny z srebrną buławą w ręku. W sieni spotkał jakiegoś urzędnika.

— Czy ekscelencja jest już na górze?—zapytał.

— Jest—była krótka odpowiedź.

Młody człowiek szybko pobiegł na schody i nie zatrzymał się, aż w pokoju, w którym stały rozmaite stoły i biurka. Przy jednym biurku usiadł, przysunął do siebie spory plik papieru i zaczął się w nich rozpatrywać. Jedną ręką podparł głowę i siedział tak długo.

Zrazu na jego biurku słychać było szelest przez wracanych kartek, później szelest ten ustał, chociaż młody urzędnik nie zmienił wcale pozycji. Kilku starszych urzędników przechodziło koło niego; on ich nic widział i wcale na nich nie zwracał uwagi.

Było już blisko południa, gdy w kancelaryi dał się słyszeć jakiś ruch niezwykły. Posuwano krzesła i szepotano sobie coś pocichu od stołu do stołu. Po chwili otworzyły się drzwi, a z papierem w ręku wszedł mężczyzna okazałej postawy. Twarz miał gładką, ogoloną, a na wydatnych ustach lekki uśmiech ironiczny. Głowę trzymał do góry podniesioną, jak człowiek przywykły do rozkazów, ale oraz i do bezwzględnego posłuszeństwa. Miał na sobie mundur wyższego urzędnika.

Gdy się ukazał na progu, powstali wszyscy od stołów, tylko młody urzędnik siedział jak przykuty do swego krzesła. Nikogo nie widział, nic nie słyszał. Głowę miał podpartą ręką i patrzył zamyślony na papiery, które przed nim leżały.

Wyższy urzędnik przeszedł szerokim krokiem cały pokój i zatrzymał się przed młodym praktykantem.

— Co pan robisz? —zapytał szorstko.

Młody urzędnik usłyszał dopiero teraz głos, do brze mu znany. Zbladł na twarzy i porwał się szybko na nogi. Wyprostował się jak żołnierz przed jenerałem.

— Ekscelencyo!..—szepnął zcicha i urwał.

Ekscelencya patrzył z czołem namarszczonem na biednego aplikanta.

— Zanedbujesz się pan!—mówił do niego tym samym szorstkim głosem — odpisałeś referat z błędami, jeżeli tak dalej pójdzie, to będę zmuszony z panem się pożegnać. Nie uważam służby za zabawkę, a jeżeli pan masz więcej fantazyi, jak na urzędnika przystało, to radzę panu innego szukać zawodu!..

Rzekłszy to, obrócił się ekscelencya od bladego aspiranta, a rzuciwszy surowe spojrzenie na innych urzędników, wyszedł z pokoju temi samemi drzwiami, któremi przyszedł.

Po wyjściu ekscelencyi głucha zapanowała cisza.

Po chwili zaczęli urzędnicy swobodniej oddychać i każdy dziękował Bogu, że nie skrupiło się na nim, tylko na młodym aplikancie. Zaczęto litościwie spojrzeć rzucać na aplikanta, a najbliżsi odważyli się nawet przystąpić do niego z widocznem współczuciem. Po tem,

co zaszło, był to już człowiek stracony. Znano rygor ekscelencya

— Cóżżeś, do kata, pan zrobił?pytał szpakowaty urzędnik, lokując pióro swoje za uchem.

Młody aplikant stał jak posąg z kamienia. W twarzy jego nie było ani kropli krwi. Na zapytanie starszego kolegi ruszył tylko ramionami. Patrzył przed siebie jak skazaniec.

— Ekscelencya coś widocznie upatrzył sobie do pana—mówił dalej urzędnik, głaszcząc się po łysinie— a ja nawet moge odgadnąć. Masz pan zabujne włosy i nosisz je zadługo. Ekscelencya nie lubi tego. Eaz nawet woźnego chwycił za bujną czuprynę i dobrze go wytargał! Wierzaj mi pan, że tak jest.

— Dlatego pan Szymon—odezwał się drugi urzędnik—postarał się o to, aby ekscelencya nie miał za co

chwycić.

— Mówcie, co chcecie, ale ja znam ekscelecyję od dzisiaj, byliśmy razem w gubernium aplikantami. Hrabia nosił włosy zawsze krótko strzyżone, a między kolegami był despotą. Dlatego radzę panu obejrzeć się za czemś innym, bo od tego biurka już pan nie pójdiesz wyżej.

— Ekscelecyja pamięta dziesiątki lat, jak raz co komu powie.

— Z nim niema co żartować!

— Najlepiej zawczasu się wynieść.

Tak pocieszano młodego urzędnika, który stał ciągle przy biurku, jakby jeszcze zmysłów nie odzyskał. Białe usta jego drżały, szklane oczy patrzył, beśmyślnie na ziemię.

Cicho otworzyły się drzwi. Nizka postać w czarnym fraku, z białą chustką pod szyją, z przymuskanymi starannie włosami na głowie, wsunęła się teraz do pokoju. "Urzędnicy z pewną bojaźnią spojrzeli na dobrze im znaną osobistość. Trędowata nieco twarz przybysza uśmiechnęła się dyplomatycznie do urzędników, wybierając sobie między nimi ofiarę. Z wytężonym wzrokiem śledzili wszyscy wzrok jego, a każdemu z nich zaczęło serce bić niespokojnie. Patrzyli po sobie w milczeniu.

"Wreszcie wybrał czarny przybysz swoje ofiarę.

Zbliżył się do młodego urzędnika i rzekł:

— Hrabia ekscelecyja woła pana!

Na te słowa przybladł jeszcze więcej młody urzędnik i z roztargnienia zaczął mieszać papiery na biurku.

— Ekscelecyja czeka! — mówił dalej czarny posłaniec.

— Idź pan, idź pan — wołali koledzy — Bóg z panem!

— Przygotuj się pan na najgorsze!

— Już pan pewnie do nas nie wrócisz.

— Mówiłem panu dobrze, ta bujna czupryna...

Przerwał te słowa współczucia czarny posłaniec, obróciwszy młodego urzędnika twarzą do drzwi i popychając go dalej w tym kierunku. Koledzy zrobili za nim krzyż święty.

Tymczasem szedł młody urzędnik, jak winowajca pod wyrok. Przeszedł kilka pokoi i długi korytarz, a za nim krok w krok, jak żandarm pilnujący skazańca, szedł czarny towarzysz. Wreszcie weszli obaj do przedpokoju ekscelecyi. Czarny towarzysz przyłożył ucho do drzwi, a potem oko do dziurki od klucza i niejaki

czas pomedytował, jak człowiek zbierający swe mvsli
w kupę.

— Teraz pan już idź szepnął do urzędnika
otwierając mu okazałe podwoje—i życzę panu szczęścia!
Młody urzędnik nie miał jeszcze czasu podzięko
wać za takie życzenie, gdy nagle ujrzał się przed eksce
lencya.

Ekscelencya według swego zwyczaju stał przy
biurku wyprostowany, z rękami w tył założonemi. Czo
ło miał namarszczone, na ustach był wyraz niecierpli
wości.

— Powiedz mi pan — ozwał się szorstko — co pa
nu jest?

Młody urzędnik pochylił głowę.

— Nic mi niejest, ekscelencyo—odpowiedział po
kornie.

— Nieprawda, kłamiesz pan!

— Nie kłamię, ekscelencyo!

Ekscelencya namarszył jeszcze więcej czoła.

— W żywe oczy kłamiesz; ja widzę dobrze, mnie
nikt nie oszuka!

— Nie oszukuję ekscelencya'

— Byłeś pan dotąd dobrym robotnikiem, od tygo
gnia nie poznaję pana! Pisziesz głupstwa i zaniedbu
jesz służbę!

Młody urzędnik stał nieruchomy.

— Czyś pan nie chory?

— Nie, ekscelencjo!

Może masz długi i martwisz się?

Nie, ekscelencyo; długów nie mam żadnych.

Cóż, u kata? Coś musi być! Zakochałeś
się pan?

Młody urzędnik zaczerwienił się jak alkiermasz.

Uśmiechnął się ekscelencya.

— Widzisz pan, że mnie nie oszukasz. Mam ja

oko dobre... Powiedz mi pan, co to za takie kochanie, dla którego pan tak służbę swoje zaniedbujesz?
Młody urzędnik patrzył w ziemię, a na jego sympatycznej twarzy grały wszystkie kolory tęczy.
— Powiedz pan otwarcie, co ci dolega?—pytał dalej ekscelencya—może chcesz awansu i większej pensyjki, bo dla dwojga zwykle adjutum nie wystarczy!
Rozpromieniła się twarz urzędnika.
— Ekscelencyo—zawołał drżącym głosem—jeżeli mam już wyznać szczerą prawdę, to powiem otwarcie, że szczęście moje nie zawisło od małego awansu albo wyższej pensyjki... daleko więcej mi potrzeba!
— Czegóż panu potrzeba?
— Tego, czego nikt, ani nawet ekscelencya dać mi nie może.
Zdziwienie malowało się na twarzy 'ekselencyi. Z czołem nachmurzonym patrzył na urzędnika.
— Ja nic dać nie mogę?—ozwał się po chwili, prostując jeszcze więcej i tak już wyprostowaną postać swoje—nic dać nie mogę? Spróbujemy, tylko powiedz pan, o co chodzi!
Urzędnik walczył jeszcze czas niejaki, wreszcie odetchnął głęboko i rzekł:
— Ekscelencyo! przyszedłem tutaj z obawą, że karyera moja już skończona! Tymczasem przemawiasz do mnie, ekscelencyo, jak ojciec lub opiekun. W takim razie nie mogę mieć żadnej tajemnicy!
— Mów pan śmiało—rzekł ekscelencya.
Urzędnik pomilczał chwile i zaczął:

— Ekscelencyo, spotkało mnie wielkie nieszczęście... Mam krewnego, u którego często bywałem na feryach i czas ten przebywałem swobodnie z jedyną córką jego. Nie potrzebuję dodawać, że w sercach naszych powstała już wzajemna skłonność. Nie posiadając żadnego majątku, nie miałem nigdy nadziei, aby ta skłonność nasza zakończyła się ślubem... To też nie wychodziłem nigdy w moich aspiracjach poza granice braterskich uczuć dla Julii. Przed tygodniem odebrałem na gładzie list, że za mąż wychodzi za sąsiada, który tylko to ma za sobą, że jest bogatym!.. Ekscelencyo! na tę wiadomość opanował mnie istny szal. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Czasami odchodzę od zmysłów i obawiam się, abym nie zwaryował!
Ekscelencya słuchał z uwagą tej spowiedzi. Na jego ustach migotał uśmiech politowania.
— Czy kuzynka pana wybrała sobie dobrowolnie tego sąsiada?

— Zdaje mi się, że musiał na to wpłynąć ojciec, który lubi ludzi mających.

— Co pisałeś pan kuzynce?

— Życzyłem jej lakonicznie szczęścia.

— Czy ona może domyśleć się, że to szczęście martwi pana?

— Powinna to.

— Czy mógłbyś pan drugi raz do niej napisać.

— Nie mam odwagi, bo ojciec jej życzy sobie zięcia tak bogatego, jakim on sam jest.

— Pan możesz awansować.

— Ojciec Julii nie lubi urzędników i ma ich za nic!

Ekscelencya wyprostował się jeszcze sztywniej, na jego czole wyprężyły się żyły.

— Jakto! — zawołał gniewnie — za nic nie ina urzędników?... Jakże się nazywa ten zacny obywatel?...

— Pan Bonifacy...

— Pan Bonifacy... Przypominam go sobie dobrze, był moim kolegą w szkołach. Nie smakowała mu nauka, poszedł orać czarną ziemię. Nietęga była to głowa, lecz nie przypuszczałem, aby kiedyś z góry miał patrzeć na urzędników!

Urzędnik uśmiechnął się smutno. Ekscelencya mówił dalej:

— Urzędnik wprawdzie miał dawniej inną pozycję; nie lubiono go, bo widziano w nim nieprzyjaciela. Potrzeba było odwagi, koniecznej potrzeby, aby urząd przyjąć. Dzisiaj zmieniły się czasy. Urzędnik jest obywatelem kraju i służy krajowi. Nic go nie dzieli od reszty mieszkańców, którzy, jeżeli jest zacny i poczciwy, mają dla niego cześć i szacunek. Służba dla kraju dzisiaj więcej znaczy, niż oranie czarnej ziemi i sianie kukurydzy. Napisz to panu Bonifacemu i oświadczyć wręcz o jego córkę.

Urzędnik ruszył smutno ramionami.

— Napisz mu pan, że i ja byłem takim aplikantem, a dzisiaj posiadam zaufanie monarchy i, spodziewam się, miłość całego kraju!

Urzędnik uśmiechnął się smutno.

— O ile znam pana Bonifacego—odparł po chwili — list taki rzuci do kosza.

Ekscelencya gniewnie zacisnął usta i przeszedł się kilka razy po pokoju.

Rzuci do kosza mówi przez zęby bo urzędnik u niego jest niczem! Postaramy się o to, aby go do kosza nie rzucił!... Powiedz pan, że piszesz z mojego polecenia... albo zaczekaj, ja sam napiszę. Mam prawo odezwać się do dawnego kolegi. Będę swatem pana!

Urzędnik poczerwieniał z radości. W szale chciał ekscelencyę pocałować w rękę, ale w sam czas jeszcze oprzytomniał.

— Ekscelencyo!—zawołał—jesteś więcej niż moim ojcem i dobroczyńcą, jeżeli chcesz być moim swatem! Takiemu swatowi pan Bonifacy odmówić nie może. O ile go znam, będzie to dla niego najwyższym zaszczytem!

— Dobrze więc — idź pan tymczasem do roboty, a ja list napiszę, aby jeszcze dzisiejszą pocztą odszedł!.. W sprawach serca i państwa trzeba działać energicznie!

Ezekłszy to, podał zdziwionemu urzędnikowi rękę, a sam usiadł przy biurku.

Koledzy czekali na młodego urzędnika pieniemi ducha i gotowali już dla niego słowa pocieszenia, Jakże wielkie było ich zdziwienie, gdy go ujrzeli stąpającego z góry krokiem ministeryalnym. Młody urzędnik miał iście minę przyszłego ministra.

— Panie Adolfie! Co się stało? Mów pan prędkiej!

Aplikant rozkraczył szeroko nogi i zawołał:

— Jestem tak szczęśliwym, jakbym wygrał wielki los na loteryi. Ekscelencya będzie moim swatem! Pomiarkował się, że zawiele wygadał, ale już

było zapóźno cofnąć się. Musiał więc rozpowiedzieć o Julii i panu Bonifacym.

Urzędnicy słuchali zdziwieni wybrańca losu, a gdy ten skończył, posypał się grad słów i uścisków. Łysy, kolega ekscelencya przysunął się do niego z uszanowaniem i szepnął mu do ucha:

— Byłem zawsze życzliwym dla pana, nie zapominaj pan o mnie, gdy będziesz w przybocznym biurze ekscelencya. Nastąpi to niebawem, za to ręczę panu, słowo honoru.

Adolf nie miał czasu podziękować koledze za taki horoskop, bo już siedział przy biurku, aby do Julii list napisać.

Po chwili wszedł do pokoju ten sam czarny posłaniec, który niedawno taki postrach szerzył wkoło. Teraz miał on na twarzy słodziutki uśmiech, a w ręku okazały list, zapieczętowany sygnetem ekscelencyi. Urzędnicy zbiegli się do Adolfa, który teraz list ten trzymał w ręku, i z uszanowaniem przypatrywali się temu listowi.

A Adolf uśmiechał się jak przyszedł... ekscelencya!

VIII.

"W Chmielowcach nic o tem jeszcze nie wiadomo.

Pan Bonifacy wrócił właśnie z pola i wszedł do pokoiku Julii. Julia siedziała przy jakiejś robótce.

— Czy nie było jakiej wiadomości z Burakowic? — zapytał.

Nie było — odpowiedziała Julia, nie przerywając roboty.

— Rzecz dziwna. Pisałem panu Idziemu wyrażnie o twojej decyzji; mówiłem, aby przyjechał z ust twoich to samo usłyszeć. Nie wiem, dlaczego się ociąga.

Pan Bonifacy z pewną obawą spojrzął na córkę.

— Zapewne coś mu w drogę weszło — odpowiedziała Julia — jak to zwykle przy gospodarstwie bywa.

— W takim razie powinien przecież pośpieszyć się...

— To nic; wynagrodzę sobie tę jego opieszałość po ślubie!

— Rozsądnie mówisz, moje dziecko; w samej rzeczy w gospodarstwie bywają wypadki, które z gospodarza robią niewolnika!

— Jestem dlatego wyrozumiałą.

Pan Bonifacy pocałował córkę i wrócił do kancelaryi. Tam zastał żyda z granicznej karczmy, który się mienił posłańcem p. Idziego.

— Idę na targ do miasta — ozwał się posłaniec —

& po drodze kazał mi pan Idzi wstąpić do wielmożnego pana, że on dzisiaj tu będzie po obiedzie.

Pan Bonifacy o mało co nie ucałował brodatego postillon d'amour i zaraz pobiegł z tą nowiną do Julii.

Julia prawie z radością przyjęła tę nowinę. Zapytała tylko, czy pan Idzi nic nie pisał.

— Nic nie pisał, moje dziecię odparł pan Bonifacy, nieco zakłopotany bo widzisz... zapewne spotka żyda na drodze, a nie miał pod ręką pióra i kałamarza! Zresztą on nie jest skory do pisania... musisz mu da rować!

— Znam go już z tej strony i wcale nie mam mu tego za złe.

Pan Bonifacy patrzył z uwagą na córkę. Mała chmurka wybiegła na jego czoło.

— Dziecko moje—ozwał się głosem wzruszonym — ja na ciebie nie naciskam...jeszcze masz czas! Jeśli uważasz, że nie będziesz szczęśliwą, to można się jeszcze cofnąć. Przedewszystkiem zależy mi na twojem szczęściu, do niczego nie przymuszam cię.

— Julia ucałowała rękę ojca.

— Ależ, ojczu—zawołała z uśmiechem—ja sama dobrowolnie wybrałam moją przyszłość. Trzeźwy rozsądek, a nawet opinia świata, każe mi wierzyć, że będę szczęśliwą. Pan Idzi jest zacny i poczciwy, a jeżeli będę miała kiedy jakie kaprysy, to potrafię go do nich nagiąć. Zresztą tak się już do tej myśli przyzwyczaiłam, że uważałabym to za nieszczęście, gdyby mi przyszło oderwać się od niej. Jestem zadowolona z siebie i prawie szczęśliwa.

Pan Bonifacy uścisnął córkę.

— Wierzaj mi, moje dziecię, że i ja jestem nie mniej szczęśliwy twoim wyborem. Pan Idzi to przecież świetna partya, jakiej niejedna zazdrości!

— Wiem o tem i to przyczynia się niemało do mojej decyzji. Pozwól, tatulku, że się przebiorę. Chcę być trochę ładniejszą jak na dzień powszedni.

I z figlarnym uśmiechem ucałowała rękę ojca.

Pan Bonifacy wyszedł szczęśliwy z pokoju córki.

Miał spokojne sumienie i wierzył, że na wybór córki nic a nic nie wpływa. Wybrała sama według myśli jego, z czego niezmiernie się cieszył. Małżeństwo to

było oddawna jedynym jego marzeniem, a dzisiaj spełnia się!..

Nikt nie był w tej chwili szczęśliwszym od niego. Założył wtył ręce jak Napoleon i chodził długo przed gankiem swego dworu. Roił różne plany restauracji swego dworku, a nawet posunął się czasami do marzeń o wybudowaniu nowego pałacu z dużą chorągwią na dachu. Stanąwszy raz na tym punkcie, wyprostował się, jak przystało pewnej znakomitości powiatowej. Li czył w duchu nowe wizyty i znajomości, jakie będzie musiał z powodu tak świetnej pozycji córki poczynić w sąsiedztwie. Dotąd był on bardzo wstrzemięźliwy. Składał tylko ziarnko do ziarnka. Dzisiaj moje już rozwiązać worek i okazać całemu powiatowi, co może. Chmielowice wspólnie z Burakowicami — to majątek pański, można nawet będzie z hrabiami się bratać! Tak myślał sobie pan Bonifacy, stąpając z góry, jak to zwykli czynić wielcy panowie. Jedno bolało go tylko. Sąsiedzi ani razu nie zwrócili uwagi na niego przy publicznych wyborach. Nie dostał mu się żaden zaszczyt, ani razu nie był kandydatem na posła, a na wet rada powiatowa obchodziła się jakoś bez niego. Nie wezwano go do żadnej komisji, a nawet sławna sprawa katastru rozstrzygała się mimo niego. Te skryte cierpienia jego dolegały mu najwięcej. Wolałby, aby pszenica na pniu mu przepadła, niż zność takie upokorzenie między bracią. Był jednak teraz pewny odwetu. Połączonemi siłami Chmielowic z Burakowicami spodziewał się zaimponować wszystkim. W jaki sposób, tego jeszcze nie wiedział, ale miał przeświadczenie, że to jakoś samo z siebie nastąpi. Tak stały rzeczy, gdy posłaniec pocztowy z torbą

wszedł na dziedziniec. Pan Bonifacy odebrał własno ręką torbę i poszedł z nią do kancelaryi. Wysypał na stół listy i gazety. Dwa listy zwróciły jego uwagę. Jeden był podłużnym a drugi kwadratowy. Na podłużnym był adres Julii, a pan Bonifacy poznał odrazu rękę Adolfa.

— Tam do kata! — zawołał z gniewem — czegoż on chce znowu! Po co kładzie palce między drzwi, gdy się te już przed nim zamykają?

Tu zawahał się chwilę.

— Najlepiej będzie, jeżeli ten list rzucę do kosza. Z przed dziecka trzeba zamfeść ścieżkę, aby prostą drogą szła do swego szczęścia. Takie padalcę i gąsienice

tylko zawadzają!

I list podłużny wpadł do kosza.

— Ba! a nuż Julia przypadkiem znajdzie ten list?... Jeszcze gorzej będzie, bo kobiety z samego uporu czasem dokazują cudów!... Trzeba go spalić!

Pan Bonifacy wyjął teraz list z kosza i zbliżył się z nim do kominka. Dobył zapalkę, a patrząc na list, zawołał z uśmiechem:

— Giń teraz, zdrajco!.. Ty, coś chciał mi dziecka moje obalamucić! Szczypta popiołu zostanie tylko po tobie, a i ten rozwieje się wkrótce na cztery wiatry i Prochem byłeś i w proch się obrócisz... Requiem aeter nam... et lux perpetua luceat ei!...

Tu błysnęła zapalka, a błękitny płomyk otoczył papier welinowy. Pan Bonifacy trzymał ten papier, póki tylko mógł utrzymać, i przypatrywał się z rozkoszą płomieniowi, który ten papier pożerał... Na chwilę doznał dziwnego uczucia. Zdawało mu się, że cudze mienie podpalił... że ręka sprawiedliwości spuszcza się

już na niego, aby go na zbrodniarza napitować... Ale ta chwila krótko trwała. Spadające szmaty popiołu wróciły mu wkrótce ten uśmiech zadowolenia, z jakim przed chwilą pocierał niebezpieczną zapalkę.

Tymczasem dogorywały na kominku resztki listu a czerwone iskry, jak konające uczucia, drgały jeszcze po czarnym popiele... A. gdy już ostatnia iskra zagasła odwrócił się pan Bonifacy od kominka, wielce z siebie zadowolony.

— Bóg wie, co on tana pisał — rzekł do siebie.—

I to jeszcze przed samym przyjazdem pana Idziego.

Wlazłby między nich, jak Piłat w Credo: Po co to i na co! Julia mówiła wyraźnie, że o nim nigdy nie myślała, na co jej teraz daremnie czas zabierać...

Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, przystąpił pan Bonifacy do stołu, na którym reszta listów leżała. Najprzód wziął do ręki list kwadratowy. Na adresie wyczytał swoje nazwisko, ale ręki nie poznał. Spojrzał na pieczętkę. Na pieczęci ujrzał dwa herby razem złączone; ale nie będąc biegłym w heraldyce, nie poznał ich. Z uszanowania jednak nie rozламаł pieczętki, tylko nożem kopertę rozciął. Rozwinął dużą éwiartkę cienkiego papieru i zaczął czytać.

Ciekawe byłoby studyum artysty, gdyby tenże mógł dokładnie oddać grę rysów na twarzy pana Bonifacego podczas czytania tego listu. Zdrowa i czerstwa twarz jego zaczęła się z wolna przedłużać, co miało oznaczać wielkie zdziwienie. Potem rosła wszcz a na

czole i nosie tak się spłaszczyła, jak jabłko rajskie.
Czasami zdawało się, że tylko połowa twarzy odbywa jeden proces, a druga drugi, przyczem oczy to malały, to wylaziły na wierzch, a nos kręcił się, jak cholewa

buta z kozłowej skóry. Nietylko twarz, ale cała po
stać pana Bonifacego przechodziła różne odmiany.
Kurczyła się i rosła do góry, krzywiła się to wtył, to
naprzód.

Wreszcie wielkiego dzieła dokonał pan Bonifacy.
List był już przeczytany. Z pod szpakowatych włosów
spuściło się na czoło kilka dużych kropli potu. Ode
tchnął i krzyknął:

— Gwałtu, co się ze mną dzieje! Czyż to być mo
że! Hrabia ekscelencya pisze do mnie, nazywając mnie
swoim kolegą! Powiada, że przy sposobności odwiedzi
mnie i wypije ze mną kieliszek węgryna!.. Gwałtu, co
to będzie! Sąsiedzi pękną z zazdrości! Hej, Szymek!
Antek, Marcinie!., tylko prędko!

Lokaj, pokój owiec i stróż wpadli do kancelaryi.
Pan Bonifacy chciał im właśnie powiedzieć, że hrabia
ekscelencya do niego przyjechał, ale wnet uznał, że to
było jeszcze zawcześnie.

Wypędził służbę z kancelaryi.

— Ba — rzekł do siebie po chwili — hrabia eksce
lencya przyjedzie, ale powiada, że na wesele Julii...
z Adolfem; cóż znowu o Adolfie pisze? Trzeba przeczy
tać z uwagą.

Pan Bonifacy wziął list do ręki i zaczął czytać:

„... Tak, dawny kolego, jestem dzisiaj swatem.

Jeden z moich najlepszych pomocników wyznał mi, że
dla córki twojej żywi afekt niepośledni i spodziewa się,
jeżeli na to zezwolisz, że córka twoja będzie mu wzajemnie
mną. Przemawiając za moim pupilem, muszę ci, kole
go, jeszcze powiedzieć, że urzędnik ma dzisiaj w kraju
zupełnie inne znaczenie, niżeli dawniej. Dziś jest on
obywatelem, jak każdy inny posiadacz ziemi, i służy kra

jowi. Jestto służba zaszczytna, która w dzisiejszych czasach więcej znaczy, aniżeli skarby odziedziczone po przodkach. Kraj takiej służby dzisiaj potrzebuje, a kto go prawdziwie kocha, ten bez względu na urodzenie i majątek śpieszy do szeregów. Nie potrzebuję tu do dawać, że urzędnik, który zkaład ma byt niepodległy, jest prawdziwym filarem społeczeństwa, bo może tylko to wykonywać, co się zgadza z jego sumieniem. A takim może się właśnie stać pan Adolf... jeżeli córkę twoją poślubi. Kraj zyska niepodległego urzędnika, z którym rząd musi się liczyć. Zdolności jego mogą go za prowadzić wysoko i wcale wiele nie powiem, jeżeli do dam, że może nawet kiedyś zająć moje stanowisko. Ja byłem także aplikantem, a przecież w tornistrze moim znalazłem buławę marszałka. A jeżeli, zacny kolego, słowo moje przyjmiesz i młodą parę razem złączysz, to pomyśl o tem, aby swat miał na weselu swoje krzesło i aby z wami na cześć nowożeńców wychylił kieliszek }r wina!"

Gdy p. Bonifacy te słowa przeczytał, usiadł na krześle, jakby chciał po wielkiej pracy wypocząć. Miał twarz zarumienioną, a na czole strugi potu. Oddychał szybko, jakby był mocno zmęczony.

— List nielada — pomyślał sobie — jest w nim miód i pieprz angielski. Do miodu język sam wylazi, a widok pieprzu już go szczypie. Ekscelencya brata się ze mną, czyni mi zaszczyt niesłychany, obiecuje nawet być w moim dworku... ba, ale przyprowadza z sobą Adolfa! To pieprzyk nielada! Trzeba nad tem po myśleć.

P. Bonifacy założył nogę na nogę i zaczął myśleć.

Trwało to dosyć długo. Na jego nosie zmieniały się muchy, a każda z nich zabrała coś z sobą.

— Hrabia ekscelencya — rzekł po niej jakimś cza sie do siebie p. Bonifacy — ekscelencya ma słusność, że kraj potrzebuje urzędników niepodległych. Takiemu urzędnikowi nie można rozkazać to, co się nie zgadza z jego sumieniem... dalej powiada ekscelencya, że dzisiaj urzędnik jest obywatelem tak dobrym jak i inny. I w tem ma słusność. Taki obywatel urzędnik prze stanie już szczuć chłopów na nas, a to także coś zna czy. I to prawda, że Adolf może wyjść wysoko, jeżeli ma taką protekcyę. Może być za rok starostą, za dwa lata radcą dworu, delegatem, a potem zająć mieszkanie „pod kawkami." Wszystko to być może, a co do mnie,

przecież większy jest zaszczyt mieć takiego zięcia, niż zeli sąsiada z Burakowic. Wszyscy mi czapkować będą, a przy takim splendorze, zaszczycony przyjaźnią hrabi ekscelency, mogę dojść do najwyższych autonomicznych zaszczytów już nie powiatowych, ale krajowych! I obaczą mnie wszyscy ci, którzy mnie niegdyś widzieć nie chcieli, i cisnąć się będą do mnie z odkrytą głową. Będę ich wtedy witał jak mi się spodoba: jednych skiniem głową, drugich machnięciem ręki, jak to dzisiaj robi mój zacny sąsiad, pan Jędrzej, marszałek powiatowy!... Jedwabne byłoby to życie, a człowiek utyłby, a nawet zbiegał na twarzy jak pan Izydor, dzisiejszy dyrektor banku, a ongi gospodarz!...

Pan Bonifacy wstał i wyprostował się. Przeszedł się kilka razy po pokoju, z głową do góry podniesioną.

— Tak trzeba zrobić — mówił do siebie — hrabia ekscelencya będzie moim przyjacielem, a pomocnik jego

w zarządzie kraju będzie moim zięciem. Obaj wzajemnie wspierać się będą, a ja będę chodził od jednego do drugiego. Julia będzie skakać z radości, gdy się tem dowie, bo wiem dobrze, że na dnie jej serca jest...

Adolf. Tai się z tem wprawdzie, ale mnie nie oszuka. i tak wszyscy będziemy szczęśliwi: ekscelencya, ja, Adolf i Julia. A pan Idzi... niech pisuje na Berdyczów. Błazen jakiś! Tak długo każe czekać na siebie! Gdy bym był Julią, jużbym go dawno wyścigał za dzieśnięte progi! Julia jakby stworzona dla Adolfa.

Tu nagle stanął jak wryty i wziął się oburącz za głowę.

— List Adolfa... — zawołał z przestraszeniem — gdzież jest list Adolfa?... Spaliłem go! O! jakież ze mnie.. co teraz począć? Jak Julii powiedzieć? Z czemże przyjść do niej! Tam do kata.... Już to zawsze byłem i jestem gorączka.

Zbliżył się do kominka, w którym leżała garstka popiołu.

— Tu leży Adolf... list Adolfa! Zgasł bez bólu i bez jęku pod srogim ciosem mojej ręki!... Coż teraz pocznę!... Ha, trzeba pójść z gołemi rękami do Julii. Na każdy wypadek trzeba wziąć list ekscelencyi Włożył list do kieszeni i już w najlepszej fantazyi fajkę sobie zapalał, gdy przed gankiem nagle stanęła czwórka p. Idziego.

IX.

Jakkolwiek przed godziną jeszcze byłby pan Idzi dla niego gościem upragnionym, teraz jednak zmalął w jego oczach, jak komar przy tłustym wole. Przyjazd jego był mu bardzo nie na rękę, a to tembardziej, że nie miał czasu z Julią się rozmówić. Julia gotowa pośpieszyć się i nowe zamiary jego pokrzyżować. Zadanie nader trudne dla pana Bonifacego. Trzeba było śpiesznie stanąć między gościem a córką i nie dopuścić do bliższego porozumienia się. W tym celu wypadł pan Bonifacy na ganek.

— A! kochany... — zawołał, lecz w sam czas spostrzegł, że to zawiele — czołem panu dobrodziejowi, zbyt wielki zaszczyt spotyka mnie... nie spodziewałem się wcale... jakże mam sobie tłumaczyć... doprawdy sam nie wiem...

Pan Idzi nie zważał na zmieniony ton gospodara.

— Przecież mówiłem przez Lejbę, że dzisiaj przyjadę.

— Lejbę... Lejbę... dalibóg! nie znam żadnego Lejby i nigdy go nie widziałem. Co to za Lejba?..

Pan Bonifacy był z tego zwrotu bardzo zadowolony, bo tak według jego mniemania postępują sobie dyplomaci.

— Lejba, arendarz z granicznej karczmy—odpowiedział pan Idzi.

Pan Bonifacy uśmiechnął się.

— Wprawdzie arendarz z karczmy granicznej nazywa się Lejba, tego jednak jako żyw dzisiaj nie widziałem.

I zatarł ręce, że dyplomacya mu tak dobrze idzie

— Przecież ten żyd z rudą brodą...

— Za pozwoleniem, panie Idzi... ten żyd z rudą brodą nazywa się Mechel i niejest wcale arendarzem.

— "Widuję go zawsze w karczmie.

— To brat arendarza.

— Otoż przez niego skazywałem...
— To nie był więc arendarz Lejba... i widzisz pan, nie miał takiego charakteru, jaki pan mu przypisywałeś!
— Zapewne powiedział, co mówiłem do niego.
— Był więc error in persona; pan mówiłeś do arendarza, a on był tylko prostym łapserdakiem, który handluje zajęczkami skórkami!
Pan Idzi spojrział tutaj nieco zdziwiony na gospodarza. ;
— A gdzież panna Julia? — zapytał.
Pan Bonifacy stanął w poprzek drogi, aby go do córki nie dopuście.
— Julia wyszła na przechadzkę, bo ją coś głowa boli... proszę tutaj... do kancelaryi. Będzie nam wygodniej.
W tej chwili otworzyły się drzwi z salonu, a na progu ukazała się Julia odświętnie ubrana w suknię jasnoorzechowego koloru.
— Cóż to panowie tak długo na ganku rozmawiacie? ozwała się z uśmiechem widać, że panu Idziemiu nawet teraz jeszcze nie jest spieszno do mnie.
— Widzisz, moje dziecko, bo to ważna jest kwe-

stya między nami, czy arendarz z karczmy granicznej nazywa się Lejba, czy Mechel?...
Pan Bonifacy jak prawdziwy dyplomata chciał te raz jaknajwięcej czasu stracić błażą gadaniną. Popsuła mu jednak szyki prostoduszna Julia.
— Sprawę karczmarzy zostawmy na później — rzekła z czarującym uśmiechem — a teraz proszę do salonu!
I cofnęła się jak królowa, za którą z uszanowaniem pośpieszyli poddani. Pan Idzi przywitał się z nią poufale, jak z przyszłą żoną swoją, co panu Bonifacemu sprawiło niemałe, zmartwienie. Odsunął jeden fotel, przeznaczony dla Julii, jaknajdalej od fotelu pana Idziego, a sam ulokował się w środku. Nie zrozumiiała tej taktyki Julia, obeszła stół dokoła i siadła na kanapie, tuż obok pana Idziego. Dyplomata poskrobał się w głowę, przyczem wydarł sobie kilka włosów.
— Masz, babo, redutę! — pomyślał sobie w duchu — gdybym choć miał list Adolfa! Przeklęty kominek!
— Jakże panna Julia — ozwał się pan Idzi — spędziła ten czas od ostatniego naszego widzenia się?
Pan Bonifacy machnął ręką, aby przeszkodzić od powiedzi.
— Moja córka — ozwał się szybko — przepędza czas

zawsze jednak. Zrana wstaje, robi kawę, potem pije my kawę obydwój i przytem coś sobie gawędzimy o go spodarstwie, o sąsiadach, krewnych... i tak właśnie dzisiaj mówiliśmy wiele o naszym kuzynie Adolfie, który jest w urzędzie i prawą ręką hrabiego ekscelencyi!.. Czy pan znasz naszego Adolfa, panie Idzi?... Przelotny rumieniec przebiegł po twarzy Julii.

Spojrzała z zadziwieniem na ojca. Pan Idzi oglądał swoje paznogie.

— Mówię panu, walny z niego chłopiec prawil dalej pan Bonifacy, a z ukosa patrzył na córkę znają się z Julią, a nawet kochają od dzieciństwa! Czy nie prawdaż, Julio?

I mrugnął jednym okiem z pewnem, znaczeniem na córkę. Julia była już teraz na piękne zarumienio na. Pan Idzi siedział jak na niemieckim kazaniu. Pa trzył na ojca i na córkę.

— Czemuż, córko kochana, nie potwierdzasz tego, co mówię. Pan Idzi gotów myśleć, że kłamię!

— Kochamy się jak rodzeństwo — odpowiedziała Julia głosem trochę zmienionym.

— Zdaje mi się, że pokrewieństwo dosyć dalekie— odezwał się pan Idzi, nie wiedząc, do czego taka rozmowa prowadzi.

— Trzecie pokolenie—odparł pan Bonifacy—mogą się pobrać nawet bez Rzymu! Ojciec pana Adolfa, był stryjecznym bratem mego ojca, a ciotka jego ś. p. Barbara z Boguszewiczów!

— Nie wiem—przerwała Julia—do czego ten dowód prowadzi...

— Do czego?... Może... do ołtarza, moje dziecko! Julia osłupiała z zadziwienia. Nie pojmowała dzisiaj ojca; nie wiedziała, co mu się stało. Czy może to ironia, przeciw niej wymierzona, aby ja uleglejszą. zrobić co do zamiarów pana Idziego? aby ostatnią za gasić iskierkę, jaka tlić jeszcze mogła w jej sercu dla towarzysza zabaw dziecińczych?...

— Zostawmy, ojczu, w dniu dzisiejszym żarty na boku. Pan Idzi chciałby może o czemś innem mówić

a my bawimy go naszym kuzynkiem, który nawet już zapomniał o nas!

— Nie zapomniał, nie zapomniał! Jak ci szczęścia życzę, moje dziecko, on nie zapomniał o nas! Mógłbym ci nawet dowieść, ale przeklęty kominek... szwedzkie za pałki i t. p. wymyśli!

Nastąpiła pauza, bo nikt teraz nie wiedział, o co właściwie chodzi panu Bonifacemu.

— Pan Adolf—zaczął po chwili pan Idzi — jeżeli się nie mylę, jest praktykantem na urzędnika. Mizerny to kawałek chleba!

— Co pan mówisz—zawołał pan Bonifacy—urzędnik dzisiaj to obywatel taki dobry jak ja i pan, bo dzisiaj przecież inne są czasy. Czy wiesz pan, co to jest autonomia?

Pan Idzi machnął ręką.

— Nie lubię mówić o tej zabawce, która tylko czasu nam wiele zabiera i krajcary do podatków dokłada. Gdyby to wróciła dawna pańszczyzna, mandata ryusz... to co innego!

— Widzę, że pan dzisiejszych czasów nie rozumiesz — odparł z gniewem pan Bonifacy — już to na wspomnienie pańszczyzny niejednemu z nas ślinka na usta biegnie, ale z tem się nie zdradzamy, bo to nie zgadza się z postępem czasu. A jeżeli już dobiliśmy się przez ciernie i głogi do tej autonomii, to powinniśmy ją szanować jak ósmy Sakrament!

Pan Idzi rozśmiał się głośno.

— Odkąd to pan Bonifacy stał się takim mężem publicznym?

— Stosunki i stosunekczki popychają zawsze czoło wieka naprzód. Jego ekscelencya hrabia... był moim

szkolnym kolegą, i od czasu do czasu pisujemy do siebie. Zwierza mi się ze swoich kłopotów rządzenia krajem, a ja niejedną praktyczną myśl czasem mu podsunę!

Pan Bonifacy rozłożył nogi, jak mógł najszerzej, i z taką powagą oparł się o poręcz fotelu, aż biedny sturusek z przestrachu jęknął. Pan Idzi patrzył na Julię, jakby od niej chciał rozwiązania tej zagadki, a Julia patrzyła na ojca, nie mogąc pojąć, co to wszystko znaczy.

— W ostatnim swoim liście—mówił dalej pan Bonifacy — pisze mi jego ekscelencya o naszym kuzynku Adolfie...

Usta Julii zadrżały i pobladły. Była to już ze strony ojca widoczna ironia, namacalne szyderstwo. Chciał jej wyraźnie dzisiaj dokuczać, chciał ją kłuć do myślnemi słowami jak szpilkami, ale na co i po co? Za miarów ojca odgadnąć nie mogła, ale gniewało ją nie mało, że ciągle z pewnem urąganiem się wyprowadza na scenę Adolfa.

Niechże już tatulko rzekła z gniewem da pokój kuzynkowi Adolfowi wraz z jego ekscelencya; bo ani mnie, ani pana Idziego nie obchodzą wcale te dwie osobistości!

Smutek i rozrzewnienie malowało się na twarzy pana Bonifacego. Spojrzał na pana Idziego i smutno pokiwał głową. Kochany sąsiedzie,

Otoż dzisiejsze pokolenie, kochany sąsiedzie, do czegoż ono dąży? Wspomnienia lat dziecińczych niczem u niego! Towarzysza młodości, który z nią razem kwiatki zbierał, wyrzuca się z serca, jeżeli go tam już nie potrzeba! Biedny Adolf! Gdyby o tem wiedział,

śpiesząc przez grady i śniegi do Chmielowic! Gdyby był przeczuł, że za lat parę ukochana kuzynka jego nie chce nawet mówić o nim, ani słuchać, gdy inni mówią!...

Strzeż się, panie Idzi, takich kobiet, jak ognia! Zawiele było już tego Julii. Krew uderzyła jej do głowy, w oczach pociemniało. Chciała coś powie dzieć, ale usta nie chciały usłuchać. Wyręczył ją pan Idzi.

— Właśnie podobają mi się takie kobiety—zawołał z uśmiechem — bo takie tylko przynoszą w małżeństwie szczęście. Każda prawie dziewczyna, gdy ma lat kilkanaście, marzy sobie o niebieskich migdałach, do których często kuzynkowie należą. A czyż nie jest to prawdziwym nieszczęściem, jeżeli o tych migdałach przed ślubem nie zapomni, jeżeli wszystkich wspomnień swojej młodości nie wyrzuci z swego serca, jak się wyrzuca pu sta słoma po omłocie?

Julia zadrżała z gniewu.

— Do czegoż ta rozmowa prowadzi! — zawołała zmienionym głosem — ani ojca, ani pana dzisiaj zrozumieć nie mogę!

— Dla mnie, panno Julio, jest to rzecz zrozumiała. Ojciec chce przed tak ważnym słowem, które mam dzisiaj usłyszeć od pani, wypróbować córkę, czy do przyszłego szczęścia swego męża nie zechce wnieść owych

migdałów niebieskich, jakiemi dawniej się karmiono!...
— Migdały, mój panie—wpadł szybko pan Bonifacy — szkodzą tylko niższego gatunku zwierzętom, na przykład psom, kotom, cielętom i baranom. Ludzie nie potrzebują się ich obawiać!
I kontent z tej aluzji rozparł się jeszcze wygodniej na fotelu.

Pan Idzi zmarszczył czoło.
Widząc odpowiedział podrażniony że stosunki i stosunek z jego ekscelencyą wprawiają pana czasem w humor niezwykły!
— Zgadłeś, panie Idzi; w ostatnim liście swoim nagadał mi ekscelencya tyle słodkich rzeczy, aż mi jeszcze słodko w gębie, jak po marcypanie! Czy jadłeś pan kiedy marcypan?
— Ależ ojczec...
— Chciałem powiedzieć, czy widziałeś pan kiedy jego ekscelencyę? Mówie panu, człowiek zacny i poczciwy! Niby butny i dumny, ale dla przyjaciół słodziutki, do rany go przyłożyć! Już to w szkołach jeszcze miał słabość do mnie, nazywając mnie swoim drogim Bonusiem. A dzisiaj, dowiedziawszy się, że Adolf jest moim bratankiem, przelał cały swój afekt na niego, jak mi to właśnie pisze w ostatnim swoim liście. Przy boku ta kiego przyjaciela wyjdzie Adolf wysoko i wszyscy jeszcze będziemy mu się kłaniać!
— Cóż pani na to? — zapytał z uśmiechem pan Idzi.
Julia nie mogła jeszcze zebrać swoich myśli. Ojciec poruszył w jej duszy wspomnienia, które już były na dnie osiadły. Wzbiły się teraz do góry jak męty i zasłoniły jej wszystko przed oczyma. Zapytanie pana Idziego oprzytomniło ją nieco. Biorąc słowa ojca za żarty, dosyć dla niej niemile, odpowiedziała:
— Na to mogę tylko to odpowiedzieć, że jego ekscelencya i Adolf długo muszą czekać, abyśmy się im kłaniali. Jednego bowiem i drugiego może nigdy nie obaczmy!
Zerwał się na te słowa pan Bonifacy.

— Co mówisz... nigdy? Jutro, dziś, zaraz, w ten moment... zależy to od nas samych! Właśnie pisze mi jego ekscelencya, że się do mnie z wizytą wybiera!

— Ojczy!—krzyknęła Julia, jakby z wielkiego bólu—te żarty są już okrutne! Mnie samej już się z nich w głowie miesza!

— Nie wierzysz, moje dziecko?

— Wolne żarty, panie Bonifacy!

Pan Bonifacy posiniał ze złości.

— Wiem, panie Idzi, że mnie w całym powiecie za nic nie macie, że nazywacie mnie liczykrupą i łapi groszem, że powiadacie, jakobym ja zył tylko kawą i mlekiem!... Omijacie mnie przy wyborach publicznych, a nawet do nędznej ankiety o nosaciznie nie byłem wezwany!... Tymczasem dowiedzcie się, że jestem przyjacielem jego ekscelencyi i w bardzo blizkich z nim stosunkach!... i że jego ekscelencya wkrótce mnie odwiezie!...

Rzekłszy to, drżącą od gniewu ręką wy dobył z kieszeni list kwadratowy.

— Czytaj, Julisiu, jeśli nie wierzysz.

Julia machinalnie wyjęła list z koperty, którą wziął do ręki pan Idzi i zaczął się jej przypatrywać. Tymczasem zaczęła Julia czytać. Po kilku wierszach obląła się jej twarz ciemnym rumieńcem. Uczuła zawrót głowy i na chwilę zamrużyła oczy. Potem podniosła się szybko i rzekła:

— Przepraszam, ale ten list muszę przeczytać w spokoju...

I szybko wybiegła z salonu.

Po długim milczeniu, podczas którego pan Bonifacy jakąś kołomyjkę sobie pod nosem nucił, ozwał się pan Idzi:

— Przechodząc do rzeczy i nie żądając żadnych wyjaśnień co do słów tutaj wypowiedzianych, zapytuję pana, jak stoją rzeczy z ową odpowiedzią panny Julii, którą dzisiaj usłyszeć miałem?

Pan Bonifacy, jak prawdziwy dyplomata, schował połowę twarzy w wysokie swoje kołnierzyki.

— Owa odpowiedź—zaczął po chwili—którą panu obiecałem, była już prawie gotowa, i byłbyś pan ją usłyszał ku wielkiemu swemu zadowoleniu, gdybyś zaraz po

moim liście przyjechał. Tymczasem upłynęło wiele godzin, co naturalnie rzeczy bardzo zmienia.

— Może panna Julia...

— Nie panna Julia. Julia miała dla pana szacunek, a może i nawet afekt, i gdyby się był pan pośpieszył...

— Cóż się tymczasem stało?...

— Ba! żeby to wiedzieć, co się w sercach ludzkich dzieje! Powiadają, że serce podobne jest do butelki szampana. Kto ją raz otworzy, powinien duszkiem wypić, inaczej z szumiącego nektaru zrobi się spokojna woda!

— Nie sądzę...

— Nie sądz, nie będziesz sądzony, panie Idzi!

Zresztą tu niema nic do sądzenia i basta!

Nic a nic pana nie rozumiem!

— Gdybyś mnie pan był zrozumiał, byłbyś na tychmiast po moim liście przyjechał, i wszystko byłoby dobrze!

— A teraz?

— Teraz... oczywiście, że nie jest dobrze! Julia źle wytłumaczyła sobie tę odwołkę, a temu pan jesteście winien!

— Miałem różne przeszkody...

— Do swojej niebogi niema złej drogi, powiadano dawniej!

— Jakże teraz sprawa stoi?

— Albo ja wiem? Na to tylko Julia odpowiedzieć może!... Ale teraz nie odpowie, bo list czyta i... głowa ją boli...

Pan Idzi położył z gniewu.

— Jeżeli tak, to nie mam tu dłużej co robić.

W domu czekają na mnie ludzie, bo nie mogłem im zostawić ostatniej dyspozycji. Chmurzyło się coś od rana, a teraz naprawdę zaczyna deszczyk rosić. Sterta pszenicy do połowy doprowadzona, a nie nakryta!

— Bo też człowiek nigdy nie powinien w połowie spoczywać!

— Widzę teraz. Czy panna Julia nie będzie już miała nic do powiedzenia?

— Zapewne... nie wiem... ale zapytam się.

Pan Bonifacy wybiegł z pokoju. Było mu to bardzo na rękę, bo chciał teraz córkę swoje zobaczyć.

Długo czekał na gospodarza pan Idzi. Chodził niespokojnie po pokoju i gryzł blade usta. Wreszcie pojawił się pan Bonifacy.

Pan Bonifacy miał w ręku kasetkę, a na twarzy

wyraz pewnego niezadowolenia.

— Julia przeprasza — odezwał się — bo jak panu mówiłem, głowa ją boli. Przyznam się, że jak się czyta list od takiego wysokiego dygnitarza, to może głowa, zabołeć!

— Czy panna Julia oddaje mi brylanty?

— A... tak... niby oddaje. Leżały tutaj tak długo, a kuzynka pana na Litwie zapewne czeka na nie!

— Czy to ma być ostateczna odpowiedź dla mnie panny Julii?

— Ostateczna... nie ostateczna, bo widzisz pan... kobiety są podobne do kieliszka szampana. Zdaje się czasem, że już się wino uspokoiło, a ono, mospanie, zaczyna na nowo musować!

— Więc robisz mi pan nadzieję?

— Robić nie robię, bo to rzecz nie moja, a Julia... Julię... boli teraz głowa.

— Więc do zabaczenia, panie Bonifacy!

— Do zobaczenia, panie Idzi!

Na tem skończyła się wielce dyplomatyczna scena, z jakiej mocno był zadowolony pan Bonifacy. Pomyślał sobie:

— Gdy człowiek wejdzie w stosunki z człowiekiem znakomitym, to mu samemu zaraz rozumu przybywa!

Nie widział jednak w tej chwili, że pan Idzi nie wziął z sobą kasetki, tylko ją na stole zostawił.

X.

Po odjeździe pana Idziego skierował pan Bonifacy swoje kroki do pokoju Julii. Im więcej się do niej zbliżał tem większe zakłopotanie było widać na jego twarzy. Powoli otworzył drzwi i wsunął głowę, jak

by się obawiał zbudzić ze snu ukochaną swoje jedy naczkę.

Julia nie spała. Siedziała na sofie napozór spokojna, ale twarz jej i oczy okazywały, że przeżyła wielkie wzruszenie. Siedziała nieruchoma jak posąg z kamienia; zdawało się, że pierś jej wcale nie oddycha, nie spostrzegła nawet, że ojciec przyszedł. Ocknęła się dopiero, gdy pan Bonifacy trzeci raz chrząknął i nogą po podłodze posunął.

— Czy tatulko wziął ze stołu kasetkę z brylantami?—zapytała.

— "Wziąłem, dziecko, i oddałem panu Idziem — odpowiedział z rezygnacją pan Bonifacy, poczem lekko westchnął.

Julia poruszyła się niespokojnie.

— Dlaczegożżeś, ojcze, to zrobił? "Wszak to mój podarek ślubny!

— Niech sobie zdrów idzie z takim podarkiem!

— Kto taki?

— No, pan Idzi!

— Przecież to mój... narzeczony!

— Oszalałaś, Julio! Mówisz od rzeczy! Gdzieżby taki człowiek mógł być twoim mężem! Wyglądałby jak wół w karecie!... Dla, ciębie potrzeba męża z inteligencją, aby znał świat i obyczaje i wszędzie mógł być na przodzie! Adolf w sam raz dla ciębie, jak stworzony!

— Adolf stworzony dla mnie na męża?... Dla czegoż to tatulko jeszcze dzisiaj rano inaczej o tem mówił?

— Bo widzisz, moje dziecko... rozum ludzki przechodzi różne fazy. Dziś coś jest dobrem, a jutro złem i niepożytecznym. Niewiele lat temu, jak ludzi sadza

no do kozy, a dzisiaj obsypują icli orderami i dają im najwyższe dygnitarstwa! Jeżeli mężowie stanu takie koziołki wywracają, dlaczegoż ja nie mogę dzisiaj obrócić się tyłem do tego, którego wczoraj całowałem, a po całować się z tym, który dotąd na plecach moje pa trzymał?

— Ale coż świat na to powie? Wszak wszyscy wiedzieli o tem, że jestem już prawie po słowie z panem Idzim!

— Co to słowo... vox, vox et praeterea nihil! na piśmie nic nie dałaś! Można się wyprzeć i kwita!

— Przecież ty, ojcze, napisałaś...

— No... pisałem, to prawda... ale ja mogłem pisać nieprawdę!

Julia wstrząsała głową.

— Nie, to być nie może. Co się raz przyrzekło, tego wypierać się nie trzeba. Ludzie pogardzaliby

nami!

— Jakto? I tybyś chciała iść za pana Idziego?

— Przyznam się ojcu, że zrazu nie myślałam o tem, ale za twoją namową przyzwyczyłam się do tej myśli, a dzisiaj nie chcę od niej odstąpić! Takie jest moje postanowienie!

Pan Bonifacy skoczył, jakby go pies ukąsił.

— Tak ci się podobały brylanty? — krzyknął z gniewem.

Julia podniosła głowę i wyprostowała się.

— Brylanty — odpowiedziała z dumą — brylanty podobały mi się?... Czyż to ma być prawdą niezbitą, że każdą kobietę można kupić za brylanty? Czyż ma ona być już tak niskiem .stworzeniem, że ją jako zwykły towar opłacić można? Przynajmniej ojciec nie powinien

tak sądzić o córce swojej, która dotąd żadnego nie dała powodu, aby ją tak sądzono!

Łzy rzęsiście puściły się z oczu Julii. Pan Bonifacy nie wiedział co odpowiedzieć.

— A zresztą—mówiła, szlochając, Julia — może masz, ojczu, i słuszność. Może uległam pokusie brylantów, jak pierwsza lepsza wietrznica... ale któż temu winien? Któż mi osładzał gorzki ten podarunek, jeżeli nie ty, ojczu? Któż ukrywał przede mną tę hańbę, jaką rzucił na mnie podobne staranie się konkurenta? Któż, jeżeli nie ty, ojczu, wpajał we mnie przekonanie, że to będzie największe szczęście moje?...

— Droga moja córko...

— Dzisiaj już zapóźno. Stało się, ja się nie cofnę!

— Co mówisz, dziecię?

— Świat cały potępiłby mnie!

— Niech sobie potępia, byłeś ty była szczęśliwą!

— Szczęście nasze musi iść w parze z szacunkiem ludzi!

— Coż mogą powiedzieć?

— Powiedzą, że się kochała w Adolfie, a gdy pan Idzi z brylantami przyjechał, porzuciłam Adolfa dla brylantów! Dzisiaj wstawia się jego ekscelencyja za Adolfem, obiecując mu świetną karierę, a ja... porzucając brylanty, biegnę do tej świetnej kariery! Jakże ludzie to wszystko nazwą?

Pan Bonifacy wydarł sobie garść włosów. Słowa córki sprawiały mu kłopot niemały. Jak tu z tego wybrnąć? Był już tak blisko portu, dyplomatycznie pozostawił się pana Idziego, a Julia odpycha go teraz znowu na wzburzone fale niepewnego morza!...

— Jeżeli tak — zawołał żałośnie — to idź za pana Idziego, a ja napiszę do jego ekscelencya że córka moja, dla fałszywego wstydu, nie chce Adolfa, z którym tyle błogich chwil w młodości swojej przepędziła, którego jak brata rodzzonego kochała! Napiszę mu, że wychodzisz za bogatego sąsiada, bo tym sposobem chcesz mieć szacunek i poważanie ludzi! .. Napiszę dalej ekscelencya aby Adolfowi powiedział, że córka moja już do szczętu o nim zapomniała, i niech sobie dlatego żadnej nie robi nadziei. Niech płacze i włosy sobie wrywa, niech się utopi lub zastrzeli, to mojej córce wszystko jedno!

Julia wstała szybko i spazmatycznie chwyciła ojca za rękę.

— Ojcze! tego nie napiszesz, tego napisać nie możesz... bo to byłoby nieprawdą!

Rozjaśniła się twarz pana Bonifacego. Julia zakryła oczy rękami, rzuciła się na sofę i zaczęła gwałtownie płakać.

— Dziecko moje! — krzyczał pan Bonifacy — uspokój się, ja jeszcze nie pisałem i pisać nie będę!... Przy sięgam ci, jakem ojciec, jak cię kocham, jedyne dziecko moje... jak ci szczęścia życzę.

Wiele czasu upłynęło, nim się Julia na te zakłęcia ojca trochę uspokoiła. Otarła oczy i spojrzała dokoła.

— Jestem bardzo nieszczęśliwa, mój ojcze — ozwała się, łamiąc rękę.

— Wszak to od ciebie zależy, moje dziecko, abyś była szczęśliwą. Napisz do Adolfa.

Wstrząsała się Julia, jakby ją gadzina ukąsiła.

— Ja... pisać nie mogę — wyjękła grobowym głosem — a nawet nie powinnam. Ekscelencya pisze za nim i o nim, a on... zanadto pewny jest swojej pro

tekcyi...

— Jako pewny protekcyi?

— Sam... do mnie ani słówka nie napisał!

Pan Bonifacy wydarł sobie ze złości znów garść włosów.

— Napisał, napisał!—zawołał z rozpaczą.

Radość błysnęła z oczów Julii.

Napisał?... Oddajże mi, ojcze, list ten!

Pan Bonifacy uderzył się pięścią w biodra za karę swego nierozumu i odparł:

— List... list przyszedł od Adolfa... ale widzisz, moje dziecię... niedaleko leżały szwedzkie zapalki...

— I ojciec list ten spalił? — zapytała Julia, trzy mając spazmatycznie ojca za rękę.

— Uchowaj Boże! Gdzież ja byłbym tak... nieroz sądny? Powiadam ci, że niedaleko leżały szwedzkie zapalki... a ten dyabeł ma taką predylekcyę do cienkiego papieru, że sam nie wiedziałem kiedy list Adolfa zajął się płomieniem!

Mówiąc to, miał pan Bonifacy oczy w ziemię spuszczone i bawił się łańcuszkiem od zegarka. Julia pa trzymała na niego z uwagą, a twarz jej wyrażała pewne powątpiewanie.

— Przecież kawałek tego listu musiał pozostać?

— Ani odrobina! Spalił się do szczytu!... Jeżeli nie wierzysz, to chodź ze mną, pokażę ci!

Julia poszła za ojcem. Na kominku leżał list Adolfa zupełnie spalony. Zapalka też obok niego znajdująca się świadczyła o zbrodnicznym zamachu ojca.

Julia patrzyła czas niejaki przed siebie Pan Bonifacy odwrócił się od kominka, jak zbrodniarz od miejsca popełnionej zbrodni. Julia nie chciała dłużej dręczyć zbrodniarza.

— Jeżeli to był list Adolfa — ozwała się z wesołą twarzą — to tatulko napisze, że się przypadkiem... spalił. Niechaj napisze drugi taki sam!

— Dobrze, moje dziecko, zaraz siadam!

— Ale taki sam, jak był pierwszy.

— Dobrze.

— Tylko niech ojciec nic a nic więcej nie pisze, o mnie nic nie wspomina! Muszę pierwej przeczytać list jego.

Rzekłszy to, wyszła Julia. Za chwilę wróciła z kasetką w ręku. Na jej twarzy malowało się zdziwienie.

— Ojcze, czy pan Idzi nie wziął brylantów?

— Aha—mruknął pan Bonifacy—nie wziął ich!...

Może zapomniał, a może jeszcze nie zwątpił o tobie!
Trzeba mu je odesłać.

Julia odeszła, a pan Bonifacy siadł do pisania.

XI.

Po wyprawieniu listu zapanował lepszy humor we dworze. Julia uśmiechała się do myśli swoich ale nie zdradziła ich żadnym słowem. Nie można było odgadnąć, co uczynić zamysła. Nikomu nie zwierzała się, a na pytania ciekawych odpowiadała krótko. Za to pan

Bonifacy był dla wszystkich otwarty. Rad był wszystkim, których spotkał na drodze. Wypytywał się o zdrowie, podawał rękę, a czynił to z pewną powagą, jakby już był na wyżynie hierarchii społecznej. Mimo niepo godnej pory obchodził dwór dokoła i w duchu układał niektóre reparacje. Czasem zwierzał się z temi planami temu, kogo spotkał.

— Wiesz co, panie Masło — rzekł do ekonoma — trzeba strzechę na gumnach od drogi naprawić. Jak kto drogą ode Lwowa jedzie, niebardzo miły ma widok.

Ekonom Masło alias Maślewicz oponował, że nie pora po temu, aby strzechy naprawiać.

— Co pleciesz, panie Maślewicz — odguknął pan Bonifacy — czyż nie wiesz, kto do mnie przyjedzie? Przyjedzie jego ekscelencya hrabia... czyś słyszał do brze?

Maślewicz posunął ręką po sumiastych wąsach i odparł:

— Nibym słyszał, wielmożny panie!

— Może nie wierzysz?

— Niby nie wierzę, ale jeżeli wielmożny pan mówi, to tak jest.

Zakręcając koło parkanu, spotkał chłopca, pełniącego w okolicy urząd budowniczego.

— Dobrze, że cię widzę, Michale — zagadnął pan Bonifacy — trzeba, żebyś przyszedł i trochę dach połatał. Miejscami wygląda jak dziurawa płachta!

— Dobrze, wielmożny panie — odrzekł budowni czy — ale zapewne dopiero po robocie w polu.

— Zaraz, natychmiast, jutro... bo widzisz, kochany Michale, bo dziś, jutro, przyjedzie do mnie jego ekscelencya hrabia...

Jeszcze nie skończył z budowniczym, gdy na drodze ujrzał szklarza, niosącego na plecach swój kruchy materyał. Szklarz wiejski, to nieoceniona figura, roznosząca od dworu do dworu różne wiadomości. To prawdziwy Habakuk dla głodnego pana Bonifacego. Zatrzymał żydka, podał mu rękę, a nawet o mało co w brodę nie pocałował.

— Gdzież to, Szmulu, Pan Bóg prowadzi?—zagał szczęśliwy pan Bonifacy—zapewne do hrabiego Izidora lub księcia...

— Ny, tymczasem do karczmy na Mokrej, bo tam wczoraj pobili się chłopci i szyby powybijali.

— Tak... ale zawsze dobrze, że cię widzę. Przyjdź jutro, bo trzeba będzie wszystkie szyby we dworze opatrzyć, czy która nie pęknięta, albo od słońca nie przepalona.

— Wiem, wiem... wielmożny pan dobrodziej sprawa wkrótce wesele!

— Wesele jak wesele... ale widzisz... przyjedzie do mnie jego ekscelencya hrabia...

— Czy wielmożny pan żartuje?

— Nie żartuję, jak cię kocham, Szmulu! Ot jeśli nie wierzysz, to mam nawet przy sobie list, który ekscelencyi otrzymałem. . .

Pan Bonifacy dobył kopertę i przyłożył ją do oczu zdumiałego szklarza. Szmul cmoknął językiem, poprawił pudło na plecach i rzekł z widoczną radością

— Jeżeli tak, to przyjdę jutro, a księciu powiem, że później u niego będę!

— Powiedz to, Szmulu, i przyjdź zaraz jutro!

Pan Bonifacy był tem ostatniem spotkaniem tak uradowany, że na rachunek jutrzejszj roboty Szmulowi coś do ręki wsunął i serdecznie z nim się pożegnał. Widział w duchu wszystkich sąsiadów swoich, zaniepokojonych przyjazdem jego ekscelencyi. Wszyscy za zdrościli mu tego zaszczytu, a on z góry patrzył na wszystkich.

Wracając już do dworu, spotkał, na wózku komisarza powiatowego, jadącego gdzieś na komisję. i obia

dek szlachecki. Taki sam obiadek zjadł raz pan komisarz u pana Bonifacego, który mimo to przegrał sprawę z chłopami. Pan Bonifacy nie mógł odtąd komisarzowi darować tego obiadku i przegranej, a teraz chciał się przynajmniej zemścić na urzędniku.

— A cóżto, panie komisarzu — zawołał, prostując się — znowu komisyjka i dyetka? Obiadek zapewne wypadnie gdzieś we dworze, a chłopci sprawę wygrają!

— Przecież za obiad nie kupuje się sprawiedliwości, wielmożny panie dobrodzieju — odpowiedział urzędnik.

— Tak... ale zawsze, jeżeli ktoś zje z kimś szczyptę soli, to ten... tego... nie powinien potęgą kułaka w żebro mu dawać! Czyż nieprawda, panie komisarzu?

— To się tylko tak zdawało panu dobrodziejowi... chłopci mieli słuszność, za to ręczę słowem honoru!

— Obaczmy, co jego ekscelencya hrabia powie o tem!

— Czy wielmożny pan udawał się do niego?

— Nie potrzebuję się do niego udawać, jego ekscelencya w tych dniach przyjeżdża do mnie z wizytą!

Urzędnik z zadziwieniem spojrział na pana Bonifacego.

— Nie wierzysz pan? zaraz pokażę panu alegat! Ta sama koperta, którą przed chwilą podziwiał szklarz, stanęła teraz przed oczami zdumionego komisarza. Na swoje zmartwienie znalazł komisarz pismo ekscelencya uznał je za prawdziwe.

— Aha! — ozwał się toczę zmieszany — to rzeczywiście jest ręka jego ekscelencyi... Cóż za taki interes jeśli zapytać można...

— Żaden interes, tylko afekt, mój panie! Byliśmy w szkole kolegami i kochaliśmy się jak dwaj bracia mleczni. Przypomniał sobie teraz o tem i zapowiedział mi swoje bytność.

Komisarz zdjął czapkę.

— Winszuję wielmożnemu panu takiego zaszczytu... a co do sprawy z chłopami, to zaręczam słowem honoru, że inaczej postąpić nie mogłem. Gdyby ekscelencya w tej sprawie sam chciał się rozpatrzyć, to może jeszcze gorzej byłoby dla pana. Wiem dobrze, że ekscelencya nie uwzględnia w takim razie naet stosunków swoich, przyjacielskich!

— Obaczmy, panie komisarzu, ale mimo to nie przestraszaj się pan tak bardzo, bo już teraz panu włosy na głowie stanęły.

Pan Bonifacy uśmiechnął się tutaj dobrotliwie, bo w tej chwili nie mógł niczyjej zguby pragnąć. Podał rękę komisarzowi i serdecznie go uściskał.

— Do widzenia, panie komisarzu, a proszę kiedy wstąpić na obiad. Nie taki straszny dyabeł, jak go malują!

Gdy wrócił pan Bonifacy do dworu, był tak kontent ze siebie, że nawet służbę dworską przypuścił do swojej rozkosznej tajemnicy.

Lokajowi Marcinowi powiedział, aby zawczasu kazał sobie wąsy ogolić, bo u panów dzisiaj cała służba musi się golić. Jako indemnizację za wąsy obiecał mu kilka guldenów i zaszczyt, że wkrótce będzie obsługiwał jego ekscelencję hrabiego... A gdy Marcin gębę rozdziawił, jakoby dobrze nie rozumiał, zawołał pokojowca Antka i temuż polecił, aby od jutra posadzka była dobrze wytarta.

— Bo musicie wiedzieć, próżniaki — mówił do nich głosem pełnym dobroci — że obiecał się do mnie jego ekscelencya hrabia...

Antkowi nie pozostawało nic innego, jak także gębę rozdziawić i czempredzey z tą nowiną pobiegnąć do klucznicy, od której w takim razie zawsze coś obliżał. Chciał jeszcze kucharzowi o tem donieść, ale uprzedził go sam pan Bonifacy. Stał już na środku kuchni i wydawał potrzebne rozkazy.

— Pamiętajcie — zakończył przemówienie — aby jego ekscelencya nie myślał, że trzymam niezdarnych kopcudymów! Trzeba pokazać, co się umie, a czapka i szpencer powinny być tak białe, jak mleko niezbierane!

Po tym trudzie spoczął sobie pan Bonifacy. Wieść tak wielkim zaszczytów rozesłał już po całej okolicy i podzielił się z nią z wszystkimi domownikami, nie wyjąwszy i pastucha od trzody.

Nazajutrz był w mieście powiatowem dzień targowy. Pan Bonifacy kazał zaprzęgnąć konie i pojechał do miasta. Jakże inaczej wydało mu się dzisiaj

miasto i ludzie w niem! Miasto było nędzne i brudne a ludzie tak małego wzrostu, jakby byli karłami Mieli twarze nędzne i szaty wyszarzane! A jak dla nie*o byli wszyscy uprzejmi! Pan Jędrzej poznał go na sto kroków, a pan Mateusz przebiegł wszerz całą ulicę, aby mu rękę podać.

Nawet pan Kalasanty, który niedawno po żonie hrabią został, zagadnął go z wielką uprzejmością, pytając o zdrowie i buraki. Była to dotąd rzecz niezwykła, a pan Bonifacy widział w tem niewątpliwy skutek rozmowy ze szklarzem. Wobec pana Kalasantego mniejsze już były inne splendory, jakie spadały w dniu dzisiejszym na szczęśliwego dziedzica Chmielowic. Zauważył także, że nawet ludzie niższej kategorii byli dla niego z większą uniżonością niż dotąd. Faktor Icek rzekł niby przez pomyłkę trzy razy: jaśnie wielmożny. Posługacz w hotelu, szewc i rymarz kłaniali się daleko niżej, a przekupka, ulokowana pod kościołem, nie za prosiła go, jak dotąd bywało, do kupna drobiazgowych towarów. Uważała to prawdopodobnie za ubliżenie dla przyjaciela i kolegi jego ekscelency hrabiego!.. Koroną zaś tego dnia było pismo podłużne, opłatkami zapieczętowane, które wręczył mu sam sekretarz rady powiatowej w handlu korzennym, w którym po odbytej sesji zbiegli się mężowie publiczni, aby wyczerpane siły nieco pokrzepić. Gdy pan Bonifacy to pismo rozpieczętował i łzawem okiem je przeczytał, nie mógł już wątpić, że przyjacielska ręka jego ekscelency, aczkolwiek niewydolna, pracuje już dla niego. W piśmie tem stało wyraźnie, że Jan Kanty Bonifacy wybranym został przez radę powiatową, do ankiety o targach wołowych, mającej obradować w stolicy.

Było to w życiu pana Bonifacego niemałe zdarzenie. Od czegoś zacząć trzeba, pomyślał sobie, jak ongi dziewiętnastoletni pułkownik Szczęsny Potocki, i wydał z dumą usta, jak człowiek, przed którym otworzono już furtkę do najwyższych godności krajowych. Skorzystali z tego znajomi i przyjaciele, a właściciel handlu korzennego zapisał do rubryki „Chmielowice” dosyć spory rachunek.

Po powrocie do domu nie miał p. Bonifacy nic pilniejszego, jak wszystkich domowników uwiadomić tym nowym zaszczytem, przyczem stróżowi i stajenne

mu za niedozór dziedzina i stajni dostało się kilka kułaków. Najdłużej zatrzymał się w pokoju Julii.
— Powiadam ci, duszko, jak to ludzie zaraz inaczej na człowieka patrzą, gdy się dowiedzą, kto mu rękę podał lub do niego pisał. Jakkolwiek z tego bynajmniej się nie pysznię, że jego ekscelencya półarkuszowy list do mnie napisał, a nawet przed nikim ani słówkiem nie wspomniałem, a przecież wszyscy już o tem wiedzą i cisną się do mnie, aby się otrzeć o szczęśliwego człowieka.

Tu wyliczył pan Bonifacy wszystkie uściski i pocałunki, jakie spotkały go w mieście, a zbliżając się do ankiety, mówił dalej:

— Nie wiem tylko, moje serce, czy rada powiatowa sama na to się zdobyła, czy działała pod wpływem ekscelencyi. To drugie zdaje mi się prawdopodobniejsze, bo w radzie mam wielu niechętnych. Ekscelencya napisał zapewne do rady, że dziwi go moja nieobecność przy wszystkich ważniejszych sprawach. Jeżeli tak jest, to niemały dla mnie tryumf, że nawet moi nieprzyjaciele muszą mi się kłaniać. A przecież

ostatecznie to Adolfowi tylko zawdzięczam, bo gdyby me był o nas z ekscelencya mówił, nie byłby i pies na mnie patrzył... Jak to dobrze się stało, że Idzi targu nie przybił... wszystko byłoby stracone! Julia słuchała ojca z roztargnieniem. Uśmiechała się często do skrytych myśli swoich i nie oponowała bynajmniej ojcu, gdy tenże szeroko rozwodził się o ankiecie na targi wołowe.

— Czy tatulko już pisał do Adolfa? zapytała Julia.

— Pisałem, moje dziecko, jak kazałaś.

— Ale nic więcej nad to, co było umówione?

Pan Bonifacy spuścił czy.

— Tak... jak cię kocham, moje dziecko... nic więcej! Dodałem tylko coś o naszym zdrowiu i o twoich kwiatach, których on jeszcze nie widział.

— Więc pisałeś tatulko, aby przyjechał?

Pan Bonifacy obrócił się plecami do córki.

— Wyraźnie nie pisałem, ale tak... tego owego... jeżeli zechce się domyśleć, to może przyjedzie.

Julia szybko wstała i wzięła ojca za rękę.

— Tego nie trzeba było pisać, tatulko, bo wpróżdy muszę ten list przeczytać, który tak fatalnie spalił się na kominku.

Pan Bonifacy odwrócił oczy od córki.

— Dobrze, dziecko, przeczytasz, jak napisze...

ale teraz trzeba nad tem pomyśleć, co zrobić z eksce

lencya?... Wypada mu odpisać, ale co? Trzeba tę rzecz
wziąć pod rozwagę. ,
— Zdaje mi się, że pierwszej trzeba poczekać na
list Adolfa, bo od tego listu zawisła odpowiedź.
— Na co ci listu? Przecież sama możesz sobie
wykoncepować, co tam być mogło... ot, że cię kocha, że

przepada za tobą, że myśli o tobie dzień i noc i t. p.
miłosne androny!

— Ojczy!

— Jak cię kocham, nic innego nie było i być nie
mogło, bo wszystkie takie listy są do siebie podobne.

— Nie, to być nie może. W liście Adolfa nie
było to, co w każdym innym podobnym liście, bo ja znam
Adolfa.

— Przecież ekscelencyi trzeba natychmiast odpi
sać, inaczej byłoby bardzo niegrzecznie z mojej strony.
Powiedziałaby, że nie mam wychowania.

Julia zamyśliła się.

— Zdaje mi się, że można jedno z drugim pogo
dzić. Tatulko odpiszesz ekscelencyi krótko, dziękując
mu za pamięć i list, i dodasz, że jadąc na ankietę do
stolicy, będziesz miał ten zaszczyt osobiście złożyć mu
swoje uszanowanie i z nim się rozmówić.

Pan Bonifacy przyklasnął córce.

— Jak to w samą porę przyszła ta ankietka! Wi
dzą niewidzialną rękę Opatrzności lub jego ekscelencyi
nad sobą! Powiedz sama, jakbyśmy byli wybrnięli z te
go kłopotu, gdyby nie ankietka. I wilk syty, i owca
cała!

Pan Bonifacy, chciał po tem radószeniu odkryciu
opatrnościowej ręki do swoich spraw codziennych
wrócić, gdy sobie jeszcze przypomniał o jednej ważnej
rzeczy.

— Naturalnie—ozwał się do córki — do Lwowa
pojadę pierwszą klasą... trzecią, jak dotąd, nie wypada.

— Przecież dotąd jeździliśmy drugą...

— Prawda, moje dziecko... raz tylko przez pomył
kę siadłem do trzeciej... czy raczej dla towarzystwa

proboszcza Gdy będę u jego ekscelencyi... zdaje mi się, że trzeba być we fraku i w wysokim kapeluszu...

— Biała chustka na szyi i jasne rękawiczki.

— Wiem, wiem, moje dziecko, przecież znam świat i ludzi...

Załatwiwszy tę ważną sprawę, odszedł pan Bonifacy do gospodarstwa w tem przekonaniu, że dla wielkich spraw publicznych nie należy nigdy zaniedbywać powszednich.

Termin ankiety przypadał za dni kilka, potrzeba więc było z wyjazdem się pośpieszyć, aby przed ankieta pozajątwiać swoje sprawy domowe. Zaraz więc nazajutrz wieczór wyruszył nocnym pociągiem do stolicy.

Mimo nocy i dosyć wyraźnego chrapania swego sąsiada, rozpoczął pan Bonifacy szeroką rozprawę z czuwającymi towarzyszami o potrzebach krajowych,— upoważnił go do tego charakter delegata, którego kraj na tak ważne stanowisko wysyła. Mówiąc o tak ważnej sprawie, trzeba było potrącić o autonomię i rządu parlamentarne.

— Przecież to, mospanie, człowiek jakoś inaczej żyje w kraju, w którym jest sejm i autonomia. Nie jest się przywiązany na zawsze do gleby. Dawniej, kto się urodził lub stał rolnikiem, już z brózdki swojej wyżeć nie mógł. Siał i zbierał, zbierał i siał. Dzisiaj inaczej, mości dzieju! Ot, wczoraj jeszcze byłem ska czybrózdą, dzisiaj jestem delegatem do ankiety wołowej, za kilka dni mogę się dostać do sejmu i tam objąć referat, a potem nawet i nadzór nad szpitalami!...Jeżeli zaś przerzucę się do polityki lub finansów, to mogę wyjść na ministra i światu prawa dyktować! Nicmato,

jak rządu parlamentarne i autonomia kraju! Należę do autonomistów, a z niemieckimi centralami biłbym się do ostatniej kropli krwi!

Po tej spowiedzi politycznej i zasadniczej uczuł pan Bonifacy ciężące powieki na oczach swoich i poszedł za przykładem swego sąsiada, który wcześniej swoją polityczną karierę zakończył. Chrapali teraz obaj; z tego chrapania trudno było odgadnąć, do jakiego politycznego stronnictwa obaj należeli.

Pan Bonifacy i we śnie pozostał wierny swoim zasadom i opiniom, przed chwilą wypowiedzianym. Śniła

mu się, że był we fraku, w białej chustce na szyi, i że ścisnął i całował się z eksceleńcyą. Później śniło mu się, że się ubrał w kontusz karmazynowy i zasiadł na krześle aksami tmem... jakiś duch niedobry porwał go wraz z krzesłem i zaniósł do wielkiego miasta, nad wielką błękitną rzekę, nad którą ongi król Jan trzeci walczył z czernią tatarską!... Mieszkańcy tego miasta przyjęli radośnie pana Bonifacego, oglądali ciekawie jego kontusz i kara belę, a gdy po jakimś czasie z tej powietrznej jazdy do Chmielowic wrócił, okazało się, że na jego karabeli pradziadowskiej nie było owych cennych kamieni. Uro nił je gdzieś w tej podróży fantastycznej, albo wyłupali mu je mieszkańcy owego wielkiego miasta, w którym mu było tak miło i wesoło!.. Zapłakał gorzko nad utratą klejnotów... A płacz ten był tak bolesnym, że aż się z wielkiej boleści... ocknął!

Pociąg był już w stolicy. Pan Bonifacy kazał się zawieźć do najpierwszego hotelu, jak przystało na męża publicznego. Tam odpoczął nieco po trudach snu i rozmowy, jaką musiał prowadzić z sąsiadami podróżnymi.

Już było dobrze koło południa, gdy pan Bonifacy, ubrany i gładko ogolony, ukazał się w sieni hotelu i donośnym głosem zawołał, że musi jechać do eksceleńcy. Odźwierny zaproponował w takim razie remizę. Pan Bonifacy siadł i kazał się zawieźć przed dom rządowy pod Kawkami.

Z wielkim skupieniem ducha oczekiwał, kiedy się remiza zatrzyma. Gdy to nastąpiło, wysiadł z powagą, jakby już sam eksceleńcy na niego patrzył, i wolnym krokiem zmierzył ku drzwiom, w których ujrzał okazałego odźwiernego ze srebrną buławą.

Pan Bonifacy ułożył sobie plan następujący: najprzód miał pójść do Adolfa, a uściskawszy go jaknajserdeczniej, miał z nim odbyć konferencyę, jak z eksceleńcyą rozmawiać, co mu powiedzieć i jakich tytułów honorowych na tej audyencyi używać. Potem dopiero miała nastąpić sama audyencya.

— Powiedz mi, mój przyjacielu—rzekł pan Bonifacy do odźwiernego z pewną protekcyą—gdzie tu ma się odbyć tak zwana ankieta dla targów wołowych? Odźwierny zastanowił się nad tem pytaniem i odpowiedział po chwili, że o podobnej ankiecie nic nie słyszał. Zdziwiło to niemało pana Bonifacego, ale przystąpił do następnego pytania:

— Przynajmniej odpowiesz mi, gdzie tu urzęduje pan Adolf...

Odźwierny na to zapytanie nie mógł także odpowiedzieć, co pana Bonifacego już rozgniewało.
— Stoisz, przyjacielu, z tak grubą buławą—ozwał się gniewnie— a w tej buławie tak samo, jak w twojej głowie, pewnie nic niema...
Jeszcze odźwierny nie zdobył się na odpowiedź,

gdy pan Bonifacy był już na schodach. Tu i owdzie spotykał urzędników. Chciał ich spytać o Adolfa lub o ankietę w najgorszym razie, ale twarze urzędników były jakoś tak dziwnie zaturbowane, taki dziwny wyraz malował się w nich, że delegat ankiety wolowej nie miał odwagi przemówić. Było coś niezwykłego w tym ruchu urzędników. Biegali po korytarzu i schodach, szeptali sobie coś do uszu i znowu wracali z kądem wyszli. Jedni poprzestawali na spojrzeniach i giestach, drudzy dodawali do tego westchnienia i słowa jednozgłoskowe. Zebrał się na odwagę i najmłodszego urzędnika zatrzymał za pojęcie.

— Powiedz mi, panie łaskawy—ozwał się do niego z pewnym niepokojem — gdzie tu jest biuro pana Adolfa.

— Pan Adolf—odparł młody urzędnik z uśmiechem—nie ma jeszcze biura własnego, ale pisuje w biurze radcy...

Zagryzł usta pan Bonifacy, a urzędnik mówił dalej:

— Pana Adolfa niema, bo właśnie dzisiaj wyjechał za urlopem na dni kilka.

Niedobra to była nowina dla pana Bonifacego. Brakło mu towarzysza i doradcy, na którego tak w sprawie audyencji, jak i ankiety, wiele liczył. Z drugiej jednak strony ucieszył go ten pośpiech młodzieńcy, z jakim Adolf na list jego odpowiedział.

— To nie pan Idzi — pomyślał sobie w duchu— który dziesięć czy dwadzieścia dni kazał czekać na siębie córce i ojcu! Widać, że Adolf prawdziwie ją kocha, jeżeli z takim ferworem bierze się do sprawy. Julia ucieszy się i już więcej namyślać się nie będzie. Dobrze

się stało, że w liście moim dodał to i owo, co młodego człowieka zaraz w gorączkę wprawiło. Wszystko idzie jak po maśle. Gdy wrócę z ankiety, będą już oboje gruchać do siebie jak gołąbki. Beze mnie lepiej się po rozumieją i wszystko sobie wypowiedzą. Dla młodych nie trzeba świadków.

Po tej refleksyi chciał pan Bonifacy przystąpić do innego zapytania, ale młodego urzędnika już przed nim nie było. Obejrzał się za innym. Właśnie zbliżał się do niego jakiś stary jegomość w paradnym mundurze, który szedł wolnym krokiem, z głową spuszczoną ku ziemi.

— Powiedz mi, mój zacny panie — ozwał się pan Bonifacy—które to drzwi prowadzą do gabinetu ekscelelencyi?

Zaturbowany urzędnik podniósł głowę i smutno spojrział na pytającego. Miał jeszcze łzy w oczach, a na pomarszczonej twarzy były ślady głębokiego wzruszenia.

— Czy pan dobrodziej masz jaki interes do jego ekscelelencyi?—zapytał z wielkim smutkiem.

— Chciałem być na audyencji!

Urzędnik otarł łzy z oczu!

— Ekscelelencya... nie daje już prywatnym osobom żadnej audyencji!

— Jestem delegatem ankiety wołowej!—krzyknął pan Bonifacy w jakimś niedobrem przeczuciu.

Urzędnik otarł znowu oczy.

— To ekscelelencyę już nic nie obchodzi!

— Gwałtu! Co się stało?

— To pan nie wiesz?

— Jak w rogu!

— Ekscelelencya... wziął już dymisyę!

— Ekscelelencya... dyniisyę... co to jest?

— Nastąpiła zmiana ministeryum... Ekscelelencya nie zgodził się na nowy program... i złożył swój najwyższy urząd...

Pan Bonifacy osłupiał zrazu. Niejakiś czas pa trzymał na urzędnika szklanemi oczyma, a chwyciwszy go potem za klapę surduta, krzyknął:

— Co pan mówisz! Czyś pan oszalał?... Ekscelelencya porzuciłby swój urząd najwyższy, aby kraj osie rocie?...

Przy ostatnich słowach puściły się już na piękne łzy z oczu urzędnika.

— Słusznie to pana zadziwia — mówił prawie ze łkaniem— a dla nas wszystkich jest to cios niespodziewany! Wczoraj jeszcze nic nie wiedzieliśmy! Dzisiaj telegraf rozstrzygnął wszystko!

— Przeklęty telegraf! ludzie wymyślili go na swoje nieszczęście... ale powiedz mi pan, dlaczego i na co swoje stanowisko opuszcza?

— Jako niezależny obywatel kraju, nie zgadza się z nowym programem ministra spraw wewnętrznych, nie chcąc postępować wbrew swoim przekonaniom i swego sumienia niczem obciążać. W państwach parlamentarnych nie jest to żadną niespodzianką.

— Niech kaci wezmą wszystkie parlamenta!.. Przecież jeżeli ekscelencya był takim dygnitarzem, to mógł monarsze powiedzieć...

— Nie monarcha, ale parlament wyrokuję w takim razie...

— Taki rząd i trzech groszy nie wart!... A co się stanie teraz z urzędnikami?

— Otoż to całe nieszczęście nasze! Dla urzędników, których ekscelencya lubił i protegował, jest to cios najstraszniejszy. Młodszy zrzekną się swojej kariery politycznej i przeniosą się do sądownictwa, a starsi muszą pozostać i poddać się pod rozkazy nowego zwierzchnika, który nie będzie ich przyjacielem!

— To prawdziwe nieszczęście, awantura, jak rzadko.

— Stosownie do ducha nowego ministerstwa, przyjdzie prawdopodobnie na miejsce ekscelencyi jakiś Niemiec, który to wszystko porozpędza, co tamten zgromadził...

— Czy sądzisz pan, że w takim razie młodzi urzędnicy, których protegował ekscelencya...

— Przepadli z kretesem!

Pan Bonifacy zacisnął pięść i przeciw niewidome mu nieprzyjacielowi wykonał kilka energicznych razów.

— Co się dzieje!?! — zawołał po chwili tragicznie— gwałtu, co się dzieje, a co się jeszcze dzieć będzie! Pożegnał starego urzędnikami zbiegł czempredzey ze schodów, aby w samotności myśli swoje pozbierać. Gdy już był w hotelu, rzucił na stół kapelusz, białą chustkę i rękawiczki, i zaczął szybko chodzić po pokoju. Czarne myśli skakały mu jak żaby po głowie. Sytuacja zmieniła się zupełnie. Podstawa, na której dzisiejsze rojenia swoje budował, runęła nagle, a z nią

runął cały gmach owych złotych rojeń, które tyle słodyczy miały dla niego. Ekscelencya przestał być najwyższą figurą w kraju i stał się takim samym, jak on, rolnikiem. Adolf przestał być jego protegowanym, a tem samem spadł do poziomu małego urzędniczka, który ma się do pana.

Idziego, jak komar do wołu! Ani dla niego nie ma już ten urzędniczek żadnego interesu. Można by bez namyśłu zawrócić do pana Idziego, ale przebóg—nowa przeszkoda! Adolf pojechał do Julii, i tam zapewne tyle sobie słodkich rzeczy nagadają, że Julia pewnie nie będzie chciała o panu Idzim ani słyszeć.

Największym zmartwieniem dla pana Bonifacego było teraz przekonanie, że to, do czego sam dążył i co mu się już w połowie udało, zwraca się teraz przeciw niemu! Najbardziej gniewała go teraz ta przeklęta ankieta! Tak gorąco jej pragnął, tyle razy do niej wzdychał, a dzisiaj staje mu się prawdziwą kością w gardle. Smutna kara za jego rojenia!

—Masz, babo, redutę!—zawołał p. Bonifacy w rozpaczy—co tu teraz zrobić? O Adolfie już niema co myśleć. Przecież córki za małego urzędniczka nie wydam. Ekscelencya także nie na wiele przyda mi się dzisiaj. Pojedzie na wieś i będzie takim samym, jak ja. Gdyby tylko jaknajprędzej zabiedź drogę Adolfowi. Porwał się dopannyjakzkopyta. POCO tak zaraz pojechał!... Gdybym choć był w domu, tobym jakoś nie dopuścił do bliższych konszachtów. A tak... ta przeklęta ankieta trzyma mnie tu... oni tam oboje jak para gołąbków siedzą i gruchają do siebie... Trzeba zwaryować albo się w Pełtwi utopić!.. Gdyby choć nie ta ankieta! Człowiek przykuty tu na jakie tydzień, a w domu, Bóg wie, co się stanie!..

Pan Bonifacy chciał właśnie wydrzeć sobie garść włosów, gdy nagle drzwi się otwarły, a do pokoju wstąpiła otyła mężczyzna z krogulczym nosem.

— Witam szanownego kolegę — ciągnął przez nos—jestem także delegatem i chciałbym co do ankiety

ty porozumieć się z kolegą, aby na wspólnym posiedzeniu panowała pewna jedność zapatrywania się co do interesów większych posiadłości...

Niech kaci biorą całą ankietę! przerwał pan Bonifacy gdybym był wiedział, nigdyby moja noga tu nie powstała...

— Cóż to się stało?...

— Czy pan nie wiesz, że nasz eksceleńcyca poszedł w odstawkę, że wszystkich młodych urzędników...

— Wiem o wszystkim... smutne zdarzenie... ale mi mo to nie należy nam rąk opuszczać i przynajmniej ma terytalne interesa kraju...

— Niech kaci biorą wszystkie interesa... chciałbym w tej chwili być w domu... czy nie masz pan nato jakie go sposobu?...

— Dlaczegoż usuwasz się pan od obowiązków publicznych?

— Widzisz pan... jestem chory, bardzo chory! Nie wiem sam, czy jutra doczekam...

Delegat ankiety wołowej zafrasował się i wziął kołęgę za rękę.

— Bój się pan Boga, co panu jest?

— Wszystko mnie boli, wszystko się we mnie do góry nogami wywraca! Zdaje mi się, że mam głowę gdzie nogi, a nogi gdzie głowa! W piersiach pali mnie jak rozpalonem żelazem, a mózg smaży się jak jajecznicca! Co tu robić?

Zawołać doktora.

Nie, nie, ja tylko w domu moge być zdrowy!

— Pojechać do domu.

— Ba! a ta przeklęta ankietka?

— Jeżeli kto chory, to przecież...

— Czy sądzisz pan, że można?

— Dlaczegoż nie, tylko trzeba ankietę zawia domić...

Jeszcze tego samego wieczora siedział pan Bonifacy w wagonie i rozmawiał, jak zwykle, z sąsiadami z wi doczną irytacją.

— Niech kaci biorą rządy parlamentarne—mówił między innymi — człowiek nigdy wiedzieć nie może, kto co znaczy! Dzisiaj, panie dobrodzieju, jest woźny, ja nie uważam na niego, a jutro jest starostą, a ja muszę przed nim czapkować, bo nie wiem, czy pozajutro nie będzie ministrem!... Mój adwokat, naprzykład, coś mi w proce

się pokiełbasi... nie mogę go wykrzyczeć, bo już jutro zostanie namiestnikiem, a ja muszę wtedy krzyczeć: wiat! niech żyje nasz rodak!... Obróćcie państwo to wszystko ogonem do góry, to będzie jeszcze gorzej. Ja na przykład ubieram się w lakierowane buty i jadę do ministra, a minister tymczasem pojechał paść woły, albo wrócił do sosnowego stolika, przy którym dawniej pił!... I jakże może się człowiek teraz oryentować? Czego ma się trzymać, jeżeli chce kogo trącić albo przed kim czapkować!... Otoż takie to nasze czasy parlamentarne i autonomiczne! Ludzie, jak arlekiны, mocują się z sobą, wylazą do góry i spadają na dół! Człowiek nie wie, kto się ostanie na górze, a kto z ziemi się nie podniesie! Dawniej było lepiej. Wiedziałem na przykład, że pan Jacek ma trzy wsie, to też zdjąłem przed nim czapkę nisko, a panu Onufremu, który miał tylko przysiółek, kiwnąłem głową... niech kaci biorą ten mody parlamentaryzm! j

Po tej korekcie swego wczorajszego politycznego wyznania zasnął pan Bonifacy, podczas gdy pociąg zdążył nieustannie do zagrożonego dworu.

XII.

We dworze chmielowieckim panowała właśnie owa cisza, jaka zazwyczaj pojawia się przed każdym większym zamieszaniem w naturze. Julia chodziła po lipej alei i patrzyła na kwiatki, drzewa i chmurki, które leniwo sunęły się po niebie. Miała w ręku jakąś robótkę kobiecą, ale ta spoczywała w wygodnym koszyku. Od czasu do czasu zwracały się jej oczy ku stronie, z której zazwyczaj przychodził posłaniec pocztowy, albo przyjeżdżał z gościem dorożkarz miasteczkowy.

"Właśnie w tej chwili pojawił się na drodze wózek.

Twarz Julii ożywiła się, oczy zapłonęły... przyłożyła rękę do piersi, jakby chciała uspokoić niesforną serce.

Wózek toczył się jakoś zbyt leniwo, a serce za to biło coraz żywiej...

Wreszcie wjechał wózek na dziedziniec — Julia poznała... ojca, zdziwienie malowało się na jej twarzy.

— Czy jest tu Adolf? — zapytał skwapliwie pan Bonifacy—czy dawno przyjechał? Co tu robicie?

Adolf... nie przyjechał — odpowiedziała Julia z pewnym smutkiem — jest list do ojca!... Czemuż to ojciec tak prędko wrócił ze stolicy?

Zachorowałem śmiertelnie, moje dziecko

powiedział pan Bonifacy, a wyraz zadowolenia okraślił jego twarz rumianą—gdzież jest ten list?

— Leży w kancelaryi na biurku.

Pan Bonifacy rozdarł list i czytał:

„Ponieważ pierwszy mój list uległ pastwie płomie ni, nie piszę drugiego, ale stosując się do życzeń kochanego stryjaszka, pośpieszani sam z żywym słowem, którego żadna szwedzka zapałka nie spali...”

Pan Bonifacy otarł pot z czoła i odetchnął, jak człowiek, któremu spadł z piersi młyński kamień.

— No, dzięki Bogu! jeszcze w czas przyjechałem — szepnął do siebie z uśmiechem — a żywym słowem jakoś zaradzimy.

Zmiał list i włożył do kieszeni. W tej chwili we szła Julia.

— Coż pisze Adolf? — zapytała głosem nieco drżącym.

Pan Bonifacy wyciągnął chustkę i jak dyplomata długo manipulował nią koło twarzy.

— Adolf... — cedził powoli przez zęby — ot, jak zwykle każdy młody człowiek... ale wiesz, co się stało? ekscelencya poszedł w odставку i dzisiaj już tak jak ja podlewa buraki! Na miejsce ekscelencyi przyjdzie ja kiś Niemiec z Wiednia, który wszystkich młodych urzędników wypędzi, jak baranów z obory!... I właśnie pisze mi Adolf, że będzie musiał do nas przyjechać... naturalnie, bo któż mu da teraz jeść?

Rumieniec przebiegł po twarzy Julii.

— I kiedyż przyjedzie? — zapytała wzruszona — trzeba wysłać konie do stacyi.

Pan Bonifacy machnął ręką.

Konie się pośle, bo prawdopodobnie nie będzie miał czem wózka zapłacić... ale przyznam ci się, że o nim zupełnie moje zdanie zmieniłem. Chłopiec do niego czego.

— Dlaczego? Czy dlatego, że jego protektor ustąpił z urzędu? Przecież to nic a nic nie zmienia rzeczy!

— Zmienia, moje dziecko, jak cię kocham, bardzo zmienia... ale ja teraz w to nie wchodzi... tylko powiem ci otwarcie, że on mi się wcale nie podobał!...

— Przecież ojciec sam...

— To prawda, miałem o nim inne wyobrażenie.

Proszę cię, moja Julisiu, tylko zważ dobrze, czy to młody człowiek tak postępować powinien? Ja piszę do niego, przyznam ci się otwarcie, że ty go bardzo... lubisz, że chcesz, aby jaknajprędzej przyjechał, a on tę sprawę serdeczną referuje jak leniwy urzędnik! Ja myślałem, że on już dawno tu siedzi, że gruchacie oboje jak gołąbki do siebie, a on dwa dni jak wyjechał ze stolicy! Gdzież jest, co robi? Nie lubię nikogo bez powodu obmawiać, ale przypuszczam, że pewnie jakieś amory stołeczne... że ja kaś lafirynda...

Julia zbladła i szybko chwyciła ojca za rękę.

— Ojcze! nie mów tak, bo Adolfa obmawiasz!

— Obmawiać nie obmawiam, bo nawet całej myśli mojej jeszcze nie wypowiedziałem. Gdybyś była w stolicy i sama widziała tych młokosów, jak przez lor netki na kobiety patrzą i co sobie przytem mówią, to byś tak bardzo za swoim kuzynkiem nie obstawała! Powia dam ci, że pan Idzi wobec tych wiercipiętów to złoto. Julia patrzyła na ojca z zadziwieniem.

— Do czegoż to znowu prowadzi?—zapytała.

— Do niczego, jak cię kocham, do niczego. Zre szta sama obaczysz, jak przyjedzie. Tylko przestrzegam cię, że wszyscy ci młodzi ludzie umieją mówić i kłamać, osobliwie gdy widzą za panną posag nieszpetyny!

— Nie rozumiem ojca...

— Zrozumiesz, moje dziecko. Wygodniś, co się zowie. Od dwóch dni jedzie i przyjechać nie może. Je żeli pan Idzi tak bardzo nie śpieszył, to miał przeskody, jak zwykle przy gospodarstwie, ale ten chłystek...

— Niech tatulko w ten sposób się nie wyraża.

W słowach i oczach Julii drżały łzy, na które pan Bonifacy obojętnie patrzeć nie mógł. Pocałował córkę w głowę i rzekł:

— Przepraszam cię, dziecko, ale obojętnie nie mogę mówić o tem, co tobie ubliża. Zostawmy to czasowi. A że cię kocham nad życie, to jutro sam pojedę do po ciągu i tu go przywiozę. Grzeczniejszym i gościnniejszym już być nie można.

Julia pocałowała w rękę ojca i szybko wymknęła się z pokoju, aby w samotności rozmyślać nad tem, co tutaj słyszała.

Przebiegła aleję lipową i nie zatrzymała się aż

w najciemniejszym kącie ogrodu. Tu uczyniła folę sercu swemu, które, nie wiedząc dlaczego, bardzo się zaniepokoiło. Łzy rześiste puściły się z jej oczu i długo, długo płynęły. Otarłszy je w końcu, usiadła na pniaku i dumiała:

— Najprzód napisał list krótki, jakby obojętnem mu było, że za mąż wychodzę; potem żal mu się trochę zrobiło i przyznał się do tego żalu przed eksceleńcya... Eksceleńcya zachęcił go, napisał list i jemu pisać każał... dzisiaj niema eksceleńcy, a on... namyśla się...

a może gdzieindziej pojechał... nie, on prawdziwie mnie nigdy nie kochał!...

Na poparcie tej logiki kobiecej puściły się. znowu łzy z jej oczu i znowu długo płynęły. Była teraz już przekonana, że tak jest, a nie inaczej, że Adolf tylko się bawił, że na seryo nigdy o niej nie myślał.

— Obaczę—mówiła do siebie — jakim on będzie, gdy przyjedzie! Nie zdradzę się niczem, będę dla niego obojętną, jakby między nami nic nie było! Jeżeli mnie kocha, niech łamie lody! Obaczymy, jak to pójdzie.

Otarła łzy, przymusiła się do uśmiechu i wyszła z ustronia z twarzą pogodną, jakby jej nigdy nic nie było. Wygórowana duma kobieca pomogła jej do tej roli. Dzień przeminął spokojnie, noc także przeszła, a nazajutrz, tak jak przyrzekł, wybrał się pan Bonifacy sam do stacyi.

— Możeby tylko same konie posłać — ozwała się Julia z twarzą obojętną — gotów myśleć, że kto go chwytą.

— Już daj pokój, dziecię—odparł pan Bonifacy—niech wszystko zrobię, co do mnie należy, abyś potem nie miała żalu.

I wózek, odprowadzony oczami Julii, potoczył się szybko w kierunku do stacyi kolei żelaznej.

Jeszcze pan Bonifacy nie ułożył sobie całej rozmowy, jaką miał przeprowadzić z Adolfem, gdy wózek prawie równocześnie z pociągiem zajechał przed dworzec. Z pociągu z głową rozburzoną wypadł jak z procy młody człowiek i prosto popędził na dworzec.

— Adolfie, kochany, drogi!—zawołał pan Bonifacy, biorąc młodego człowieka w swoje objęcia — jakże się masz?

Adolf miał twarz rozpromienioną, usta jakby od gorączki spalone, ubiór zaniedbany.

— A! kochany, drogi stryjasek! — zawtórzył panu Bonifacemu, a pocałunkom i uściskom nie było końca.

— Gdzieżeś to był?

— Po drodze wstąpiłem do wuja, który ciężko za chorował.

— Proszę, proszę! Taki rumiany i choruje!... Ale konie moje pojechały do pobliskiej karczmy. Mam tam z żydem interes... tymczasem kilkanaście minut tu się zatrzymamy. Chodź, pogadamy trochę.

W obszernej izbie drugiej klasy nie było nikogo.

Pan Bonifacy usiadł przy stole i posadził Adolfa koło siebie.

Po wstępnej rozmowie o ankiecie wołowej, dymisji ekscelencyi i o innych ważnych rzeczach, zaczął pan Bonifacy:

— Drogi, kochany Adolfie! Jesteś bliskim krewnym naszym, wiem, że nam dobrze życzysz, dlatego otwarcie z tobą mówię. Ekscelencya pisał do mnie... już wiesz w jakim interesie. Otoż o tem rozmówimy się.

Gorączkowy rumieniec wystąpił na twarz Adolfa.

— Wierzaj mi — rzekł pan Bonifacy — że ja kocham cię jak syna, a Julia... sprzyja ci jak bratu rodzemu... Wzrosliście razem, i nic dziwnego, że macie ku sobie pewne sentymenta wzajemnej życzliwości.

Pan Bonifacy spoczął tutaj, a Adolf patrzył na niego z coraz większą uwagą.

— Młoda fantazja lubi na takich sentymentach budować zaraz pałace i zamki... ale obowiązkiem rozsądku jest zastanowić się nad tem, czy to grunt stały i czy za lada powiewem wiatru to wszystko w gruzy nie runie...

Adolf zaczął blednąć.

— Byłbym najszczęśliwszym, wierzaj mi, Adolfie, gdyby tak się stać mogło, jak ekscelencya pisał... Rozsądek jednak mówi inaczej. Julia już prawie po słowie była z panem Idzim, gdy list ekscelencyi nadszedł. Przy

jęła od niego brylanty wartości dziesięciu tysięcy, które dotąd w moim biurku spoczywają. O tobie zaś, powiem ci otwarcie, nic a nic nie myślała!...

Blade usta Adolfa zadręnęły konwulsyjnie, machinalnie przesunął ręką po rozburzonych włosach i rzekł:

— Jakto? Julia wcale o mnie nie myślała?... Przy rzekła rękę panu Idziemiu bez wahania się?...

— Bez najmniejszego namysłu... sama kazała mi napisać do pana Idziego, że mu oddaje serce i rękę...

Ciemna łuna przebiegła po czole Adolfa.

— Jak cię kocham, sama... sama kazała mi pisać.

Adolf wstał z krzesła i przeszedł się kilka razy po pokoju. Zatrzymał się przed panem Bonifacym.

— Dlaczegoż pisałeś pan, abym przyjechał? za pytał z rozdrażnieniem.

— Widzisz, kochany Adolffie... nie chciałem tak wprost pisać do ciebie... Scripta manent... wolałem rozmówić się z tobą, bo rachowałem na twój rozsądek i przywiązanie do nas. Chciałem, abyś ty sam rozmówił się z Julią, bo widzisz... młodym dziewczętom czasem może coś strzelić do głowy!.. Gdy ekscelencja list

napisał, Julia, tak mi się zdaje, zaczęła coś niby myśleć o tobie.

— Więc dopiero wtedy, gdy ekscelencja...

— No, tak... kobiety są czasem próżne i z próżności to i owo myślą sobie...

— Z próżności!...

— Sam widzisz, że na tem niema co budować, tembardziej, że jak widzę, żal jej było bardzo pana Idziego.

I brylantów...

— Inaczej nie byłaby kobietą. Pan Idzi człowiek zany i porządny, Burakówice wieś, jakiej szukać... Julia bardzo go polubiła i jestem pewny, że będzie bardzo szczęśliwą. Wie o tem już cała okolica i przyklasnęła jej wyborowi!

— Czy ten stosunek z panem Idzim trwa dotąd?...

— Właściwie... nie zerwała go, ja tylko zrobiłem małą pauzę, gdy nadszedł list ekscelencji. Masz teraz całą sprawę przed sobą. Gdyby ekscelencja nie był ustąpił, a ty miałbyś nadzieję szybkiego awansu... toby można było z Julią tentować, chociaż ja o skutku wątpię. Dzisiaj zaś ani myśleć o tem. Weź tylko na rozum. Będziesz małym urzędnikiem przez dziesiątki lat, zanim zostaniesz radcą, i tyle pensyi mieć będziesz, ile ja za sam rzepak od żydka biorę. Jakież więc będzie

stanowisko Julii, córki obywatelskiej, i czemu ty przy niej będziesz? Czy się nie będziesz wstydził jeść jej chleb?... A ona za cóż będzie cię miała? Mrzonki miłosne rozwieją się za kilka tygodni, jak mgły jesienne, a pozostanie twarda, nieubłagana rzeczywistość... Ona uczuje niestosowność kroku, jaki uczyniła, a ty, jeśli

masz poczucie godności przeklinać będziesz chwilę szalu, w której popełniłeś krok tak nierozważny! Podczas tych słów pana Bonifacego był Adolf cały blady i drżący, jakby kurcz wewnętrzny szarpał wszystkie jego nerwy. Przy ostatnim słowie wyprostował się i rzekł:

— Jadąc tutaj, nie spodziewałem się tak zimnej wody, którą mnie zaraz na wstępie obłano. Była to jednak kąpiel bardzo słusza. Mogłem wprzód wiedzieć, że jestem biednym, a Julia bogatą jedynaczką. Nierówność pozycji w małżeństwie nie prowadzi do szczęścia...

— Słicznie powiedziałeś, drogi Adolfie—przerwał pan Bonifacy, całując i ściskając biednego kuzyna—nie równość pozycji! Te słowa z ust mi wyjąłeś! Kocham cię za to jeszcze więcej niż dotąd!

— Jeżeli do tego Julia, jak pan powiadasz, przyrzeka lub ma ochotę wyjść za pana Idziego...

— Okazała wielką, bardzo wielką ochotę, jak cię kocham, drogi Adolfie! Sam się temu dziwiłem. Ubiegała się codziennie w brylanty, które jej przysłał. A jak jej pięknie było!... Gdybyś ją widział, byłbyś sam powiedział, że ta kobieta jest szczęśliwą!

Adolf chwycił pana Bonifacego za rękę i silnie ścisnął.

— Dość tego!... słowa te wyjaśniły mi wiele. Rozstrzygnęła sama Julia, a szczęściu jej nie chcę wchodzić w drogę. Mógłbym nawet ztąd do mego białego stolika odjechać, ale... ,

— Nie, nie, Adolfie, ty pojedziesz ze mną potrzeba, abyście przynajmniej z sobą się widzieli. Liczę twój rozsądek i to, coś mi tu sam powiedział. Zwracam

tylko na to twoje uwraę, że kobiety czasem mają pewne słabe chwile, w których nie serce, nie dusza, ale... ot, tak sobie... fantazyja, fałszywe echo dziecinnych wspomnień lub coś innego góruje! Spodziewam się, że z tego nie zechcesz korzystać, bo, jak powiedziałem, liczę na twój rozsądek. W małżeństwie powinno być szczęście po jednej i drugiej stronie, a szczęście z jednej strony zamienia się wkrótce na nieszczęście zupełne. Teraz jedźmy.

XIII.

Julia siedziała właśnie w swoim pokoiku. Zamiar jej, aby dla Adolfa być zimną i sztywną, dojrzał zupełnie. Z tego, co jej ojciec powiedział i co sama z różnych zestawień wywnioskowała, wypływało dla niej jasno, że ma być taką, a nie inną. Miało to być próbą, czy Adolf rzeczywiście ją kocha.

Moralnie przygotowała się już do tej roli, w ubiorze jednak swoim żadnej nie uczyniła zmiany. Miała na sobie zwyczajną szarą sukienkę, nawet włosów wcale nie poprawiała. Naciągała właśnie na krosienka nową robotę, gdy wózek zaturlotał przed gankiem.

— Gdzież panna?—zapytał niespokojnie pan Bonifacy.

— W swoim pokoju—odpowiedział służący.

— Zapewne czems jest zajęta... nie będziemy jej przeszkadzać; panie Adolfie, pójdziemy sobie do kancelaryi.

Adolf poszedł z panem Bonifacym i zajął, w kancelaryi wskazane miejsce. Gościnny gospodarz podsunął mu poduszkę pod plecy, jakby na tem miejscu miał siedzieć kilka godzin.

A teraz powiedz mi, jakie palisz cygara? mam lepsze i mocniejsze... a może lulkę?

— Dziękuję, nie będę palił—odpowiedział krótko Adolf, którego twarz była blada i tak nieruchoma, jak marmur.

Pan Bonifacy próbował wesołej rozmowy, chciał koniecznie swego gościa czems zabawić, ale napróżno. Adolf milczał, a z twarzy jego możnaby nawet wnosić, że wcale gospodarza nie słuchał. Tylko czasami, gdy liście na lipie zaszeleściały lub kot po rozrzuconych papierach się przeszedł, zwrócił oczy swoje ku drzwiom,

czy kto nie idzie. Drzwi jednak były zamknięte, a żadna postać nie przekroczyła progu.

Tak mijaly kwadranse i godziny. Pan Bonifacy zdawał się niepokoić. Zawołał na Antka.

— Gdzie panna jest i co robi?—zapytał—czy wie, żeśmy przyjechali?

— Panna wie — odpowiedział pokojowiec — bo była w kuchni i dysponowała; teraz jest w pokoju i haftuje.

— Zapewne ma pilną robotęzagadnął pan Bonifacy do Adolfa—kobiety mają różne fantazyę. Adolf przygryzł usta, ale nic nie odpowiedział.

Po kilku godzinach, gdy już czuć było w powietrzu zbliżający się obiad, wyprosił pan Bonifacy Adolfa z kancelaryi i zaprowadził do paradniejszego pokoju. I w tym pokoju nie było Julii. Adolf wodził oczyma po pustych kątach, które mu tak wiele przypo

minały. Dawniej wybiegała Julia naprzeciw niemu z jakimś kwiatem symbolicznym i rzucała się radośnie w objęcia kuzynka. Dzisiaj zmieniała się sytuacja. Serce kuzynki zwróciło się w inną stronę, a on dla niej jest tylko zwykłym gościem, dla którego nawet nie warto odrywać się od zatrudnień codziennych.

Tak myślał sobie młody urzędnik, a zawiedziona duma wznosiła w nim coraz więcej. Pracował w tej chwili nad sobą, aby dla kuzynki miał twarz spokojną i uśmiech towarzyski, jakim się wita ludzi obojętnych.

Nawet panu Bonifacemu zadługą wydała się ta pauza w życiu rodzinnem. Wszedł sam po córkę. Za chwilę weszła Julia. Miała jeszcze w rękach kilka motków włóczki, i zdawało się, że wybiera z nich potrzebne do roboty kolory.

— Kochana kuzynka moja każe długo czekać na siebie—ozwał się Adolf z wesołym uśmiechem.—Myślałem, że za to obaczę jeszcze kogoś więcej.

Lekki rumieniec przebiegł po twarzy Julii. Po dając mu rękę. do uścisku, odpowiedziała niemniej wesoło:

— W tak licznych bywałeś teraz towarzystwie, że pewne osamotnienie powinno ci się, przynajmniej jako zmiana, u nas podobać!

Po tych dwóch strzałach nastąpił chwilowy rozejm. Przeciwnicy zmierzili się badawczo, ale na ich twarzach nio można było dojrzeć żadnego wrażenia.

Nastąpiła rozmowa blada, jałowa. Mówiono o stolicach, o teatrach i koncertach, o deszczu i pogodzie, nie po

trącając wcale o dymisyę ekscelencyi. Najwięcej materiału dostarczał pan Bonifacy, i w tej mierze, według

własnego przekonania, pokazał się skończonym dyplomata. Czuwał zrećźnie nad tem, aby rozmowa nie weszła na tory niebezpieczne, i cieszył się, że tak z jednej jak i z drugiej strony, panował pewien chłód i pewna sztywność, która młodych ludzi trzymała zdala od siebie.

Przy obiedzie także nie wydarzyło się nic ważniejszego, a na później miał już pan Bonifacy plan ułożony. Chciał gościa obwieźć po całym gospodarstwie, a na wieczór zaprosił księdza proboszcza na prywatną preferansę.

I plan ten udał mu się wybornie. Adolf wrócił dopiero wieczorem z przymusowej przejażdżki, a nim się obejrzał wkoło siebie, był już w objęciach poczciwego proboszcza, kolegi świętej pamięci ojca swego. Nastąpiło tysiąc pytań i odpowiedzi, w połowie których zajęto krzesła przy zielonym stoliku. Pan Bonifacy prowadził grę tak po mistrzowsku, że pierwszy robót trwał do wieczery, a drugie dwa przeciągnęły się aż do północy. Adolf za ledwie kilka słów mógł z Julia zamienić i to tylko przy świadkach.

Nazajutrz spał jeszcze Adolf na pięknie, gdy pan Bonifacy stanął przed jego łóżkiem.

— Drogi kuzynku—ozwał się ułożyłem dzisiaj dla ciebie niespodziankę. Wy, z miasta, lubicie bardzo zabijać ptaszki. Otoż polowanko na ptaszki już gotowe. Psy i strzelcy czekają, a Julia postarała się jeszcze wczoraj o smaczną przekąskę.

Adolf protestował przeciw tej niespodziance, wymawiał się bólem głowy i wiele innych podawał powodów, ale nic nie pomogło. Pan Bonifacy zbijał wszystko, prosił, błagał, zaklinał i groził gniewem Julii, któ

ra wczoraj do północy piekła i smażyła przekąski. Młody bohater uległ i wyszedł niby na godzinkę, jak mu obiecywał gospodarz, a wrócił aż samym wieczorem. Okazało się, że Julia dała im na polowanie kompletny obiad, a sama, korzystając z nieobecności gościa i ojca, wybrała się na wizytę w sąsiedztwo.

Gdy obaj z wyprawy powrócili, czekał już na nich nieunikniony ksiądz proboszcz, siedząc przy stoliku i tasując karty. Julii nie było jeszcze. Wróciła dopiero po pierwszym robrze. Gdy weszła do pokoju, aby gości powitać, miała na czole chmurę gradową. Mieścił się w niej wyrzut dla kuzynka, że cały dzień poza domem przepędził. Z taką samą chmurą powitał ją Adolf i takie same miał w głębi duszy wyrzuty dla niej. Zdawał się panu Bonifacemu, że jeszcze zimniej i sztywniej rozmawiali z sobą. Zacierał ręce i był wesół. Trzeciego dnia przygotował pan Bonifacy jakąś inną rozrywkę dla gościa, z której się już w duchu cieszył, ale rozrywka ta nie przyszła do skutku. Na jednym z folwarków zachorowało bydło, a pan Bonifacy, zapomniawszy o grze dyplomatycznej, pojechał czempredzej na miejsce zagrożone. Był pewny, że jeszcze na czas powróci, ale nieba rozstrzygnęły inaczej. Niebezpieczeństwo było większe niż się spodziewał, a zaradcze środki wymagały więcej czasu.

— Niech kaci wszystko wezmą! — krzyczał pan Bonifacy wśród ryku chorej obory — człowiek musi tu sam doglądać, a oni tam oboje!... Płynął, a przy brzegu utonął!... Tak dobrze szło mi dotąd! Ssta siebie nie poznałem!... Minister na kongresie lepiej rzeczy nie prowadzi! Pał was czarci!... Jążeli się oni porozumieją, to moze przecież wszystko rozerwać!...

Tak mówił pan Bonifacy do siebie, chodząc od jednego pacyenta do drugiego i przykładając rękę wraz z konowalem do ratunku. s e

Tymczasem panował we dworze spokój niezamocny. Adolf wstał rano i po śniadaniu wyszedł na przechadzkę. To samo uczyniła i Julia. Zrazu drogi ich rozchodziły się daleko od siebie. Adolf chodził po drodze wijącej się do miasteczka, a Julia oglądała jarzyny w ogrodzie warzywnym.

Po niejakiem czasie zaczęło ich coś ku sobie pociągać. Gdyby kto jak ptak z góry na nich patrzył, byłby widział, jak zdążają do siebie. Adolf wyszedł z domu w zamiarze, aby iść w kierunku do miasta, a zaraz za figurą skręcił na ścieżkę wijącą się pomiędzy zbożem ku ogrodowi. Julia chciała dzisiaj zwiedzić cały ogród

warzywny, gdzie nie było ani cienia, ani ławki, ale za raz po kalafiorach skręciła na lewo, ku ulubionej alei lipowej, z której mogła robić wycieczki na grządki i klombiki z kwiatami.

I stało się jakoś, że przy czwartym klombiku spotkali się oko w oko. Ona wyszła od alei lipowej, on z pomiędzy krzaków leszczyny. Zrazu zawahali się na chwilę... serce, młodość, parły ich naprzód do siebie, a refleksja kazała się im zatrzymać w oddali. Powitali się zimno i sztywnie. Mówili coś o pogodzie, o wypadku na folwarku, i rozprawiali trochę o środkach zaradczych przeciw chorobom bydłęcym. Wcale niwesoła uwertura do dramatu, który miał się rozegrać za chwilę.

Wreszcie ozwał się Adolf:

Kto na wsi ma całe życie pozostać, ten musi

oswoić się z takimi wypadkami, jak choroba bydła i t. p.

— Przyzwyczajam się do tego od lat dzieciennych— odpowiedziała Julia z zimnym uśmiechem — i zdaje mi się, że to przyzwyczajenie stało się dla mnie drugą naturą. Jużbym może nie potrafiła mieszkać w mieście!

Adolf zagryzł usta, ale nie zmienił wesołej twarzy swojej, na którą teraz z uwagą patrzyły oczy Julii.

— Byłoby to rzeczywiście wykojeniem życia — mówił obojętnie — gdybyś się kuzynka chciała ze wsi przenieść do miasta. Dobrze, że cię nikt do tego nie namawiał.

Przy tych słowach próbował Adolf być swobodnym i zanucił nawet sobie pocichu jakąś aryjkę, Julia podrzuciła głowę do góry, i oskubując kwiatek, odpowiedziała:

— Dzięki Bogu, nie było żadnej do tego pokusy.

Nikt nie zagrażał prostej kolei mego życia!

— Niejedna może temu zazdrościć. Urodzić się spokojnie, żyć spokojnie i spokojnie patrzeć na zbliżającą się starość, bez żadnych wstrząśnień, bez żalu i skargi... to także szczęście. Inni nie doznają go, krew młoda, wyobraźnia i inne siły człowieka, które duszą nazywamy, nie pozwalają im przebywać biegu swego z tak wyrachowanym spokojem...

— Zaręczam ci, kuzynku, że nigdy nic nie rachowałam! Wszystko złożyło się samo z siebie.

Głos Julii zabrzmiał przy tych słowach pewną wiary, ale wnet pokonała ją i znowu uśmiech obojętny wystąpił na jej usta. Adolf szukał czegoś oczyma na ziemi.

— Nie mogło być inaczej. Rzeczy układają się według naszej woli, chociaż my sami o tym często nie wiemy. Tak jest, Julio, ta niewidzialna wola nasza jest często tak silną, że przeciw niej nie tylko ludzie, ale nawet i my sami, to jest nasz rozum, rozsądek lub serce, nic zrobić nie możemy!

Julia spojrzała z uwagą na Adolfa, który jak wi nowajca miał oczy ku ziemi zwrócone.

— "Więc kuzynka Adolf odpowiedziała ze smutnym uśmiechem—należy także do tych, którzy tej nie widzialnej woli swojej pokonać nie mogą?"

— Kuzynka Julia chce mnie postawić na równi z sobą, ale na to, mam prawo powiedzieć, nie zasłużyłem sobie!

— Czyż tak jestem godną politowania, że ze mną razem stać nie chcesz?

— Prędzej... godną zazdrości!

— Zkądże żart taki?

— Nie żart, ale to prawda, że robisz świetną Partię!

Adolf chciał tu okazać jaknajwiększą swobodę i zaczął kijkiem dostawać gałązki, która mu się ciągle wymykała. Julia patrzyła na tę obojętną zabawę swego towarzysza, a gorzki uśmiech zaczął oszpecać jej Usta.

Mówią wszyscy odpowiedziała że partya jest świetną; dotąd nie mam żadnego powodu powątpiewania o tem!

Przedewszystkiem mają być bardzo ładne... brylanty.

Prześliczne!... Utrzymują, że ładniejsze od brylantów księżny!

— Zapewne jest ci w nich bardzo do twarzy!

— Obaczysz, jak przyjedziesz na moje wesele.

— Do ślubu nie bierze się brylantów!
— Prawda, zapomniałam o tem!
— Jeżeli się nam jaka rzecz podoba, to przy niej zapominamy o wszystkim.
— Prawda, to zwykła słabość kobieca!
— Dogadzanie takim słabościom jest u kobiet synonimem szczęścia.
— Znasz wybornie serca kobiece.

Nastąpiła dłuższa pauza. Położenie dwojga młodych ludzi było tak naprężone, że każda chwila groziła katastrofą. On miał wielką ochotę po odegraniu po wyższej roli rzucić się na kolana i wyznać jej, że ją kocha nad wszystko w świecie i bez niej dłużej żyć nie może!... Ona chciała wszystkie te świetności i brylanty rzucić mu pod nogi i zawołać: patrz, oto wszystko dla ciebie robię, tylko kochaj mnie tak, jak ja ciebie kocham.

I była nawet chwila, która groziła wybuchem wstrzymywanych gwałtownych uczuć, ale ziarno, rzucone przez Machiawela, zapuściło już korzenie w młodych sercach. Dokonała reszty duma, która ani jednej, ani drugiej stronie nie pozwoliła uczynić pierwszego kroku. Lepsze instynkty upadły, a chęć maskowania swoich prawdziwych uczuć wzięła górę. Rozmawiali dalej coraz chłodniej, coraz zimniej, jakby się sami prześcignąć chcieli. W końcu doszło do tego, że Julia z cynizmem prawie mówiła o przygotowaniach swoich do ślubu, a on płacił jej pięknem za nadobne.

I stało się, że w chwili, w której jaknajwięcej od siebie, przybył pan Bonifacy i z pierwszych

słów usłyszanych poznał, że wszystkę dobrze stoi Uści skał i ucałował serdecznie Adolfa. '

Nie uwierzysz, jak cię kocham, drogi kuzynie wołał wśród uścisków aż mi tęskno było za tobą!... Może pójdziesz, Julio, przygotować nam za to poziomek! Reszta dnia zbiegła oficjalnie; był obiad i wieczór, jak zwykle. Oboje kochankowie patrzyli, ukradkiem na siebie, ale słowami docinali sobie, czemu także pan Bonifacy wtórował. Nazajutrz rano oświadczył Adolf, że termin jego urlopu już upływa i że musi do stolicy odjechać. Ucieszyło to pana Bonifacego.

— Kocham cię za to — rzekł z namaszczeniem — bo widzę, że dbasz o kawałek chleba, A dzisiaj trudno o kawałek, bo po ustąpieniu ekscelencyi wszyscy w kąć pójdziecie, a Niemcy będą górą! Każę ci zaraz za przęgnąć.

Julia do tego nic nie dodała. Widziała ona go

rączkę Adolfa i niecierpliwość. Widziała w tem ochotę zmazania wszystkich wspomnień dawniejszych i nie chciała temu wcale się sprzeciwić.

I tak rozstały się dwa serca... może na zawsze.

XIV.

Po odjeździe Adolfa zapanowała we dworze głu cha cisza. Julia siedziała w swoim pokoiku jakby na pokucie, a pan Bonifacy skakał po miedzach i brózdach, przemyślując nad tem, jakby to rzeczycofnąć do da wnego biegu. Było to trudno, bardzo trudno. W są

śledztwie zaczęto już coś o Adolfie i swatach eksce len cyi przebąkiwać, do czego sam pan Bonifacy dał powód. Pan Idzi niezawodnie wiedział także o wszystkim i tru dno było napowrót go sprowadzić. O Julii nie wąpił pan Bonifacy. Jej zachowanie się względem Adolfa było dla niego rękojmią, że będzie nadal... rozsądną. Chodziło tylko najprzód o tak zwany świat, a potem o pana Idziego.

Z jednym i drugim trudna była rada. Po kilku dniach, w których wiele przemyślał i przemedytował, wszedł pan Bonifacy poważnym krokiem do pokoju Julii. Julia siedziała jak zwykle nad krosienkami. By ła znacznie bledszą, a nawet schudła nieco. Oczy jej otoczyły się siną obrączką, a drobne paluszki wygląda ły jak z wosku, usta młode przyćmił wyraz boleści.

— Chciałem się zapytać ciebie, moje dziecko—za czął pan Bonifacy — co zrobić z temi brylantami, które pan Idzi, odjeżdżając, zostawił na stole.

— Zapomniał, chciałeś, ojczcie, powiedzieć—odrze kła Julia, nie przerywając roboty.

— Zapomniał, nie zapomniał; może zostawił umyśl nie, nie chcąc zrywać zupełnie.

— Trudno wiedzieć, co się dzieje w sercu ludz kiem...

— Bardzo słusznie... dlatego nie trzeba naprzód wyrokować. Sądzę, że...

— Trzeba może zaczekać jeszcze...

— Czeakać... byłoby dobrze, ale lepiej będzie uprze dzić bieg rzeczy. "W sąsiedztwie mówią to i owo, a jeżeli ludziom zostawi się dosyć czasu do mówienia, to wyro śnie góra. Pan Idzi, odjeżdżając, powiedział mi wyra

źnie, że zaczeka, a ja nie odbierałem mu nadziei Kto mógł przewidzieć, że ekscelencya...

— Dajmy temu pokój... wiec pan Idzi ma jeszcze nadzieję i chce tentować...

— Oczywiście!

Julia rozśmiała się przykrym śmiechem.

— Jeżeli tak, to trzeba... zakończyć.

Pan Bonifacy uściskał córkę.

— Podziwiam twój rozsądek, mój aniołku!—zawołał z radością —i widzę, żeś przyjęła zupełnie moją naturę. Rozum przedewszystkiem, a reszta się znajdzie.

Julia nic na to nie odpowiedziała, ale na jej bladej twarzy widać było zadowolenie.

— Przedewszystkiem — rzekła po chwili — trzeba skończyć, co się zaczęło. Gdy jakaś rzecz niejest skończoną, ludzie porabiają koniec, który niezawsze czyni nam zaszczyt!

— Ślicznie powiadasz, zakończyć trzeba i to prędko. Inaczej gotów świat powiedzieć, że pan Idzi porzucił cię; a gdy raz zaczną tak gadać, gotowi wygadać!

— Powiadasz, ojcze, że pan Idzi nie dał jeszcze za wygrane...

— Wcale nie, widziałem po jego minie, gdy odjeżdżał.

— Wierzył jeszcze w swoje zwycięstwo...

— Był prawie pewny!

Julia odgarnęła włosy z czoła.

— Jeżeli tak, to chciałabym, aby prędko przyjedzie, przyjedzie, moje dziecko, mam do bre przeczucie!

Pan Bonifacy pocałował Julię w czoło i wyszedł z pokoju.

Niedługo się namyślał. Siadł do biurka i napisał list krótki. Potem zawołał zaufanego arendarza, dał mu worki zbożowe i list, i polecił mu natychmiast odjechać.

Późnym wieczorem przywiózł arendarz napelnione worki i kartkę, z której pan Bonifacy wielce był zadowolony. Przy wieczery rozmawiał wesoło z córką, stroił rozmaite żarty, a wypiwszy szklankę herbaty z ru

mem, zanucił sobie wesołą kołomyjkę.

— Już dawno tatulko nie był w tak dobrym humorze — ozwała się Julia, patrząc na ojca kawie.

— Humor gospodarza, moje dziecko, zawisł od rzeczy gospodarskich. Właśnie nadeszła mi pszenica na nasienie od pana Idziego, tak piękna, jak wybierana. Serce rośnie, patrząc na nią. Spodziewam się po niej wybornego plonu!

— Czy przy tej sposobności pan Idzi co pisał?

— Tak... napomknął, że może wkrótce przyjedzie! %

Julii twarz okazała zadowolenie. Zdawało się, że po tych słowach podziela zupełnie humor swego ojca.

Nazajutrz był dzień pogodny. W całym dworze panowały jaknajlepsze humory. Pan Bonifacy pogwiżdzywał sobie od samego świtu, Julia nuciła wesołe aryjki, a nawet i służba krzątała się z pewnym uśmiechem, który zapowiadał, że coś dobrego stanie się dzisiaj. Pan na służącą proponowała Julii różową sukienkę, w której jej tak ładnie było. Julia nie przyjęła wprawdzie

tej propozycji, ale ubrała się staranniej niż zwykle. Pan Bonifacy kuka razę zapytał: co będzie na obiad i kazał dodać jarzynę z kotletami. Od godziny jedenastej zaczął być niespokojny i często wyglądał na drogę przed bramą. b*

O dwunastej dał się słyszeć turkot oddalony, a pan Bonifacy wyszedł czempędzej na ganek, aby gościa powitać.

Za chwilę był już gość w jego objęciach.

— Kochany pan Idzi! Jakże się cieszę, jakże jestem szczęśliwy! drogi, kochany sąsiad!

Pan Idzi wyglądał tak samo, jak na pierwszej w życiu. Na jego twarzy malowało się to samo zadowolenie. Nie było widać, aby ten człowiek przeżył jakiegokolwiek silniejszego wrażenie.

Pan Bonifacy wprowadził go do paradnego pokoju. Rozmawiano czas niejaki o rzeczach powszednich, poczem ozwał się pan Idzi:

— Pisałeś mi, szanowny sąsiedzie, że wino szampańskie uspokoiło się, że migrena ustała i że dalej rozsądnie rozmawiać można. Przyjechałem więc na to pismo...

Pan Bonifacy uściskał i ucałował konkurenta.

— Kocham cię, panie Idzi, jak własnego syna. Radbym z duszy, aby się tak stało, jak zrazu sobie uło

żyłem. Kobietom niema się co dziwić. Mają ruchliwą fantazyę, a każdy krok stanowczy zastrasza je. Nic dziwnego, że wtedy Julia dostała migreny... bo przecież przy ślubie najszcześniejsza panna zalewa się gorzkimi łzami! ...

— Czy panna Julia będzie dzisiaj już zupełnie zdrowa? Czy nie grozi jej jaka nowa migrena.

Pan Idzi miał przy tych słowach ironiczny uśmiech na twarzy, który jednak zbyt głęboko do duszy nie sięgał.

— Julia zdrowa dzisiaj jak ryba, ma nawet rumieniec na twarzy, czego dawniej u niej nie było!

— Bardzo cieszę się z tego!

— A ja jestem więcej niż szczęśliwy!

Nastąpiły znowu uściski i pocałunki.

— Czy mogę z Julią teraz mówić... bo przyznam się, że mam dzisiaj w domu wiele zatrudnienia.

— Gorączką... gorączką jesteś, kochany panie Idzi!

— Są potrawy, które na gorąco jeść koniecznie potrzeba.

— Rozumiem i pojmuję... natychmiast pójdę po Julię.

Pan Bonifacy drobnym kroczkiem wyszedł z pokoju, a pan Idzi skorzystał z tego, aby włosy swoje jak najponętniej ułożyć. Stał przed zwierciadłem, dobył grzebienia i zaczął nim wodzić po całej głowie. W końcu uznał, „że była dobrą,” i stanął przy fotelu w postawie szczęśliwego bohatera.

Piękną była ta chwila w jego życiu. Czuł ją, a na twarzy jego, obojętną zazwyczaj, wystąpił rumieniec szczęścia.

Otworzyły się drzwi, weszła Julia.

— Zostawiam was samych — ozwał się pan Bonifacy z widoczną radością — a ja pójdę tymczasem do kancelaryi przejrzeć pocztę, która właśnie nadeszła.

I wyszedł z pokoju, w którym miała się odbyć najwspanialsza scena życia ludzkiego...

W kancelaryi leżała na stole torba pocztowa z czarnej juchtowej skóry, z białym na piersiach napisem: „Chmielowice;” wyglądała dzisiaj jakoś niezwykle. Zrazu wydało się p. Bonifacemu, że widzi przed sobą czarną pośmiertną kartę, zwiastującą mu zgon najlepszego przyjaciela...

Wstrząsł się, przetarł oczy i splunął.

— Tfu—rzekł do siebie—coś źmi mi się w oczach!

Byłem pewny... trzeba sobie kupić wody różanej na oczy.

Pan Bonifacy, załatwiwszy tę sprawę optycznego złudzenia, założył w tył ręce i zaczął przechadzać się po pokoju. Myśli jego i marzenia były przy Julii i panu Idzim. Uśmiechał się do tych myśli jak bohater, wiążąc zdala kres swoich trudów. Do poczty nie ciągnęło go wcale. Cóż mogła dzisiaj mieć dla niego ciekawego ta czarna juchtowa torba z białym wyszyciem? Cóż mogły mu powiedzieć owe gazety i dzienniki, których prawie nigdy nie czytywał?...

Spokojnie leżała torba na stole, a pan Bonifacy chodził po pokoju, coraz dalej omijał ją, jako rzecz wcale nieciekawą!...

Przypomniał sobie jednak, że niedawno odbył się targ zbożowy w Wiedniu. Ciekawy był, jakie ceny po dawano za produkta rolnicze...

Wziął torbę do ręki i wyjął gazety...

Przeczytał rubrykę o targu, potem jak zwykle zaczął czytać inseraty...

Po inseratach przyszła kolej na kronikę, Zaraz po kronice uderzył go telegram, grubemi czcionkami wydrukowany.

Zaczął go czytać...

— Co to jest? — krzyknął przeraźliwie i znowu czytał dalej.

W telegramie było coś niezwykłego, bo oczy pana Bonifacego wylazły na wierzch jak u raka. Twarz jego poczerwieniała, a siwe włosy zjeżyły się do góry.

— Gwałtu! co to jest! — krzyknął po raz drugi i znowu zaczął czytać od początku.

W telegramie mieściła się ważna nowina, że ministeryum podało się do dymisyi, a ekscelecyja hrabia... powołany do Wiednia do złożenia nowego ministerstwa!...

Drugi telegram donosił, że ekscelencya hrabia jest prezydentem nowego gabinetu...

W dalszych telegramach było, że prezydent nowego gabinetu powołał do swego biura kilku młodych urzędników krajowych, a między nimi pana Adolfa...

— Niechże was jasny piorun trzaśnie!—krzyknął pan Bonifacy i tak silnie pięścią w stół uderzył, że ten że pękł na dwoje.—Niech kaci biorą te rządy parlamentarne!... Człowiek nigdy nie wie, czego się trzymać, komu czapkować, a kogo łokciem trącić!... Myślałem, że robię wszystko z rozumem, a tymczasem sam siebie wystrychnąłem na głupca!...

Mówiąc to, biegał pan Bonifacy jak oparzony po pokoju, machając gazetą na wszystkie strony.

— Kryste Boże! co to będzie!... Ekscelencya pierwszą figurą nie w kraju, ale w całym państwie! Pierwszy po cesarzu!... Adolf zostanie sekretarzem ministeryalnym... potem starostą i delegatem... a z delegata chyba przeniesie się... pod Kawki! Kryste Boże! a ja trzymałem tego ptaka za ogon i puściłem!... Kryste Panie! Prezydent ministrów byłby w moim dwor

Zatrzymał się nagle i pomyślał chwilę

— Przecież jeszcze klamka nie zapadła... Jeszcze czas... ale ze mnie głupiec porządny! Biję się tutaj z myślami, podczas gdy on tam targu dobija!... Może już w samej rzeczy Julia po słowie!... Trzeba pośpieszyć, czy się nie da co uratować!...

Rzekłszy to, wypadł z kancelaryi. W sieni spotkał pana Idziego, który gwałtownie drzwi za sobą do salonu zamknął. Strach ogarnął pana Bonifacego.

— Kochany panie Idzi — zabełkotał z widoczną trwogą—drogi sąsiedzie, nie uwierzysz...

— Ale wierzę, wierzę najzupełniej, żeście mnie oboje na dudka wystrychnąć chcieli!—krzyknął pan Idzi i stanął w postawie, jakby się gotował do walki na pięście.

Pan Bonifacy stanął jak wryty, bo nie mógł tych słów zrozumieć.

— Co to znaczy?—zapytał z pewną przezornością.

— To znaczy, że Julia dała mi formalnego kosza!

— Julia dała panu kosza!—powtórzył pan Bonifacy z dziwnym wyrazem na twarzy.

Twarz pana Bonifacego miała teraz rzeczywiście dziwny wyraz. Była to mieszanina trwogi, nadziei, strachu i radości.

— Najformalniej w świecie dostałem odpraw? mówił pan Idzi, drżący z gniewu, zbliżając rękę do koł

nierza gospodarza. Julia powiedziała, że to jest już koniec całej sprawy, jeżeli tego końca domagała się opinia publiczna! Tak mnie wystrychnęliście oboje. Pan Bonifacy nie zrozumiał groźnego giestu zawie

dzionego konkurenta i naoślep rzucił się w jego objęcia. Przemogła radość z takiego rozwiązania.

— Drogi, najdroższy panie Idzi! Jakże cię Kocham, jak cię szanuję! Szczerze powiadam, że nie znam zaniejszego człowieka nad ciebie... coż ja temu winien, że te rządy parlamentarne takie figle nam płąają! Dziś starosta, jutro kapucyn, a pojutrze senator! Czy wiesz, że ekscelencya hrabia...

Nie rozumiał dobrze tych słów pan Idzi, ale pierwszy impet jego już był złamany. Spuścił rękę, która już była blisko kołnierza, a gorące uściski pana Bonifacygo dokonały resztę. Wziął je za współczucie.

— Gdzie są moje brylanty?—zapytał już spokojniej.

— Zaraz, zaraz—pochwycił szybko pan Bonifacy i pośpieszył do biurka.

Pan Idzi otworzył kasetkę i badawczym okiem przeszedł wszystkie kamienie. Oprawa nigdzie nie była nadwerężoną. Wszystkie brylanty błyszcząły jednak. Zamknął kasetkę i schował do kieszeni.

Pan Bonifacy chciał jeszcze raz uściskać i ucałować swego gościa, ale pan Idzi odsunął jego rękę i skończył na wózek. Pan Bonifacy pobiegł do córki.

— Julio, Julio! — krzyczał od progu — czy to prawda?

— Prawda...—odpowiedziała Julia, która jak posąg nieruchoma siedziała jeszcze na fotelu.

— Dałaś panu Idziemu odkosza?

— Najformalniej, aby już raz był koniec!

Pan Bonifacy uściskał córkę.

— Drogie dziecko moje! — miałaś wielki rozum,

czy raczej przecucie, bo tego jeszcze wiedzieć nie mo-
Julia była przygotowana na gniew ojca. Nie mo-
gła sobie teraz wytłumaczyć, co ta radość jego i te
uściski oznaczają? Patrzyła na niego z niedowierza-
niem.

— Zrobiłam to — rzekła spokojnie — co mi serce
zrobić nakazywało.

— A jakże serce twoje mogło wiedzieć, że eksce-
lencya został prezydentem ministrów, że Adolf powoła-
ny na sekretarza ministeryalnego...

Julia patrzyła osłupiałym wzrokiem na ojca, bo
słów jego nie rozumiała.

— Czytaj, czytaj, moje dziecko! — zawołał ojciec,
rzucając na stół gazetę.—Bóg czuwał nad tobą!
Julia wzięła gazetę i zaczęła czytać. Twarz jej
zrazu ożywiła się ciemnym rumieńcem, ale wnet zbladła
i była tak blada, jak twarz marmurowa. Złożyła gaze-
tę na stół i zamilkła.

— A co, moje dziecko? — zapytał z radością pan
Bonifacy.

— To—odpowiedziała zimno Julia—że ja za męż-
nigdy nie pójdę!

— Oszalała z radości! Julio, co ty mówisz?

— Powiedziałam to, czego nigdy nie odwołam.

— Toś Adolfa nigdy nie kochała?

Lekki rumieniec zabarwił twarz Julii.

— Wyznam ci, ojcze, że tylko jego jednego kocha-
łam, ale ty, ojcze, udaremniłeś wszystkie moje marzenia.

— Ale ja to wszystko naprawię!

— Ale ja nie naprawię. Odepchnęliśmy go wte-
dy, gdy był niczem, a teraz mamy go znowu chwytać...

Cóż on sobie o nas pomyśli? Z jakim czołem stanę
przed nim, mówiąc, że go kocham teraz kiedy tak świe-
tna karyera jemu się uśmiecha?... . Zresztą on sam, jak
powiedziałeś, ojcze, nie myśli teraz o mnie!

— Ależ nietylko myśli, ale szaleje za tobą!

— Przecież, gdy tu był u nas...

— Sam, moje dziecię, sam namówiłem go do ta-
kiej roli! Powiedziałem mu, że chcesz sama iść za
Idziego!

Oczy Julii błysnęły ogniem.

— Czemuż to uczyniłeś, ojcze?—zawołała, łamiąc
ręce—teraz wszystko stracone! On nie uwierzy, że da-
łam kosza drugiemu, nim się dowiedziałam o nowej je-
go karierze!...

— Uwierzy, uwierzy, droga Julisiu, jak cię ko-

cham, że uwierzy, jeżeli mu napiszę i jak stary grzesznik z wszystkiego się przed nim wyświadam. Dla twego szczęścia wszystko zrobię!

Julia nie słyszała tych słów ostatnich, bo gwałtownie płakać zaczęła. P. Bonifacy nie tamował jej łez, ale pobiegł czemprędzej do biurka, wziął największy arkusz papieru i zaczął pisać. Pisał do wieczora, pisał i w nocy, a nazajutrz rano wysłał na pocztę dwa listy: jeden gruby jak pół libry papieru, a drugi kwadratowy w welinowej kopercie, zaadresowany do jego ekscelencji prezydenta ministrów.

Kilka dni upłynęło w ponurem milczeniu. Pan Bonifacy chodził jak dyplomata, który ostatnią kartę wygrał i skutku swej gry oczekiwał, a Julia płakała i uśmiechała się, bladła i rumieniła się, podobnie do

chmurek wiosennych, gdy je słońce majowe rozmaicie oświeci.

Wreszcie szóstego dnia już nad samym wieczorem zajechał wózek przed ganek, a za kilka chwil wpadł młody człowiek do pokoju; w rękę trzymał duży kwadratowy list.

— Adolf! Adolf!—krzyknął pan Bonifacy, aż szłyby brzękły.

— Adolf!—szepnęły z cicha blade usta Julii.

— List od ekscelencji!—woła w szale radości pan Bonifacy, ściskając i całując upragnionego gościa.

XV.

Wielkie było larum w trzech pogranicznych powiatach. Od dworu do dworu roznoszono rzeczy nie słychane. Ekscelencya miał osobiście zjechać na wesele i pod strzechą szlachecką wychylić za zdrowie młodej pary kieliszek wina. Autentyczną treść jego listu podawano sobie z ust do ust i wszyscy zazdrościli szczęścia i takiego zaszczytu panu Bonifacemu.

Opowiadano, że pan Bonifacy w tym celu szlachecki swój dworek chciał gwałtem na pałac zamienić. Spędził robotników ze wszystkich stron świata; jedni ciosali belki, drudzy heblowali, inni malowali i lepili. W kilku tygodniach miały stanąć: nowa facyatka, dwie narożne wieżyczki z drzewa i ganek oszklony, wnątrz miała nastąpić zmiana wszystkich sprzętów

i mebli, a był nawet plan przesadzenia starych lip z jednej strony na drugą. Wydział kuchenny przygotował tłuste kaczki i indyki, a leśni otrzymali rozkaz, aby wszelką zwierzynę wybić co do nogi. Jeszcze dalej sięgała pycha szczęśliwego pana Bonifacego. Mówiono, że rozpisze listy do wszystkich żyjących reprezentantów rodów historycznych i zaprosi ich na wesele, które tym sposobem ma się stać wielkim aktem manifestacji narodowej dla znakomitego i zasłużonego ziomka ekscelencji!...

Niewszystko było prawdą, co mówiono, ale prawdą było, że wkrótce miało się odbyć wesele i ślub Adolfa z Julią. Nieporozumienia między młodą parą wyjaśnił sam pan Bonifacy, przyznawszy się ze skruchą do swojej niefortunnej akcji dyplomatycznej. Wyznał wszystko przed Adolfem i Julią i, jak się spodziewać można było, nie ściągnął gniewu na siebie. Szczęśliwi nie umieją się gniewać, a ponieważ pan Bonifacy także i siebie zaliczał do szczęśliwych, dał więc i sobie pełne absolutorium. Wmówił nawet powoli w Adolfa i Julię, że swoją dyplomacją przyczynił się do ich szczęścia, które zazwyczaj prostymi drogami chodzić nie lubi. Kochankowie uwierzyli w to i ściskali biegłego dyplomata jaknajserdeczniej. I tak wszystko dążyło śpiesznie do radosnej katastrofy.

W szóstym tygodniu spadły ostatnie rusztowania, ostatni zabito gwóźdź i ostatni słup pomalowano na biało i czerwono. Wcale pokaźnie przedstawiał się teraz dwór chmielowiecki. Nadsztukowano go gdzie nie było symetrii, a brakujące na froncie okna zastąpiono malowanymi w sposób jaknajwięcej łudzący. Ścieżki w ogrodzie i trawniki oczyszczono z kretowisk, suche

drzewa wycięto, a na ich miejsce posadzano zielone sosny, świeżo w lesie wycięte. Na wypadek pogodnej nocy przygotowano rzęsiste oświetlenie ogrodu, czem miał się zająć dymisyonowany artylerzysta wiejski. Sprowadzono także z cerkwi i kościoła kilka moździerzy, z których miano bić przy wjeździe ekscelencji przez bramę tryumfalną i przy toastach weselnych. Nauczyciel wiejski miał z całą szkołą swoją przy tejże bramie

odśpiewać kantaty w obu krajowych językach dla zgody powszechnej. Później miały dzieci wykonać serenadę podczas wieczerzy weselnej, przy której miał wiejski artysta zapalić fajerwerk z cyframi ekscelecyi.

Taki był program zewnętrznej uroczystości. Nie mniej świetnie miało się także przedstawić wewnątrz dworu. Wszystkie odnowione komnaty miały gorzeć światłem jarzącym. Apartamenta dla ekscelecyi były wybite dywanami.

Gdy już to wszystko gotowe było, spoczął pan Bonifacy, jak przystało strudzonemu pracownikowi. Zaśiadł na fotelu i zamarzył: .

— Jestem bardzo szczęśliwy i na drodze do większego jeszcze szczęścia... Mój kolega i przyjaciel z wysockości swojej zjeździe do mojej chatki (wyrażenie poetyczne) i zje ze mną łyżkę rosołu i wypije kieliszek wi na... Zięć mój stanie się jego prawą ręką i po nim może nawet jego godność objąć. Spodziewam się, że i o mnie także ekscelecyja nie zapomni. Mogę być wezwany nie do głupiej wołowej ankiety, ale do narady ministeryalnej. Przecież cesarz zechce kiedyś głos kraju usłyszeć, a któż ma większe prawo do tego głosu, jeżeli nie ci, którzy w pocie czoła sięją i orzą... Być nawet może, że mi porucza jakąś inisję zagraniczną, bo prze

cież święci garnków nie lepią! Gdy do moich dzieci pojadę, będę na obiadach i recepcjach u ekscelecyi, a tam, ocierając się o same znakomitości, stanie się człowiek także znakomitym. W takim razie będą mnie wszyscy widzieli przy wyborach publicznych, i ode mnie zależęć będzie, czy zechcę pójść do sejmu, czy do rady państwa... Nie byłoby nawet dziwnem, gdybym został parem monarchii, bo monarchia potrzebuje ludzi doświadczonych, ze sprytem dyplomatycznym. A że taki spryt posiadam, dowodem jest dzisiejsze wesele Julii z Adolfelem i swadźba ekscelecyi... Inny nie umiałby rzeczy tak pokierować...

Tak myślał sobie p. Bonifacy, przechodząc zwolna do drzemki. Jakoż wkrótce zacna głowa jego pochylila się na piersi, a do kapeli złotych muszek, pracowitych pszczół i próżniaczych szerszeni dołączyło się poważne barytonowe chrapanie szczęśliwego człowieka, a przyszedł mąż publiczny. Gdyby pan Bonifacy żył w czasach elekcyi królów, byłby niezawodnie śnił teraz o szopie elekcyjnej pod Wolą i o koronie Piastowskiej.

Nadszedł wreszcie dzień pożądaný. Cały dwór przybrał szatę świąteczną. Służba była w nowej li

beryi, kucharze i kuchciki w bielutkich kaftanach. Od rana było słycać wszędzie krzyk, hałas i siekanie, a całą atmosferę napełniły jakieś aromata kwiatów egzotycznych i wyziewy tłuszczów i korzeni, wychodzące z otwartych okien kuchni.

Już od rana zaczęto stoły nakrywać. Pan Bonifacy sam był przytomnym i dawał skazówki, gdzie który gość ma siedzieć. Był wielki spór o to, gdzie posadzić ekscelencyę. Na zwykłym bowiem weselu pierwsze

miejsce należy się młodej parze. W tym razie chciano dla ekscelencyi uczynić wyjątek, ale wiele głosów przeciwnych ozwało się przeciw temu. Dyplomatyczny talent p. Bonifacego i tu poradził. Ustawiono stoły w ten sposób, że nie można było wiedzieć, która strona była honorową. W środku jednej strony miał zająć miejsce ekscelencya, a naprzeciw niego młoda para.

Ekscelencya miał dla siebie osobne krzesło. Był to olbrzymi fotel, wybity skórą złoconą. Pan Bonifacy umyślnie sprowadził go z Wiednia na tę uroczystość. Przed południem było już wszystko gotowe, na stole stał już długi szereg talerzy, kieliszków i butelek. Przy złoconym fotelu stały kieliszki, misternie rznęte. Pan Bonifacy jeszcze raz przejrzał wszystkie nakrycia i już miał po tym trudzie wypocząć, gdy nagle pojawił się posłaniec z telegramem od ekscelencyi.

Pan Bonifacy z gorączką rozdarł telegram.

„Sprawy kraju i państwa nie pozwalają mi oddalić się z mego stanowiska, proszę w moim imieniu wznieść toast za zdrowie młodej pary.”

Pan Bonifacy zbladł cały, gdy ten telegram przeczytał. Wiele, bardzo wiele uroku straciła dzisiejsza uroczystość. Podzielił się tą pocztą Hiobową z Julią i Adolfem, a ci starali się go pocieszać jak mogli.

Wiele cierpiał pan Bonifacy, ale w końcu udało się dzieciom wytłumaczyć mu, że właściwie sama uroczystość nic nie straci. Ekscelencya bowiem przyrzekł w telegramie, że będzie duchem obecnym!...

Tę myśl pochwycił pan Bonifacy, a ratując się od rozpacz, zawołał pierwszego lokaja i rozporządził co następuje:

Fotel złocony będzie stał na swoim miejscu przez

całą wieczrę próżny. Wszystka służba ma koło niego przechodzić z uszanowaniem, jakby tam siedział ekscelecyja. Przed tym fotelem będzie położony telegram. Talerze mają być zmieniane w ciągu wieczery tak, jakby ekscelecyja jadł z wszystkimi pospołu. Również mają być i kieliszki nalewane najlepszymi gatunkami wina. Przy obnoszeniu półmisek nie trzeba tego fotelu omijać, tylko przy nim tak się zatrzymać, jakby ekscelecyja brał z półmiska!

Gdy pan Bonifacy taki rozkaz wydał, lżej zrobiło mu się na sercu i prawie z dawną wesołością pośpieszył na przyjęcie gości, którzy już się zjeżdżać zaczęli.

XVI.

I wszystko zaczęło się odbywać według przepisanego porządku. Goście zostali uwiadomieni o smutnym zdarzeniu, że wysokie obowiązki kraju i państwa nie dozwoliły ekscelecyji wziąć udziału w dzisiejszej uroczystości. Telegram podawano sobie z rąk do rąk, a znakomici goście okazali tyle wyrozumiałości, że nawet za służbę poczytali to ekscelecyji, iż obowiązki dla kraju położył na pierwszym miejscu. Z tego powodu wzniesiono mu jednogłośnie: „Niech żyje!” a wiejski artylerzysta i nauczyciel dostali rozkaz bić z moździerzy i śpiewać kantaty, tak, jakby ekscelecyja osobiście do weselnego grona należał.

Po tej owacy dla zasłużonego męża udano się do

kościółka, gdzie według programu odbyła się uroczysta przysięga młodej pary.

Po ślubie tym samym porządkiem wrócili wszyscy do dworu, a wkrótce nastąpiła biesiada weselna.

Gdy wszystkie miejsca zajęto, powstał pan Bonifacy i wytłumaczył biesiadnikom znaczenie próżnego fotelu i telegramu leżącego na talerzu. Powiedział, że ekscelecyja przyrzekł przez całą biesiadę być obecnym z nimi, i dlatego upraszał gości, aby tak jedli i pili, jak by ekscelecyja razem z nimi jadł i pił.

Wszyscy przyjęli z radością te słowa zacnego gospodarza i z pewnym uszanowaniem patrzyli na złoty fotel, na którym miał w duchu siedzieć mąż zasłużony... Uczta szła swoim porządkiem. Służba według

rozkazu zmieniała talerze przed złożonym fotelem i za trzymywała się z półmiskami. W kieliszki nalewano stosowne wino.

Działo to tak dziwnie na wyobraźnię biesiadników, że prawie wszyscy widzieli na fotelu znakomitego gościa, dla którego czuli wielką cześć i szacunek. Pan Bonifacy widział to i wielce był z tego zadowolony. Podczas wieczery nadeszło kilka telegramów od znajomych, którzy nie mogli przyjechać na tę uroczystość. Telegramy te odczytywano głośno. Najczęściej czytał je sam gospodarz, akcentując należycie wyrażenia ważniejsze.

Ostatni telegram nadszedł z Wiednia. Miał on woń ministeryalną, i dlatego wziął go sam pan Bonifacy do ręki z widocznym uszanowaniem.

Odchylił kopertę i zaczął czytać.

„Ministryum, z powodu rozporządzenia o „wybo

rach, upadło. Ekscelencya odjeżdża jutro do swego majątku.

Telegram był podpisany przez szefa biura, w którym pracował Adolf.

Głośno czytany telegram sprawił niesłychane wrażenie. Najwięcej tą niespodziewaną nowiną był do tknięty sam pan Bonifacy. Stał nieruchomy jak drogoskaz, a w twarzy jego nie było ani kropli krwi. Błądził oczyma z telegramu na Julię i z Julii na telegram., który jeszcze ciągle trzymał przed sobą.

Wreszcie oprzytomniał i poczerwieniał cały jak burak.

— Niech kaci biorą wszystkie rządy parlamentarne!—krzyknął głosem ochrypłym z wielkiego wzruszenia—niech jasny piorun trzaśnie!...

I dla nadania wagi słowom swoim tak silnie w stół " pięścią uderzył, że wszystkim zdawało się, jakoby rzeczywiście jasny piorun z nieba się stó, czył!...

— Niech dyabli biorą taki porządek rzeczy! — krzyczał dalej pan Bonifacy—gdzie nigdy wiedzieć nie można, komu świeczkę zaświecić, a kogo nogą kopnąć! Wszystko stracone... wszystko dyabli wzięli!... Nasz zięmek zrównał się znowu z nami i tak samo jak my będzie sadił kukurudzę! Już lepsze rządy absolutne, w których czem się człowiek raz urodzi, tem do prawnuka pozostanie!...

Biesiadnicy nie zrozumieli tych słów gospodarza i wzięli je za słuszną indygnację publicznego męża. A gdy właśnie wzniesiono toast na cześć zasłużonego, chociaż w końcu pod brzemieniem czasu upadającego

bohatera, i gdy w tym celu służba kieliszki szampanem nalewała, pociągnął pan Bonifacy za poję lokaja, który

wedle rozkazu z butelką do złożonego fotelu się zbliżył i rzekł mu półgłosem: * lzyt

Nie nalewaj szampana... wszak widzisz, że tam nikt nie siedzi... nalej co innego!

Chwila była zbyt poważną, aby kto z biesiadników na te słowa gospodarza zważał. Zgromadzenie weselne zamieniło się już w tej chwili w jakiś klub polityczny, w którym tylko o sprawach kraju i państwa mówić za często. Szukano skwapliwie powodów do ustąpienia za cnego ziomka z tak wysokiego stanowiska i robiono na przyszłość najrozmaitsze konjunktury. Podzielono się na kółka i kółeczka i rozprawiano żywo, a nawet z na miętnością.

W rozprawach tych nie brał pan Bonifacy żadnego udziału. Wyglądał jak człowiek, który przegrał wielką stawkę. Zawiodł go jego talent dyplomatyczny—nie miał dobrego nosa. Przed chwilą jeszcze był przekonany, że wydał córkę świetnie i że ta świetność tak że jego osobę podniesie. Tymczasem zięć jego stał się nagle małym urzędnikiem, i kto wie, czy nie trzeba będzie jeszcze wziąć go na chleb żony!...

— Niech kaci biorą ten głupi parlamentaryzm!— mruzczał ciągle pod nosem—człowieka na dudka wystrychnął!

Przy takim usposobieniu gospodarza wiele butelek starego wina zostało w piwnicy, nie mówiąc już o cukrowej kolacyi, o której z kretesem zapomniano. Goście zaczęli się wcześniej rozjeżdżać wano, a wiejski artylerzysta nie miał nawet czasu, na wet rozkazu do spalenia okazałego ognia sztucznego z cyfrą ekscelencyi...

Stosunkowo wrażenia sprawił ów fatalny

telegram na młodej parze. Na czoło Adolfa wystąpiła wprawdzie mała chmurka, ale chwila obecna miała dla niego tyle uroku i takim szalem napoiła jego serce, że z tej chmurki nic groźnego nie spadło. Julia nawet telegramu nie słyszała. Siedzieli oboje zatopieni w sobie i zdawało się im, że na świecie niema więcej nikogo, jak tylko Julia i Adolf, owa ongi para kochanków nad brzegami Dniestru!

Na tem właściwie powinna się skończyć nasza no wela. Prawom ludzkim i moralnym uczyniono zadość: pan Bonifacy przegrał sprawę, a serca kochające połączyły się z sobą ślubną przysięgą. Złe odniosło karę, a nagrodę to, co na nią sobie zasłużyło.

Ponieważ jednak Pan Bóg za mniejsze wykroczenia nie karze wiecznie, ale kontentuje się pokutą, to też i pan Bonifacy nie mógł do grobu tak cierpieć, jak cierpiał od samego wesela.

Cierpienia jego były rzeczywiście niemałe. Za wiodła go pycha we wszelkich jego obliczeniach. Adolf wrócił do kraju jako mały urzędnik. Nie chciał pójść za radą pana Bonifacego, który życzył sobie, aby porzucił urząd i w majątku żony osiadł. Upór ten zięcia jeszcze więcej gniewał pana Bonifacego.

Biedny pan Bonifacy postarzał się, pochylił głowę i zaniedbał się w ubiorze jak prawdziwy pokutnik. Są siedzi z ukosa patrzyli na niego i śmiali się w kułak z jego marzeń niedoszłych.

Nadeszła jednak dla pokutnika godzina zbawienia.

Gazety i telegramy rozniosły pokraja radosną nowinę, że ekscelencya wraca znowu od pług i roli do najwyższej w kraju posady swojej. Powołał go do tego sam cesarz i obdarzył zaufaniem bezwzględne.

Ekscelencya odezwał się do kraju, że odtąd tylko w kraju i dla kraju pracować będzie. Telegramy rozniosły te słowa po całym kraju i w całym kraju powstała ztąd radość niesłychana. Po wszystkich kościołach odprawiano nabożeństwa dziękczynne i na cześć nowego dygnitarza bito z moździerzy, palono świece i pochodnie.

Gdy się pan Bonifacy o tem dowiedział, odżył na nowo i wyprostował się, jakby mu z karku spadło lat dwadzieścia. Urządził wielkie nabożeństwo w swojej parafii, kazał strzelać z moździerzy i z pistoletów, a na śladując stolicę kraju, wyprawił wieczorem wielki koro wód z pochodniami.

"Wprawdzie nie było we dworze żywego ekscelencyi, aby ten pochód ognisty widział, ale pan Bonifacy

zarządził temu brakowi. Kazał wytoczyć na ganek owo krzesło złoczone, a na niem umieścił portret ekscelencyi. Wieśniacy i dworscy, przechodząc z pochodniami koło tego portretu, wołali: „Niech żyje!”

Wysłał nawet telegram o tej uroczystości do wszystkich dzienników krajowych, nawet i do ekscelencyi, a o rządach parlamentarnych zaczął mieć znowu lepsze wyobrażenie.

Ekscelencyja odpowiedział mu po przyjacielsku, a nawet przyrzekł, że kiedyś, jeżeli obowiązki jego pozwolą, przyjedzie usiąść na owym fotelu.

Adolf, ku wielkiej radości swego teścia, wrócił do przybocznej kancelaryi ekscelencyi.

O dalszych jego losach i awansach trudno pisać bez nadwreżenia dyskrecyi.

Do pana Bonifacego wrócimy jeszcze, gdy zostanie... mężem publicznym. Obecna konstelacya i nowe stosunki może dopomogą mu do urzeczywistnienia ukrytych marzeń jego, a najbardziej też silna wiara w zdolności swoje dyplomatyczne, jakie okazał przy wydaniu za mąż córki.

Do widzenia się więc z nim... w sprawach publicznych.

Tymczasem na tem koniec.

Radymno, września

KOZICA
POWIASTKA.

I

Wysoki płot rozdziela ich oboje. Ona czerpie wodę ze źródelka naczyniem z czarnej gliny, a on prze suwa drobne muszelki na czarnym kapeluszu.

— I coż, Baśka?—ozwrie się młody góral.

— I coż, Wojtek?—odpowie młoda góralka, prostując się i jedną ręką zasłaniając czarne oczy przed jasnym słońcem, które od strony młodego górala oświecało jej twarz rumianą.

Pięknie wyglądała teraz Basia. Wzrostu była smukłego, jak limba tatrzańska, twarzy okrągłej, podobnej do tatrzańskiej poziomki, a na tej twarzy lśniła się para czarnych oczu, czarniejszych od warkocza, który w grubych splotach leżał na jej lewym ramieniu. Czerwony fartuszek, związany pod szyją zwyczajem góralek, dodawał całej jej postaci pewnego dzikiego uroku. W zgodzie z tym urokiem było całe tło natury. Kilkanaście karłowatych drzew zieleniło się za nią, a poza nimi w kilku pasmach piętrzyły się góry, coraz dziwniej poszarpane w dzikie zygzaki.

Wyżej, między ziemią a niebem, były jeszcze jakieś niewyraźne, połamane linie, błyszczące to ogniem bry

lantów, to światłem opalów lub szafirów. Obraz z drugiej strony płotu niemniej odpowiadał pierwszemu. Na pierwszym miejscu stał młody góral w opiętej odzieży, trzymając na jednym ramieniu niedbale zarzuconą czuchę, a w rękę kapelusz, który właśnie zdjął z głowy, nie wiedząc czy dla powitania olbrzymich gór rodzinnych, czy też uchylwszy go przed majestatem czarnych oczu Basi. Za nim zagłębiała się mała dolinka, którą ze skały na skałę rzucał się spieniony potok, rywalizując grą światła z malowidłem gór podniebnych. Brylantową pianę rozrzucał po zielonych trawach, jak bo gacz jałmużnę łaknącym zebrakom. Poza potokiem skakała wesoła trzoda, niepokojona przez białego psa, który dla urozmaicenia natury postanowił wykonywać jakieś fantastyczne harce.

— Jakże—powtórzył młody góral—czyż mi, Baśko, nie dasz żadnej odpowiedzi?

Basia odsłoniła rząd białych ząbków.

— A jakiej ze odpowiedzi zachciewa się tobie, mój

ty Wojtku?—zapytała, wylewając wodę z dzbanka.
— Jakiej odpowiedzi—mrucał góral, kręcąc ka-
pelusz na wszystkie strony .— takiej odpowiedzi, z któ-
rejby kontent był Pan Bóg, ja, ludzie i ty, moja Basiu.
Basia parsknęła ze śmiechu.
— A czyś ty słyszał, Wojtku, o takiej odpowie-
dzi, z którejby ci wszyscy kontenci byli?
Góral poskrobał się w głowę, Basia prawiała dalej:
— Bo i gdzieżby się taki człowiek znalazł, który
by tak mądrze umiał odpowiadać, żeby i Panu Bogu
to się podobało, i starym, i ludziom, i jeszcze komuś.
Góral westchnął.

— jeżeli tak, to powiedz mi, Basiu, co, coby mnie
ucieszyło.
— Jako? a Pan Bóg gdzie? a rodzice gdzie? a lu-
dzie, a świat cały?
Góral wykręcił kapelusz w powietrzu.
— Jeżeli trudna rada z wszystkimi, to ja już Bo-
ga uproszę, tylko odpowiedz mi, Basiu.
Basia schyliła się po raz drugi ze dzbankiem po
wodę. ;
— Ot, dałbyś mi pokój, Wojtku; jutro na muzyce
będzie Różia i Marysia, możesz ich o to pytać, czego
ode mnie chcesz się dowiedzieć.
— Nie mów tak, Basiu, bo mi smutno jest. Mó-
wiłem ciy że żadnej się nigdy nie pytałem i pytać nie bę-
dę. Bo jeżeli ty mi sama nic nie odpowiesz, to pójdę
z tą, pójdę w świat za oczy, pójdę tam, gdzie chmur
niema, tylko wichry szumią, orzeł w powietrzu wisi
i kozice legowisko swoje mają!
Basia wyprostowała się, uśmiech wesoły przebiegł
po jej śniadorumianej twarzy, w czarnych oczach zami-
gotała jakaś myśl szczególna.
— Mówisz, że pójdziesz tam, gdzie kozice nocleg
mają?... toż posłuchaj, co ci powiem. Chcesz, abym ci
odpowiedziała, że będę twoją. Dobrze, odpowiem ci na
to, ale wtedy, gdy mi ztamtąd, gdzie pójdziesz, przynie-
siesz jedną żywą kozicę.
Rozpromieniła się piękna twarz górala.
— Jako? powiadasz, Basiu, że będziesz moją,
gdy żywcem złapię kozicę? Czy dajesz mi na to rękę?
czy przysięgniesz tu przed Bogiem, że słowa dotrzy-
masz?
Rozśmiała się góralka owym dźwięcznym, metalo-

wym głosem, jakim zazwyczaj odpowiadają kobiety, gdy słowami jeszcze odpowiedzieć nie chcą.

W tej chwili na ścieżce poza płotem pojawiła się czarna postać ostrożnie postępującego mężczyzny. Szedł zwolna, zaglądając od czasu do czasu przez szparę płotu na obszerne obejście, w głębi którego widać było nową chałupę ze lśniącobiałymi wapiennymi pasami.

Basia spostrzegła go. Żywszy rumieniec okrasił jej twarz. Spojrzała na górala ze śmiechem wesołym.

— Jeżeli już tak chcesz, Wojtku, to ci przyrzeknę, że będę twoją, ale pierwszej pójdziesz tam, gdzie chmur niema na niebie, gdzie orły i wichry mieszkają, i przyniesiesz mi ztamtąd kozicę, któraby nie była ani postrzeloną, ani z nogą złamaną. Czy słyszysz?

I obejrzała się za ową czarną figurą z poza płotu.

Góral nie widział tej figury, oko jego zabłysło ogniem, ogorzała ręka wysunęła się szybko z pod chuhy.

— Daj mi rękę na to, Basiu — zawołał w radości — a jeszcze dzisiaj pójde tam!

I wskazał ręką na oddalony zygzak na niebie, który właśnie w tej chwili z barwy turkusu przechodził w słabo świecący opał. Chciał jeszcze więcej coś mówić do Basi, ale Basia, zajęta ową czarną figurą, która teraz na obejście nowej chałupy wchodziła, obróciła się szybko w przeciwną stronę, aby uwagę górala od tego obejścia odwrócić.

— Oto masz rękę moją — zawołała z uśmiechem figlarnym, podczas gdy w czarnych jej oczach zamigotała jakaś myśl poważniejsza.

Wojtek nie umiał ani czytać, ani pisać, nie odczytał więc tej myśli w czarnych oczach Basi, ale widział uśmiech, a w tym uśmiechu tyle szczęścia, że już o nic

więcej nie pytał. Ścisnął z całą siłą rękę Basi, a gdy po chwili spojrzął przed siebie, ujrzał tylko płot i krynicę, ujrzał ślady wydeptane na trawie bosą nóżką, ale Basi już nie było.

Wyprostował się, przeżegnał i szybkim krokiem

puścił się w stronę, gdzie na jasnym błękitcie nieba
błyszczał właśnie ów zygzak opałowy. A nad tym zy-
gzakiem zakreślił właśnie szerokie koło orzeł tatrzański,
przyszły towarzyszyć jego doli i niedoli.

II.

Tymczasem w nowej chałupie siedział już czarny
gość za stołem, na którym stała wysoka faszka jakie
goś szląckiego likieru. Czarny gość była to zwykła
z ludu wyłaniająca się figura, która ubiorem już od lu-
du odeszła, a do wyższych warstw społeczeństwa jeszcze
nie zdążyła. Rodzinną czuhę lub siermięgę zamienił
syn ludu na długi, czarny surdut, kupiony gdzieś na
tandecie, z którym w niezupełnej zgodzie były jego czer-
wone, kościste ręce. Twarz rumiana, z rzadkim zaro-
stem, była zabarwiona pewnym zdrowiem ludzi mieszka-
jących na dolinach, czego u głodnego prawie zawsze
górala trudno szukać. Po drugiej stronie stołu siedział
stary góral, w nieśmiertelnym swoim serdaku. Błady
jak chleb owsiany, który go żywił, miał w siwych oczach
rozsądek i przenikliwość właściwą orłom tatrzańskim.
— Może jeszcze kieliszek, Marcinie—odezwał się
czarny gość—za zdrowie wasze i Basi.

— Zdrowia nam nie brak, dzięki Bogu — odparł
góral, odsuwając kieliszek od siebie — ale radbym wie-
dzieć wprzód, co syna mego dawnego sąsiada, którego
znałem gdy był małym Kubą, do mnie sprowadza?

— Powiadają, że zwierz, gdy go psy wypłoszą,
wraca napowrót do swego legowiska. Tęskno mi jakoś
było za temi górami.

Stary góral potrząsnął głową.

— Ej, co to za gadanie! naszemu wtedy tęskno na
dolinach, gdy dla niego tam chleba niema; ale kto raz
zakosztuje pszennej bułki i tłustej wieprzowiny, tego
owsiany placek już w zęby kole. Pamiętam, jak wasz
nieboszczyk ojciec grunt swój i chałupę sprzedawał, to
nasze rady były mu głupie. Powiadał, że tam w doli-
nach będzie miał pszenicę, buraki i inne nasiona, za któ-
re żydzi srebrnymi pieniędzmi płacą! Zresztą nie było
i co mówić, bo co góra, to nie dolina. Przecież powia-
dają, że u nas to początek wody, a koniec chleba.

Czarny gość mazał tymczasem rozlaną wódkę po
stole, jakby słowem starego górala chciał dać obraz
plastyczny wijących się potoków.

— Co prawda, to prawda; w górach bieda i chleb
owsiany, a tam poniżej może być prędzej człowiek syty
i posyty.

I pociągnął szeroką dłonią po czarnym swoim

wytartym surducie, jakby chciał zwrócić uwagę górala na to poszycie wyższej cywilizacji. Stary góral nie zważał na ten giest gościa, podparł ręką głowę, a na opalone czoło jego wystąpiły grube pręgi, towarzyszące jakimś niemiłym wspomnieniom.

— Niezawsze dolina dla ludzi zdrowa. Niebo szczyk wasz ojciec był wysmukły jak limba nasza,

a gdym go w kilka lat potem spotkał na targu w Krakowie, podobny był do kosodrzewiny, która na ziemię się kładzie. Mówił mi, że jest stróżem w jakiejś kamienicy, a nawet zaprosił mnie do swego lochu; ale i spotkanie to i loch jego bardzo mi się nie podobały. Bieda była u niego, a choć twarz miał czerwienią jak dawniej, to było to więcej z wódki, niżeli z dobrego chleba.

Surdutowy gość skrzywił się na ławie.

— Tak, rodzice pomarli, a za życia nienajlepiej im się działo; ale za to ja nauczyłem się czegoś na świecie, a dzisiaj mam co do gęby włożyć i w co się przybrać. Nie bez tego, aby jakiś grosz jeszcze na przyszłość nie pozostał.

Stary góral obejrzał całą postać swego gościa, za chwasty od jedwabnej czarnej chustki, aż do butów na wysokich obcasach.

— Jeżeli zapytać się godzi, co porabiacie teraz, Jakóbie?

Surdutowy gość pochylił się ku ramieniu górala, jakby go chciał ucałować.

— Mówcie mi: Kuba, jak dawniej—zawołał—jak wtedy gdymna waszem obejściu z Basią się bawił.

— Ba, gdyby to był dawny Kuba w serdaku—odparł z uśmiechem góral — ale w tym czarnym chałacie wyglądasz, bracie, jak ksiądz w rewerendzie, którego dzieci w rękę całują. I Baśki mojej nie poznalibyście teraz. Wyrosła jak limba, i codziennie na hale idzie.

To też sąsiedzi nazywają ją kozicą!

Czarny Kuba zatarł ręce, jak człowiek, który z energią coś postanowił.

— Basię znam i kilka razy widziałem ją na odpuście w Ludźmierzu w święto Matki Boskiej.

Góral spojrzał ciekawie na gościa.

— Czy tak? Dziewucha nic mi nie mówiła.

— Jakto? nic nie mówiła? To mnie dziwi.

— Czyście z nią co mówili?

— Tak... mówiło się... ot, jak to bywa, gdy się swojaki spotkają.

Góral patrzył z uwagą na gościa. W tej chwili otwarły się drzwi, a do izby weszła Basia. Nie miała już czerwonego fartuszka u szyi, tylko zgrabny gorsecik odsłaniał całą jej wiotką, wysmukłą kibic. Bose przed chwilą nóżki odziewały teraz zgrabne buciki, a przyglądzone starannie włosy okazywały, że gdzieś u sąsiadki albo w komorze przepędziła dłuższy czas, aby przed gościem wystąpić w lepszym ubraniu.

Ujrzawszy go teraz siedzącego za stołem, uznała także za stosowne codzienną twarz swoje przyodziać owym rumieńcem, jaki tylko wtedy się objawia u kobie ty, gdy serce żywiej uderzy. Niemniej też i gość do swego czarnego poszycia dodał jakiś wyraz na twarzy, który pewne ukryte uczucia lub myśli mógł oznaczać. Rumieniec ten, jak i wyraz gościa, nie uszły uwa dze starego górala.

— Czemuż nie powiedziałeś mi, żeś się widziała z Kubą... panem Jakóblem? — poprawił się ojciec.

Basia poczerwieniała teraz cała jak alkiermas.

— Boście się o to nie pytali, tatusiu.

Góral uśmiechnął się na ten wybieg swojej córki.

— Jeżeli tak mówisz, to idź do komory i przynieś nam chleba i oszczypka, a potem postaraj się, abyśmy dobrą strawę na obiad mieli.

Wdzięczną była ojcu Basia, że jej teraz wyjść ka zał, bo z rumieńcem pa twarzy nie było jej jakoś do brze w izbie pozostać. I gościowi było to także na rękę, bo obecność Basi nie pozwalała mu przystąpić do interesu. Teraz wziął za rękę górala i rzekł:

— Nie będę dłużej ukrywał się z tem, z czem dzi siaj do was przyszedłem. Oto kilka razy widziałem się z Basią, która mi się podobała. Mam dobry kawałek chleba, a jeżeli wy na to pozwolicie, to będę tu przycho dził i o jej rękę się starał.

Na poważnej twarzy górala widać było zamy

ślenie.

— Hm—odparł—na to tak prędko odpowiedzieć nie można. Jedni ludzie noszą serdak, czuhę i kierpce, a inni surduty i buty węgierskie. Jeżeli czuha się rozedrze i kierpce popękają, to jakoś można to zeszyć i człowiek nie wygląda tak źle. Inaczej gdy ma poła tany surdut lub dziurawe węgierskie buty!... Otoż chciałbym wiedzieć, czy ten czarny surdut i te buty węgierskie długo będą całe?

— Rozumiem was. Chcecie wiedzieć, jaki jest mój zarobek. Nic słusniejszego. Ojciec powinien wiedzieć, czy córka jego nie będzie w biedzie, gdy za mąż pójdzie. Otoż odpowiadam wam, że jestem pisarzem gminnym w Jabłonicach, a prócz tego prowadzę procesa i piszę supliki do sądu i do cesarza. To daje mi więcej zarobku, niżeli hale Gąsienicowe, gdybym je na wet wszystkie posiadał.

Stary góral, który do swego nazwiska Wrona łączył także arystokratyczny przydomek Gąsienica, zmarzył brwi i groźnie spojrzął na gościa.

— Boża ziemia — odparł podrażniony — czy ona

daje nam trawę, czy wodę, jest zawsze darem bożym i wianem wszystkich ludzi, począwszy od Adama w raju. Do niego to rzekł Bóg: „Będziesz uprawiał ziemię w pocie czoła twego;” nie powiedział jednak: będziesz pisarzem gminnym albo procesnikiem adwokatowac. Procesa i zwady posiał dyabeł między ludzi, jak kąkol między żytem. A kto jemu służy, ten z Bogiem nie jest! Surdutowy Kuba zmieszał się na taką przemowę WronyGąsienicy.

— Może tak, jak mówicie—odpowiedział, spuszczaając oczy—bywało dawniej, kiedy ziemi było dużo, a ludzi mało. Dzisiaj na jednym zagonie kilku żyć nie może, trzeba więc innego zarobku szukać. Adwokaci przecież jeżdżą dziś w karetach i z wielkimi panami są za pan brat. Niebardzo podły musi to być zarobek.

— Sprzeczać się nie będę, ale jako ojciec Baški powiem wam, co myślę. Jeżeli chcecie ją za żonę pojąć, to nie mam nic przeciw temu, a nawet cieszę się, że Kuba Bachlida chce wrócić do gór swoich, od których ojciec jego uciekł szukając lepszego zarobku. Otoż ten lepszy zarobek przyprowadził go o śmierć, bo w lochu kamiennym nie miał tego powietrza, w jakim kąpią się nasze góry. Wprzódy jednak, zanim wam rękę moją Basii obiecuję, musicie odkupić grunt Bachlidów, który właśnie teraz jest na sprzedaż. Będziemy jak dawniej sąsiadami, a mnie miło będzie, jeżeli o miedzę bę

dę z córką moją i zięciem.

Kuba Bachlida patrzył niejaki czas przed siebie. Trudno mu było jakoś naprędce zdobyć się na odpowiedź. Warunki Marcina Wrony niebardzo przypadły mu do smaku, a opozycja wobec zachmurzonego jego czoła wydała mu się wprost niemożliwą. Był w tej

chwili jak ongi Herkules na drodze rozstajnej, i kto wie, któraby sobie obrał, gdyby nagle Basia nie była weszła do izby. Niosła bochenek chleba i żółty jak wosk oszczypek na białym talerzu. Oprócz tych specyaliów, tak miłych każdemu góralowi, przyniosła także z sobą ów rumieniec ponętny, jakim była na wstępie po witała surdutowego gościa. A gdy przy tym rumieńcu ujrzał gość jeszcze i te czarne oczy i brwi takiegoż koloru, o których na odpuście w Ludźmierzu tyle myślał i myślał, wybór drogi już nie był wątpliwy.

— Może się to stać jak mówicie — odparł, biorąc starego za rękę—pomyślę nad tem, gdy tylko jaki większy zarobek wpadnie mi do mieszka, który i tak już nie jest próżny.

— Jeżeli tak, to daję wam rękę moją, że słowa dotrzymam, a reszta należy do Basi, o której już nie jeden powiedział; że jest niepochwytą, jak kozica z Granatów.

Na te słowa jeszcze więcej pokraśniała Basia, aż oszczypek tej krasy się przeląkł i z białego talerza na ziemię się stoczył. Szczęśliwy konkurent pośpieszył na ratunek, a że Basia sama niezręczność swoje naprawić chciała i po zbiegu szybko do ziemi się pochyliła, wydarzyło się, że jej czoło z taką gwałtownością spotkało się z czołem konkurenta, aż oboje od siebie na dwa kroki odskoczyli. Stary Wrona sam musiał podnieść z ziemi oszczypek, który spokojnie, jak kość niezgody, leżał między dwoma zapaśnikami.

Było to pierwsze spotkanie się przysłej pary.

— A co—zawołał góral—czy nie mówiłem, że kozica, i do tego bodzie jeszcze?

Kuba Bachlida rozcierał tymczasem czerwony guz na czole, który mu sprawiał jakąś niewymowną rozkosz, a Basia zgrabną ręką poprawiała włosy na głowie, o które jej w tej chwili więcej chodziło, niżeli o guz ukryty pod niemi.

III.

Ponad kopułami gór przesunął się księżyc w różnych odmianach. Raz wyglądał jak góral na przednówku, cienki i zgięty, drugi raz był sytszy i jaśniejszy, a patrzył to na prawo, to na lewo; raz wcale go nie było, jakby gdzieś zgasł za Giewontem, a w końcu pojawił się czerwony i tłusty, jak Mazur z pod Krakowa. I kilka razy powtarzał te wędrówki swoje, a ludzie tymczasem mówili wiele o blizkich zapowiedziach Basi i o wielkich dostatkach, w jakie opływać miała przyszła zona Kuby Bachlidy, który co niedziela przychodził do Marcina Wrony w czarnym surducie i butach węgierskich, z flaszką likieru w kieszeni.

O ładnym Wojtku mówili także, ale tylko wtedy, gdy się pocziwym ludziom na śmiech zbierało. Nazywano go głupim, bo czyż to nie głupota chcieć kozicę żywcem rękami złapać? Czyż to nie brak klepek w głowie, aby po całych nocach leżeć pod Granatami lub Świnnicą i czatować na zwierza, który szybszy jest od wiatru i od orła tatrzańskiego? Śmiano się z biednego chłopca, że żarty Basi wziął za prawdę i że biedzi się po skałach, gdy ona z innym słodką wódkę zapija. Dzi

wiono się, jak mógł Wojtek takiej dzikiej wietrzniej uwierzyć i jak mógł jej zaufać, gdy ze śmiechem białe ząbki do niego szczyrzyła? I jak to zwykle bywa, zna leżli się, ludzie, którzy nad biednym chłopcem się lito wali, a Basi Wroniance za złe mieli, że lubi tych i owych do siebie przynęcić, a potem od nich ucieka, jak kozica. Nawet w gniewie przepowiadano jej, że, jak kozica, kiedyś kark skręci, choćby tylko za to, że biednemu Wojtkowi klepki w głowie pomieszała! Biedny Wojtek wyglądał teraz rzeczywiście na szaleńca. Proste jego barki pochylili się, jak u czło wieka, który wielki ciężar dźwiga; twarz rumiana przybladła, a siwe oczy jego powlokły się mgłą, podobną do owej napół przejrzystej mgły u szczytów gór zawieszonej, wśród których teraz całe noce przebywał. Najwięcej na tem cierpiała matka Wojtkowa, wdowa po Michale Wójciaku, dla którego ongi żaden

wirch i żadna skała nie były niedostępne. Stoczył się wreszcie biedak w przepaść na Granatach, bez księdza i pogrzebu, bo nikt go już po śmierci nie widział. Wdowa przy pomocy Wojtka prowadziła dalej żmudne gospodarstwo, które im dawało łyżkę mleka i chleb owsiany.

Trzeba przyznać, że i teraz Wojtek pomagał matce pracować, kopiąc ziemię lub kosząc trawę. Ktoby go we dnie widział zajętego pracą, nie domyśliłby się, co mu wśród tej pracy po głowie chodziło. Dopiero gdy wieczór zapadł, a robota była skończona, wysuwał się ukradkiem z domu i biegł ku owym sinym szczytom gór, które poza dachem domu sterczały majestatycznie w szafirowych niebiosach. Matka wiedziała o tem i żał jej było kraszy syna, który po każdej bezsennie spędzo

nej nocy bladł jak owies we wrześniu i wiadł jak kosodrzew, gdy go kozica w szybkim biegu od korzenia oderwie.

Biedny Wojtek nie mógł zapomnieć, co mu Basia owego dnia przy krynicy powiedziała. Złapać żywcem kozicę, a potem zawieść Basię do ołtarza—stadło się wyłącznym jego pragnieniem. Całymi nocami błądził po ścieżkach podniebnych, które tylko kozice przechadzały się zwykły; godzinami leżał bez tchu prawie na brzegach urwisk, nasłuchując uważnie, z której strony zaćmi grunt lub zaszeleści kosodrzewina. Ponieważ oklepców żelaznych, kalepczących nogi kozicy, użyć nie mógł, powymyślał różne naturalne pułapki, któreby mu ułatwiły zdobycze. Na ważkich przejściach powiązał kosodrzewinę ze sobą, w którejby zwierzę uciekające mogło się zaplątać. Na innych ścieżkach pozostawiał siadła z przedziwa, pokopał jamy, przykrywając je starannie mchem i jałowcem. Mimo tych trudów, nie był on dotąd szczęśliwy. Żadna kozica nie zaplątała się w kosodrzewinie, żadna nie wpadła do jamy ukrytej, ani nie złapała się w zastawione siadła. Dotąd była ona w jego duszy niepochwytana i niedościgniona, jak ideał w duszy poety, z którym teraz nasz młody góral wiele miał pokrewnego,—a nawet i to, że i z niego natrzęsali się ludzie lub litowali się nad niezdarnym marzycielem. Kuba Bachlida był szczęśliwszym od swego rywala. Nie bawił się w żadne mrzonki i śmiałym krokiem dążył do celu., Z gorączką szukał zarobków, waśnił się z siadłami, aby im potem supliki do sądu pisać, i tylko o tem marzył, jakby to conajprędzej zebrać owe półtora tysiąca, za które możnaby kupić dawne gniazdo Bachlidów, a przytem pojąć za żonę piękną Basię.

Piękna Basia była teraz dla niego tem, czem kowica dla Wojtka. Złowiwszy kozicę, zbliżał się Wojtek do Basi, a Kuba przez Basię stawał się właścicielem chałupy i gruntu jednego z najbogatszych górali. Miał on pewne powody do tego mniej szlachetnego pragnienia. Zarobek adwokacki nie przynosił mu samych róż, ale przeciwnie, wieńczył, go nieraz samymi cierniami. Adwersarze wiejscy godzili się nieraz kosztem jego grzbietu, na którym podpisywali akt zgody wieczystej. Raz nawet pewna gmina, której przyrzekł adwokat lu dowy lasy i pastwiska pańskie, po przegranym procesie uchwaliła na pełnej radzie wypłatę należności swemu doradcy. I spełniono ten wyrok, według brzmienia uchwały, na długiej sosnowej ławie, przyczem nietylko honor adwokata, ale i czarne jego ubranie wielki szwank poniosło. Od tego czasu wzmogła się miłość Kuby dla Basi, bo nietylko dwa razy na tydzień do domu Wrony przychodził, ale nawet coraz to droższe przynosił jej upominki.

A Basia? — Basia z radością witała gościa, a jeszcze radośniej przypatrywała się owym chusteczkom liptowskiem, granatkom i perłom szklanym, które jej Kubaś przyniósł. Słuchała z przymileniem, gdy ojcu o nowym zarobku swoim opowiadał, i liczyła na palcach setki, które już miały być w jego mieszk.

Kuba widział to i dobrej był myśli, bo Basia wi docznie lubiła go. Gdy jednak czasem sami byli, a czar ne oczy Basi jakby magnesem do siebie go ciągnęły, wtedy spotykacie z silną a zimną ręką młodej góralki, na twarzy której zamigotał zimniejszy jeszcze uśmiech szydery. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć, a przy najmniej na swoje niekorzyść tłumaczyć nie chciał.

Zresztą były to tylko chwile przelotne, po których, jak po majowym deszczu, następowała pogoda niezamącona.

Basia śmiała się i żartowała, a wśród śmiechu i żartów zapominał Kuba o zimnej ręce i zimniejszym jeszcze uśmiechu.

Dla ludzi miała Basia zawsze jeden i ten sam uśmiech. Nie wypierała się tego, że idzie za Kubę i że będzie przy dostatkach szczęśliwą. Z Wojtka żartowała sobie, nazywając go szalonym, gdy jednak inni głupim nazwać go chcieli, wtedy zapalało się oko Basi, a sama stawała się podobną do wilczycy, gdy pisklęcia swego broni. Dziwnem wydało się to ludziom, a jeszcze dziwniejszem, gdy Basię czasem przy płocie obejścia jakby patrzącą na księżyc widzieli. Stała oparta i pa trzała gdzieś daleko w niebo, gdzie obok księżycy ry sowały się ciemne szczyty Granatów i sterczał skalisty słup Kościelca. Nieraz bywało, że ojciec musiał po trzykroć ją zawołać, aby do izby wracała. Niezwykle te kontrasta tem tylko sobie tłumaczono, że ją nazywa no dziką, niepochwytną kozicą, której biegu naprzód żaden myśliwy przepowiedzieć nie może.

Kuba słyszał nieraz o tem, a często i sam to wi dział. Rywal jego, biedny Wojtek, nie zagrażał mu wprawdzie niebezpieczeństwem, ale imię jego sprawiało zawsze na nim jakieś nieprzyjemne wrażenie. Coś go wtedy kłuło w lewym boku, a gdy o nim z Basią roz mawiał, widział w jej oczach jakiś blask migotliwy, ja kim tylko na jego podarunki patrzała. Nie mogli się pozbyć pewnej obawy, jaką, mimo szczerzących się do niego ząbków Basi, budziły w jego sercu opałowe szczy ty Granatów.

Postanowił położyć temu koniec i przeznaczył na to noc świętojańską.

IV.

W wigilię św. Jana przyszedł Kuba w odzieży od świętej i oprócz likieru przyniósł z sobą kilka butelek węgierskiego wina. Zastał starego Wronę samego w izbie, z czego zdawał się mocno zadowolony. Na je go twarzy, na której były jeszcze ślady gorączkowego rumieńca, pojawił się teraz pewien spokój, jaki zwykle następuje po silniejszych wzruszeniach. Oznaki tych wzruszeń przebytych migotały jeszcze w brunatnych oczach jego, jak ostatnie błyskawice burzy, która nieje dne sosnę z korzeniem wyrwała. Uścisnął rękę Marci na Wrony, postawił flaszkę na stole i z pewną trwogą obejrzał się wkoło, czy trzeciego świadka przy nich niema.

— Cóż to, Kubo?—zapytał Wrona—czy się w dro dze czego przestraszyłeś, że tak patrzysz, jakby ci zmo

ra na karku siedziała?

Pewne zakłopotanie malowało się na twarzy Kuby w tej chwili.

— Zmora... zmora... — mówił z oznaką jakiejś trwogi wewnętrznej — zmora tylko we śnie napada na człowieka, a ja przecież ani nie śpię, ani przez sen nie bredzę.

I jakby sam chciał się o tem przekonać, uderzył się kufakiem w kolano.

— Ja tylko tak powiedziałem— tłumaczył się Wrona, patrząc na słodki likier z pod oka—bo zdawało mi się, że czegoś się boisz. Pierwej nigdy nie oglądałeś się tak po izbie.

Rozśmiał się głośno Kuba, jakby jakaś myśl szczęśliwa do głowy mu przyszła.

— Dobrzeście zgadli, Marcinie — odpowiedział z pewną otuchą, że czegoś się bałem, przyszedłszy do was. Oto... dzisiaj nie przyszedłem sam.

Stary góral przeżegnał się krzyżem, splunął trzy razy i odstąpił kilka kroków od gościa.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — zawołał — to może dyabeł jest z tobą?

Twarz Kuby zbladła na chwilę.

— Obyście w złą godzinę tego nie powiedzieli — odpowiedział gniewnie—bo śmierci i dyabła nigdy przywoływać nie trzeba. To, co mam ze sobą, przecież do dyabła nie należy.

I wydobył z zanadtra obszarpany pugilares, a otworzywszy go, wyrzucił na stół kilkanaście banknotów, z których każdy miał na czole: sto!

Roziskrzyły się oczy starego górala na taką biesiadę. Tyle setek odrazu nigdy jeszcze nie widział.

— A co? — krzyknął w gorączce Kuba — czy tak dyabeł wygląda?... Teraz wiecie już, dlaczego bojaźliwie oglądałem się po izbie?... Pieniądze to rzecz łąkoma... mówcie wam, łąkomsza od tego likieru, gdy dziecko nań patrzy... łąkomsza od stawy gotowanej, gdy głodny zapach jej poczuje!... Pieniądze to pokusa do grzechu, do wielkiego, śmiertelnego grzechu, od którego trudno się powstrzymać!...

Nie miał czasu stary Wrona zastanawiać się nad

tem, coby te gorączkowe słowa Kuby oznaczać mogły; patrzył z rozkoszą Turka na tyle dziewic malowanych na podłużnych papierkach.

— Czy to twoje pieniądze, Jakóbie? — zapytał prawie bezprzytomnie.

— A czyjeżby były?—odfuknął Kuba—przecież są w moim mieszkaniu!... Przyniosłem je do was na schowanie, bo w domu nie mam dobrego schowku, a w kieszeni, przynajmniej dzisiaj, kiedy człowiek kilka kieliszków więcej wypije, są niepewne. Mogą wypaść, a wtedy dyabeł je bierze.

Iskrzącymi oczyma wodził po setkach Marcin Wrona.

— Oglądałem się po izbie—mówił dalej Kuba—aby się przekonać, czy nas kto nie podgląda.

— Raz, dwa, trzy—liczył stary Wrona—cztery, pięć... to prawda, pieniądze to rzecz łakoma... sześć, siedem... dyabeł mógłby skusić... ośm, dziewięć... mnie ; samego aż palce swędzą... jedenaście, dwanaście!

— Schowajcie je do skrzyni — rzekł z niecierpliwością Kuba—bo to tak jak grunt Bachlidów!

— Tylko trzech setek brakuje — mrucał Wrona i mlaskał językiem.

— Niewiele... a w kieszeni zostało jeszcze na zapowiedzi i ślub! Coż wy na to, Marcinie? A Basia co? Uśmiechnął się Wrona, otwierając dużą skrzynię, nad którą wisiał na ścianie św. Jan Chrzciciel, misternie z drzewa wyrzeźbiony. Zdawało się góralowi, że św. Jan również jak on uśmiecha się z rozkoszą do tych papierków.

— Dałem wam słowo — odparł, obracając klucz

zardzewiały—a te trzy setki to Pan Bóg dorzuci. Ze Basia nie będzie od tego sam wiesz najlepiej. Rozjaśniło się czoło Kuby, odetchnął, jak, czło- wiek, któremu kamień spadł z serca, i gorączkowym ruchem sięgnął po flaszkę likieru.

— Jeżeli tak, to wypijmy kieliszek, bo jakoś źle zrobiło mi się po tych pieniądzech!... W waszej skrzyni są bezpieczniejsze!

Teraz weszła Basia do izby. Z pękiem bylicy,

w czerwonym gorseciku, wyglądała na rusałkę. Kuba powitał ją z pewną gorączkową radością.

— Otoż przyszedłem na św. Jana—zawołał—aby ten dzień razem z wami przepędzić. Powiadają starzy ludzie: w noc świętojańską paproć kwitnie; może ją, Basiu, razem zobaczymy.

Basia rzuciła na ławę pęk bylicy, owego czaro dziejskiego ziela, którym w ten dzień stroją się chaty wieśniacze. Podniosła z figlarnym uśmiechem głowę do góry.

Jeżeli czekać chcecie na kwiat paproci — rzekła do niego — to pewnie nigdy swojej żonki do domu nie zaprowadzicie!

Wesoły ten zwrot rozmowy zabarwił wesołością całą następną pogadankę, która wywiązała się teraz z powodu św. Jana, nocy świętojańskiej, bylicy i owych setkowych papierków, które już w skrzyni Wrony spoczywały. Na wspomnienie papierków i tego, co się do nich wiązało, posmutniała twarz Basi. Na twarzy ojca dwa kieliszki likieru wypisały jakąś radość nie zwykłą.

— JAKTO — zawołała — tak prędko? przecież czas jeszcze, niechno z pola się pozbiera.

— Czas, nie czas — odparł Wrona. — Gdy dziewczka za mąż idzie, nigdy nie jest zawczasu.

Basia wzięła łydygę bylicy i zaczęła z niej listki obrywać.

— Tak, ja to także tak myślę—ozwał się Kuba—gdy człowiek z czemś dobrem się waha, to mówią, że dyabeł wtedy jamę pod nim kopie!

Basia nic na to nie odpowiedziała, tylko dalej obskubywała bylicę.

— Bo dziewczętom zawsze żal tego ziela, co we włosach noszą — zawołał stary Wrona, nalewając czwarty kieliszek słodkiej wódki — a gdy przyjdą ocze piny, to każda płacze! Nie zważaj na to, Kubo! Na twoje i Basi zdrowie!

Kuba pocałował rękę ojca, Basia siedziała zamyślona.

— Ponieważ dzień dzisiejszy będzie początkiem szczęścia mego—ozwał się Kuba, podając kieliszek Basi — chcę, abyśmy ten dzień wesoło razem przepędzili. Pod wieczór wybierzemy się na hale, weźmiemy ze sobą sąsiadów i sąsiadki, i tam przy muzyce, którą zamówię, przepędzimy wesoło noc świętojańską, szukając kwiatów paproci. A gdy go na hali nie znajdziemy, to przy księżycu pójdziemy za nim ku Liliowemu, gdzie

I wprawdzie paproci niema, ale za to chodzą kozice, które w tę noc może żywcem złapać się dadzą!
I z szyderskim uśmiechem spojrzął na Basię.
Twarz Basi rozjaśniła się w tej chwili jakąś nagłą myślą.
— Na hale?... ku Liliowemu?—odrzekła skwapliwie—dobrze, bardzo dobrze, pójdziemy wszyscy.
I podany kieliszek szybko wychyliła.
W dole i na wyżynach.

W tej chwili jakiś młody chłopiec przesunął się popod okna izby. Kuba wyszedł na obejście.
— A co? — zapytał pocichu chłopca — czy masz skórę z kozicy?

— Mam — odparł tenże.

— Dobrze... trzeba ją sianem wypchać.

Wyrzekłszy to, pożegnał chłopca i wrócił do izby.
V.

Jeszcze słońce nie zaszło za góry, gdy wesoła drużyna, zmówiona przez Kubę, ruszyła ku hali Wrony, na której pasły się jego owce i krowy. Góralska muzyka przygrywała im w pochodzie, a krępy kucyk niósł na sobie prowiant i napitek, pogryzając sobie ochoczo od czasu do czasu.

Na hali tymczasem przygotowano już mleka i sera na uroczystość przedślubną Basi; a gdy z nadejściem nocy, na skale wyskakującej ze stoku góry, dla przychodniów wesoły ogień rozniecono, pojawili się ci w ostatniej dolinie, jak gromada nocnych duchów, zmierzających ku górze.

I wkrótce wielka wesołość zawitała na hali Marcina Wrony. Skupione w szalasię bydełko ciekawie przysłuchiwało się skrzypcom, fujarkom i kobziom, których tony odbijały się daleko o skały Kościelca i Granałów.

Drużyna rozłożyła się około wielkiego ogniska, wesoły kieliszek zaczął krążyć z ręki do ręki, a do śmie

chu i gwaru rozmowy mieszała się piosnka górska, smutna jak skały tych gór, skarżąca się na biedę, nieszczęście, sieroctwo, to jest na całą dolę biednego górala.

Czasami tylko, naśladowując kapryśne echo, jakim przemawiają granity gór, zadźwięczała w tych pieśniach jakaś nuta weselsza, jaką świat tajemniczy na skargi górala zwykł odpowiadać.

Basia wśród wesołej drużyny zdawała się także być wesołą. Czarne jej oczy skrzyły się i biegały jak dwie kule rozpalone, a gdy do piosnek rówieśniczek wmieszał się jej głos metalowy, to było w nim czuć jakiś dźwięk niezwykły, jaki tylko przy niezwykłym na stroju duszy z piersi się wydobywa. Czasami, osobliwie gdy dalekie echo głos fujarki powtórzyło, urywał się na głę jej uśmiech wraz z pieśnią, a czarne oczy błyskawicą zwracały się ku czarnym szczytom Granatów i w smukłej wieży Kościelca.

— A kiedyż pójdziemy szukać kwiatu paproci? — pytała wtedy z uśmiechem Kuby, który z pewną gorączką kieliszek po kieliszku wychylał.

— Na co to nam paprocie — odpowiadał stary góral, już dobrze podochocony — niech tam ci tego ziela szukają, którym jeszcze nie rozwidniła się droga do ołtarza.

— Jeżeli tak — odpowiedziała jasnowłosa dziewczyna, wijąca sobie wianek z bylicy — to jest nas takich tu tak wiele! Jeżeli waszej Basi tego ziela nie potrzeba, to my pójdziemy go szukać!

— Tak, tak, pójdziemy go szukać — ozwał się chór za jasnowłosą dziewczyną i dziesięć chustek czerwonych i czuli brunatnych podniosło się z ziemi.

— Gdzież to chcecie szukać tej paproci? — ozwał się Wrona — czy tam, gdzie jałowiec i kosodrzewina?

— U Pana Bogu nic niepodobnego — ozwał się Kuba, mocno już zarumieniony — a jeżeli paproci nie znajdziemy, to głupiemu Wojtkowi napędzimy w sidła kozicę, za którą od kilku miesięcy po górach się ugania. Śmiech szalony całej drużyny zawtórzyl tym słowom. Oczy Kuby zabłysły dziką radością. Tajemny rywal jego widocznie w oczach wszystkich był śmieszny, a śmieszność — to więcej niżeli kalectwo, od którego każda dziewczyna ucieka. Plan jego obiecywał mu dobry skutek. Nalał największy kielich, na widok którego uśmiechnęły się oczy całej drużyny, a wzniósłszy go do góry, zawołał głosem ochrypłym: ,

— Słuchajcie, jak głupiemu Wojtkowi trudno jest żywą kozicę złapać, tak też i nam trudno będzie żywą napędzić w jego sidła. Ale mamy tutaj zdechłą kozicę, wypchaną jałowcem i kosodrzewiną; zaniesiemy ją Wojtkowi w noc świętojańską na podarunek! Żart ten wesoły podobał się całej drużynie, tem bardziej, że do tej wesołości przyczynił się także wielki kielich, w którym przy blasku ognia perliła się wódka słodzona.

— W góry! w góry!—wołano chórem i kilkanaście kapeluszy zafurknęło w powietrzu.

— W góry! w góry! — powtarzały donośne głosy wesołych dziewcząt, którym wycieczka taka przy gwiazdach i odwiedzinach poetycznego pustelnika bardzo się podobała. Ileżto bowiem śmiechu, ile przygód nie przewidzianych będzie na tej nocnej wycieczce! A ta jemnicza noc świętojańska, mimo zapomnianych dawnych obrzędów, ileżto uroku budzi jeszcze w duszy

ludu górskiego, którego biedzie i cierpieniom może tylko ulgę przynieść jakaś pomoc nadprzyrodzona, jak ów nieujrzany dotąd kwiat paproci. Daremne były rozsądne napominania starego Wrony, sama nawet Basia z gorączkowym, rumieńcem na twarzy, z oczami utkwionemi w szare szczyty Granatów, nastawała na tę tak dziwną, a przecież tak ciekawą wycieczkę. A gdy kilka matek i dwóch ojców na to się zgodziło, dalśa opozycya starszych stała się niemożliwą.

Drużyna wesoła uszykowała się do pochodu. Ku wielkiej radości przyniesiono zdechłą, misternie wypchaną kozicę. Śmiechom nie było końca, a przy każdym radosnym wykrzyku czerwieniła się twarz Kuby. Widział on w duchu swego rywala, jakby błazna ubranego w dzwonki, z którego cała natrzęsa się rzesza. A takiego rywala już się wcale nie potrzebował obawiać. Własną ręką włożył nieżywej kozicy na rogi wianek z bylicy, przyczem wtórowały mu znowu wesołym śmiechem rozochoczone dziewczoje.

— A teraz, naprzód! hej, w góry!—zawołał jak komendant armii, mającej mu przynieść weselne wawrzyny.

I cała wesoła drużyna ruszyła ku szarym szczytom.

VI.

Na jednym z tych szarych szczytów, ścieżką, wydeptaną przez kozice, szedł właśnie w tej chwili młodo

dy góral z głową pochyloną do ziemi. Nie widział on zmierzającej ku niemu drużyny, ani drużyna jego nie widziała. Księżycyca nie było na niebie, tylko blade światełka gwiazd bożych oświecały ową krętą ścieżkę. Szedł spokojnie, nie przeczuwając wcale, że za chwilę może się ozwać za jego plecyma szyderczy śmiech wesolej gawiedzi, owa najdotkliwsza krytyka wszystkich rojeń i marzeń młodzieńczych. Nie myślał nawet w tej chwili o kozicy, którą żywą miał złapać, myśl jego była czem innym zajęta. Dzisiejszej nocy nie chciał on myśleć o sobie, o szczęściu swoim, bo chciał ją poświęcić innym rozmyślaniom, wiążącym się z wspomnieniami dziecinnymi.

Zbliżał się w tej chwili do grobu swego ojca...

Gęsta kosodrzewina przecięła teraz ścieżkę. Przy białych gwiazdach tylko oko górala mogło dostrzedz białawe wśród niej wężyki, któremi prowadziła dalsza droga. Ostrożnie odchyłał Wojtek krzewy iglaste i z uwagą patrzył pomiędzy nie, kiedy otworzą się ukryte czeluście tej przepaści, w której niewidziane przez nikogo leżały kości ojca jego.

Wreszcie zatrzymał się; podniesiony krzak koso drzewiny odkrył ziejącą otchłań, czarną, okropną. Zimny dreszcz przebiegł po ciele Wojtka, a w świetle gwiazd białych zaświeciły się łzy w jego oczach...

Stał nad grobem ojca...

Zimne powietrze wydobywało się z tego grobu, a w sierocem sercu syna dawała się czuć boleść coraz większa...

Ukląkł i odmówił pacierz. Usta jego chciały jeszcze więcej coś wypowiedzieć, ale brakło im słów. Biedny góral chciał inną mową wyrazić to, co jego serce

w tej chwili czuło. Dobył fujarkę i zaczął grać na niej... Grał smutno i tęskno, skarżył się gwiazdom, orłom i skałom, lecz tylko skały odpowiadały mu, a niebo milczało...

— Otoż go mamy! — zawołał Kuba wśród drużyny, pnącej się ku szczytowi—sam dopomógł nam, że go znajdziemy! Gra na fujarce!... Ależ to głupi, czatuje na kozice i gra! Czy myśli, że kozica głupsza od niego?

— Co głupi, to głupi—mówiono chórem.

— Prawda, Basiu, że głupi?—ozwał się Kuba do narzeczonej, która na odgłos fujarki zachnęła się i stanęła jak wryta. Wyglądała teraz jak kozica, która niebezpieczeństwo spostrzegła.

— Powiedźże Basiu, że głupi.

— Bóg tam wie, kto z was głupszy—odpowiedziała Basia i gorączkowym ruchem posunęła się naprzód. W tej chwili jakiś tajemniczy łoskot i szelest rozległ się w powietrzu, a ponad głowami drużyny prze sunęła się czarna, co chwila zmieniająca swe kształty chmura. Był to orzeł tatrzański, spłoszony z noclegu swego na skale. Drużynę opanował dziwny przestach. O orle nikt nie pomyślał, bo w głowach trumkiem rozmarzonych majaczyły tajemnicze straszdyłły nocy świętojańskiej, które, mimo woli i wiedzy, odsiedziły czął pamięć jednego pokolenia po drugim. Niezwykły szum w powietrzu stworzył nagle przed oczyma drużyny najdziksze widziadła, a przed Kubą zaczęły nagle płaść tak dziwne postaci, jakich w życiu nigdy nie widział. Na jego gorączką spalonej twarzy wystąpił nagle ten sam wyraz trwogi, z jakim .

oglądał się po izbie Wrony, gdy mu swój pugilares z owemi setkami oddawał do schowania... Zdawało mu się, że dziewicze twarze, które na banknotach widział, wyszły z papieru, przemieniwszy się w jakieś ohydne czarownice z miotłami, które pędzą za nim i siekają jego grzbiet obnażony... Poczłł dreszcz w nogach i mimo woli pobiegł w stronę ku najdzikszym skałom. A teraz znowu powtórzył się jakiś szum dziwny i tętent głu chy rozległ się wokoło. Zdawało się, że całe piekło złych duchów napadło na drużynę i w miazgę ją roztratuje. W samej rzeczy kilku powaliło się na ziemię... jęk przeraźliwy rozległ się dokoła, a cała drużyna rozsyłała się jak stado owiec, gdy je głodny wilk napałdnie.

Był to stadko niewinnych kozic, ale o nich w tej chwili nikt nie myślał. Przestach ogarnął wszystkich i wszyscy poczęli uciekać, a każdy w inną stronę. Basia biegła machinalnie prawie w stronę, od której zalaływał ją niedawno odgłos fujarki. Biegła bez tchu, nie patrząc pod nogi; biegła przez kamienie i ko

sodrzewinę, która na drodze jej stawała.
Wtem nagle ugrzęzła jej noga... coś jak ciężki kamień pociągnęło ją na dół... chwyciła gałąź kosodrze winy... gałąź się urwała, a ona zapadła się w ziemię, jak się zapadają przy zapianiu koguta duchy piekielne!...
Biegające opodal dziewczęta usłyszały jej krzyk przeraźliwy i zwróciły się w stronę, z której ten krzyk wychodził. Zbliżyły się do przepaści i z przestachu załamały ręce.
Był to grób ojca Wojtka. Pochyliły się do tego strasznego grobu i zawołały na Basię.

Słaby i przytłumiony głos ozwał się z głębi
— Ona żyje jeszcze! krzyknęły ratować, ratować ją!
W tej chwili, strasznymi jakimiś widmami pędzonymi, zbliżył się Kuba. Czarna odzież jego była podarta, a w dziurach, jakby fantastyczne wieńce, tkwiły gałęzie kosodrzewiny.
Dziewczęta pochwyciły go za poły.
— Basia! Basia spadła w czeluście piekła! — krzyknęły do niego przeraźliwie.
Tak nazywano ową przepaść, w której leżał od lat wielu biedny góral.
— Ratuj, ratuj ją, Kuba! — wołały, ciągnąc go nad brzeg przepaści — ona jeszcze tam żywa... zapewne za czepiła się o skałę... za kilka chwil może spaść na dno. Słaby głos Basi dał się teraz słyszeć z przepaści.
— Spuść się!... Skacz!... — wołały dziewczęta, szarpiąc Kubę za poły.
Kuba pochylił się nad przepaścią. Zimny wiatr owionął mu skronie, a straszna koścista śmierć wychyliła się z tamtąd do niego, zarzucając mu na szyję swoje zimne ramiona. Wzdrygnął się i rzucił w tył.
— Dajcie mi pokój! — wrzasnął — ja chcę żyć, żywcem nie chcę skakać do piekła.
— A przecież — wołały dziewczęta — powiedziałeś na drodze, że za Basią skoczyłbyś do piekła.
Nie słyszał już Kuba tych słów, bo zostawiwszy poły surduta w rękach dziewcząt, uciekał co sił ścieżką, którą był przyszedł.
Teraz pojawił się przy nich zadyszany Wojtek.
Gdy się dowiedział, co się stało, i gdy do tego słaby głos Basi w przepaści usłyszał, nie namyślał się ani

chwilę, tylko przeżegnał się, wznosił potem obie ręce do góry, jakby Boga o pomoc prosił, i skoczył w rozwarte czeluście piekła!...

Krzyk przerażenia tych, co na ziemi zostali, rozległ się po wszystkich skałach.

Nazajutrz w drewnianym kościółku parafii odprawiał proboszcz mszę świętą za cudowne ocalenie Basi i Wojtka.

Licznie zebrani górale klęczeli z pokorą, dziękując Temu, który wtedy pomaga, gdy już nikt pomódz nie może.

Na czele klęczał stary Wrona, a przy nim po jednej stronie Basia, a po drugiej Wojtek.

Basia była bledsza niż zwykle, ale na bladej twarzy rozlewał się wyraz jakiegoś szczęścia niezwykle go. Wojtek wyprostował się, jak bohater dekorowany na placu boju, i śmiało patrzył w niebo, które mu się słusznie należało.

Pod chórem, w zacieniu, stał Kuba w poszarpanej odzieży. Na twarzy jego malował się jeszcze przez strach nocny.

Gdy po nabożeństwie ludzie z kościółka wychodzili, wziął Kuba Wronę za rękę, odprowadził za lipę cmentarną i rzekł do niego:

— Jeżeli Basia już koniecznie chce iść za Wojtka, to niechże sobie idzie!... Ja zaś będę spokojny, że do kryminału nie pójdę, bo te dwanaście setek, które dałem wam do schowania, nie są moje, ale należą do

podatku gminy, który właśnie w tych dniach wybrałem od ludzi!... Tylko prędko oddajcie mi te pieniądze, bo oto patrzy na mnie dyabeł w baraniej skórze, który mi wczoraj poderwał nogę i o mało co w przepaść mnie nie zwałił.

Stary Wrona z przerażeniem słuchał Kuby, a gdy tenże o dyable w baraniej skórze mówił, uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, że to była zapewne owa dzika koza, kosodrzewiną wypchana, która w tej nocy

świętojańskiej miała odegrać rolę tak zabawną. Biedny Kuba zapomniał już o tem.

— Pieniądze wam oddam, Jakóbie — rzekł po chwili namysłu — a ty za to oddasz mi słowo, które ci dałem, bo widzisz, że inaczej być nie może. Pieniądze oddaj z kąd wzięłeś, bo z tego, co się stało, widzisz, że sam Bóg nie chce, aby człowiek z gór był... złodziejem. I jeszcze tego samego dnia zaręczył się Wojtuś z piękną Basią, a kobiety całej parafii opowiadały sobie, że Wojtek złapał... żywą kozicę. Była to jednak kozica bez rogów i nie bodła już tak jak dawniej. . Stała się cichą i łagodną jak potulny baranek.

RÓŻNE DROGI. OPOWIADANIE.

Pan Damian był urzędnikiem kolei żelaznej, i oprócz sześciuset guldenów pensyi, miał długą czarną brodę, okazałe wąsy, niebieskie oczy i trzy pokoiki z widokiem na błękitnawe szczyty gór Karpackich. Biedny kolejniki nie czuł się jednak szczęśliwym. Dworzec był osamotniony, zdaleka od miasta powiatowego, otoczony górami, lasami i wodą. W lecie były tam ptaki różnego gatunku, były deszcze i wiatry, czasami rozpostarła się, jak łuk, tryumfalna siedmiobarwna tęcza, ale nie było ludzi. W zimie znowu były śniegi, zawieje i burze, czasami zaglądały wilki, ale ludzi tak że nie było. Nawet podróźnych niewiele można było widzieć, a cały ruch kolei ograniczał się na przewożenie towarów.

Wyływały ztąd różne niewygody dla pana Damiana. Najprzód trudno było o zaspokojenie najpierwszych potrzeb życia. Zona stróża kolejowego gotowała mu obiad, ale obiad ten wyglądał bardzo smutno. Bra kowało mu często soli i pieprzu, a natomiast znowu za

wiele było dymu i innych mniej stosownych ingrediencji, które nawet często użyte były wprost z królestwa zwierzęcego.

Trudno zaprzeczyć, aby materyą czasem nie wpływała na ducha. Pan Damian miał tego jasny przykład na sobie. Po każdym przydymionym rosolu, po każdej przypalonej pieczeni, opanowywała go jakaś dziwna, niewysłowiona tęsknota za czemś, co w mowie potocznej idealami życia nazywamy.

Po każdym mniej smacznym obiedzie czuł się pan Damian osamotnionym na świecie, mimo świstu lokomotywy i elektrycznych drgań drutu miedzianego, który stacye kolei łączył z całym światem.

Osamotnienie to dogryzało coraz więcej panu Damianowi. Kiedyś, gdy jeszcze stałej pensyi nie miał, widział ludzi szczęśliwszych, marzył nawet sam o tem szczęściu, a dzisiaj, gdy już posiada niejaki materialne warunki tego szczęścia, jest tutaj tak samotny, tak nie szczęśliwy, bez przyjaźni, bez miłości!...

Gdy Damian ostatnie słowo w duchu wymówił, zatrzymał się przy niem, gdyż było ono najważniejsze ze wszystkich. Zdawało mu się, że gdy nad tem słowem dłużej się zastanowi, może w niem znaleźć uniwersalne lekarstwo na swoje niewysłowiona tęsknotę.

I w rzeczy samej znalazł. Po niejaki namyśle i przy pomocy żony stróża kolejowego, która mu dalej obiadów gotować nie chciała, przyszedł Damian do przekonania, że cała jego choroba umysłowa ztąd pochodzi, że nie ma żony.

— Zaręczam panu — mówiła do niego żona stróża — gdy się pan ożenisz, to nie będzie w rosolu ani dymu, ani zawiele soli, a nawet jeżeli jaka mucha się znajdzie, to na nią nie będziesz pan tak zważał, jak to dzisiaj czynisz. Gdy żona panu obiad zgotuje, to wszyst

ko będzie lepsze i strawniejsze, niżeli to, co z ręki starej Małgorzaty wyjdzie, chociażby arcydziełem było! Damian zaczął też nad tem, co mu Małgorzata powiedziała, głęboko zastanawiać się i przyszedł do przekonania, że staruszka ma słuszość. Rozwidniło się przed jego duszą i jasno widział teraz, że wszystkie jego dotychczasowe umartwienia pochodziły jedynie z braku ideału, do którego nieświadomie tęskni. Ideałem tym nie mogłoby być nic innego, jak tylko kochająca zona!

Wtedy prawdopodobnie nie czułby ani dymu w rosole, ani zbytnej soli, nie mówiąc już nic o niepotrzebnych dodatkach. Dzisiaj bowiem jest chory umysłowo i ma zmysły z fałszywym nastrojem. Być nawet może, że starą Małgorzatę niepotrzebnie o złe gotowa nie posądza, bo zarzuty jego mogą być prosto tylko złudzeniem zmysłów. Tak więc nietylko wyrządza swojemi grymasami wielką krzywdę starej Małgorzacie, ale nie umie cenić Opatrzności boskiej, która takimi drogami prowadzi go do szczęścia i obowiązku, jaki na każdym uczciwym człowieku ciąży.

Gdy po długim zastanowieniu się do tego rezultatu doszedł, że powodem dotychczasowej choroby jest brak kochającej żony, postanowił temu idealnemu pragnieniu duszy zadość uczynić i jaknajprędzej ożenić się. — Tak, ożenię się — rzekł raz jednego do Małgorzaty, gdy rosół najwyraźniej było czuć dymem — tak, ożenię się, bo, jak widzę, mój nos w anormalnym położeniu mojem najwidoczniej choruje. Mógłbym przy sięgnąć, że czuje dym w rosolu, gdybym chwał tak sądzić jak dawniej, ale dzisiaj wiem, że to tylko choroba

mojej duszy, która tym sposobem każe mi szukać należącego się każdemu człowiekowi szczęścia, j

— Tak, tak, ja to mówię nieraz — odparła Małgorzata — niech się pan ożeni!

Damian uznał słuszość słów Małgorzaty, ale takim uznaniem nie była jeszcze sprawa załatwiona.

Ożenić się — dobrze! Ale jak i z kim?

W innych warunkach nie było to rzeczą tak trudną.

Pomiędzy tłumem ludzi, który każdy przeciętny człowiek w życiu swoim spotyka, można z łatwością znaleźć kobietę, dla której żywiej serce uderzy i którą potem to serce pokocha.

Damian był w wyjątkowym położeniu. Żadnych wspomnień nie miał z przeszłości, bo ta przeszłość jego była bardzo biedna, a jak wiadomo, do biedy nie czepia

się nic takiego, o czymby potem wspominać było warto. A gdy dostał upragnioną pensję, musiał natychmiast wyjechać na tę stację między górami, lasem i wodą! Zkądże tu wziąć materiału do marzeń, jeżeli go nigdzie, jak oko sięgnie, niema! Dworzec jego na tej stacji to klasztor kamedułów! Żadnej kobiety, tylko same postacie, które, przechodząc koło siebie, zdają się nauczać: memento!...

O trzy mile jest miasto powiatowe, ale służba na dworcu jest ostra i nie pozwala oddalać się od nastawionych ustawicznie sygnałów i w trzymilowym oddale niu szukać ludzkiego towarzystwa!

Damian był istnym pustelnikiem. Co drugi dzień wypadała na niego, prócz dziennej służby, nocna służba. Niepodobna było pomyśleć o tem, aby choć na kilka go

dzin oddalić się od sygnałów pociągowych i warsztatu elektrycznego, który ustawicznie pukał na niego.

W takich warunkach marzenie Damiana o smacznym rosole, czy raczej o ideale życia, było wprost nie możliwe. Nawet niektóre wskazówki Małgorzaty okazały się niepraktyczne. Słowem, Damianowi zagrażało doczesne męczeństwo!

Otoż pewnego razu, gdy umartwienia Damiana doszły do najwyższego stopnia, gdy stara Małgorzata rzewnymi łzami protestowała, że w rosole ani kawałka węgla nie było—przyszedł służący i przyniósł mu świeże gazety z Wiednia.

Damian rzucił się na gazety, aby o rosole i węglu jaknajprędzej zapomnieć, i dziwnym trafem na ostatniej stronie spotkał się z inseratem, który go mocno zaciekał.

W gruncie rzeczy inserat był zwyczajny. Jakiś jegomość skarżył się na brak stosunków towarzyskich, chciał się ożenić i prosił w inseracie o stosowne oferty. W wiedeńskich pismach często pojawiają się takie inseraty, a nawet Damian często się z niemi spotykał. Dziś jednak sprawił na nim taki inserat wyjątkowe wrażenie. Damian był właśnie w tej chwili w wyjątkowym usposobieniu, zmartwienia jego obiadowe doszły do najwyższego punktu, przymówki i łzy starej Małgorzaty rozdrażniły go do ostateczności.

W takiej chwili odczytany inserat natchnął go wyjątkową myślą.

— Dłaczegóż—pomyślał sobie—nie moge i ja tym sposobem zapukać do szczęścia i porozumieć się z kobietą, która może stać się ideałem mego życia na zawsze? Dłaczegóż dla uświęconych zwyczajów mam

pozbywać się jedynej dla mnie możliwej drogi, która jeszcze do mego szczęścia zaprowadzić mnie może? Nie znam żadnej dotąd kobiety, której mógłbym z mego serca zrobić przyzwoitą ofertę i prawdopodobnie do końca życia lepiej mi nie będzie. Mogę wprawdzie z czasem dostać awans i przenieść się do miasta, ale na to trzeba długo czekać, a zwłaszcza trzeba się śpieszyć. Tak i podobnie myślał sobie Damian, a nawet coś z tych myśli starej Małgorzacie udzielił. Dla Małgorzaty była to wprawdzie rzecz nowa, aby przez gazety żony szukać, ale Damian zapalił się już był do swojej myśli i postanowił zaraz to uczynić. Zachęciła go jeszcze do tego i ta myśl, że od niejakiego czasu spotykał się z podobnymi inseratami także i w krajowych dziennikach.

Siadł więc do biurka, wyrysował starannie dużą rękę, jak to widział w dzienniku zagranicznym, i na pisał:

POSZUKUJE SIĘ ŻONY.

Mężczyzna mający lat trzydzieści, sześćset guldenów pensji i mieszkanie z opałem, chciałby sakramentalnym węzłem miłości połączyć się z kochającą kobietą. Jeżeli powyższa pensja kobiecie wystarcza, nie wymaga się żadnego posagu. W przeciwnym razie, w miarę pretensyj, upragniony będzie posag stosowny. Uprasza się o osobistą rozmowę lub o listowną korespondencję pod adresem D. B. stacją kolei Ch***.

Gdy Damian to wszystko ukończył, zawiązał w kopertę, zapieczętował i nadchodzącemu pociągowi do skrzynki pocztowej wrzucił.

Po tym heroicznym kroku odetchnął, bo zdawało

mu się, że już o sążeń prawie zbliżył się do swego upragnionego szczęścia.

W kilka dni później w sąsiednim powiatowym

mieście siedział stary kapitan w swoim oszklonym ganczku i jak zwykle czytał gazety.

Miasto powiatowe miało bardzo piękne położenie. Na stoku góry wyglądało zdala jak stado gołębi, które tutaj na zieloną spuszczały się polankę. Nie było tam regularnych ulic, ani domy nie stały szeregiem przy domach. Zarząd budownictwa zostawił tutaj zupełną wolność każdemu. Każdy miał, jak chciał—jak mógł, jak się budował. Jeden budował sobie domek w ogrodzie, drugi wysuwał go na ulicę, a trzeci stawiał go na samym tyle, mając przed sobą pejzaż z włoszczyzny! Były lepsze domki i skromniejsze, były jednopiętrowe kamieniczki, a nawet kilka wcale okazałych will z malowanymi oknami.

Rozkład miasta i styl architektury był tutaj, jak i na całym świecie, wpływem stosunków miejscowych. Górskie, zdrowe położenie miasta, nadawało mu charakter „letnich mieszkań.” Zjeżdżali się więc najprzód chorzy, którzy serwatkę pili lub w rzece się kąpali—zjeżdżali się mieszkańcy większych miast, aby tutaj kilka gorących miesięcy przepędzić — a za tymi ciągnęli i ci, którym na towarzystwie pierwszych wiele zależało. Tym sposobem, w miarę mnożących się gości letnich, rozrastało się miasteczko, ale rozrastało w warunkach wyżej wytkniętych. Ponieważ przedewszyst

kiem chodziło o letnie mieszkania, stawiano więc bezładnie osobne domki i otaczano je ogródkami. Prócz tego warunki życia były także tańsze niżeli w większych miastach. Ściągnęło tu wiele rodzin urzędniczych, których ojcowie wysłużyli już swoje lata służbowe i tutaj wśród rozkosznej natury odpocząć chcieli. Nadało to nawet miastu pewną charakterystykę, a niektórzy nazwali je miastem emerytów i wojskowych będących w dymisji.

Kapitan, który w oszklonym ganczku czytał, należał właśnie do tych dymisyonowanych wojskowych. Był on jeszcze w pełni życia. Twarz miał czerną, oczy bystre, usta pełne, tylko na skroniach widać już było lekki szron siwizny. Mimo to wszystko, wysłużył on już swoje lata obowiązkowe, a nawet trafem nadobowiązkowym znalazł się na polu bitwy pod Sadową, zżąd jedynaczkę swoją, złotowłosej Adeli, przywiózł w upominku kulę w piersiach i wieczną w sercu dla Prusaków nienawiść! I z tym nabytkiem przeniósł się tutaj na stałe zamieszkanie; w tym celu wybudował sobie w ogródku ładny domek z oszklonym ganczkiem, w którym zwykł co rano gazety czytywać i na Prusaków

wymyślać.

Jeden i drugi nałóg podzielała z nim wierna jego jedynaczka. Miała złote włosy, szafirowe oczy i różową twarzyczkę jak aniołek Rafaela. Prócz tego miała dwa dołki na twarzy, a jeden na brodzie, co w nieustanny zachwyty wprawiało pierwszego asesora magistratury miejskiej, chociaż już włos miał siwy na swej głowie patrycyuszowskiej. Asesor próbował nawet za pośrednictwem starego pułkownika od dragonów pewnego

zblizenia się do tych dołków zachwycających, ale bez skutku.

Zdaje się, że właścicielka owych wdzięków tak wyjątkowych marzyła może także nieraz o zbliżeniu się do serca, któreby jej dozgonną przyjaźń ślubowało, ale tem sercem nie było serce sędziwego asesora. Serce to inaczej wyglądało w snach jasnowłosej Adeli. Jak jednak wyglądało, tego jeszcze powiedzieć nie umiała. Na pierwszym planie był u niej dotąd ojciec z pruską dotąd niewyjętą kulą w piersiach i nieuleczoną nie nawiścią dla Prusaków. Adela miała baczność na jej dnie i drugą chorobę i starała się, jak mogła, zastosować się do swego położenia.

Gdy czytając gazety ojcu, spostrzegła, że artykuł pisany za pruskie pieniądze zaczyna kulę pruską w piersiach ojca niepokoić, urywała prędko czytanie i przechodziła do innych rubryk gazety, które spokojniejszej były natury. Czasami nawet dla miłości ojca dokazywała prawdziwych cudów. Gdy w jakim artykule gazetarskim było zawiele kadzidła dla Bismarka, umiała go tak zręcznie odczytać, że *mutatis mutandis*, nietylko wyszedł ztąd artykuł bardzo przyzwoity, ale nawet Bismarkowi w niem coś się dostało. Kula pruska się działa wtedy w piersiach spokojnie.

Dzisiaj jednak groziło jakoś tej kuli większe niebezpieczeństwo. Większość rady państwa była prusko-niemiecka i uchwałała ustawy, które w konsekwencji państwu szkodzić mogły. Czuł to stary kapitan i mocno się gniewał, krew uderzała mu ciągle do głowy, przy czem kaszlał nieustannie, jakby wraz z śliną chciał pruską kulę wypluć!...

— Czytaj dalej, Adelo!—rzekł po przebytych ataku astmatycznym—czytaj dalej, moje dziecko!
— Już nic więcej niema!—odparła z wielkim rumieńcem biedna dziewczyna.
— Oszukujesz mnie! Czytaj dalej, widzisz, jestem spokojny. Czytaj, dziecię moje.
Adela spuściła oczy na sam koniec arkusza i zaczęła czytać feleton.
— Czytaj polityczny artykuł na górze—przerwał kapitan, pokaszlując—czytaj do końca.
Adela rada nierada musiała dalej czytać. Artykuł prawił o wielkich niemieckich zdobyczach i o pruskiej pikelhaubie uwieńczonej wawrzynami. Kapitan zakaszłał się na seryo. Adela urwała.
— Nic, nic, moje dziecię, to przeminie! — mówił wśród kaszlu stary kapitan.
— Co przeminie? — zapytała trwożliwie Adela i wpatrzyła się w siną twarz ojca.
— Co?—odrzekł kapitan—ten prusacyzm w Niemczech!
— Ja myślałam, że ojciec o kaszlu mówi!
— Kaszel... kaszel mój... drogie dziecko... kaszel mój już chyba nie przeminie! Pójdę z nim i z tą przeklętą kulą pruską do grobu!
Adeli stanęły łzy w oczach. Przypomniła sobie smutne swoje marzenia, co to z nią się stanie, gdy ojciec naprawdę z pruską kulą na drugi świat się wybierze. Wtedy biedna dziewczyna nie tylko że straci jedyne serce, które ją kocha, ale nawet nie znajdzie drugiego, które każdej kobiecie tak jest potrzebne na świecie! Myśli te zasępiły jej białe czoło, dołki wdzięczne pochowały się. Z chmurką na twarzy ozwała się:

— Czemu ojczunio tak często o tym grobie wspomina? doprawdy, aż mi już żyć niemiło na świecie
— Dlaczego ci żyć niemiło?
— Jakto żyć... samej jednej!
Uśmiechnął się stary kapitan i zapytał:
— Czy o mnie myślisz, moje dziecko... czy o kim innym?
Zarumieniła się Adela.
— O tobie, o tobie, mój ojczu! — zawołała szybko

i białe rączęta zarzuciła na szyję ojca, całując go serdecznie—o kimże mogłabym myśleć?
— Jakto?—z uwagą zapytał ojciec—czy jeszcze nikogo nie znasz, o kim czasem mogłabyś sobie myśleć?
Adela przyłożyła twarz do piersi ojca.
— Nikogo!—wy szepnęła, a gorący jej oddech przyniósł przez stary mundur aż do pruskiej kuli.
Kapitan zasmucił się. Smutno spojrzął na złote loczki córki, które, jak kaskada światła, spadały na dół. Nastąpiło dłuższe milczenie. Ojciec i córka wybiegli myślą poza granicę, kędy prusacyzm i kula pruska nie sięgają...
I myśl ta pogorszyła jeszcze ich smutek.
— Jakto? — ozwał się ojciec i naprawdę nie znasz nikogo, o kimbyś czasem sobie pomyślała?
— Nikogo!—odszepnęła jeszcze raz zarumieniona Adela.
— To źle!... Przecież dziewczęta w twoim wieku już sobie myślą o kimś... Czemuż ty, biedne dziecko, nie niasz jeszcze nikogo?
— Albo ja wiem?—odparła Adela, powstrzymując przemocą łzy, ciskające się do jej oczu.
Zaiste myśl smutna zaprzętała ją w tej chwili.

Broń Boże śmierci na ojca, pozostanie sama, sama jedyna wśród ludzi, prawdopodobnie na łasce starego pułkownika bez ręki, który nie może sobie tego wytłumażyć, dlaczego nie chce za męża szanowanego powszechnie pierwszego asesora magistratury miejskiej? Do póki jeszcze ojciec żyje, to jeszcze pół biedy, ale jeżeli stary pułkownik zostanie jej opiekunem, to biedna może i nie wykręci się od tak wielkiego zaszczytu i mimo woli będzie musiała zostać żoną dygnitarza magistratury!...

Gdy tak oboje pod wpływem smutnych myśli coraz więcej smutnieć zaczęli, gdy ojcu „przeklęte prusactwo,” a córce grożące osamotnienie coraz więcej dokuczać nie przestawało—przewróciła Adela gazetę na drugą stronę, aby w oddziale inseratów coś pociesznego dla ojca wynaleźć.

Stary kapitan lubił bardzo inseraty. Inseraty uzupełniały mu obraz stolicy, w której połowę życia swego spędził. Znał wszystkie bramy i handle, znał domy i piętra. Każda ogłoszona sprzedaż mebli, fortepianu, futra lub naczyń kuchennych, każdy pies zagubiony, kot przypadkiem otruty lub koń ochwacony, był dla niego zrozumiałą kroniką miasta; bo według ulic i numerów domów domyślał się zaraz ludzi, których

znał doskonale. Osobliwie lubił kradzieże z niemałym sprytem dokonane. Wtedy całymi godzinami domyślał się sprawców i tworzył bardzo misternie całą powieść kryminalną i niecierpliwie czekał sądowych badań, które genialne jego domysły potwierdzić miały. Dzisiaj, jak na nieszczęście, nie znalazła Adela żadnych ciekawych inseratów. Oprócz zguby trzech listów zastawnych, jednej angielskiej charcicy i małego

trzechletniego chłopca, nie było na pierwszej przedziałce żadnego ciekawego inseratu. Na drugiej zaraz z góry było wyobrażenie dorodnego osła, a pod nim małe, laconicznie sformułowane doniesienie.

Adela, opowiedziawszy w trzech słowach treść tego wcale niezabawnego inseratu, chciała zejść okiem niżej, gdy ojciec jej przerwał:

— Czytaj, Adelo, czytaj, co tam piszą o osłach.

Przychodzi mi bardzo piękna myśl do głowy!

Adela zawróciła okiem do konterfektu osła i czytała:

— „Młody, wesoły osiołek jest do sprzedania.

Używany był do wożenia wody, jakoż tę służbę spełniał z wielkim zadowoleniem dotychczasowego swego właściciela, który niniejszem wystawia mu zaszczytne świadectwo. Zbieg okoliczności zmusza go (osła) do szukania nowej służby. Dowiedzieć się można pod adresem A. B. stacją kolei żelaznej P***.

— Wybornie!—zawołał stary kapitan, uderzając się w kolano — osiołka kupimy sobie. Będzie ci woził wodę z rzeki dla twego ogródka. I tak kwiatkom tego roku było zasucho, a szparagi z braku wilgoci przepadły z kretesem. Musimy sobie pozwolić tego komfortu, który, stosownie do dzisiejszych zwyczajów agronomicznych, nazwiemy amelioracją naszego małego, trzy morgowego gospodarstwa.

Adela uśmiechnęła się i spuściła oczy na inne inseraty. Myśl ojca podobała się jej, a młody osiołek w pięknej zaprzęży uśmiechał się do niej.

— A co, prawda — mówił dalej ojciec — myśl dobra!

— Dobrze, mój ojczy! odparła Adela, wodząc oczyma po dalszych inseratach.

— I wiesz co? — mówił dalej rozweselony kapitan—nazwiemy go Prusakiem.

— Prusakiem? — powtórzyła Adela — dlaczego Prusakiem? Czy Prusak jest tak głupi... czy tak uparty jak to biedne zwierzę?

Kapitan odchrząknął.

— Hm—odezwał się po dłuższym namyśle—tego powiedzieć nie można, aby Prusak był głupi. Dowodem jego rozumu jest, że nas pobił i z Niemiec wy pchnął. Ale że jest uparty, na to widziałem dowody własnymi oczyma. Pod Sadową w lesie trzy razy szliśmy na niego z bagnetem w ręku i trzy razy musieliśmy się cofać. Stał uparty jak mur!...

— Dlaczegoż więc nasz osiołek ma się nazywać Prusakiem?—zapytała Adela.

Kapitan znowu odchrząknął.

— Hm, hm... widzisz, moje dziecko — mówił po chwili—Prusak dał się nam we znaki. Zresztą to wielkie paskustwo! Osiołek nasz, jak mniemam, będzie często brał baty. Czyż to nie będzie miłem dla mego serca, jeżeli "Prusak" baty dostanie?...

— Chyba że tak!—odparła Adela, nite chcąc ojcu odbierać rozkoszy, jaką sobie obiecywał z przyszłych batów, wydzielonych przyszłemu woziwodzie. Podczas gdy stary kapitan w duchu cieszył się swoim konceptem szczęśliwym i z powagą palcami po szybie bębnił, przebiegała Adela dalsze inseraty, szybko oczyma szukając jeszcze dla ojca jakich specyaliów, skutecznych na jego smutki polityczne.

Specyaliów dla kapitana nie było żadnych, ale znalazł się mały specyaliów dla Adeli.

Znalazła inserat Damiana.

Przeczytała od jednego tchu i zamyśliła się.

— O czym myślisz?—zapytał kapitan.

Tu... ktoś... poszukuje żony! — odpowiedziała i zarumieniła się.

Kapitan spojrzawszy marszem na córkę.

— Coż takie głupstwa czytasz?—zapytał.

— Tak... przypadkiem przeczytałam! Jak to dziwnie wygląda szukać żony inseratem!

— Głupiec jakiś!—odfuknął kapitan.
— Tak... zapewne... nie jest to rozum!
— Czy to sobie mężczyźni w ten sposób z kobiet żartują!
— Zapewne!...
Rozmowa urwała się. Kapitan myślał o swoim, osiołku, a Adela mimowoli myślała o tym tak dziwnym inseracie...
Treść inseratu poruszyła w jej duszy wcale inne myśli. Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z ojcem o kaszlu i o grobie, ujrzała siebie biedną sierotą na świecie i pomyślała sobie: czy też kiedy to słowo „żona” będzie jej nazwą i od kogo ta nazwa z prawa będzie jej należała! Dalej przypomniała sobie starego pułkownika i asesora magistratury miejskiej i wzдрыgnęła się, jakby jakie widmo ujrzała!
Przy takich myślach oczy jej mimowoli błąkaty się po inseracie Damiana, chociaż zupełnie zgadzała się z ojcem, że taki sposób szukania żony jest conajmniej nierozsądny.
— Wiesz co, Adelo!—budził ją głos Ojca na

seryo myślę o tym osiołku! Będzie i pożytek i zabawa!
Kupię ci siodełko, czasem pojedziesz w góry na nim!
— Zapewne, niech go ojciec kupi!—odparła Adela w roztargnieniu, wodząc oczyma po inseracie Damiana.
— Dobrze, moje dziecię, tylko podyktuj mi adres!
Adela czytała właśnie w tej chwili adres Damiana.
— Zgłoś się pod adresem D. B. stacją kolei że laznej Ch***—podyktowała ojcu.
Był to adres Damiana, szukającego żony. Adela przeczytała go ojcu przez roztargnienie.
Kapitan stosownie zapisał adres w pugilaresie, uśmiechnął się do swoich myśli i rzekł.
— Ciesz się, Adelo! Za kilka dni będziemy mieli młodego osiołka! Będzie nam wodę woził, a od czasu do czasu dostanie baty pod adresem Prusaka! Poprawi to mój humor i wierzę, że będę zdrowszym!
— Dobrze, mój ojcze! I już naprzód cieszę się z naszego osiołka. Uszyję dla niego czerwoną obrozę a na zimę ususzę mu siana z mego małego ogródka!
Adela ucałowała ojca za nową rozrywkę, jaką miał jej sprawić młody osiołek, a stary kapitan tak się tym pocałunkiem rozczulił, że siadł natychmiast i list pod wskazanym adresem napisał.
Damian siedział właśnie nad przydymionym roso

łem i patrzył smutny przed siebie; koło niego krzątała się stara Małgorzata i od czasu do czasu patrzyła z ukosa na swego dziwnego stołownika.

— Już widzę, że znowu panu dzisiaj rosół nie smakuje! rzekła z wyrzutem a to istne skaranie boże!

Damian smutno spojrzął na Małgorzatę.

— Nie gniewaj się, pocziwa kobieto! — odrzekł z westchnieniem—wierzę, że rosół jest bardzo dobry, ale coż ja temu winien, że ja mam smak fałszywy? Wy raźnie czuję dym i ani łyżki nie mogę przełknąć!

— Zkądżeby wziął się tam dym? Przecież Pan Bóg tak świat urządził, że dym zawsze idzie do góry, a nigdy na dół! Czy widziałeś pan kiedy, aby dym szedł z góry na dół? A po co znowu byłoby mu tak pilno do garnka? czy on głupi pakować się do wody? Czyż mu nie lepiej wyjść kominem na świat boży i tam pod niebem sobie pohulać... Przywidzenie i nic więcej!

— Wierzę, że to przywidzenie, ale coż robić, jeżeli moje zmysły fałszywie mi wszystko pokazują! Czy ty wiesz, Małgorzato, że wczoraj o mała jeden pociąg na drugi nie wpakowałem?

— Chryste Panie! Cóżby to było!

— Nietylko nos, ale i oczy zaczynają chorować.

— Powiadam panu, ożenić się, jak Bóg przykazał! Cóż jest warte to życie kawalerskie, mój ty miły Boże! Mój Sebastyan, gdy się ze mną ożenił, to wyraźnie mi powiedział, że tylko żał mu, iż tego wcześniej nie zrobił; bo też zona i dojrzy, i opierze, i zgotuje, a nawet kaprysom pańskim umie dogodzić. Czyś pan nigdy nie widział, jak naczelnik pyszni się, gdy zona jego szaber po dworzu długim ogonem zamiata? Stąpa wtedy z góry przy niej jak indyk, aby tego ogona nie nadeptać! A pyszni się i nadyma, a patrzy, czy ludzie go widzą!... Kawaler tego wszystkiego nie ma, co najwięcej, że czasem

pokojówkę pod brodę pogłaska! I to kryje się jeszcze z tem przed ludźmi.

Damian westchnął.

— Coż robie—odparł—jednemu szczęście, drugie mu zawsze wiatr w oczy.

— Ożenić się, ozehić!

— Czuję potrzebę tego z każdym dniem coraz więcej. Z każdym dniem jestem coraz więcej nieznosniejszym, a służba przeklina mnie po kątach. Czuję, że tak dalej pozostać nie może, bo jeżeli to dłużej potrwa, poodpędzam wszystkich od siebie, a nawet i tobie, kochana Małgorzato, na długo wszystkich kości nie asekurowuję!

— Święta Barbaro! Co też pan mówisz!

— Mówię szczerą prawdę! Jestem chory, a choroba moja z każdym dniem postępuje. Od trzech dni i czuję wyraźnie dym w rosole, chociaż jestem przekonany, że go tam niema! Wczoraj nawet zdawało mi się, że znalazłem kilka much w pieczeni, chociaż to wszystko mogło być tylko złudzeniem zmysłów!

— Najprawdziwsze złudzenie!

— I trapi mnie jeszcze to przekonanie, że ludzi niesprawiedliwie posądzam i krzywdę im wyrządzam!

— To prawda!

— A przekonanie to jeszcze więcej mi dokucza, niżeli dym w rosole i muchy w pieczeni.

— Słuszna kara za niesprawiedliwe posądzanie!

— Cóż ja temu winien? Zrobiłem, co mogłem.

Napisałem do gazet, że się chcę ożenić!

— Nigdy jeszcze o czemś podobnem nie słyszałam! Przecież żona to nie owca, którą się kupuje na targu!

— Różne drogi prowadzą do szczęścia. W mojem wyjątkowem położeniu musiałem użyć dróg wyjątkowych!

— Ależ to istna herezya! Mówią przecież, że śmierć i żona od Boga przeznaczona!

Może inserat mój pomoże temu przeznaczeniu!

— Ciekawa jestem, czy jaka poczciwa panna przyśle panu swój obrazek.

— Bywają także i u kobiet pewne wyjątkowe stosunki.

— Nie mówię, powiedzieć jakiej doświadczonej kobiecie, aby coś godnego wyszukała. Kobieta pomówi, sprowadzi razem, zachwali, a tak, jakże na niewidziane coś robić?

— Wszystko prawda, ale ja tutaj nikogo nie znam! Wprawdzie odezwałem się raz o tem do naczelnikowej, a ta sprowadziła natychmiast cztery swoje kuzynki, stare panny jak świat, z których jedna była kulawa, druga garbata, trzecia zez w oku, a czwarta miała rude włosy. Naczelnikowa myślała, że głodnego zła pie na plewy i jedne ze swoich protegowanych kuzynek w męża zaopatrzy. To już wolę zapomocą inseratu. Czyż taka naczelnikowa nie gorsza od prostego faktora? Małgorzata pokiwała głową.

— Niema się co dziwić — odpowiedziała — ludziska chcieliby zaraz przy tem skorzystać.

— Otoż widzisz, kochana Małgorzato, tu opieka kobiet dla kawalerów jest najgorsza! Niech się tylko do której odezwie, że chce wejść w związki małżeńskie, to zaraz wysuną mu na przód jakąś istotę, która w żaden sposób męża sobie znaleźć nie może!... Słowem, chcą dla siebie jaki interesik zrobić.

— Nie wiem, czy tak będzie lepiej, jak pan zrobiłeś!

Nastąpiła dłuższa pauza. Damian bębnił palcami po stole, a Małgorzata z westchnieniem zabierała z przed niego cały talerz rosółu, który zdaleka było czuć jaknajprawdziwszym kreozotem!...

W tej chwili wszedł służący i położył list na stole. Damian spojrzął na list.

List był kwadratowy, a starannie wycięta koperta była widocznie domowej roboty.

Na kopercie stał adres Damiana, kaligraficznie wypisany.

Damian rozciął brzeg koperty, wyjął list i zaczął czytać.

Małgorzata przeczuła, że to list ważny. Zbierając ze stołu nakrycie, pilnie wpatrywała się w twarz swego ulubieńca.

Damian czytał z widoczną uwagą. Zmarszczył czoło i brwi do góry podniósł.

Po chwili rozjaśniła mu się twarz. Wstał szybko z krzesła, jakby doznał wielkiego wzruszenia, i przeszedł się kilka razy po pokoju. Małgorzata patrzyła na niego.

— Widzisz, Małgorzato, jak to różne drogi do szczęścia prowadzą! — zawołał po chwili — ten list...

— Ten list...

— Ten list pochodzi od bardzo zacnego człowieka, który chce ze mną bliżej się rozmówić. Słyszałem na wet, że ma bardzo ładną córkę i w dodatku dworek

z ogródkiem!

— Ba! — odparła Małgorzata uradowana — gdyby tak, toby było niemałe szczęście!

— Mówie ci, szczęście chodzi różnemi drogami!

— Cóż ten zacny człowiek pisze?

— Pisze wyraźnie, posłuchaj:

„Wielmożny panie dobrodzieju! Oferta pańska, wyrażona w inseracie gazety z dnia września, bardzo nam przypadła do gustu. Spodziewam się, że sprawa zakończy się zobopólnem zadowoleniem. Proszę o bliższe wyjaśnienia listownie lub osobiście, jak panu będzie najwygodniej. Moja córka Adela bardzo jest rada przysłemu naszemu towarzysowi.

Michał Kwaśny, C. K. pensyonowany kapitan go pułku piechoty, w własnym domu w S***.”

— O, święta Barbaro! któżby się był spodziewał!

— Różne są drogi szczęścia!

Na tem skończyła się rozmowa, a szczęśliwy Damian postanowił zaraz nazajutrz pojechać do miasta powiatowego, o czem w krótkości poczciwego kapitana uwiadomił.

Nazajutrz był kapitan w wybornym humorze.

W nocy nie dokuczała mu kula pruska. Spał spokojnie, a nawet śniło mu się, że Prusacy walną bitwę przegrali. Wprawdzie potrzeba było nad ranem przebudzić się i z tak rozkqsznego snu zejść znowu do smutnej rzeczy wistości, ale rzeczywistość ta była jakoś dzisiaj lepsza niżeli kiedyindziej.

Najprzód kawa, nalana rączkami Adeli, była tak smaczna, jak to już dawno nie było. Sama Adela wyglądała dzisiaj tak pięknie i zachwycająco, tyle filutków

zakręciło się na jej skroniach, a dołki w policzkach i bródce były dzisiaj tak rozkoszne, że stary kapitan cmoknął językiem i kędzierzawą główkę do piersi przy

tulił.

— Patrzące!—rzekł do niej z pieszczotą—masz dzisiaj niezwykle rumieńce! Oczy błyszczą się więcej niżeli kiedykolwiek! Czyś co robiła?

— Gotowałam kawę!—odpowiedziała Adela i zarumieniła się, bo nie ze wszystkim powiedziała prawdę.

Nie powiedziała bowiem, że przy gotowaniu kawy zamarzyła sobie z powodu wczorajszego inseratu coś o tem słówku „żona” i przyszło jej na myśl, jakby to ona wyglądała jako żona, gdyby dla swego męża kawę gotowała! A ponieważ w takim razie musiałyby dla niej być bardzo ładną, odleciała więc od kuchenki i głowę swoje licznymi loczkami starannie przystroiła.

— Gotowałaś kawę — odparł z niedowierzaniem ojciec—a pocóż te tak staranne loczki na głowie? Adela zarumieniła się jeszcze więcej.

— Przecież ja tak zawsze noszę!—odparła.

— To prawda, ale tylko wtedy, gdy stary pułkownik z asesorem przyjdą!

I dobrotliwy uśmiech okrasiał twarz starego kapitana.

Zadała się pieszczona jedynaczka.

— Jeśli ojciec chce mi na cały dzień humor popsuć—rzekła z małym kaprysiem—to niech ojciec tylko o pułkowniku i jego asesorze coś powie!

— Nie potrzebujesz się zaraz chmurzyć na ojca, ty popsuta pieszczoszko! Czyż ojcu nie wolno żartować?

— Takie żarty bolą!

— Coż ja winien, że innego konkurenta nie masz, jak tylko asesora, który, mówiąc nawiasem, jest człowiekiem bardzo zacnym!

Łzy zabłyśły w oczach Adeli.

— Woję już byó sama na świecie—odpowiedziała.

— No, no, pocóż zaraz takie gadanie! Czy ja cię przymuszam, czy co? Ot, mówi się, aby się mówiło.

— To już lepiej mówić o tym osiołku, którego ojciec dzisiaj się spodziewasz!

— Tam do kata! A któż wiedział, że ty do tego osiołka tak sobie główkę ustroiłaś i twarz w rumieńce ubrałaś. No, szczęśliwy osiołek! Jak widzę, moje baty przepadły, które w duchu dla niego gotowałam! Co?

— Jak się ojcu podoba. Zaczekamy, czy będzie potulny, czy krnąbrny. Zależć będzie od tego jego na zwisko.

— Dobrze, dobrze, moje dziecię! A teraz nałóż mi fajkę i przeczytamy gazetę. Mam nadzieję, że dzi

siaj coś lepszego będzie!

Drobne paluszki Adeli nałożyły ojcu fajkę turecką i dawnym obyczajem zapaliły kawałek czem. Stary kapitan zaczął nosem dym puszczać, a Adela czytała gazety.

Gazety były dzisiaj niezrównane! Każdy artykuł docinał Prusom, w każdym było coś na Bismarka. Kapitan nie posiadał się z radości. Bębnił palcami po szybie, a od czasu do czasu nawet zanucił coś sobie pod nosem. Słowem, był w różowym humorze. Gdy Adela długi artykuł skończyła, w którym były wyrażone nadzieje, że Prusom, przy wszystkich ich zwycięztwach, może się jeszcze noga powinąć, powstał z dumą stary kapitan i zawołał:

— W to wierzę i tego się spodziewam, ale po wiedz mi, moje dziecię, dlaczego dzień dzisiejszy jest dla nas tak hojny? Ty masz rumieńce i filutki, a we mnie serce rośnie, jakbym już widział Prusaków pobitych! Uśmiechnęła się Adela i odparła:

— To niezawodnie osiołek takie szczęście nam go tuje! Jak tylko przyjdzie, dam cukru z moich własnych ząbków!

— Dobrze, dobrze, pamiętaj, abyś słowa dotrzy mała!

— Poczciwy osiołek! Czy on się spodziewa, co go czeka?...

— Cukier i baty!

Ojciec i córka zaśmiali się z zestawienia tych rze czy tak różnych od siebie, które mniemanego osiołka tu taj czekały, gdy stary Filip nagle wpadł do pokoju z no winą, że jakiś pan w wiadomym interesie z kapitanem chce się rozmówić.

— Victoria! — zawołał stary kapitan do córki — widzisz, już jest!

— Kto? — zapytała zmieszana niespodzianym gościem córka.

— Osiołek! — odparł ojciec i wyszedł do sieni, aby gościa do pokoju wprowadzić.

Gościem tym był Damian.

Damian miał na sobie ubiór bardzo staranny. Czarny surdut zapięty był na wszystkie guziki, Rękawiczki popielatego koloru były niepospolitego ga

tunku. Lśniący cylinder lśnił się mu na głowie jakby najpyszniejsza reklama dla fabrykanta.

Na twarzy miał wyraz szlachetny człowieka, który na ważny krok się przygotował.

— Przychodzę właśnie w sprawie wiadomej — zaczął Damian zaraz na progu, ale nie dokończył, bo mu krew do głowy uderzyła.

W głębi pokoju ujrzał Adelę. Adela z ciekawością patrzyła na niego. W jej oczach był jeszcze blask zadowolenia, z jakim przed chwilą o swoim przyszłym osiołku z ojcem rozmawiała. Damianowi wydała się z tym blaskiem w oczach i z temi filutkami na skroniach tak piękną, jak nigdy nie przypuszczał. W żaden sposób nie mógł dokończyć...

Dopomógł mu stary kapitan.

— Tak — odparł — sprawa nam wiadoma, i mnie i mojej córce Adeli!

Damian skłonił się Adeli.

— Adelo! to pan... wiesz, moje dziecko.

— Wiem, ojcze! — odpowiedziała Adela i odkloniła się gościowi trochę zmieszana.

— Przyznam się panu — mówił dalej kapitan — że mojej córce sprawisz pan radość niemałą. Mówiliśmy o tem cały ranek!

Damian skłonił się nisko.

— Już na wstępie jestem tak szczęśliwy — odparł — że nie wiem, co dalej ze mną będzie!

Stary kapitan rozśmiał się, a poważne słowa wziął za komplement dla córki. ...

— Jeśli tak odezwał się po chwilito siadajże, siadaj pan i wypocznij! Szedłeś kawał pod górę! Damian usiadł.

— Może szklaneczkę zimnego piwa — proponował stary kapitan — Adelo, przynies z piwnicy... tylko, wiesz, tego z zielonym lakiem! Dzień dzisiejszy niech będzie uroczystością dla nas! Zasłużył sobie na to!

Adela rozśmiała się i wyszła, a Damian spocił się z nadmiaru swego szczęścia.

— Jakie drogi? — pytał dalej kapitan — czy jecha

Jeś pan furą? Bieda, nie mamy wygodnych furmanek!
— Tak... furą przyjechałem — odparł wstydliwie
Damian—gdyby były fiakry... przyjechałbym inaczej!
Kapitan spostrzegł, że zapytanie nie było grze-
czne. Poprawił się i rzekł:
— Już ja tam dobrą furkę wolę niżeli powóz na
resorach! Moge się położyć na słomie jak chcę, a broń
Boże wypadku, to lepiej wpaść z fury na ziemię, niżeli
z koczobryku! Co, nieprawda? Zapalisz pan fajkę?
— Dobrze!—odparł posłuszny przyszy zięć.
Kapitan własnoręcznie nałożył fajkę i sam czer-
zapalił.
— Zazwyczaj jest to służba Adeli—rzekł do Da-
miana—ale poszła po piwo. Wybornie nakłada fajki!
Damian uśmiechnął się. Tymczasem przysza
Adela i postawiła na stole flaszkę i dwie szklanki.
— Więc najprzód wypijemy zdrowie naszego przy-
szłego towarzysza!—zawołał kapitan, trącając o szklan-
kę Damiana.
— Mnie zaś—odparł Damian—nie pozostaje nic
innego, jak podziękować serdecznie za położone naprzód
we mnie zaufanie, którego stanę się godnym!
— Jeśli tak, to trąc i ty, Adelko! — zawołał weso-
ły kapitan.
Adela przyniosła maleńką szklaneczkę i trąciła.

Damian tak był szczęśliwy, że cały poczerwieniał i dro-
bną, rączkę Adeli głośno ucałował.
— Powoli, powoli—zawołał ojciecprzed targiem
niech pan będzie ostrożny, bo ta młoda filutka gotowa
utargować wiele! Pan jej nie znasz!
Damian o mało nie ukląkł w tej chwili. Adela
spojrzała tak filuternie na niego, takie urocze dołączki
miała na twarzy!... Zebrał wszystkie siły swoje i od-
rzekł:
— W takim razie targować się byłoby brzydko
i nikczemnie. Sądzę, że pani tak samo sądzisz!
Adela okazała Damianowi swoje białe ząbki.
— Masz pan słuszność — odpowiedziała—czasem
dla serca warte coś miliony, a dla ludzi nic!
Damian zerwał się z krzesła i ucałował drobną
rączkę.
— Pani powiedziałaś święte słowa! — zawołał —
gdybym był owem nic... czy raczej temi milionami...
— Powoli, powoli—przerwał ojciec—nie przesą-
dzajmy tego, co potem dopiero ma nastąpić. Zacznij
my porządnie od początku!
— Bardzo dobrze, słucham!

— Pan napisał w gazecie...
— Napisałem prawdę, świadczę się Bogiem!
— Nie będzie panu żal...
— Nie rozumiem!
— Człowiek przyzwyczajają się zazwyczaj do wszystkiego, a nawet i do zwierzęcia...
— Ochroniłem się od wszystkich podobnych przyzwyczajęń, o jakich panmyślisz. Jestem zupełnie wolny...
— Wiem bardzo dobrze, że każdemu wolno rozporządzać swoją własnością!

— Należę sam do siebie!
— Otoż powiedz nam pan szczerze i otwarcie, czy my, to jest ja i Adela, zrobimy przy tem dobry interes? Damian spojrział na Adelę.
— Będzie to mojem najusilniejszym staraniem!— odpowiedział i zarumienił się aż po kołnierz.
— Przecież to od pana nie zależy!—wtrąciła Adela, której rozmowa z gościem lepiej się podobała, niżeli rozmowa z zacnym asesorem.
— Prawda — odparł sumiennie Damian — często przywary nasze są silniejsze od najlepszych postanowień!
— Czy sądzisz pan—pytała dalej Adela—że nasz przyszły towarzysz będzie miał wiele przywar? Damian uśmiechnął się.
— Jak zwykle każda ułomna istota!—odparł.
— Czy jest uporczywy?
— Zależy od ręki, która, go prowadzić będzie!
— A co do smaku, czy jest wybredny?
Damianowi przypomniał się rosół przydymiony i muchy w pieczeni; przestraszył się, wnosząc, że Adela o jego grymasach coś się dowiedziała. Pośpieszył prędko z zaprzeczeniem.
— Wcale nie jest wybredny! — odpowiedział śmiało.
— Nie jest wybredny! — podjął ojciec — więc żre wszystko, co mu się da do pyska?
Damian z zadziwieniem spojrział na kapitana.
— Czy wszystko żre, co mu się da do pyska? — potwórzył i groźnie obrócił oczy dokoła.
— Jak zwykle każdy osiołek! — dodała prędko Adela, chcąc sprawę załagodzić.
— Osiołek?—krzyknął Damian i Wstał z krzesła

Adela zbladła.

— Tak... osiołek! powtórzyła ciszej.

— Cóż to pana tak przeraża? — zapytał kapitan.

— Osiołek! — wołał Damian w rozpacz.

— Moja córka przecież nic nie powiedziała, co by panu ubliżało!

— Osiołek!

— Nazwała to, co się tak po nazwisku nazywa.

— Ja,... osiołek!

Kapitan i Adela spojrzeli po sobie w najwyższym zadziwieniu. Nie wiedzieli, czy mają przed sobą czło wieka zwykłego, czy warya.ta!...

Niedługo jednak trwała zagadka.. Wkrótce wy jaśniono nieporozumienie.

Kapitan mało nie pękł ze śmiechu, a Adela zaru mieniła się i spuściła oczy, jako główna tego nieporozu mienia winowajczyni...

Nie trzeba, zdaje mi się, dodawać, jak się ta cała sprawa zakończyła.

Po kilku latach, gdy Damian w wesołym kółku po wyższe swoje nieporozumienia opowiadał, uderzyła go białą rączką Adela i rzekła:

— Widzisz, jak to niebezpiecznie szukać żony za pomocą inseratów. Można być na wstępie wziętym za... osiołka!

— Różne drogi prowadzą do szczęścia.odpowie dział szczęśliwy małżonek.

WOLNY WYBÓR.

Przedkarnawałowa herbata u pani Izy była bardzo ożywiająca. Miała wszelkie podobieństwo do uwertury, która rozpoczynała karnawałowy dramat komedia lub możliwą tragedya, w której stary lichwiarz za zwyczaj zabija półkowego bohatera...

Jeszcze aktorowie nie ucharakteryzowali się stosownie do ról swoich, jeszcze artystki nie wzięły na siebie przygotowanych kostiumów, jeszcze brwi, rzęsy i włosy nie miały wymaganego w przyszłej produkcji koloru słowem, kurtyna karnawału jeszcze się nie podniosła. Czekało niecierpliwie tego momentu, a tymczasem przygotowywano się do przyszłych ról swoich.

Gościńska gospodyni, trzydziestoletnia blondynka o szafirowych oczach była w bardzo dobrym humorze, patrząc na liczne grono gości swoich, którzy ze wszystkich ziem polskich zjechali się do starego grodu Wandy i Krakusa.

— Pani na długo do naszego miasteczka?—pytała pani Oliwia rozkosznie w włosy jęczmienne ubraną Cerere.

— Na cały karnawał — odpowiedziała Ceres — a zresztą, jak mąż pozwoli, może do Wielkiejnocy.

— Mąż gospodaruje u wasi?...

— Mamy majątek nad Seretem. Gospodarstwo jest wprawdzie tak urządzone, że nietylko mnie tam nie potrzeba, ale i mąż nawet mógłby sobie trochę wytchnąć...

— Zapewne w dzierżawie...

— Bynajmniej, sami gospodarujemy na sobie, ale mamy kim się wyręczyć: mamy dwóch rządców, pięciu ekonomów i owczarza, nie licząc w to drobniejszej służby!

— Gospodarstwo, jak widać, rozległe, ale właśnie takie gospodarstwo potrzebuje oka... pańskie oko konia tuczy!... Jeżeli się nie mylę, to córeczka pani! Biała jak kreda dziewczyna, siedząca przy pani Ceres, uśmiechnęła się z powabem.

— Tak jest, to moja Florcia—odpowiedziała pani Ceres.— Florcia... pani pułkownikowa!

Florcia skłoniła się staruszce, która teraz zaczęła się jej przypatrywać przez lornetkę.

Florcia podobała się pułkownikowej. Miała włosy kasztanowate, białą mączką posypane; brwi czarne, orli nosek, trochę zanadto wybielony, i szafirowe oczy, ciemną obwódka starannie ozdobione. Prócz tego miała

Florcja suknię zieloną z białym ubraniem, a w rękę trzymała wachlarz z kości słoniowej.
— Pani zapewne niecierpliwie czekasz na tańce karnawałowe! — rzekła pani pułkownikowa do pięknej Flory.
Flora uśmiechnęła się. Odpowiedziała za nią matka:
— Ach, szalecie za tańcami! Zresztą niema się

co dziwić... siedemnasta wiosna ma swoje prawa, których bynajmniej nie zaprzeczam...
Flora spuściła oczy do ziemi.
— Należę do rzędu tych matek—mówiła dalej zło towłosa Ceres—które są wyrozumiałe dla swoich dzieci. Jeżeli Flora się teraz nie wytańczy, to kiedyż to zrobi?
— Masz pani słuszność; pannę Florę może ktoś prędko porwać... trzeba się pierwszej wytańczyć!
Flora zaczęła bawić się wachlarzem.
— Nie należę do rzędu tych matek—mówiła dalej pani Ceres—które córkom ograniczają wolę co do zamąż pójścia. Jakkolwiek przykro byłoby mi, gdybym tak prędko z córką rozstać się musiała, jednak... gdyby jej szczęście tego wymagało...
— Bardzo rozsądnie! ograniczać woję dzieci to barbarzyństwo!
— Należę do rzędu tych matek, które nie mają potrzeby ograniczać woję dzieci swoich. Każde z moich dzieci będzie miało dostateczny majątek, a w wyborze przyszłego zawodu życia nie potrzebuję się krępować różnymi względami pobocznymi, które dzisiaj, niestety, tak wielką rolę odgrywają!... Czy słyszałaś pani, że panna Aleksandra idzie za starego prezesa...
Pułkownikowa westchnęła.
Smutna konieczność! — rzekła wzruszonym głosem—stosunki rodzinne wymagają tego!
— Nie należę do rzędu tych matek, które w ten sposób postępować muszą, wydając młode dziewczęta za starców dla miłego grosza! Dlatego przy każdym pacierzu każę Flora odmawiać modlitwę dziękczynną, że ją Bóg w takich a nie innych stworzył warunkach. Flora

bowiem ma wolny wybór. Może wybierać, kto się jej żywiej podoba, bez względu na stan, pozycję i majątek.

— Zdaje mi się, że stan i pozycja...

— Stan i pozycja znajdzie się, gdy są pieniądze!

A pieniędzy będzie miała Flora dosyć! Wolny wybór przedewszystkiem, niech serce wybiera!

— Zaiste, pozazdrościć Florze takiego położenia.

Niewiele panien znajdzie się dzisiaj w tak korzystnych warunkach!

— Nie należę do rzędu tych matek...

W tej chwili kiwnęła pułkownikowa na młodzieńca, który całą godzinę z wytrwałością piec podpierał.

— Pozwoli pani—przerwała szczęśliwej matce—że przedstawię mego kuzynka... Zdzisia.

Matka i córka spojrzały na wychudłego młodzieńszka z angielskim kołnierzykiem i przyjęły do wia domości nieznaną dotąd egzystencję.

Zanim ją bliżej zbadać mogły, przesunęła się koło nich uroczą gospodyni, zapraszając uprzejmie do wysłuchania koncertu na cztery ręce.

Pułkownikowa, która trochę niedosłyszała, podniosła się z fotelu i zabrała z sobą jedne z tych matek, które córkom wolny wybór zostawiają, a wychudły kuzynek tak zręcznie skorzystał z tej teorii, że w kilka sekund był już przy boku pięknej Flory, ubiegłszy pana Wacława, który właśnie zamaszystym krokiem do niej się zbliżał.

Ostatniemu zostało tylko miejsce drugorzędne.

Ozwał się koncert na cztery ręce, który wszyscy powitali z uniesieniem.

Różne były powody tego uniesienia. Jednym za brakło słów do wymuszonej rozmowy, innym dopiero akordy fortepianu dodały materii i konceptu. Tamci udawali, że słuchają, ci zaś nic nie udawali, tylko z największą otwartością i podniesionym głosem rozmawiali między sobą z jaknajlepszym powodzeniem.

Taki jest zazwyczaj los muzyki w salonie.

Najpoetyczniej jeszcze pojmują muzykę w salonie ci, którzy biorą ją za tło i ilustrację dla swoich cichych szeptów i zwierzeń.

I w salonie bywają czasem sytuacje, które nie

znoszą jasnego światła i ciszy krytycznej. I tam czasem serce zapragnie owych zaciemnień, w których człowiekowi tak dobrze, i owego ulicznego gwaru, wśród którego można niepostrzeżenie rzucać słowa jasne i przejrzyste, a zrozumiałe tylko dla jednej osoby... Dla tych jest muzyka w salonie owym gwarem, tak zręcznie przyśpiewującym słowicze kwilenia,—jest owym wzorzystym tłem starych makatów, na którym tak uroczo odbijają się postacie ludzkie i pejzaże z modrą falami morza... Zdajesię, że w taki poetyczny sposób chciał kuzynek pułkownikowej użyć ów koncert na cztery ręce, który właśnie co się rozpoczął.

— Panina długo do nas?—zapytał z przymileniem.

— Nie wiem, jak pan pojmuję to słowo do nas — odparła z poza wachlarza Flora.

— Do nas... do nas... to znaczy...

— Przecież pan mnie nie bierze za cudzoziemkę!

— Uchowaj Boże! Do nas... do nas... chciałem tem powiedzieć... sam nie wiem...

— Chciałeś pan odróżnić tem mieszkańców wsi od mieszkańców miasta!

— Zgadłaś pani! dalibóg, zgadłaś pani!

— Więc pan nie mieszka na wsi?

— Uchowaj Boże! Mieszkam od lat pięciu u mojej cioci, pani pułkownikowej.

— I nie nudno panu tak mieszkać... beczynnio?

— Uchowaj Boże! jestem na praktyce gospodarstwiej u mojego wuja, szambelana.

— Na praktyce gospodarstwiej... i w mieście?

— Tak jest; temu piąty rok w mieście, bo tak długo trwa już proces wujaszka z lichwiarzami, którzy majątek jego zasekwestrowali!

Tak?

— O! tak! Powiadam pani, to wielka nasza klęska ci lichwiarze!... Czy w stronach pani niema lichwiarzy?

— U nas jest czarna ziemia, a majątki po większej części bez długów!

— Błogosławiony kraj! My tu walczymy, jak rycerze kresowi: walczymy z germanizacją, subhastacją i kolonizacją!

— To dużo na jednego!

— Cóż robić! Ciotunia powiada, że wszystkiemu temu winni Włosi! bezbożni ludzie!

— Czy byłeś pan na włoskiej operze?

— Ja z zasady Włochów nie lubię!

Głośnie akordy nie pozwoliły dalej prowadzić rozmowy. Nastąpiła pauza.

— Czy pani lubisz muzykę?—zapytał po chwili
kuchynki pułkownikowej.
— Muzykę?...—odpowiedziała z wolna Flora—mu-
zykę?... jak czasem.

Ja PrzePadam za muzyką! Wyobraź sobie
pani, mój służący gra na harmonijce; gdy przyjdę do
domu, musi mi grać, aż zasnę!
— Zapewne lubisz pan poezję!
— Niekoniecznie. Wolę czytać romanse krymi-
nalne.
— Pan jesteś jeszcze tak młody!
— Niekoniecznie. Mam różne doświadczenia życia!
Kuchynki Zdzisio westchnął tutaj.
— Pan wzdychasz?
— Wzdycham, bo szafirowe oczy pani przypo-
mniały mi właśnie pewne zdarzenie u wód krajowych...
— Zapewne nieszczęśliwa miłość!
— Powiedz mi pani, czy jest gdzie szczęśliwa?
— Jeżeli jest wolny wybór z jednej i z drugiej
strony...
— Słusznie pani mówisz; tym razem wolny wybór
był z jednej tylko strony!
— Z czyjej?
— Z mojej. Ona mi się bardzo podobała, a ja
jej podobać się nie mogłem!
— Dlaczego?
— Bo ona miała znaczny posąg, a ja mam tylko
sperendę po mojej ukochanej ciotki, która jest jeszcze
zdrową i czerstwą, mimo lat siedemdziesięciu pięciu
i stwardnienia wątroby...
Flora zamilkła i zaczęła bawić się wachlarzem.
Zdzisio okręcał lornetkę wokoło palea.
— Takie to są serca dzisiejszych pamen!rzekł
w końcu po długiej pauzie.
Nie przeczę temu, że są wypadki, w których
inaczej postąpić nie można!

— Jakto? I pani byłabyś tak okrutną... tak wyra-
chowaną? " *

— Nie jestem w takim wypadku, mogłabym więc
inaczej postąpić!

— Mogłabyś pani ukochać człowieka, który, jak
kolwiek ma ciotunię i sperendę rychłą, ale nie ma trzo-
su z gotówką? *

— Jestem w tem wyjątkowem może położeniu, że
na wolny wybór mego serca nic wpływać nie może! Ro-
dzice moi mają znaczny i czysty majątek!

— Zazdroszczę pani tego położenia. Zawsze powia-
da mi ciotunia, że ja przy wyborze muszę dobrze się
ogłądać!... Czy odpowie mi pani na jedno zapytanie?

— Niech pan pyta!

— Jeżeli serce pani kogo wybierze... czy to będzie
blondyn, czy brunet?

Flora spojrziała z uśmiechem na myszate włosy
kuzynka Zdzisia.

— Musi być... brunet!—odpowiedziała stanowczo.
Zdzisio westchnął i smutnem wejrzeniem szukał
pomocy u cioci, która w tej chwili na niego z upodoba-
niem spojrziała.

Nie przeczuła biedna ciocia kłopotliwego położe-
nia swojego kuzynka i nie przysłała mu w pomoc. Za to
opróżniło się w tej chwili drugie krzesło koło panny Flo-
ry, z czego skorzystał pan Wacław i w okamgnieniu
miejsce na niem zajął.

Zdzisio mógł teraz pogrążyć się w głębokie mil-
czenie.

Pan Wacław byłto kawaler już niemłody, z do-
brą tuszą i nosem sporo czerwonym. Dawniej służył sa-
lonom za przewodnika tańców karnawałowych, później

służył paniczom w świat wchodzącym za przewodnika
w różnych potrzebach życia, a dzisiaj używa dobrze za
służonej emerytury u tych wszystkich, dla których star-
gał młode siły swoje. Czasem tylko, przy nadzwyczajnej
uroczystości i to po dobrej i obfitej kolacyi, zerwie się
jeszcze weteran do dawnych laurów swoich i, jak orzeł
wypuszczony z klatki, ulata w dawne wyżyny swoje...
i staje do mazura! Wprawdzie w mazurze tym niewiele
jest ruchu, ale za to stuku i tupania co niemiara!
Mimo to wszystko, jest pan Wacław u znajomych
swoich w wielkiem zachowaniu, bo umie zawiązywać
i utrzymywać stosunki i pomagać innym do takich sa-
mych stosunków.

Pani Ceres pojęła znaczenie takiego człowieka i zaleciła Florze wielką dla niego uwagę. Zaledwie pan Waclaw wygodnie na fotelu się rozparł, zwróciła Flora natychmiast swój profil w lewą stronę.

— Taka muzyka—rzekła do niego z uśmiechem — usposabia mnie dziwnie do rozmowy.

— Czy pani nie lubisz muzyki?—zapytał dyplomatycznie pan Waclaw.

— Przepadam za nią... ale muzyka muzyce nie równa. Gdyśmy były w Paryżu...

— A! w Paryżu? Długo były panie w Paryżu?

— My często w naszych wycieczkach tam się za trzymujemy. Raz byliśmy trzy tygodnie, drugi raz dwa miesiące, trzeci raz bawiliśmy...

Zapewne wypadła paniom droga do wód przez Paryż?

Dwa razy musiała mama jeździć do wód pyrenejskich, a później podróżowałyśmy tak dla przyjemności

— Drezno jest bardzo miłe miasteczko!

— Mieszkałyśmy tam całą zimę.

— Wiedeń bardzo wesoły i ruchliwy!

— To prawda... ten Prater... Schonbrun....

— Jakże pani po tem wszystkim wieś się wydają i kłopoty gospodarskie?

— Jest pewna różnorodność. Zresztą kłopoty gospodarskie mało nas obchodzą. Od tego są rządcy i ekonomowie...

— A sąsiedztwa?

— Sąsiedztwa nie tak blizkie. Sam nasz majątek z lasami znaczną przestrzeń zajmuje; powtóre, bezpośrednio graniczą dobra księcia *** który tam nie mieszka, tylko raz na rok zjeżdża na wielkie polowanie, które tatko wyprawia! Zresztą Żydzi i Ormianie.

— To mi wiele rzeczy tłumaczy.

— Jakie rzeczy?

— Ze pani dotąd nie zostałaś porwaną przez jakiego serdecznego rycerza!

— Widać, że dotąd nikogo nie wybrałam!

— Dlaczego pani taki nacisk kładzie na to słowo: nie wybrałam?

— Bo jestem w tem szczęśliwym położeniu, że mogę wybierać bez żadnych ubocznych względów!...

— Szczęśliwaś pani! niewiele jest takich panien!

— Serce pęka mi z bólu, gdy widzę, jak dzisiaj panny za mąż wychodzą. Byle tylko miał pieniądze, na resztę nie zważają. Biedne ofiary!

— Tem jaśniej od nich odbija szczęście pani!
— Nie zachęca mnie to bynajmniej do pychy! Moje wymagania są bardzo skromne!
— Pozwoli pani, że w tę skromność nie wierzę!

Może się pan kiedy przekonasz. Niczego nie szukam jak tylko serca; Jeżeli się zakocham i będę kochaną, to wyjdę za mąż, choćby on był tylko w jednej koszuli

Zdaje mi się, że rodzice w takim razie czegoś więcej sobie życzą!

Rodzice zostawiają mi zupełnie wolny wybór...

Pan Waław spojrział na różowe usta idealnej dziewczycy i potarł w zamyśleniu nos swój czerwony.

W tej chwili skończył się koncert, a do zropaczego kuzynka pośpieszyła pani pułkownikowa.

W kilka tygodni po tej herbacie wchodził pan Waław zamyślony do hotelu Wiktoryi. Wszedłszy na pierwsze piętro, zapukał do trzecich drzwi na prawo.

Po niejakiem czasie drzwi się otworzyły.

Było zwykły pokój gościnny. Na łóżku pod wełnianym kocykiem leżał mężczyzna z dużą jasną brodą, starannie pielęgnowaną. Koło niego na stole leżały symetrycznie poukładane różne przyrządy toaletowe. Były one bardzo wykwiłtne. Różne szczotki i szczoteczki z grubej słoniowej kości, nożyczki, obczązki z angielskiej stali w srebrnej oprawie. Prócz tego było tam jeszcze wiele świecących rupieci, jak w sklepie galanteryjnym. Miało to być niejako świadectwem, że właściciel tych pięknych i kosztownych rzeczy należy do wyższych sfer towarzystwa i ma zbyt wiele czasu, aby tych wszystkich narzędzi codziennie używać... ,

Dla urozmaicenia widoku, na drugim stole leżały

fantastycznie porzrucane karty. Niektóre z nich były pogięte i złamane — widoczne ślady złego humoru.

Leżący w łóżku mężczyzna był w średnim wieku, twarzy dosyć regularnej. Gładził brodę białą ręką i przypatrywał się pierścionkom, które miał na palcach.

— Monsieur Zbislas!—zawołał gość wchodzący, za mykaj ac starannie drzwi za sobą.

Gospodarz, którego gość Zbisławem nazwał, podniósł się na łóżku i oparł plecy o poduszki.

— Czekałem na ciebie wczoraj—ozwał się, podając gościowi rękę—miałem kilku u siebie.

— Czy graliście bakara, czy geryłasza?

— Bakara! Wyobraź sobie: biedny Zyzio zgrał się jak basetla!

— A któż był tak szczęśliwy?

— Tym razem mnie szczęście posłużyło.

— Winszuję ci, przyda się to do mojej dobrej no winy, z którą przyszedłem.

— Czy zachwyciłeś języka?

— Ile się dało; ale zdaje mi się, że jest grunt do dobrej akcji.

— Wiele będzie pieniędzy?

— Tak na pewno obliczyć nie można, ale mniej więcej majątek można liczyć, na pół miliona!

— Pół miliona!

— Rozumie się, jest to przypuszczenie. Dowiedziałem się o wszystkim, o czym tylko było można się dowiedzieć. Były w przeciągu sześciu lat pięć razy za granicą. Zawsze mieszkały w drogich hotelach i w świecie dosyć bywały. Widziałem u nich drobiazgi, które tylko szczególnie amatorowie kupują za grube pieniądze. Tutaj mają okazałe mieszkanie w pierwszorzędnym hotelu,

wydają bardzo wiele, do wycieczek używają remizy, w teatrze biorą łożę na pierwszym piętrze, toaletta matki i córki zawsze wyszukana, na wencie dla ubogich studentów zakupiła matka biletów za sto guldenów, prócz tego panna Flora ze swoich drobnych oszczędności za pięćdziesiąt. A co najważniejsza, płacą wszystko samymi kuponami. Kazałem hotelowemu wekslarzowi notować te kupony, i uzbierała się już spora sumka kapitału! Oj ciec jest sknera i uprawia kukurydzę na Bukowinie, w ziemi czarnej jak szuwaks.

Pan Zbisław z uwagą słuchał gościa. Po jakimś czasie, przejrzawszy się w małym zwierciadle i pogładziwszy brodę, odparł:

— Twoją nowina, kochany Waclawie, jest dobra i trzeba się nad nią dobrze zastanowić. Jakkolwiek dzisiaj tym wszystkim kartom wierzyć nie można, które matkijmające córki na wydaniu; poza granicami swojej

parani odkrywają, jest jednak pewien grunt do koni binacyj.

— Naturalnie, że trzeba z tego wszystkiego coś odtrącić.

— Rozumie się samo przez się. Jestem praktyk pod tym względem i jeżeli za wiele nie zmażę, to pewnie nie zamało. Powiadasz: pół miliona...

— Przeciąć na połowę!

— Weźmy piątą część tego wszystkiego, to będzie zawsze czystych sto tysięcy guldenów... sumka me do odrzucenia. W dzisiejszych złych czasach...

— Panna ciągle z tem się odzywa, że może wybierać bez żadnego oglądania się na poboczne okoliczności, że rodzice zostawiają jej wolny wybór.

— Czy to nie łapka na muchę?

— Zrazu sam podejrywałem, ale potem zaszło coś, co mnie utwierdza, że nie kłamie!

— Cóż zaszło?

— Wiesz dobrze, że pułkownikowa jest kobieta bardzo sprytna. Weszła w blizkie stosunki z matką i córką, a po zbadaniu gruntu, forytuje teraz swego idyotycznego kuzynka!

Pan Zbislaw wziął żywo do ręki zwierciadło w srebrnej oprawie, przejrzał się w niem profilem i en face, pogładził brodę i odparł w rozdrażnieniu:

— Cóż pułkownikowa chce z tym głupim Zdzisiem, który jest podobny do mopsa? Przecież panna nie będzie miała tak złego gustu...

— Ja sam tak myślałem; tymczasem sprawa za czyną być niebezpieczną. Raz sam słyszałem, jak z sobą rozmawiali na herbacie u pani Izy. Ze głupio rozmawiał, to się sam domyślisz, ale był tak dziwnie naiwny, że się sam przyznał do golizny!

— Zgubiony człowiek!

— Przeciwnie; co u każdej innej panny mogłoby go zgubić, u niej postawiło go w świetle bardzo ko rzystnem.

— Co mówisz!?

— Prostuduszne przyznanie się do ubóstwa tak się pannie podobało, że mógłbym się nawet obawiać....

Pan Zbislaw siadł na łóżku.

— Widziałem wczoraj, jak melancholijnie patrzyła na niego, a gdy z tego powodu coś powiedziałem, odparła mi krótko i węzłowato, że mając pozostawiony wolny wybór, nicby w tem dziwnego nie było, gdyby wybrała człowieka, który bez ogródki powiedział jej, że jest biedny!

— Tak powiedziała?

. Tak Powiedziała nawet całe zachowanie się jej potwierdza te słowa, z czego wnosi pułkownikowa że maryaż z pewnością przyjdzie do skutku!

— Dowodzi to, że jest bardzo majątna!

— Nieinaczej, jeżeli z całą świadomością chce wybrać ubogiego człowieka.

Pan Zbysław zamyślił się. Po chwili odrzekł:

— Jest to bardzo pięknie, ale temu, mój Wacławie, wierzyć nie można. Ubóstwem nie można kokietać, bo to rzecz niebezpieczna.

— Ja także tak sędzę. Lepszy jest środek przez wieki wypróbowany, począwszy od owego złotego deszczu Jowisza, a skończywszy na pannie Aleksandrze, która wychodzi za emeryta, niżeli nowa teoria, z której nawet tak znakomity pisarz, jak Oktaw Feuillet, nie mógł nic porządnego ulepić!

— Masz słuszność, tylko trzeba całą rzecz mądrze ułożyć. Zapal cygaro i siadaj na łóżku, ja tymczasem każę przynieść śniadanie.

Za kilka dni szła pani Ceres z Piorą na cichą mszę do kościoła Panny Maryi.

Pani Ceres, jak zawsze, miała pęk jęczmiennych kłosów na czarnym aksamitnym kapeluszu, niebieskie lisy, jedwabnym rypsem kryte, i z takiegoż samego tatra zarękawek, który z ust zwykłych śmiertelnych kobiet wrywał zapalczywe westchnienia.

Flora była skromniej ubrana. Miała zarzutkę

z czarnej angory, z takiej samej materyi kołpaczek i za rękawek.

Obie kobiety szły do kościoła z wzorową nabożnością. Nie obejrzały się ani razu poza siebie. Za to w kilka chwil później obdarzył je Pan Bóg prawdziwą niespodzianką.

Zaledwie matka do ławki przed wielkim ołtarzem weszła, a córka z dziecięcą pokorą i wielkim wdziękiem na stopniach ołtarza uklękła, wszedł do ławki po przeciwnej stronie jakiś przystojny mężczyzna w okazałym futrze, z długą jasną brodą.

Pani Ceres spojrzała z ciekawością na nieznanego i rozłożyła przed sobą książkę w szafirowy aksamit oprawny ze złotymi brzegami.

Jasnobrody jegomość odwinął z fantazyą futro kosztowne i z bocznej kieszeni dobył książkę w czarny aksamit oprawny ze srebrnymi brzegami.

Rozpoczęły się gorące modlitwy z jednej i drugiej strony.

Flora o tych modlitwach jeszcze nic nie wiedziała.

Pochyliła się przed majestatem bożym i nie przeczuwała wcale, że tam poza nią zawiązuje się właśnie w tej chwili dramat jej życia...

To też twarz jej okrasila się dziwnym rumieńcem, gdy się z posadzki podniosła i niepewnym krokiem do matki zdążyła.

Msza była cicha, nabożnych bardzo mało. Wróble tylko świergotały po oknach, wlatując i wylatując przez rozbite szyby, i z głównej nawy kościoła ozwało się czasem głośne westchnienie biedaka, który w tym jednym westchnieniu skupił wszystkie prośby swoje, i życzenia, i całą modlitwę.

Nieznajomy modlił się z wielkim skupieniem ducha. Czasami tylko rzucił okiem na ławki przeciwne lub na kosztownych rzeźbach Wita Stwosza szukał owe go natchnienia do modlitwy swojej, które tak dziwnie prowadziło dłużej znakomitego snycerza!..

Wcześniej skończyła się msza; matka i córka po wstały i wyszły z ławek. Na środku kościoła uklękła jeszcze raz matka i oddała pokłon Bogu. Przy tej sposobności spojrzała na nieznanego, który ciągle się jeszcze modlił i bynajmniej nie myślał z kościoła wychodzić.

Za matką uczyniła to samo i córka—bez żadnego lepszego skutku. Nieznajomy nie ruszył się.

Przy progu trzeba było przeżegnać się wodą święconą i znowu do ołtarza obrócić się.

Uczyniła to matka, a po niej córka — nieznanomy jak siedział, tak siedział.

— Czy widziałaś? — zapytała na chodniku matka.

— Widziałam!—odrzekła Flora.

— Ktoby to mógł być?

— Jakiś nieznanomy. Nigdy go prawie nie widzia

łam na żadnym wieczorze.

— Może podróżny!

— Być może.

— Wygląda na coś nielada!

— Prawda!

— Nie widziałas, jak z pod oka na ciebie patrzył.

— Widziałam. . .

— Ciekawam, kto to być może. Modlił się na aksamitnej książce. Tylko mężczyźni wyższej sfery modlą się w kościele na książkach.

— Słowem, człowiek z dystynkcyą.

— I nawet bardzo przystojny.

— Widać dobre urodzenie.

— Ciekawam, ktoby to mógł być.

— Ciekawam.

Od tego dnia przychodziła pani Ceres z córką co dziennie o jednej i tej samej godzinie do kościoła Panny Maryi na mszę cichą i codziennie o tej samej godzinie zjawiał się jegomość z jasną brodą, w okazałym futrze, z książką w czarny aksamit oprawną ze srebrnymi brzegami.

Zrazu czytał jegomość bardzo nabożnie z książki, ale później z każdym dniem zaczął się coraz więcej przypatrywać rzeźbom Stwosza, ptakom latającym z okna do okna i siedzącym naprzeciwko paniom.

Później jeszcze ułożyły się te rzeczy wten sposób, że wychodzące z kościoła damy, gdy przy progu zęgały się wodą święconą, widziały za sobą postępującego jegomościa w okazałym futrze.

Jegomość postępował za nimi o kilkanaście kroków—w takim samym oddaleniu szedł przez całe miasto, aż do hotelu, w którym znikają obie. Jeszcze i wtedy nie cofał się odrazu, ale przechadzał się czas niejaki w pobliżu hotelu, spoglądając od czasu do czasu w okna drugiego piętra.

Wreszcie nieznajomy jegomość zaczął się wszędzie pokazywać, gdzie tylko pani Ceres z córką się pojawiła. Czy to na koncercie, czy w teatrze, czy wreszcie na przechadzce — jasnobrody jegomość zawsze się zjawiał

i w pannę Flore patrzył jak w tuza. Nigdy się jednak za blisko nie zbliżył, nigdy nie objawił chęci poznania się. Razu nawet jednego spostrzegła Flora, gdy późną nocą firanki w oknie zapuszczała, że nieznajomy jego mość w okazałym futrze stał na ulicy i w drugie piętro się wpatrywał. Po dwóch bezsennie spędzonych godzinach wstała z łóżka i ukradkiem wyjrzała oknem — ja snobrody jegomość stał jeszcze na mrozie...

— Cóż to może być? — zapytała w duchu Flora — niezawodnie zakochał się... ale czemuż nie przyjdzie nie przedstawi się?

Nazajutrz rano toczyła się długa rozmowa między matką a córką o futrze nieznajomego i aksamitnej książce, ale nie osiągnięto żadnych rezultatów. Kto jest ten jegomość, z kąd przybył i dokąd dąży — nie wiadomo. Zgodzono się w tym tylko, że Flora mu się podobała i że w dziwny nieco sposób stara się to okazać. Jaki zaś to koniec weźmie, trudno było odgadnąć; powzięto jednak nadzieję, że z tego coś dobrego wyniknąć może. Pani Ceres miała zwyczaj bywać w pewnych dniach i o pewnej godzinie na wystawie sztuk pięknych. Było to niejako bardzo przyzwoite, nieme rendezvous dla wszystkich znajomych i nieznajomych czcicieli panny Flory, którzy w liczbie coraz większej zaczęli się tam ze zgromadzać.

Trudno było o lepsze miejsce do produkcji wdzięków ciała i duszy. Już sama atmosfera sztuk pięknych usposabiała umysł i oko do wrażeń estetycznych. Prócz

tego uregulowane światło, które dzieła sztuki miało oświetlać jaknajkorzystniej, oświetlało także korzystnie pomniejsze usiłowania samородnych artystek, które wyraźnie widać było na brwiach, rzęsach i wogóle na całej twarzy. Nadto sama obecność tak podniosłych dzieł i tematów nastrajała umysł ludzki do znakomitej produkcji pięknych słów i zdań, o które w innych warunkach byłoby bardzo trudno.

Nic więc dziwnego, że pani Ceres z córką swoją rada przebywała w tej atmosferze arystokratycznej, tak bardzo oddalonej od prozy życia...

Otoczyło ją zaraz na wstępie grono znajomych, którzy już czekali, a poza tem gronem lokowali się jak mogli mniej znajomi i wcale nieznanymi, którzy wdziękom

tak posażnej panny chcieli się bliżej przypatrzeć. Pomiędzy znajomymi na pierwszym planie był kuzynek Zdzisio, w lapiowych rękawiczkach i w paltocie kudłatym. Był w wybornym humorze, nadszkakiwał dałom z pewną poufałością, która dla wszystkich dosyć była wymowną...

— Czy to być może—szepnął blade blondynek towarzyszowi do ucha—czy to być może, aby tak posażna panna wybrała sobie tego Zdzisia?

— Serce kobiety...

— Ależ on nic nie ma!

— To dowodzi, że panna ma znakomity posag, jeżeli ubogi człowiek tak jej przypadł do gustu.

— Dziwne szczęście mają ludzie!

— To mi bohaterka nieład—mówił ktoś inny—przyjechała do miasta, powiedziała: mam posag i wybiorę pierwszego lepszego, który mi się podoba, chociażby był goły jak święty turecki!

— A jak to czasem głupota popłaca! Zdzisio w głupocie swojej powiedział jej, że jest ubogi, i panna od razu w nim się rozkochała!... Patrzcie, jak czuie z nim rozmawia i z jaką ostentacją!...

— Ha! jest swobodna, niczem się nie krępuje wybiera podług upodobania, bo ma posag!

Kilku kandydatów do podobnego szczęścia we stehnęło.

W tej chwili na ostatnim planie pojawiła się jasna, porządnie rozczesana broda nieznanego w okazałym futrze.

Flora cofnęła przeznaczone dla Zdzisia spojrzenie i lekko trąciła mamę. Mama spojrzała pomiędzy głową Zdzisia a ramą obrazu Matejki. Twarz jej rozjaśniła się: ujrzała właśnie, jak z tajemniczym nieznanym witał się... pan Waław.

Trąciła córkę i rzekła półgłosem.

— Waław zna się z nim!

— Widzę—odparła Flora.

Czas niejaki panowało milczenie. Nadaremnie Zdzisio wysiłał się na zdania niezwykle, które mu aż pot z czoła wyciskały, nadaremnie kilku innych kandydatów wyczerpywało cały zapas frazesów z estetyki,—pani Ceres i Flora pograżyły się w jaknajwiększym milczeniu.

Tajemniczy nieznanomy obszedł całą grupę z należytą powagą dokoła, zatrzymał się przy drzwiach tak długo, póki ciemne oko jego nie spotkało się z okiem Flory, i zniknął.

Przez grupę przedarł się teraz pan Waclaw.
Matka i córka powitały go z wielkiem upragnieniem.

— Moja córka ma wielką prośbę dodaną—rzekła pani Ceres — ale w tym celu odprowadzisz pan nas do hotelu.

— Służę paniom natychmiast—odparł pan Waclaw z uprzejmym ukłonem.

Zdzisio i kilku innych mniej więcej znanych aktorów otrzymali lekkie skinienie głowy, a cała uwaga dam zwróciła się do nowego towarzysza, który był tak szczęśliwy, że znał nieznanego.

Za kwadrans wszyscy troje siedzieli już w małym saloniku hotelowym.

— Jakkolwiek tem zdradzam moją córkę—ozwała się pani Ceres — mam jednak wielkie zaufanie do pana, zapytując go o tego blondyna w okazałym futrze, który witał się z panem na wystawie.

Pan Waclaw zamyślił się, jakby chciał sobie coś przypomnieć, co mu już z pamięci uleciało.

— Z piękną jasną brodą — dodała Flora i zaraz mieniła się jak wiśnia.

— Czemuż zaraz raki pieczesz? — zapytała z zadowoleniem pani Ceres.

— Coż ja temu winna!? — odparła Flora i spuściła oczy.

Pan Waclaw ciągle myślał, jakby sobie przypomniał.

— Czy ten w brązowym paltocie? — zapytał po chwili.

— Ale gdzież tam! Ten w dużym futrze.

— Aha! — zawołał zapytany—to już wiem.

Rzekłszy to, pan Waclaw podgarnął włosy i z uśmiechem spojrzał na Florę.

Matka i córka zaparły oddech w piersi.

To jest niejaki... pan Zbislaw mówił powoli
Wacław człowiek wyjątkowy... słowem, dziwak, jakich
mało!

— W czymże zawisło to jego dziwactwo?pytała
matka.

— Długoby o tem opowiadać. Za granicą znają
go lepiej, niżeli w kraju. Odprawiał kilka razy podróż
balonem, opłynął dwa. razy ziemię naokoło, był pod
stopniem na biegunie północnym i dotarł w środku
wej Afryce do plemienia, które stwierdza zupełnie do
tychczasową bajkę o liliputach. Nawet przywiózł jedne
go z nich do Europy i dał mu stary swój kapelusz na
mieszkanie!

— Cóż go do takich dziwactw skłoniło?

— Ot, jak zwykle to bywa u ludzi bogatych:
przesycenie się tem wszystkim, co zwyczajne i obyczajne
Europy dać mogą!

Matka i córka spojrzwały po sobie.

— Z jakich on okolic? — zapytała po chwili matka.

— Z nad Noteci!

— Proszę... z nad Noteci!"... to dziwne zejście się...
on z nad Noteci, a my z nad Seretu... dwie przeciwległe
kończyny ziemi polskiej.

— A nawet romantyczne. j

Flora spiekła znowu raka.

— Cóż w tem być musi rzekł pan Wacław, wpa
trując się z uwagą w piękny buziaczek Flory.

Nic, nic, panie Wacławie odparła matka o t,
tylko powiem panu w sekrecie, że ten pan
nas interesuje, że prawie gdzie się obrócimy, widzimy go
za sobą! .

Pan i Wacław potarł ręką po głowie.

— A! teraz już wieni!—zawołał ze śmiechem—te
raz mi się rzecz cała wyjaśnia!

— Co się panu wyjaśnia?

— To... co od niego w ciemnych, zagadkowych
słowach słyszałem! Więc to panna Flora...

— Coś pan słyszał?

— Że tu w mieście... ktoś mu się bardzo podobał...
i że najszczęśliwszy jest, gdy go spotka i widzi!
Twarz Flory oblała się szkarłatem. Matka spoj
rzała na nią z upojeniem.

— Czy pan żartów nie stroi, panie Wacławie —
zagadnęła po chwili.

— Przysięgam na Boga...

— Ależ mameczko!

— Przecież nie zawadzi dowiedzieć się...
— Pan Waclaw gotów mu powiedzieć...
— Jestem w tym względzie dyskretnym!
— Liczymy na pańską dyskrecję.
Kilka chwil zapanowało milczenie. Podjęła rozmowę matka.
— Więc ten pan Zbislaw jest takim dziwakiem...
trafia się to często u ludzi bogatych! Sama znalazłam...
Ale jeśli pan Zbislaw ma majątek w ziemi, to samo go
spodarowanie powinno go rozrywać!
— O ile mi wiadomo, pan Zbislaw ma. większą
część majątku w papierach angielskich.
Lekki cień niezadowolenia przebiegł po twarzy
pani Ceres, uśmiechnęła się jednak i rzekła:
— Ale dlaczego pan Zbislaw według zwyczajów
europejskich nie da się ludziom bliżej poznać, dlaczego
nie wejdzie do towarzystwa, nie przedstawi się?

Jest w tem pewna tajemnica, której nie powi
nieniem odsłaniać
Panie Waclawie! zlituj się pan!
Pan Waclaw milczał czas niejaki.
— Nie powinienem tego czynić rzekł po chwili—
ale czegoż człowiek z przyjaźni nie zrobi!
— Powiedz pan! mów pan!
— Pan Zbislaw nie jest pospolitym dziwakiem,
jakich zazwyczaj dostarcza nam wielu mgliste powietrze
Albionu. Jestto człowiek odcytany i niezwyklej inteli
gencji! Ostatnie osobliwie odkrycia na polu przyrody
i filozofii mocno go zajmują, i jest ich zapalonym wy
znawcą! Zapewne słyszały panie coś o teoriach Darwina,
Hackel'a i tym podobnych..
— Cokolwiek!
— Otoż ci nasi badacze wielki nacisk kładą w sto
sunkach różnopłciowych na tak zwany „wolny wybór,”
którą to zasadę stosować u nas można w sprawie mał
żeństw!
— Tak... wolny wybór! To zasada bardzo szlache
tna... Ja mojej córce zostawiam zupełnie wolny wybór!
— Wolny wybór w sprawie małżeństwa bardzo wie
le znaczy u dzisiejszych znakomitych badaczy naukowych.
Utrzymują oni, że upadek społeczeństwa ludzkiego za
czyna się od tego, kiedy wolny wybór w sprawach mał
żeństwa ogranicza się różnemi pobocznemi względami!
— Moja córka nie potrzebuje niczem, dzięki Bo
gu, ograniczać swojej woli!
— Otoż zapalonym wyznawcą tego „wolnego wy
boru" jest mój znajomy, pan Zbislaw. Szuka on przy

szłej towarzyski życia bez żadnego nacisku zwyczajów

i obyczajów społecznych. Chce on widzieć i wzbudzić w sobie czyste tylko uczucie, na któreby nie wpływały żadne względy w jakiejś formie. Chce, aby mu się kobieta podobała wtedy, gdy jeszcze nie wie, kto on jest i w jakich żyje warunkach. Tego samego pragnie także i dla siebie. Chce, aby go pokochała kobieta, nie wiedząc, kto on jest, bez żadnego nacisku otaczających go oko liczości. Zdaje mu się, że tylko w takim razie może być uczucie czyli pociąg czysty i naturalny, bez żadnego nacisku zaskorupiających przesądów i innych ubocznych wpływów!

Długie milczenie zapanowało.

Matka i córka patrzyły po sobie kolejną.

Kronika miasta milczy jakimi drogami postępowania z jednej strony i drugiej teorya „wolnego wyboru.” Faktem tylko jest, że długi czas były z jednej i z drugiej strony wahania się, w miarę różnych wieści i domysłów, które jednak w kilka miesięcy skończyły się aktem sakramentalnym w kościele . Kapucynów. „Wolny wybór” odniósł więc świetne zwycięstwo i dokonany został bez żadnego nacisku zewnętrznych okoliczności.

Dalszym zaś faktem jest, że szczęśliwy małżonek po dwóch miesiącach ulotnił się wskutek nacisku pewnych okoliczności, a młoda matka, spieniężywszy swoje wyprawne a na kredyt wzięte suknie, wyjechała za kordon, aby tam szukać posady nauczycielki.

Zdzisio tryumfuje, że się nie dał złapać na muchę; a ciocia pułkownikowa modli się za ludzi bezbożnych, adeptów Darwina.

KONIEC.